

TYM RAZEM LISA GARDNER PRZESZŁA SAMĄ SIEBIE.
FRANKIE ELKIN JEST BOHATERKĄ, KTÓRA PRZEJDZIE DO HISTORII.

Tess Gerritsen

LISA

NOWA
SERIA!

GARDNER

ZANIM

ZNIKNEŁA

Jest milion powodów, by przepaść bez wieści.
Nie zawsze z własnej woli...

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

**LISA
GARDNER
ZANIM
ZNIKNEŁA**

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

KOLEJNA SILNA POSTAĆ KOBIECA WYKREOWANA PRZEZ LISE
GARDNER.

KIEDY POLICJA DAJE ZA WYGRANĄ, LUDZIE ZACZYNAJĄ ZAPOMINAĆ,
A MEDIA TRACĄ ZAINTERESOWANIE, POJAWIA SIĘ FRANKIE
I ZACZYNA SZUKAĆ.

Nie jest policjantką ani prywatnym detektywem. Jest przeciętną kobietą,
która swoje w życiu przeszła. Nazywa się Frankie Elkin i zajmuje się
odnajdywaniem zaginionych osób.

Nie dla pieniędzy czy sławy.

Dlaczego to robi? Może należałoby zapytać, dlaczego nie robią tego inni?

Znalazła już czternaście osób. Niestety za późno, żeby udało się je
uratować. Może tym razem będzie inaczej?

Tylko że minął już rok od zaginięcia Angeliqe Badeau, nastolatki, która
zniknęła z bostońskiej dzielnicy o nie najlepszej reputacji. A Frankie jest
zdana wyłącznie na siebie. Nie da jednak za wygraną. Zrobi wszystko, by
znaleźć dziewczynę. Nawet jeśli miałyby się to skończyć tym, że sama
będzie następną zaginioną.

LISA GARDNER

Amerykańska autorka powieści kryminalnych. Urodziła się i wychowała w Oregonie, studiowała na Uniwersytecie Stanu Pensylwania. Po opublikowaniu debiutanckiej książki, *Mąż doskonały*, która okazała się niesamowitym sukcesem, zajęła się pisaniem na pełny etat. Dotychczas do księgarni trafiło ponad dwadzieścia jej powieści, z których większość miesiącami zajmowała czołowe miejsca na liście bestsellerów „New York Timesa”. *Sąsiad* został uznany przez International Thriller Writers za Thriller Roku 2010 i nagrodzony francuską Grand prix de lectrices de „Elle”. Książki Lisy Gardner ukazały się w ponad 30 krajach.

Autorka obecnie mieszka w New Hampshire i kiedy nie pisze, zajmuje się ogrodem i zwierzętami, podróżuje lub wybiera się na piesze wędrówki.

lisagardner.com

Tej autorki w Wydawnictwie Albatros

SAMOTNA

W UKRYCIU

SĄSIAD

DZIECIĘCE KOSZMARY

POWIEM TYLKO RAZ

CZYSTE ZŁO

ZANIM ZNIKNEŁA

Tytuł oryginału:

BEFORE SHE DISAPPEARED

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2021

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2022

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: © David Paire/Arcangel Images

ISBN 978-83-6733-857-8



ALBATROS

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

[woblink.com](https://www.woblink.com)

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Podziękowania i nota od autorki

Wszystkim, którzy szukają, żeby inni mogli znaleźć

Rozdział 1

WODA PIEŚCI ZIMNYMI DŁOŃMI moją twarz. Nurkuję głębiej w mrok, długie włosy suną za mną niczym ciemne węgorki. Mam na sobie ubranie. Dżinsy, tenisówki, T-shirt, niezapiętą kurtkę; jej rozchylone poły krępują mi ruchy. Ubranie robi się coraz cięższe i w końcu ledwo ruszam kończynami.

Dlaczego jestem ubrana?

Pianka do nurkowania.

Butle z tlenem.

Przez głowę przelatują mi różne myśli, ale żadna nie pozostaje na dłużej.

Muszę dotrzeć do dna jeziora. Tam, gdzie nie dochodzi światło słońca i czyhają na mnie różne stworzenia. Muszę znaleźć... muszę...

Moje płuca stają się tak samo ciężkie jak nogi. Zwiększa się ucisk w klatce piersiowej.

Stary pick-up Chevroleta. Poobijany, przerdzewiały, z wyblakłym od słońca dachem szoferki. Jego obraz pojawia się w moim umyśle i kurczowo się go trzymam. Dlatego tu jestem, tego właśnie szukam. Srebrzystej kreski w jeziornym mule.

Zaczęłam od sonaru. Kolejna luźna myśl, ale opadając coraz niżej w wodną otchłań, to także jestem sobie w stanie przypomnieć. Siebie, za sterami małej łódki, którą wynajęłam za własne pieniądze. Przez całe dwa dni, bo na tyle było mnie stać, zataczałam szerokie kręgi po jeziorze, testując teorię, którą odrzucili wszyscy inni. Aż do chwili...

Gdzie jest moja pianka do nurkowania? Gdzie butla z tlenem? Coś jest nie tak. Jest mi potrzebna... Muszę...

Nie mogę logicznie myśleć. Moje płuca płoną. Czuję, jak zapadają się w klatce piersiowej; chcę za wszelką cenę zaczerpnąć powietrza. I nagle wdycham ciemną mętną wodę. Nie walczę dłużej z jeziorem, ale staję się jego częścią. Nie będę już musiała płynąć. Opadnę na dno i jeśli moja teoria jest

śluszną, dołączę do tej, której szukam. Będę kolejną zagubioną duszą, po której zaginie wszelki słuch.

Stary pick-up. Dach szoferki, który przybrał kolor zachmurzonego nieba. Pamiętaj o tym. Skup się. Znajdź go.

Czy to, co tam widzę, to nie błysk srebra schowanego za gęstą ścianą wodorostów?

Staram się popłynąć w tamtą stronę, lecz zaplątuję się w poły kurtki. Zatrzymuję się i przebierając gorączkowo nogami, próbuję ją z siebie ściągnąć.

Ucisk w klatce piersiowej znów się zwiększa.

Czy nie miałam ze sobą butli z tlenem?

Czy nie włożyłam pianki?

Coś jest zdecydowanie nie tak. Muszę się skupić, ale jezioro wygrywa, moje płuca płoną i tracę siłę w rękach i nogach.

Czuję na policzku miękki dotyk wody. Wzywa mnie, a ja odpowiadam na jej wezwanie.

Moje nogi poruszają się coraz wolniej. Ramiona się unoszą. Pozwalam, by ściągał mnie w dół ciężar ubrania, balast w mojej piersi. Zaczynam opadać szybciej. Coraz niżej, niżej, niżej.

Zamykam oczy i już nie walczę.

Paul zawsze powtarzał, że zbyt zaciekle walczę. Zbyt wszystko utrudniam. Nawet jego miłość do mnie. Ale ja go oczywiście nie słuchałam.

Moje żyły wypełnia teraz dziwne ciepło. Jezioro wcale nie jest ciemne i mętne. To sanktuarium. Obejmuje mnie niczym kochankę, obiecuje, że nigdy mnie nie opuści.

I nagle...

To nie srebrzysta kreska. To nie dach starego poobijanego pick-upa, który najlepsze lata ma już dawno za sobą. Zamiast niego na ciemnozielonym dnie dostrzegam pojawiające się i znikające czarne wybrzuszenie. Czekam, aż falujące z prądem wodorosty przesuną się w lewo, i znów je widzę, a obok niego kolejne i jeszcze jedno. Spoczywające na dnie jeziora cztery identyczne kształty.

Opony. To są opony. Gdybym nie była tak cholernie zmęczona, parsknęłabym histerycznym śmiechem.

Sonar mówił prawdę. Przekazał ziarnisty obraz leżącego na dnie głębokiego jeziora obiektu, o odpowiednich rozmiarach i kształcie. Nie przyszło mi do głowy, że ten obiekt leży kołami do góry.

Budzę się z letargu i czuję ostatni przyptyw determinacji. Miejscowi twierdzili, że się mylę. Drwili ze mnie i przewracali oczami, kiedy ładowałam sprzęt na łódkę, której nie umiałam nawet prowadzić. Mówili mi w twarz, że jestem szalona, i opowiadali prawdopodobnie jeszcze gorsze rzeczy za moimi plecami. Ale teraz...

Rusz się. Szukaj. Płyń. Zanim jezioro wygra tę bitwę.

Pianka do nurkowania. Butla z tlenem. Te myśli tłuką mi się gdzieś z tyłu głowy. Coś jest nie tak. Nie tak, nie tak, nie tak. Ale jestem zbyt zamroczona, żebym mogła to skorygować.

Płynę dalej w dół, walcząc z wodą, walcząc z brakiem tlenu. Mają rację: jestem szalona. Dzika, uparta, nierozważna.

Ale nie dałam się złamać. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Dopływam do pierwszej opony. Łapię śliską gumę, by zorientować się w położeniu. Teraz szybko, bo zostało mało czasu. Tylna opona. Sunę wzdłuż obrośniętej algami ramy i w końcu docieram do szoferki.

I wtedy otwieram szerzej oczy.

Lani Whitehorse. Dwadzieścia dwa lata. Kelnerka, matka trzyletniej dziewczynki. Kobieta z długą historią pechowych związków z mężczyznami.

Zaginęła osiemnaście miesięcy temu. Uciekła z facetem, doszli do wniosku miejscowi. Niemożliwe, upierała się jej matka.

A teraz została odnaleziona, na dnie jeziora, poniżej ostrego zakrętu, który pokonywała dzień w dzień, wracając do domu po pracy za barem, do drugiej w nocy. Dokładnie tak, jak zakładałam, studiując przez długie miesiące zapisy rozmów, mapy i niebywale cienkie policyjne akta.

Czy Lani źle oceniła zakręt, który mijala tyle razy wcześniej? Czy szarpnęła kierownicą, widząc przebiegającego przez drogę jelenia? A może po prostu zasnęła za kółkiem, zmęczona życiem, które wyssało z niej wszystkie siły?

Nie umiem odpowiedzieć na te pytania.

Ale mogę dać przynajmniej jedno jej matce i córce.

Lani zwisa do góry nogami, nadal przypięta pasem, w szoferce, do której wsiadła przed osiemnastoma miesiącami. Jej twarz zasłaniają unoszące się w wodzie kruczoczarne włosy.

Płuca już mi nie płoną. Ubranie już mi nie ciąży. W skupieniu zaciskam palce na klamce drzwi i ją pociągam.

Drzwi otwierają się z łatwością.

Tyle że... pod wodą nie da się otworzyć drzwi. Pianka do nurkowania. Butla z tlenem. Co jest nie tak, co jest nie w porządku? Mój umysł wszczyną w końcu alarm: grozi ci niebezpieczeństwo! Myśl, kobieto, myśl! Tyle że nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Biorę głęboki wdech. Oddycham jeziorem. Wciągam je w płuca. Staję się z nim jednością. A może ono staje się jednością ze mną.

A Lani Whitehorse obraca głowę.

Spogląda na mnie pustymi oczodołami tkwiącymi w gołej czaszce.

– Za późno – mówi. – Za późno.

I nagle wyciąga w moją stronę kościstą rękę i łapie mnie za nadgarstek.

Wierzgając nogami, próbuję się wyrwać, ale nie trzymam już klamki. Nie mam się czego złapać. Brakuje mi powietrza i jestem teraz wyłącznie wodą w jeziorze i zielonymi wodorostami.

Lani Whitehorse z niewiarygodną siłą wciąga mnie do szoferki.

Ostatni krzyk. Patrzę, jak wydobywa się z moich ust w postaci bańki powietrza i unosi się coraz wyżej i wyżej. Tyle tylko ze mnie zostało.

Lani Whitehorse zatrzaskuje drzwi i zostaję z nią na zawsze w mrocznej toni.

ŁOSKOT. ZGRZYT. I PŁYNĄCY z głośnika komunikat: „Następny przystanek: South Station!”

Pociąg staje na peronie, a ja budzę się nagle, mrugam i zerkam na swoje całkowicie suche ubranie.

To był sen. Koszmar. Nie pierwszy i nie ostatni w mojej robocie. Lekko spocona z przerażenia, łapię walizkę i spóźniona wysiadam z wagonu w ślad za innymi pasażerami.

Odnalazłam Lani Whitehorse trzy tygodnie wcześniej, uwięzioną w pojeździe na dnie jeziora. Stało się to po kilku miesiącach intensywnych poszukiwań w indiańskim rezerwacie, gdzie od początku nie byłam mile widziana przez miejscowych i plemienną policję. Trafiłam na tę sprawę w sieci i zaimponowała mi niewzruszona pewność matki, że Lani nigdy nie porzuciłaby córki. Mogła mieć długą historię pechowych związków z mężczyznami, ale była mamą. Nigdy nie dowiem się, dlaczego według pewnych ludzi takie rzeczy nie mogą iść ze sobą w parze.

Pojechałam więc tam, zatrudniłam się jako barmanka w byłym miejscu pracy Lani i wszczęłam moje własne śledztwo.

Matka Lani wyściskała mnie w dniu, kiedy w strugach szlamu i grozy policja w końcu wyciągnęła z jeziora furgonetkę jej córki. Jednocześnie rozpacziała i cieszyła się, że Lani wróci wreszcie do domu. Zaczekałam tam do pogrzebu i wzięłam w nim udział, stojąc na uboczu, bo udowodnienie, że miało się rację, prawie zawsze oznacza, że ktoś inny się mylił, i dlatego nie przysparza ci przyjaciół.

Zrobiłam, co do mnie należało. A potem poszłam do miejscowej biblioteki, odpaliłam komputer i wróciłam na strony ogólnokrajowych grup dyskusyjnych, na których członkowie rodzin, zatroskani sąsiedzi i fiksaci, tacy jak ja, wymieniają uwagi na temat zaginionych osób. Znika ich tak dużo. Czasami zbyt dużo jak na lokalne możliwości. I tę lukę coraz częściej wypełniają ludzie mojego pokroju.

Poczytałam sobie. Wysłałam kilka pytań. I po paru godzinach wiedziałam już, dokąd udam się teraz.

Tyle osób przepada bez wieści. Zbyt wiele.

Dlatego przyjechałam do Bostonu, miasta, w którym nigdy wcześniej nie byłam. Nie mam pojęcia, gdzie jestem i co robię, ale to nic nowego. Na razie zmierzam wraz z tłumem peronem do wyjścia, z całym moim dobytkiem spakowanym do jednej walizki, którą za sobą ciągnę. Kiedyś miałam dom, samochód i ogródek z białym płotkiem. Ale czasy się zmieniają i obecnie...

Powiedzmy po prostu, że nauczyłam się podróżować bez zbędnego bagażu.

Po wyjściu z dworca przystaję na skąpanym w słońcu chodniku, mrugam, po czym zaciskam mocno powieki. Śródmieście Bostonu atakuje wszystkie zmysły. Hordy ludzi, klaksony, pikające przejścia dla pieszych. Smród diesla, smażonej ryby i słonej wody z portu. Zapomniałam już, jak przytłaczająca jest betonowa dżungla, nawet ta, którą obmywają lśniąca wody zatoki.

Biorę głęboki, mocny wdech. To będzie mój nowy dom do czasu, aż wykonam misję. Powoli wypuszczam powietrze z płuc, otwieram oczy i prostuję ramiona. Oddalam od siebie resztki koszmaru i trudy podróży. Jestem gotowa ruszać dalej, i to dobrze, zważywszy, ilu przeciska się obok mnie zniecierpliwionych przechodniów.

Z mojej sfatygowanej skórzanej torby kurierskiej wydłużam teczkę z materiałami, które wydrukowałam przed kilkoma dniami. Są tu mapka Bostonu, artykuły na temat demografii miasta oraz fotografia uśmiechającej się nieśmiało dziewczyny o gładkiej ciemnej twarzy, wspaniałych brązowych oczach i czarnych włosach, które spływają kaskadą starannie wyszczotkowanych loków. Miała piętnaście lat, kiedy zniknęła. Teraz ma szesnaście.

Poznajcie Angelique Lovelie Badeau. Dla przyjaciół Angel. Dla rodziny LiLi.

Angelique zniknęła przed jedenastoma miesiącami na Mattapanie, dzielnicy Bostonu. Wyszła ze szkoły w listopadowe piątkowe popołudnie i... bum! Nikt już jej więcej nie zobaczył. Żadnych tropów. Żadnych przełomów w sprawie. Przez jedenaście długich miesięcy.

Bostończycy powiedzą ci, że Mattapan to właśnie taka dzielnica. Niebezpieczna. Biedna. Zamieszkują ją oczywiście ciężko pracujący, uczciwi ludzie, a dzięki najliczniejszej w Stanach, poza Florydą, populacji Haitańczyków szczyli się bogatym dziedzictwem kulturowym, ale działa tam również wiele gangów i dochodzi do wielu przestępstw z użyciem przemocy. Jeżeli chcesz, żeby cię zastrzelili albo zadźgali, Murderpan, jak przekręcają tę nazwę miejscowi, jest do tego idealnym miejscem. Tam właśnie zamierzam wynająć mieszkanie, znaleźć pracę i zacząć wypytywać sąsiadów.

I mam nadzieję, że dzięki intuicji, determinacji i odrobinie szczęścia uda mi się znaleźć dziewczynę, o której cały świat najwyraźniej już zapomniał.

Nie jestem policjantką.

Nie jestem prywatnym detektywem.

Nie mam specjalnych umiejętności ani wykszolenia.

Jestem tylko sobą. Przeciętną białą kobietą w średnim wieku, mającą więcej rzeczy, których żałuje, niż tych, które posiada, więcej smutnych aniżeli wesołych historii.

Nazywam się Frankie Elkin i zajmuję się odnajdywaniem zaginionych osób – zwłaszcza tych należących do mniejszości. Kiedy policja daje za wygraną, kiedy ludzie już powoli zapominają, kiedy media tracą zainteresowanie, pojawiając się i zaczynam szukać. Nie dla pieniędzy ani dla sławy – i w większości przypadków bez niczyjej pomocy. Dlaczego robię to, co robię?

Tyle naszych dzieci zaginęło. Tyle nigdy nie zostanie odnalezionych, często wyłącznie ze względu na kolor ich skóry. Może zamiast: „Dlaczego to robię?” pytanie powinno brzmieć: „Dlaczego nie robią tego wszyscy?”

Angelique Lovelie Badeau zasługuje na to, by wrócić do domu.

Kolejny raz zerkam na moją mapę. Powinnam znaleźć linię metra, które zawiezie mnie na Morton Street. Na schemacie komunikacji miejskiej Bostonu oznaczona jest purpurową linią, której oczywiście nigdzie nie widzę. Obracam się dookoła w jednym miejscu. Obracam się w kolejnym. Nagle to sobie uświadamiam: nie powinnam w ogóle wychodzić z South Station. Idę tam z powrotem.

Nie przejmuję się tym, że błędę. Że się gubię. Ani nawet że się boję.

Po tylu latach już do tego przywykłam.

Paul zwracał mi uwagę, że odpychając tych, których kocham, i narażając się na niebezpieczeństwo, robię to nie po to, by ratować innych, ale by ukarać samą siebie.

Paul był zawsze bardzo mądry.

Spostrzegam wielką mapę komunikacji miejskiej Bostonu, wodzę palcem po purpurowej linii i odnajduję mój cel. Ponownie na szlaku, zmierzam prosto do Murderpanu.

Rozdział 2

O CZWARTEJ PO POŁUDNIU DOCIERAM do mojego pierwszego punktu docelowego. *Stoney's*, głosi napis nad wejściem. Namalowane na łuszczącym się czerwonym tle białe litery stanowią bardziej sugestię niż czytelny komunikat. Dwukondygnacyjny budynek nie różni się od innych przysadzistych zapuszczonych domków, stojących jeden obok drugiego po obu stronach ulicy. Chodnik jest tu szerszy, niż myślałam, i o tej porze dnia prawie pusty. Po lekturze niektórych artykułów spodziewałam się ujrzeć w każdej bramie gangsterów i dilerów. W rzeczywistości widzę tu i tam zajęte swymi codziennymi sprawami różne osoby, z których większość mierzy mnie, samotną białą kobietę, zaciekawionym spojrzeniem.

Z uczuciem ulgi otwieram drzwi i wtaczam walizkę do słabo oświetlonego wnętrza. Pracowałam jako barmanka przez większość dorosłego życia. To łatwa do znalezienia praca dla kogoś, kto się nie zakorzenia, i jak okazało się w ciągu ostatnich dziesięciu lat, dobry sposób, żeby zebrać informacje. Poza tym lubię tę robotę. Bary zawsze przyciągają samotników i odludków. Można poczuć się jak w domu.

Rejestruję zapach papierosowego dymu, który wgryzł się w pory starego budynku. Na wprost przed sobą mam okrągłe drewniane stoliki ze zbieraniną różnych krzesel. Po prawej stronie cztery boksy z popękkanymi, ale nadal dzielnie trzymającymi się kanapami obitymi czerwonym winylem. Trzy kolejne boksy po lewej są mniej więcej w takim samym stanie.

Widzę sześciu gości. Wyłącznie czarnych mężczyzn. Siedzących w różnych miejscach niewielkiej sali i wpatrzonych w stojące przed nimi drinki. W tym momencie wszyscy podnoszą głowy, żeby mi się przyjrzeć.

Jeśli lokalsi na ulicy przyglądali mi się z zaciekawieniem, tu spotykam się z jawną podejrzliwością.

W tej okolicy to ja jestem przedstawicielką mniejszości. Ale tak samo było rok, a także dwa i trzy lata wcześniej. Przywykłam do takich spojrzeń, jednak to wcale nie znaczy, że zawsze łatwo je znosić.

Na szczęście popołudniowi pijacy mają ważniejsze rzeczy na głowie. Jeden po drugim wracają do swoich indywidualnych smuteczków, a ja spoglądam na kontuar z ciemnego drewna, za którym samotny czarny męczczyzna wyciera stojące na tacy wysokie szklanki.

Podchodzę do niego.

Szczupły i zadbany, ma siwe włosy i krótko przystrzyżoną szpakowatą bródkę. Z poorly zmarszczkami skórą wokół oczu sprawia wrażenie kogoś, kto niejedno widział i przeżył dość, żeby o tym opowiadać.

– Pan Stoney? – zgaduję.

– Zabłądziła pani?

Facet odstawia jedną wysoką szklankę i bierze następną. Wokół pasa ma zawiązany biały fartuch i z dużą wprawą operuje ściereczką. Zdecydowanie właściciel, a poza tym ktoś, kto od kilkudziesięciu lat prowadzi tego rodzaju lokale.

– Ja w sprawie posady barmanki.

– Nie – odpowiada i łapie kolejną szklankę.

Stawiam walizkę przy barze i siadam na stołku. Jego odpowiedź mnie nie dziwi. Większość moich rozmów zaczyna się w ten sposób.

– Dwadzieścia lat doświadczenia – mówię. – Plus nie robię problemu, kiedy trzeba posprzątać, zaparzyć kawę albo stanąć przy frytkownicy.

Smażenina to naturalny dodatek do gorzały; jesteśmy blisko kuchni i powietrze jest gęste od tłuszczu. Smażone kurczaki, smażone ziemniaki – może nawet smażone banany, biorąc pod uwagę haitańską społeczność.

– Nie – powtarza.

Kiwam głową. Na barze leży druga ściereczka. Chwytam ją, biorę najbliższą szklankę i zaczynam wycierać.

Stoney łypie na mnie okiem, ale nie każe przestać. Żaden właściciel firmy nie wzgardzi darmową siłą roboczą.

Wycieramy oboje w milczeniu. Lubię to robić. Rytmiczne obracanie, posuwisty ruch ściereczki. Na górnych krawędziach szklanek, nawet tych suchych, nadal widać niewyraźną białą linię. Lata piwnej piany i dotyku ludzkich ust. Ale są czyste. Co zachęca mnie do Stoneya i jego lokalu. Poza tym ma na piętrze pokój do wynajęcia, na który prawie mnie stać. Znalazłam ofertę na tablicy ogłoszeń.

– Nie piję – oświadczam.

Wysokie szklanki na pierwszej tacy są już wytarte. Stoney zabiera ją i kładzie na barze tacę ze szklankami do whisky.

– Abstynentka? – pyta.

– Nie.

– Przyjechała pani nas zbawić?

– Zakłada pan, że sama jestem zbawiona.

Słyszac to, odchrząkuje. Wracamy do wycierania szklanek. Z tego, co się dowiedziałam, znaczna część populacji Mattapanu, która wywodzi się z Karaibów, mówi po francusku, kreolsku, dialektem patois i tak dalej. Ale w głosie Stoneya nie słyszę obcego akcentu. Ma twardą wymowę mieszkańca Nowej Anglii. Może mieszkał w Bostonie od urodzenia albo przyjechał tu z Nowego Jorku czy Filadelfii, żeby otworzyć własny lokal. Zakładanie czegoś z góry jest zawsze niebezpieczne, choć nie sposób tego uniknąć.

– Anonimowa alkoholiczka – przyznaję się, kiedy kończymy wycierać szklanki do whisky.

Stoney stawia na kontuarze tacę z kilkadziesiątoma kieliszkami do wódki i oboje wracamy do pracy. Szybkiej, mechanicznej, bezmyślnej. Idealne ćwiczenie medytacyjne.

Stoney nie komentuje. Wyciera szybciej ode mnie, ale nie aż tak bardzo.

– Szklanki do wody? – pytam, kiedy wszystkie kieliszki są wytarte.

Stoney unosi brew. Czyli nie jest to lokal, w którym serwuje się napoje bezalkoholowe. Dobrze wiedzieć.

– Ma pan pokój do wynajęcia – mówię, opierając łokcie na mocno polakierowanym kontuarze.

– Niech pani wraca do domu.

– Nie mam domu. No więc tak to sobie wyobrażam. W zamian za zakwaterowanie będę pracowała cztery dni w tygodniu, od trzeciej do zamknięcia.

Stoney jest facetem, który potrafi zakomunikować wiele rzeczy, unosząc jedną brew.

– Nie podoba się panu, że jestem biała – mówię. – Albo że jestem kobietą. A może jedno i drugie. Myśli pan, że nie dam sobie rady.

– To miejscowy lokal. Odwiedzany przez miejscowych. Pani nie jest miejscowa.

Z udawanym zdziwieniem obracam się.

– To zabawne, ale nie widzę zbyt wielu miejscowych stojących w kolejce po tę robotę. A ogłoszenie wisi od dwóch tygodni. Pokój jest wolny jeszcze dłużej, co musi zastanawiać, zważywszy, jak trudno jest tu coś wynająć. – Przyglądam mu się podejrzliwie – Ktoś tam wykorkował czy coś w tym rodzaju?

Facet kręci głową. Nie mając więcej szkła do wycierania, krzyżuje ręce na piersi i patrzy mi prosto w oczy. Nadal się nie odzywa.

– Nie boję się ciężkiej pracy. – Podnoszę jeden palec. – Mieszkając na górze, nie będę się spóźniać. I nie będę panu podpijała wody. Umiem szybko nalewać, wiem, jak wymienić keg i jestem idealną słuchaczką. Wszyscy lubią kogoś, kto potrafi ich wysłuchać.

– Nie polubią pani.

– Pan też mnie nie polubił, ale to się zmieni. Proszę dać mi miesiąc. Po tym czasie nikt nie zauważy, że jestem biała i piękniejszej płci. Będę kolejnym kranikiem za barem.

Stoney znów unosi brew, ale nie mówi „nie”.

– Dlaczego akurat tutaj? – pyta w końcu. – Jest wiele innych miejsc w Bostonie.

– Mam tu coś do załatwienia.

Ponownie wbija we mnie oczy.

Nie spuszczam wzroku. Podoba mi się ten gość. To ocalenie. Ktoś, z kim czuję łączność – i prędzej czy później on poczuję łączność ze mną.

– Pięć dni w tygodniu – mówi. – Od trzeciej do zamknięcia.

– Zakwaterowanie plus media – odpowiadam. – Jeden darmowy posiłek dziennie. I zatrzymuję napiwki.

Przygląda mi się jeszcze przez chwilę i nagle wyciąga do mnie rękę. Umowa stoi. Zdecydowanie czuję z nim łączność.

– Pokój jest z sublokatorką – informuje mnie.

– Nie było o tym mowy w ogłoszeniu.

– Teraz pani wie.

– Kto to taki?

– Kocica.

– W pokoju jest kot? Dlatego nikt nie chciał go wynająć?

Stoney po raz pierwszy się uśmiecha. To łagodzi jego surowe rysy i marszczy szpakowatą bródkę.

– Jeszcze jej pani nie poznała.

PROWADZI MNIE NA PIĘTRO. Na pierwszy rzut oka małe, jednopokojowe pomieszczenie jest dokładnie tym, czego można się spodziewać w gęsto zaludnionej, borykającej się z kryzysem dzielnicy. Przy ścianie na wprost wejścia stoi podwójne łóżko z samotną szafką nocną po jednej stronie i szczerze zasuniętymi czarnymi zasłonami po drugiej. Przymocowany do ściany metalowy pręt służy jako szafa, a przy frontowych drzwiach jest mały aneks kuchenny z europejskich rozmiarów lodówką i mikrofalówką. Wprawdzie nie ma piekarnika, lecz widzę elektryczny czajnik i ekspres do kawy, co całkiem mnie zadowala. Po drugiej stronie drzwi jest kojarząca się ze szpitalną salą prosta biała zasłona, zawieszona na kolejnym pręcie. Skrywa łazienkę z najmniejszym na świecie prysznicem i mikroskopijną

umywalką. Niewiele przestrzeni i prywatności, ale trudno oczekiwać więcej za taką cenę.

Nie wspominając o tym, że pokój jest nieskazitelnie czysty, a na łóżku leży zaskakująco kolorowa, ręcznie szyta narzuta. Ponownie okazuje się, że Stoney potrafi zaskoczyć.

– Gdzie moja sublokatorka? – Rozglądam się.

– Nie jest towarzyska.

– Ma jakieś imię?

– Piper.

– I to jest jej pokój?

Stoney wzrusza ramionami.

– Pasuje jej.

Nadal nie wiem, co o tym sądzić. Teoretycznie lubię koty. Ale słowa Stoneya każą mi zachować ostrożność. Po skrzypiących starych deskach podłogi wtaczam na środek walizkę, nachylam się, unoszę powoli narzutę i zaglądam pod łóżko.

Dopiero po chwili dostrzegam lśniąca zielone oczy, które obserwują mnie z wyraźną wrogością. Jest zbyt ciemno, by ocenić, jakiego koloru i wielkości jest kotka. Jedyne, co rejestruję, to czysta nienawiść.

– Piper – mówię.

W odpowiedzi kładzie uszy po sobie, gardłowo mruczy, a potem wyraźnie syczy. Pojmuję aluzję i opuszczam narzutę.

– No dobrze.

Stoney wychodzi już na korytarz.

– Chwileczkę. Co z jedzeniem dla kotki, wodą i kuwetą? Co muszę wiedzieć?

– Nic. Piper potrafi sama o siebie zadbać. Nie jest głupia. Tyle że nienawidzi ludzi.

– Jak długo tu mieszka?

Stoney drapie się po głowie.

– Dość długo.

– Wziął ją pan z ulicy?

– Przyszła tu z ulicy. – Stoney pokazuje otwarte drzwi, w których, co teraz zauważam, jest otwór dla małego czworonoga. – Potrafi sama o siebie zadbać – powtarza.

– Nie ustaliliśmy jeszcze, kiedy zacznym.

Nie wiem dlaczego, ale nagle ogarnia mnie lekka panika. Nie chodzi o to, że będę sama z kotką. Więc może o to, że będę sama? Ale przecież jestem sama od zawsze. Tak żyję. Nie ma powodu bać się tego akurat teraz.

– Jutro – odpowiada Stoney. – Aha. Zamek w drzwiach nie jest zbyt solidny. Jeśli ma pani w tej torbie komputer, chowałbym go codziennie przed wyjściem.

– Rozumiem.

– Ciepła woda raz jest, raz jej nie ma. Przeważnie nie ma.

– W porządku.

– Palenie wzbronione.

– Nie palę.

– Żadnej broni palnej.

– Nie mam.

– A w razie kłopotów?

– Liczę na mój urok osobisty.

– Gdyby panią zawiódł, pod barem trzymam kij bejsbolowy.

– Dobrze wiedzieć.

Stoney kiwa głową i najwyraźniej ma zamiar iść już do swoich gości. Zostawiając mnie z dziką kotką.

W ostatniej chwili zaskakuje mnie i jeszcze się odwraca.

– Jak się pani ogarnie, proszę przyjść na dół i coś zjeść – mówi. – Nie mam czasu na obsługiwanie niepłacących gości, ale może pani zrobić sobie kanapkę. Wszystkie składniki są pod ręką.

To do tej pory najdłuższa wypowiedź, jaką mnie zaszczycił. Zastanawiam się, czy zaproponował to samo Piper, kiedy tu trafiła. Może ma słabość do przybłęd. Albo jak większość barmanów potrafi rozpoznać zagubioną duszę, kiedy ją widzi.

Dziękuję mu skinieniem głowy. Stoney wychodzi, a ja wciąż stoję pośrodku mojego nowego domu. Na kilka tygodni? Kilka miesięcy? Nie mam pojęcia. Zaczyna się najtrudniejsza część. I choć przerabiałam to już wcześniej, czuję się przytłoczona.

A to sprawia, że mroczna bestia mojego nałogu budzi się, otwiera oko i widzi doskonałą okazję. Robiąc sobie na dole kanapkę, mogę napić się piwa. A może lepiej wódki, tequili albo whisky bez lodu. Czegoś mocnego i wypróbowanego, co rozluźni mi mięśnie i rozproszy wszelkie obawy.

Myślę o Paulu i czuję znajomy ucisk w piersi. Głęboki wdech, głęboki wydech.

A potem zostawiam walizkę na łasce dzikiej kocicy i ponieważ jest jeszcze jasno, wychodzę na dwór. Ponownie zaglądam do mojej wydrukowanej mapy, gdzie czerwonym X zaznaczyłam dom ciotki Angélique.

Ruszam ulicą i znowu czuję na sobie spojrzenia i chodzące mi po karku mrówki. Mam wyprostowane ramiona i wysoko uniesioną głowę. Uśmiecham się do mijanych ludzi. Powtarzam sobie, że jestem dość silna.

I modłę się, żebym tym razem rzeczywiście była.

Rozdział 3

WIEM O TEJ DZIELNICY tyle, ile wyczytałam przed przyjazdem. Mattapan jest gęsto zaludniony: ponad trzydzieści pięć tysięcy osób stłoczonych w kamienicach z mieszkaniami na wynajem i kwaterunkowymi oraz w charakterystycznych dla tej dzielnicy dwupiętrowych domach. Większość to imigranci z Haiti, co daje bogactwo etnicznej kuchni i egzotycznych salonów fryzjerskich. Poza tym są tu niewielkie skupiska Latynosów oraz Azjatów i jeszcze mniejsze białych.

Na Google Earth widać oprócz zatłoczonych ulic plamy zieleni – Harambee Park, Franklin Park Zoo oraz Boston Nature Center. Nieprzyzwyczajona do miejskiego życia, czułabym się tam pewnie lepiej, ale stać mnie tylko na pokój nad barem, z nienawidzącą mnie kocicą jako sublokatorką. Mieszkanie z widokiem nie wchodzi w grę.

Największe obawy budzi we mnie tutejsza statystyka przestępczości. Tygodniowo sześć napadów z użyciem noża, nie wspominając już o miesięcznej liczbie strzelanin i rocznej zabójstw. W większości są to porachunki gangsterskie, ale drapieżcy to drapieżcy, a ja, będąc kobietą w średnim wieku, szczególnie ich nie odstrasza.

Przemierzając pogmatwaną siatkę ulic, przestrzegam chociaż podstawowych zasad bezpieczeństwa. Przede wszystkim nie noszę przy sobie nic wartościowego. Żadnego smartfona, urządzeń elektronicznych, torebki. Mam najprostszy na świecie telefon na kartę marki Tracfone, co sprawia, że jestem nieco staroświecka, jeśli chodzi o research i orientację w terenie. Z braku torebki noszę prawo jazdy i zwitek banknotów wciśnięte głęboko do przedniej kieszeni. Jeśli ktoś będzie chciał ograbić mnie z całego dobytku, proszę bardzo. Nie można odebrać komuś rzeczy, z których zrezygnował już dawno temu.

W kieszeni trzymam również czerwony gwizdek gwałtu, bo są rzeczy gorsze od napadu rabunkowego. Mam także we włosach „taktyczne spinki” ze stali nierdzewnej. W każdej jest malutka piła do drewna, klucz do nakrętek, linijka oraz mikroskopijny śrubokręt – wszystko za marne trzy dolary dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Nie wiem, czy spinka do włosów może być aż tak skuteczna, i obym nigdy nie musiała tego sprawdzać.

Na koniec mam mój naszyjnik, zwykły złoty krzyżyk, który kupiłam przed laty w lombardzie i noszę pod koszulą. Czasami najprostsze rzeczy są najlepszym zabezpieczeniem.

Następny trik: kiedy tylko to możliwe, dołączam do innych. Drapieżcy atakują tych, którzy odłączyli się od stada, więc staram się nie sprawiać wrażenia zbyt samotnej.

O tej porze dnia łatwo zastosować taką strategię. Jest piąta po południu. Autobusy zatrzymują się na przystankach, wypluwając zmęczonych lokalsów, którzy z radością wracają do domu. Słońce jeszcze nie zaszło, ale wisi nisko nad horyzontem i zrywa się chłodny wiatr, który niesie odór ropy, brudu i ludzkiego potu.

Co jakiś czas w nozdrza wpada mi również woń smażeniny i ostrych przypraw. Znowu burczy mi w brzuchu. Nigdy nie próbowałam haitańskiego jedzenia, ale sądząc po zapachach, powinno mi smakować.

Na razie zasuwam na piechotę. Nie opanowałam jeszcze tajników bostońskiego transportu zbiorowego, a z baru Stoneya mam półtora kilometra do bocznej uliczki, przy której mieszka ciotka Angelique. Wszędzie wokół widzę zapuszczone budynki i znużone twarze. Stopniowo docierają do mnie szczegóły. Grupki nastolatków, którzy łypią pustymi spojrzeniami spod kapturów bluz. Sunące po szerokich ulicach auta, błyskające czerwonymi światłami stop. Z ich otwartych okien dochodzi bezustanny łomot muzyki, od reggae do rapu. Grupka starszych czarnych mężczyzn, którzy – sądząc po ich pokrytych pyłem ubraniach – pracują na pobliskim placu budowy, a teraz śmieją się i poklepują po plecach, zadowoleni, że dzień pracy się skończył.

Przede mną zatrzymuje się z piskiem opon kolejny miejski autobus. Tym razem wysiada z niego grupka czarnych kobiet w różowych szpitalnych fartuchach i kolorowych chustkach na głowach. Personel miejscowej służby zdrowia. Doganiam ostatnią z nich i dostosowuję do niej krok. Kobieta zauważa, że zwolniłam, i kiwa głową na znak, że mnie widzi. Nie stanowią dla niej żadnego zagrożenia i najwyraźniej rozumie moją strategię. Jesteśmy bezpieczniejsze w grupie.

Często się nad tym zastanawiam, zmieniając miejsca zamieszkania, bo zawsze jestem kimś obcym, nigdy sąsiadką. Tak naprawdę ludzie są wszędzie tacy sami. Pragną się w kimś zakochać. Cieszą się, że przeżyli kolejny dzień. Modlą się, żeby ich dzieci miały lepsze życie od nich. To nas łączy. Tak przynajmniej chcę myśleć.

Słońce zachodzi, ale ulica się rozjaśnia: więcej reflektorów samochodowych, ulicznych latarni, podświetlonych witryn sklepowych. Moja towarzyszka skręca w prawo, kiwając mi na pożegnanie głową. Odwzajemniam jej gest i ruszam dalej sama.

Przy następnej przecznicy muszę wyjąć moją mapkę. Nie znoszę tego robić na widoku, bo to oznacza, że się zgubiłam, i od razu czuję obserwujące mnie z tyłu oczy.

Nie kłamałam, mówiąc Stoneyowi, że muszę liczyć na swój urok osobisty. Który, co ciekawe, może się przydać, kiedy mam do czynienia z ludźmi powyżej dwudziestego piątego roku życia, ale zupełnie nie działa na młodszych.

Nie dorastałam w dużym mieście. Jako młoda dziewczyna nie wyobrażałam sobie, że będę zajmowała się czymś takim. Pochodzę z małego miasta w północnej Kalifornii. Mój ojciec był pijakiem. Zdałam sobie sprawę z jego nałogu dopiero jako dorosła, walcząc ze swoim. W dzieciństwie tato kojarzył mi się z głupimi przygodami, krzywymi uśmiechami i odorem piwa.

To matka była tą, która trzymała wszystko garści. Pracowała na dwóch etatach, jako sekretarka w kancelarii prawnej i księgowa w rodzinnych biznesach. Nie pamiętam, żeby się uśmiechała, bawiła ze mną czy choćby przystanęła, by mnie uściskać. Wstawała wcześniej i pracowała do późna,

a po powrocie do domu przeważnie zgrzytała zębami z powodu naczyń, których ojciec nie pozmywał, brudnych ubrań, których nie wyprał, i posiłków, których nie ugotował.

Myślę, że ojciec pokochał matkę za jej energię, a ona ojca za zmysł zabawy. Aż w końcu przestali się kochać.

Spędzałam dużo czasu na dworze. Biegałam po lesie, po polach i wzdłuż krętych strumieni. Kiedy byłam mała, nie mieliśmy Amber Alertu* i ostrzeżeń przed obcymi. Nawet siedmioletnie dzieci mogły wychodzić z domu i zasuwać po kilka kilometrów na swoich rowerkach. Miałam dziewięcioletnie koleżanki, które z kluczem na szyi wracały do pustego domu. Nie baliśmy się. Po prostu żyliśmy.

Nie sądzę, by którekolwiek z nas zdawało sobie sprawę, że to był magiczny czas, którego dzieciaki w przyszłości nigdy nie doświadczą. Na pewno nie wiedzieliśmy, jakie czyhają na nas niebezpieczeństwa. Do momentu, kiedy zaginęła jedna z moich koleżanek z liceum. A później kolejna dziewczynka z naszego miasta. I wkrótce potem cztery następne.

Policja złapała zabójcę, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat. Przeniosłam się już wtedy do L.A., nie mając praktycznie żadnych planów, poza tym, żeby uciec z małego miasteczka i ostro zabalować. Okazało się, że jestem cholernie dobra, jeśli idzie o balowanie. I dość ładna, żeby inni kupowali mi drinki, jedzenie, a czasami nawet nowe sukienki.

Chciałabym móc stwierdzić, że to były czasy, kiedy żyłam pełną piersią, ale prawdę mówiąc, niezbyt dobrze je pamiętam. To było jedno pasmo narkotyków, wody i seksu, a fakt, że przeżyłam...

Paul. To on mnie uratował. Przynajmniej dopóki nie stałam się na tyle silna, by sama się uratować.

Dom z ogródkiem, biały płótek, uroki przedmieścia.

Zabawne, że rzeczy, o których człowiek, dorastając, w ogóle nie marzył, stają się nagle przedmiotem pożądania.

Co jeszcze zabawniejsze, kiedy je w końcu zdobywa, okazuje się, że miał wcześniej rację.

Ale ja kochałam Paula. Nadal go kocham. Nawet teraz.

Docieram do mojej przecznicy, która odchodzi od głównej drogi pod kątem ostrym. Siatka ulic zdecydowanie nie jest tutaj regularna. Ulice zbiegają się, a potem eksplodują w zwariowanych gwieździstych albo szprychowych systemach. To nie jest jedno z tych miejsc, w których szybko i łatwo uczyć się przemieszczać. Wydaje mi się, że za kilka tygodni będę tak samo zdezorientowana i zagubiona jak teraz. Może dzielnica Bostonu po prostu nie da się ogarnąć. Albo wiesz, gdzie jesteś, albo nie wiesz. Ja zdecydowanie nie wiem.

Zamiast przysadzistych komercyjnych budynków z cegły widzę teraz dwupiętrowe domy, stojące jeden obok drugiego niczym gderliwi tetrycy. Przy każdym dostrzegam ogrodzenia z siatki, brudne podwórka i zapadające się schodki. Niektóre domy mają ściany pokryte nowym jasnoniebieskim albo żółtym sidingiem. Inne sprawiają wrażenie, że może je przewrócić jeden silniejszy podmuch wiatru. Czynniki na Mattapanie nie bez powodu należą do najniższych w mieście.

Piąty w rządzie budynek ma wykuszowe okna i solidniejszą z wyglądu werandę. To tutaj. Dwa razy sprawdzam numer domu, żeby się upewnić, a potem zauważam światło w oknie na drugim piętrze. Według danych z kwaterunku to mieszkanie należy do ciotki Angeli Badeau.

To jest moment prawdy. Moment, w którym kończą się dobre chęci, a zaczyna pełne zaangażowanie. Nie wiem, co mnie teraz czeka. Nieśmiała akceptacja czy twarda odmowa. Upust łzawej rozpacz czy podejrzliwe spojrzenie. Doznałam już wszystkiego, ale za każdym razem wykańcza mnie to psychicznie.

Od tej chwili moja praca będzie polegała na tym, żeby słuchać, akceptować i dostosowywać się.

I mam nadzieję, naprawdę mam nadzieję, że mnie zbyt nie znienawidzą.

Babcia Lani Whitehorse w końcu mnie uściskała, ale członkowie rady plemienia odwrócili się do mnie plecami.

Powtarzam sobie, że jestem dobra w tym, co robię.

Przyrzekam sobie, że to, co odkryję, będzie miało znaczenie.

Myślę z niepokojem, że jak każdy uzależniony, świetnie potrafię się okłamywać.

Wchodzę po schodkach na werandę.

NA ŚCIANIE PRZY DRZWIACH widzę sześć dzwonek, co oznacza, że w tym domu wydzielono nie trzy, ale sześć mieszkań, po dwa na parterze i dwóch piętrach. Pod dzwonekami jest rząd pomalowanych na czarno, szczelnie zamkniętych skrzynek pocztowych. Prosty, ale skuteczny system dla lokatorów. Licząc na łut szczęścia, próbuję otworzyć drzwi, lecz są oczywiście zamknięte. W związku z tym naciskam kilka pierwszych dzwonek, gotowa przedstawić się jako kurier. Niestety, nikt się nie odzywa.

Pozostaje mi wziąć byka za rogi. Wciskam dzwonek pod numerem 2B. Po dłuższej chwili odzywa się młody męski głos.

– Tak?

– Szukam Guerline Violette.

– Ona panią zna?

– Ja w sprawie Angelique.

Pauza. Angelique ma młodszego brata, Emmanuela, także nastolatka. Po niechętnym, prawie nadąsanym, tonie domyślam się, że to on. Brzmi jak ktoś, kto miał do czynienia z wieloma ekspertami i wieloma życzliwymi osobami i do wszystkich się rozczarował.

– Jest pani reporterką? – pyta.

– Nie.

– Gliną?

– Nie.

– Ciotka jest zajęta.

– Chcę tylko pomóc.

– Słyszeliśmy to już wcześniej.

Czuję niemal, jak chłopak przewraca oczami. Zdecydowanie nastolatek.

– Pracuję za darmo i mam duże doświadczenie.

– To znaczy?

– Jeśli zdołam porozmawiać z Guerline, chętnie wyjaśnię jej to osobiście.

Kolejna pauza. W końcu w domofonie odzywa się kobieta.

– Kim pani jest i dlaczego nas pani nachodzi?

W jej głosie słycać melodię morza i piasku. Jej siostrzenica i siostrzeniec przyjechali do Bostonu przed dziesięciu laty, razem z dziesiątkami tysięcy innych Haitańczyków, po tym, jak trzęsienie ziemi zrównało z ziemią Port-au-Prince. Emmanuel dorastał w Bostonie – i to słycać. Jego ciotka zachowała akcent rodzimej wyspy.

– Nazywam się Frankie Elkin. Specjalizuję się w poszukiwaniu osób zaginionych. Śledziłam losy pani siostrzenicy i jestem przekonana, że mogę pomóc.

– Jest pani reporterką, tak?

– Nie, proszę pani. Nie pracuję dla żadnych agencji prasowych ani środków masowego przekazu. Interesuje mnie tylko odnalezienie Angelique i sprowadzenie jej do domu.

– Dlaczego?

Zadaje to pytanie zrezygowanym, nie agresywnym tonem. Uderza mnie, ile znużenia można zawrzeć w jednym słowie.

Żałuję, że nie mogę udzielić jej odpowiedzi. Prostej w rodzaju: „Dlatego”; znaczącej w stylu: „Każde dziecko zasługuje, by je odnaleźć”; albo zadziornej: „Dlaczego nie?”. Guerline pewnie wszystko to już słycała. Całą gamę słów i powodów. Zamiast tego, czego pragnie najbardziej: konkretów.

Milczenie się przedłuża. Powinnam przedstawić jakieś argumenty, ale do głowy nie przychodzi mi nic przekonującego. Słyszę hałas z wnętrza budynku. Schody skrzypią pod stopami kogoś lekkiego, kto zbiega na dół. Innego lokatora albo...

Zgrzyta odciągana zasuwa, frontowe drzwi się uchylają i stają twarzą w twarz z kilkunastoletnim Haitańczykiem. Wysoki, chudy, o krótko przyciętych ciemnych włosach i brązowych oczach, identycznych jak jego

siostry. Przez szparę w drzwiach przygląda mi się, z miną, która jest tak samo nieufna jak wcześniej jego głos, po czym odwraca się i puszcza drzwi. Muszę złapać je, wejść i wspiąć się za nim po przedpotopowych drewnianych schodach na drugie piętro.

GUERLINE VIOLETTE STOI POŚRODKU ciasnego pokoju, z rękami skrzyżowanymi na potężnym torsie. Oceniam jej wiek na jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat, ale gładka cera i klasyczne rysy nie ułatwiają mi zadania. Ma na sobie fioletowy fartuch z pomarańczową lamówką i jasnozielone crocsy. Ze związanymi w ciasny kok włosami, wyrazistymi kośćmi policzkowymi i wysokim czołem sprawia imponujące wrażenie. Przyglądając się bliżej, widzę pod jej oczami ciemne smugi po nieprzespanych nocach i koszmarnych dniach. Patrzy na mnie z mieszaniną podejrzliwości i obawy. Trudno mi ją winić.

Emmanuel zamyka za mną drzwi i niepewnie staje przy ciotce. W wieku trzynastu lat jest tak samo wysoki jak ja i szczupły jak ktoś, kto ostatnio sporo urósł. W przeciwieństwie do kolorowego ubioru ciotki ma na sobie standardowy uniform nastolatka – sportowe buty, dżinsy i mocno sprany podkoszulek. Młody, schludny i zdeterminowany. Mężczyzna w rodzinie, nawet jeśli go to przeraża. Właśnie tego rodzaju sytuacje łamią mi serce.

Poniewczasie wyciągam dłoń na powitanie. Guerline ścisną ją, bardziej z uprzejmości, niż aby mnie serdecznie powitać. W dwupokojowym mieszkanku musiały się wcześniej pomieścić trzy osoby i to widać. Guerline wskazuje zagracone pomieszczenie, które służy najwyraźniej jako salon, sypialnia i jadalnia. Brak przestrzeni nadrabiany jest feerią barw. Żółte ściany, obity czerwonym aksamitem fotel, sofa, na której piętrzą się jaskrawe wzorzyste kołdry, i turkusowe kuchenne szafki po prawej stronie.

Wybieram stojący naprzeciwko okna czerwony fotel. Na półce ściennej obok są fotografie świętych oraz ikony i wisi na niej różaniec. Pod nią jest sekretarzyk i dalej długa szafka z telewizorem, a między nimi masa roślin doniczkowych, które dodają klimatu. Wśród liści zauważam kilka białych

świeczek, ustawionych dyskretnie w kręgu, miseczkę wody i bukiet świeżo ściętych kwiatów. Za świeczkami stoi oprawione w ramkę zdjęcie Angeliqye z nieśmiałym uśmiechem, to samo, które widniało na ulotkach rozdawanych po jej zaginięciu.

Guerline spostrzega, że przyglądam się prowizorycznemu ołtarzykowi, a ja szybko odwracam wzrok. Z tego, co czytałam, wielu Haitańczyków praktykuje mieszankę katolicyzmu i voodoo, ale mało wiem na ten temat.

Moją uwagę przyciągają inne pamiątki, których wszędzie tu pełno. Mały słoiček z piaskiem – czyżby pochodzącym z ojczyzny Guerline? Potem zauważam szkolną fotografię Emmanuela błyskającego idealnie białymi zębami. Obok jest wyblakłe mniejsze zdjęcie dorosłej kobiety na tle czegoś, co trudno rozpoznać. Ma znajomy uśmiech. Gdybym miała zgadywać – to matka Emmanuela i Angeliqye, nadal mieszkająca na Haiti. Jest też zdjęcie siwowłosej pary na tle palm. Rodziców Guerline i jej siostry, zrobione być może przed ich domem, zanim zniszczyło go trzęsienie ziemi.

– Powiedziała pani, że może pomóc? – odzywa się Guerline, podchodząc do sofy i opierając dłoń na koldrach.

Emmanuel staje tuż obok niej. Najwyraźniej stara się chronić ciotkę. Zastanawiam się, czy chronił również starszą siostrę, czy też dopiero jej zniknięcie uświadomiło mu, że musi strzec swoich bliskich.

– Nazywam się Frankie Elkin – powtarzam, zwracając się do nich obojga. – Jeżdżę po kraju i zajmuję się sprawami podobnymi do tej, która dotyczy pani siostrzenicy.

– Jest pani prywatnym detektywem? – pyta Guerline ze swoim śpiewnym francuskim akcentem.

– Nie mam licencji. Jestem kimś w rodzaju ochotniczki. – Nigdy nie wiem, jak to dokładnie wyjaśnić. – Jest właściwie całkiem sporo podobnych do mnie osób, amatorów, którzy starają się pomóc przy dochodzeniach w sprawie zaginionych osób. Poczynając od treserów psów tropiących, przez pilotów, kończąc na ludziach biorących bezpośredni udział w akcji. Są specjalne organizacje i listy zaginionych osób, dzięki

którym śledzimy historie podobne do tego, co przytrafiło się pani siostrzenicy.

Guerline marszczy czoło.

– Moja Angelique... jest na jakiejś liście?

– W internecie, *matant* – mruczy przy jej ramieniu Emmanuel. – Mówi, że dowiedziała się o wszystkim z internetu.

– Z policyjnych raportów wynika – ciągnę – że Angelique wyszła ze szkoły w piątek, piątego listopada. Kwadrans po trzeciej. I nikt jej już później nie widział.

– Policja szukała i szukała – mówi Guerline, w zamyśleniu przebierając palcami. – Ricardo, nasz dzielnicowy, obiecał, że sprowadzi moją Angelique do domu. Ale od wielu miesięcy nie ma żadnych nowych wiadomości.

– Znaleźli jej plecak.

– Tak. Pod krzakiem, na terenie szkoły.

– W plecaku policja znalazła jej komórkę, podręczniki i ubranie, w którym była tamtego dnia w szkole. Tak?

Guerline kiwa głową. Zerkam na Emmanuela, zastanawiając się, czy wie, że jego siostra zapakowała do plecaka zapasowe ubranie i że musiała coś planować w tamto piątkowe popołudnie. Ale twarz chłopaka pozostaje nieprzenikniona.

– Żadnych śladów przemocy? – pytam, bo nie wszystkie szczegóły upubliczniono.

– Nie... niczego nie odkryli. Nawet w jej telefonie. Ricardo mówił, że mogą odczytać esemesy i sprawdzić spis połączeń, ale nie było tam niczego, co wskazywałoby, dokąd się wybiera i co zamierza zrobić. Jej koleżanki przysięgają, że nic nie wiedzą. Angel poszła do szkoły. Potem miała wrócić do domu i zacząć szykować obiad. Tyle że...

Guerline wydaje się tak samo zagubiona, jak zapewne była przed jedenastoma miesiącami. Drżą jej dłonie. Składa je razem, jakby w rozpaczy odmawiała modlitwę.

– Angelique miała bliskie przyjaciółki? – pytam.

– Kyrę i Marjolie. Też porządne dziewczyny. – W jej głosie słyszę ślad wahania, co mnie intryguje.

– Miała chłopaka?

– Angel trzymała się na uboczu. Żadnych chłopaków, imprez, tego rodzaju historii. To dobra dziewczyna. Troskliwa siostra, kochająca siostrzenica.

– Przepraszam, pani Violette, ale czy Angelique nie miała z kimś jakichś zatargów? Z kimś ze swojej klasy, z nauczycielem, trenerem?

Guerline kręci głową. Emmanuel wbija wzrok w podłogę z wystudiowaną obojętnością.

To oznacza kolejne pytania, które powinnam zadać później.

– Przeżywała jakieś dramaty? – próbuję po raz ostatni. – Wie pani, jak to jest z młodymi dziewczynami. Dzisiaj najlepsza przyjaciółka, jutro najgorszy wróg.

– To nie w stylu mojej Angelique. Miała głowę na karku. Chciała iść na studia. Myślała o przyszłości. Rozumie pani.

Guerline patrzy mi prosto w oczy i dociera do mnie, o co jej chodzi. Angelique nie chciała wracać na Haiti. Chciała studiować i dostać wizę studencką, by móc pozostać w kraju, w którym jest tyle możliwości.

– Jestem dyplomowaną pomocą pielęgniarzką – mówi cicho Guerline. – To dobra praca. Ale Angel pewnego dnia będzie doktorem. Może nawet chirurgiem. Jest taka bystra. Dlatego siostra przysłała mi swoje dzieciaki, choć kraje jej się serce, bo dorastają daleko od niej. Musi być jakaś nadzieja. Nasze piękne Haiti... Trzęsienie ziemi zniszczyło zbyt wiele, a odbudowa trwa powoli...

Emmanuel ściska ramię ciotki.

– Czy policja trafiła na jakiś trop? Podejrzewała jakieś osoby? – pytam.

Guerline znów kręci głową.

– Jakies hipotezy? Odeszła z własnej woli czy pod przymusem?

– Nigdy nie odeszłaby z własnej woli – informuje mnie kategorycznym tonem Guerline, po czym krzyżuje ręce na fioletowym fartuchu i mierzy

mnie wyzywającym spojrzeniem, jakie miałam już okazję poznać w wykonaniu jej siostrzeńca.

Nie drażę tematu. Nie ma sensu podważać tego, w co wierzy rodzina, tego, jak widzi całą sytuację. Muszą sobie z tym radzić każdego dnia, co oznacza, że prawda jest marnym sprzymierzeńcem.

– Jak może pani pomóc? – pyta nagle Emmanuel, podnosząc wojowniczo podbródek. – Co może pani zrobić, czego nie zrobiła policja?

– Policja na pewno wykonała świetną robotę – mówię pojednawczo, choć wcale nie jestem tego taka pewna. – Ale trzeba pamiętać, że nawet najlepsi policyjni detektywi mają dziesiątki spraw, które wymagają ich uwagi. Zwłaszcza teraz, kiedy minęło tyle czasu. Podczas gdy ktoś taki jak ja będzie skupiał się wyłącznie na twojej siostrze. Przyjechałam tu, żeby ją znaleźć, i nie wyjadę, dopóki tego nie zrobię.

– Mieszka pani tutaj, w tej dzielnicy?

– Wynajęłam pokój nad barem Stoneya.

Na twarzy chłopaka odmalowuje się zaskoczenie. Sekundę później krzywi się z niesmakiem.

– Jest pani szalona.

Guerline trzepie go lekko po ramieniu.

– Nie obrażaj naszego gościa.

– Ale weź. Popatrz na nią, *matant*. Nie jest policjantką, nie jest miejscowa, nie jest...

Nie jest jedną z nas, kończę za niego w myśli.

– Nikt nie będzie chciał z nią gadać – kontynuuje nieubłaganie chłopak. – Wkurzy tylko ludzi. Jak ma pomóc w odnalezieniu mojej siostry?! – Pod koniec podnosi ostro głos, a jego złość świadczy o tym, w jakiej jest rozpaczy.

Widzę, że jego ciotka to rozumie, a ona widzi, że ja to rozumiem. Przez krótką chwilę to nas łączy. Dwie starsze, mądrzejsze kobiety, którym przykro patrzeć na ból, jaki świat sprawia naszym dzieciom.

– Cieszę się, że zadowolają cię, jak twierdzisz, działania policji – mówię do Emmanuela. – Ale prawda jest taka, że śledztwo trwa prawie od roku.

Policja nie ma nowych tropów, bo gdyby je znalazła, wiedzielibyście o tym. Więc nawet jeśli mnie nie lubisz albo nie rozumiesz... co masz do stracenia? – Patrzę prosto w jego wąpiące, nieprzyjazne oczy. – Ty chcesz odzyskać siostrę. Ja chcę pomóc. Dlaczego nie skorzystać z moich usług?

Emmanuel nie znajduje na to odpowiedzi, lecz sądząc po wyrazie jego twarzy, nadal nie jest przekonany. Za to jego ciotka kiwa powoli głową. Nie powiedziałabym, że mi wierzy, ale jest praktyczną kobietą. Mając za sobą dzieciństwo, gdy wszystkiego jej brakowało, i dorosłość, gdy niczego nie była pewna, akceptuje chyba moją logikę.

Jej podkrążone oczy świadczą o tym, że po jedenastu miesiącach jest skrajnie zdesperowana. Nie mówi o tym Emmanuelowi; oboje udają, że jakoś sobie radzą. I nagle pojawia się ja, naruszam ich kruchy ekosystem i oferuję nadzieję. Emmanuel nie jest na to gotów, lecz jego ciotka nie zamierza z niej rezygnować.

Uzyskanie zgody nie zawsze bywa takie łatwe. Ludzie wyrzucali mnie już z domów. Giskali we mnie butelkami po piwie, obrzucali najgorszymi wyzwiskami. Niektórzy łatwiej sobie radzą, wyrażając złość. I wiele rodzin ma tajemnice, których nie chce ujawniać.

Nie sądzę, by Guerline była kimś takim. Co do Emmanuela... założę się, że wie więcej, niż mówi. Ale założę się również, że milcząc, chce chronić siostrę. Muszę go przekonać, że jest dokładnie odwrotnie.

Wstaję. Nie chcę zbyt mocno maglować Guerline i zrazić do siebie Emmanuela. Tym bardziej że moim zdaniem szczerze chcą poznać prawdę.

– Ten dzielnicowy, Ricardo – zwracam się do Guerline. – Może pani podać mi jego dane i zawiadomić go, że spróbuję się z nim skontaktować? Albo jeśli pani woli, podać mu moje dane?

Guerline kiwa głową, a ja daję jej mój numer telefonu.

– Może pani zadzwonić do szkoły Angélique i powiedzieć, że nie ma pani nic przeciwko temu, żebym porozmawiała z dyrektorem i szkolnym pedagogiem?

Kolejne kiwnięcie głową.

- Mieszkam nad barem Stoneya – powtarzam, widząc, że są już zmęczeni. – I pracuję tam kilka dni w tygodniu. Jeśli będziecie chcieli się ze mną skontaktować, możecie tam przyjść. Przyjechałam tu nie tylko dla Angelique. Również i dla was.

Emmanuel wygłasza pod nosem jakiś zgryźliwy komentarz, lecz Guerline tym razem mocniej ściska moją dłoń. Nie zna mnie i w ogóle się mnie nie spodziewała, ale jest kobietą, która nie ma nic do stracenia.

Tak zaczyna się większość spraw. Od bańki desperackiej nadziei i odrobiny zaufania. Jak potoczy się dalej ta historia i jak będą mnie za kilka tygodni widzieli Guerline i Emmanuel?

Chłopak odprowadza mnie na dół. W ogóle się nie odzywa, licząc, że odczytam dezaprobatę z jego wyprostowanych sztywno ramion.

- Kochasz Angelique – mówię cicho, kiedy stajemy na dole. – Jest dobrą starszą siostrą. Zawsze się o ciebie troszczyła.

Spogląda na mnie spode łba, ale widzę, że ma łzy w oczach. Ból, którego tak bardzo nie chce okazywać.

- Naprawdę robiła pani to już przedtem? – pyta ochryplym głosem.

- Wiele razy.

- Ile osób udało się pani znaleźć?

- Czternaście.

Zaciska wargi, najwyraźniej zaskoczony tą liczbą.

- Dobranoc, Emmanuelu. I jeśli przyjdzie ci do głowy coś, o czym powinnam wiedzieć... – Wyciągam do niego dłoń, a on tym razem ją ściska.

Wychodzę na dwór. Jest rześki jesienny wieczór, słońce już zaszło. W oddali migoczą jasne światła, ale przy tej ulicy nie pali się żadna latarnia. Przemieszczanie się tędy po zmroku nie jest najlepszym pomysłem dla samotnej kobiety, ale nie bardzo mam wybór.

Prostuję plecy i ruszam rażnym krokiem do baru Stoneya, ciesząc się, że Emmanuelowi nie przyszło na myśl zadać kolejnego pytania.

Nie ile osób udało mi się odnaleźć, lecz ile odnalazłam żywych.

Żadnej.

Przynajmniej na razie.

* Americas Missing: Broadcast Emergency Response – system szybkiej informacji o zaginionych dzieciach.

Rozdział 4

IDĄC ULICĄ, SPOSTRZEGAM NIEWYRAŻNE sylwetki siedzących na werandach ludzi. Dłonie mam wciśnięte w kieszenie oliwkowozielonej kurtki. Byłoby mi cieplej, gdybym ją zapięła, ale nie chcę, by cokolwiek krępowało mi ruchy. Zwłaszcza kiedy jedna z siedzących osób zeskakuje z werandy, wychodzi przez furtkę i rusza w ślad za mną.

Nie zatrzymuję się ani nie oglądam. Docieram do następnej przecznicy i przystaję na czerwonym świetle. Kroki za mną są coraz głośniejsze.

Odsuwam się na bok, robiąc wolne miejsce. Obok mnie staje czarny mężczyzna. Może mieć od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Wysoki i barczysty, w zbyt obszernej bluzie New England Patriots z kapturem, w której wydaje się jeszcze wyższy i bardziej barczysty.

Zerka na mnie. Ja patrzę prosto przed siebie.

Światło zmienia się na zielone. Facet rusza przez jezdnię. Każdy jego krok jest dwa razy dłuższy od mojego.

Idąc za nim, oddycham z ulgą, ale nagle zdaję sobie sprawę, że wciąż słyszę za sobą czyjeś kroki. Kogoś, kto – jak podpowiada mi paranoja – szedł za mną przez cały czas. Po przejściu przez jezdnię widzę, że następna przecznica jest tak samo słabo oświetlona i złowieszcza jak poprzednia.

Czy mam się odwrócić i stawić czoło temu, kto za mną idzie? A może skrócić w stronę któregoś z domów i udać, że tam właśnie zmierzam?

Powinnam podjąć jakąś decyzję, coś zrobić, nim ten ktoś pokona dzielący nas dystans.

Obracam się w ostatniej chwili, gotowa spojrzeć w twarz zagrożeniu.

Idąca za mną czarna dziewczyna staje jak wryta. Ma na sobie obcisłe dżinsy, dopasowaną bawełnianą koszulkę i czarną skórzaną kurtkę. Do tego wielkie srebrne kolczyki i botki na wysokich obcasach.

– Odbiło pani? – pyta, unosząc prześliczne brwi. – Tutaj nie chodzi się samej po zmroku. Hej, Jazz, zaczekaj chwilę.

Mija mnie, dogania barczystego chłopaka, wsuwa rękę pod jego łokieć i niespiesznie się oddalają.

Powtarzam sobie, że nic mi nie grozi.

Pół biegnąc, pół idąc, docieram przez labirynt uliczek do baru Stoneya.

JESTEM ALKOHOLICZKĄ WYCHODZĄCĄ z nałogu. Próbowałam to zrobić kilka razy, ale teraz nie piję od dziewięciu lat, siedmiu miesięcy i osiemnastu dni. Mimo to nadal uwielbiam wchodzić do lokalu i wdychać zapach porządnego, prawdziwego pubu. Czuję się, jakbym wracała do domu.

Wielu moich znajomych z AA radzi sobie z nałogiem, unikając wódy i wszelkich sytuacji związanych z alkoholem. Na początku też tak robiłam. To znaczy próbowałam. Godzinami krążyłam wokół miejscowego wodopoju, rozpaczliwie pragnąc tam wejść i wstrzymując się przed tym. Tak poznałam Paula. Wyczuł mnie, wyczuł, co się ze mną dzieje. I przez jakiś czas wierzył we mnie – kiedy sama nie byłam gotowa w siebie uwierzyć.

Zaliczyłam dziewięćdziesiąt spotkań w dziewięćdziesiąt dni. Dali mi sponsora. Dali nowego sponsora. Uznałam, że to nie jest program dla mnie. Bałam się, że trzeźwość nie jest dla mnie. I przede wszystkim zrozumiałam, że bycie mną nie jest dla mnie. Nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Nigdy nie wiedziałam.

Po dwóch falstartach i dwunastu latach w AA wiem z pierwszej ręki, że nie ma jednej drogi do trzeźwości. Ale prosta prawda AA – przyznanie, że jest się bezradnym wobec alkoholu, i zbudowanie w sobie determinacji dzięki sile wyższej – pozostaje najlepszym punktem wyjścia, jaki znam. Chodzę na spotkania. Czytam Wielką Księgę. Odnajduję spokój w towarzystwie ludzi, którzy prowadzą uczciwe, pokrecone, trudne życie, nie sięgając po drinka, i mimo to jakoś sobie radzą. Potrafią się nawet bawić.

Musiałam wrócić do kelnerowania. Biorąc pod uwagę mój koczowniczy tryb życia, praca w barze jest najłatwiejsza i stosunkowo najlepiej płatna. Poza tym fizyczna bliskość gorzały nie jest tym, co mi zagraża. Najgorsze są noce takie jak ta, kiedy czuję się przytłoczona, zagubiona i troszeczkę smutna.

Stoney podnosi wzrok, gdy wchodzę do środka. To samo robi kilka innych osób. Późna pora przyciągnęła sporo gości. Zajęta jest większość stolików i stołków przy barze. Samotnicy, pary, grupki znajomych. Ci, którzy dobrze się bawią, i ci, którzy zalewają robaka.

Nie spoufalam się i nie oceniam. Pośród ludzi, ale osobno. Zawsze łatwo mi to przychodziło. Jak wielu pijakom. Większość życia spędziłam sama w zatłoczonych miejscach. Picie było jednym ze sposobów, żeby lepiej to znosić.

Ruszam do kuchni, by skorzystać z oferty Stoneya i coś zjeść. Od śniadania nie miałam nic w ustach i teraz, po wszystkich tych dramatycznych wydarzeniach, konam z głodu. Widzę niską, korpulentną czarną kobietę w białym fartuchu, która stoi przy grillu, z metalowym skrobakiem w jednej ręce i drewnianą łyżką w drugiej.

– Ty jesteś tą nową kelnerką? – pyta, podnosząc wzrok.

– Zaczynam od jutra.

– Boże, ale z ciebie chudzina. Głodna?

– Zawsze. Ale mogę sobie sama coś przygotować. Jesteś zajęta.

– Bez obaw, złotko. Burger czy kurczak? Skoro grilluję cztery, piąty nie zrobi mi różnicy.

– Jestem Frankie. I jeśli mam wybór, wolałabym burgera.

– Viv. Poznałaś swoją sublokatorkę?

– Przelotnie. Łypnęła na mnie, jakbym była diablicą. A może ja tak na nią łypnęłam.

Viv parska śmiechem, który wstrząsa całym jej mającym metr pięćdziesiąt wzrostu ciałem.

– Mnie lubi – oświadcza.

– Serio?

– Siekane wątróbki drobiowe. Działa za każdym razem.

W okamgnieniu przewraca cztery burgery i rzuca na grill piątego. Darzę respektem każdego, kto potrafi tak szybko kucharzyć.

– Całe życie w kuchni? – pytam.

– Tak jest, proszę pani.

– Ja też. Całe życie za barem.

– Stoney mówi, że nie pijesz.

– Praktykuję dwanaście kroków.

– Yhym. Mój mąż też się w to bawi. Potrzebna ci lista spotkań w najbliższej okolicy?

– Byłabym wdzięczna. – Wydrukowałam sobie trochę informacji przed przyjazdem, ale w tej dziedzinie nauczyłam się zawsze przyjmować czyjąś pomoc. – Co dajecie do burgerów?

Viv wskazuje głową roboczy blat ze stali nierdzewnej, na którym widzę plasterki sera, słoik pikli i torbę bułek, a przy pojemniku ze sztucznymi stos białych talerzy z melaminy. Mała, ale dobrze urządzona kuchnia. Viv przechodzi od grilla do frytkownicy i wsadza do niej kosz frytek.

Myję ręce, po czym nakładam na talerze bułki, krojone pikle i plasterki sera. Dodaję piąty talerz dla siebie. Czując zapach smażonych burgerów i skwierczących frytek, słyszę, jak burczy mi w brzuchu.

– W lodówce są pomidory i sałata. A także mój specjalny sos – informuje mnie scenicznym szeptem Viv. – Trzymam trochę dla Stoneya. I jego przyjaciół.

– Już cię lubię.

Nuąc wesoło, Viv nakłada cztery gotowe burgery na talerze, obraca piątego i wyjmuje frytki z frytkownicy. Jest cholernie dobra w tym, co robi.

Podczas gdy ona kończy smażyć dla mnie burgera, ja niosę na salę cztery talerze. Stoney nie mruga nawet okiem, kiedy stoję z nimi przy końcu baru. Ktoś mógłby pomyśleć, że pracujemy razem od lat. Jednocześnie uwielbiam to uczucie i się go boję. Nie jestem outsiderką

bez powodu. Wielu AA mówi o potrzebie zastąpienia jednego nałogu innym. Rzuciłam picie i zastąpiłam je byciem w ciągłym ruchu.

Toczący się kamień nie porasta mchem. Paul stale mi to powtarzał. Później zarzucał mi, że go nie słucham. Ale ja wszystko słyszałam. Zawsze wszystko słyszałam.

Viv zaczyna smażyć w głębokim tłuszczu mrożone skrzydełka kurczaka. Pracując, nuci pod nosem; na jej czole lśnią kropelki potu. Ma posuwiste, niespieszne ruchy. Pojawia się Stoney z dwoma kolejnymi zamówieniami. Zerka na mojego wciąż niegotowego burgera, po czym wręcza mi karteczki z zamówieniami i znika.

Odczytuję Viv zamówienia, biorę burgera w dwie ręce i zaczynam jeść.

– Stołek jest w rogu – nuci Viv.

I rzeczywiście, za lodówką stoi stary drewniany stołek. Przysuwam go do blatu i siadam.

– Słyszałam, że zaginęła u was dziewczyna – zagajam, bo Viv, jak się zdaje, nie ma nic przeciwko temu, żeby pogadać przy pracy.

– Angeliq̄ue Badeau – potwierdza.

Słyszę skwierczenie, kiedy rzuca na grill dwa kolejne krążki mielonego mięsa.

– Co się stało?

Chrobot metalowego skrobaka.

– Dziewczyna wyszła któregoś dnia ze szkoły i bum, wszelki słuch o niej zaginął.

– Narkotyki, gangi? – rzucam.

Viv obraca się i posyła mi długie spojrzenie.

– Bo była czarna? – pyta.

– Białe dzieciaki też mają gangi – zapewniam ją. – Jeśli o to chodzi, mają je najróżniejsze grupy, w tym także ludzie z klasy średniej. Na przykład biali faceci w średnim wieku, którzy zakładają nagle gangi motocyklowe. Można nawet powiedzieć, że gangi są czymś, co nas łączy.

– Jesteś, kurczę, jakąś socjolożką? – Viv przygląda mi się podejrzliwie. – Albo gorzej: białą dobrodziejką, która chce nas ocalić przed nami

samymi?

– Nie ośmieliłabym się twierdzić, że ktoś, kto tak fachowo posługuje się drewnianą łyżką, potrzebuje ocalenia.

Viv kiwa głową, przewraca dwa burgery i wyciąga z frytkownicy kosz ze skrzydełkami.

– Policja nadal szuka tej dziewczyny? – pytam i odgryzam kolejny kęs.

– Tak twierdzą. Od miesiący nie ma nowych wiadomości.

– Co mówią w okolicy?

Wzruszenie ramion.

– Była podobno dobrą uczennicą, inteligentną, nie kimś, kto idzie do gangu. Nie są to jednak czasy dla imigrantów, zwłaszcza dla Haitańczyków na dziesięciolecie.

– Na dziesięciolecie?

– Mówię o tych, którzy przyjechali po trzęsieniu ziemi. W tej dzielnicy zawsze mieszkało dużo imigrantów z Haiti. Więc po trzęsieniu ziemi wiele osób przyjechało do rodzin, które mogły im pomóc. Dostali specjalne wizy dla ocalałych z klęski żywiołowej. Ale były tylko na dziesięć lat i teraz ich ważność się kończy. Wielu z nich, zwłaszcza dzieciaki, ma tutaj całe życie. Pracę, znajomych, swoją społeczność. I oczywiście nie chcą wracać. No ale oglądasz przecież wiadomości. To nie są dobre czasy dla imigrantów. Masowe deportacje zniszczyłyby miejscową służbę zdrowia, lecz to wcale nie znaczy, że do nich nie dojdzie. Jest kilku adwokatów, którzy składają pozwy w imieniu imigrantów, dzięki czemu wizę przedłuża się do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd. Ale potem... – Viv wzrusza ramionami. – Wiele miejscowych rodzin nie wie, co je czeka w przyszłości. Taki stan zawieszenia nie jest dobry dla nikogo.

– Czyli ta piętnastolatka uciekła, żeby uniknąć deportacji?

– Przebrała się. – Viv mówi teraz trochę ciszej. – Przynajmniej tak słyszałam. I zostawiła komórkę. Wygląda na to, że dziewczyna miała jakiś plan. Bóg wie, że za żadne skarby nie wyrwę komórki z rąk moich wnuków.

Kiwam głową i przeżuвам burgera. Te szczegóły też nie dają mi spokoju. Wskazują na działanie z premedytacją. Pozostaje pytanie: czy Angélique zrobiła to z własnej woli? To znaczy, czy sama schowała pod krzakiem plecak, czy też ktoś ściągnął go jej z pleców i zostawił tam, by uniknąć namierzenia? Jeżeli policja ma taśmy przedstawiające to zdarzenie, nic o tym nie mówi. Wydaje mi się jednak, że oni też nie znają odpowiedzi. Gdyby istniały solidne dowody, że doszło do porwania, sprawę przekazano by natychmiast do Amber Alertu. Fakt, że policja zaangażowała się w pełni dopiero po kilku dniach, świadczy, że na początku mieli pewne wątpliwości. Może Angélique uciekała już wcześniej z domu. Nie chciałam pytać o to rodziny przy naszym pierwszym spotkaniu. Ale przy drugim...

– Czyli miejscowi są zdania, że Angélique dała nogę, żeby uniknąć deportacji?

– Dziewczyna spędziła tu prawie całe swoje życie. Myślisz, że chciałaby wracać na Haiti?

– Nadal mieszka tam jej matka – mówię. – Tak przynajmniej czytałam – dodaję szybko.

Viv wskazuje mi oczami leżącą na stosie białych talerzy metalową łopatkę. Odkładam moją niedojedzoną kolację, myję szybko ręce i zabieram się do pracy. Viv wyciąga frytki z frytkownicy.

– Ta zaginiona dziewczyna ma tutaj ciotkę i brata. Skoro chciała zostać w Stanach, dlaczego ich porzuciła? – pytam, kładąc bułki na talerze. – Teraz jest sama.

Viv kładzie na bułkach burgery, a ja szybko dorzucam dodatki. Domyśliłam się już, że podawany jest tylko jeden rodzaj burgerów. Stoney się nie rozdrabnia.

Viv pokazuje, żebym przyszykowała dwa kolejne talerze, rozkłada na nich skrzydełka kurczaka, dodaje frytki, po czym łapie stojącą obok sztuców plastikową butelkę i wyciska z niej czerwony sos do dwóch małych miseczek. Sos pachnie trochę jak barbecue, ale jest mniej gęsty i bardziej pikantny.

– To twój tajny sos? – pytam.

– Sos do skrzydełek jest Stoneya. Mój jest do burgerów.

– Dacie mi wymyślić mój własny?

– Musisz na to zasłużyć. Poza tym co taka chudzina może wiedzieć o sosach?

– Niewiele. – Zwłaszcza że od prawie dziesięciu lat nie mam własnych garnków i patelni, nie mówiąc o domu.

Kładę trzy talerze na lewym przedramieniu, biorę czwarty w prawą dłoń i idę na salę. Nalewający właśnie piwo beczkowe Stoney kiwa głową i wskazuje mi nową karteczkę – zamówienie na skrzydełka. Zanoszę ją do kuchni. Viv stoi już z powrotem przy grillu.

– Taka ładna dziewczyna – mówi, wracając do tematu Angelique. – Moim zdaniem poszło o chłopaka. Zakochała się. Nie chciała go opuścić. Dlatego uciekli.

– Nie szukaliby wtedy dwojga zaginionych dzieciaków?

– Zakładając, że to był dzieciak. Pamiętaj: dziewczyna była ładna.

Viv zwraca moją uwagę na ważną kwestię. Rodzina upiera się, że Angelique nie miała chłopaka, ale jak się przekonałam, rodzina często dowiaduje się o takich rzeczach ostatnia. Gdzie najlepiej poszukać informacji na temat nastoletniej dziewczyny? U jej przyjaciółek.

Jestem pewna, że policja też je przesłuchała, ale w tej dziedzinie mam pewną przewagę: wiele osób niechętnie rozmawia z glinami. A ja jestem po prostu przypadkową panią zadającą pytania. Trochę dziwną, lecz niegroźną. Moim pierwszym jutrzejszym zadaniem będzie namierzenie przyjaciółek Angelique. Ale najpierw muszę się przespać.

Kończę kolację i zmywam swój talerz. Kuchnia jest za mała na przemysłową zmywarę, ale silny strumień wody płynący z baterii do głębokiego zlewu ze stali nierdzewnej jest dość gorący, by odkazić dosłownie wszystko.

– Pomóc ci jeszcze w czymś? – pytam, wycierając ręce.

– Jutro się narobisz.

– W takim razie do zobaczenia – mówię, ale nie ruszam się z miejsca. Pora iść na górę, do mojego nowego pokoju i nowej sublokatorki. –

Wątróbki drobiowe? – upewniam się.

Viv się śmieje.

– Bez obaw. W nocy jej nie ma.

– Prowadzi życie towarzyskie?

– Ma robotę. Zwalcza gryzonie. Po co w innym razie Stoney by ją tu trzymał?

– Myślałam, że ma słabość do przybłęd.

– Ha, ha. Nie bez powodu nazywa się Stoney*.

Przez chwilę jeszcze tam stoję. Lubię towarzystwo Viv i lubię tę kuchnię. Jest w niej ciepło i przytulnie. Spokojnie.

Choć spokój nigdy mnie nie pociągał.

Uśmiecham się do Viv, po czym wychodzę z kuchni i zdecydowanym krokiem ruszam na górę. Nie ma jak w domu. Czuję, jak nękające mnie obawy pomagają podnieść łeb alkoholowej bestii. Nie dzisiaj, mówię jej. Dziś jestem wystarczająco silna. Jutro pójdę na spotkanie AA.

Otwieram kluczem drzwi do mojego nowego pokoju i zamykam je za sobą. Zerkam pod łóżko. Ani śladu kocicy. Przez chwilę rozpakowuję swoje nieliczne rzeczy, umieszczam na umywalce pastę i szczoteczkę do zębów. Rytuał, który odprawiałam tyle razy, jednocześnie dodaje mi otuchy i mnie nuży.

Nowe miasto, nowa robota, nowa sprawa.

„Dlaczego to robisz? – pyta Paul. – Dlaczego ja ci nie wystarczam?”

Stoję tam, nie potrafiąc mu odpowiedzieć.

„Bo jesteś uzależniona – odpowiada z goryczą sam sobie. – Właśnie dlatego. Zawsze będzie coś, czego bardziej potrzebujesz, jakiś odjazd, za którym gonisz. Jezu, Frankie, ja cię kocham”.

Nadal nie potrafię mu odpowiedzieć.

Paul odwraca się. I odchodzi.

Nie idę za nim.

Teraz wkładam bokserki i sprany T-shirt, w jakich zwykle śpię. Gaszę światło i wślizguję się pod kołdrę, która jest nieprzyjemna i drapiąca.

Bestia znów się porusza.

- Cicho - szepczę. Żeby opanować gonitwę myśli i niebezpieczne pragnienie. - Ćśśś...

Po chwili zamykam oczy i zmuszam się, by zasnąć.

Jakiś czas później budzę się ze łzami na policzkach.

Jeszcze później odzyskuję świadomość i rejestruję coś, co mruczy na moich piersiach, i wpatrujące się we mnie zielone źrenice.

- Ćśśś - szepczę znowu i osuwam się z powrotem w chaos niespokojnych snów.

* Stone (ang.) - kamień.

Rozdział 5

NAZAJUTRZ RANO, KIEDY SIĘ budzę, kocicy nie ma już na łóżku. Ziewam, przeciągam się i zerkam na zegarek. Dziewiąta. Późno, ale nie dla kogoś, kto pracuje do trzeciej w nocy. Nie wstając, sięgam ręką do ciężkich czarnych zasłon, odsuwam je i wyglądam przez okno. Światło jest tak jasne, że odruchowo się odwracam. Najwyraźniej zapowiada się piękny jesienny dzień. Powinno mi to poprawić humor, jednak czuję się lekko skacowana – efekt złych snów i kilkakrotnego budzenia się w nocy. Nie po raz pierwszy i nie ostatni.

Zwieszam nogi z łóżka. Nagle spod materaca wyłania się biała łapa i przejeżdża pazurami po mojej bosej pięcie. Krzycząc z bólu i podskakując na jednej nodze, docieram do kuchennego blatu i puszczam soczystą wiązanekę.

Teraz przynajmniej wiem, gdzie jest moja sublokatorka.

Podchodzę do skraju łóżka, unoszę ostrożnie brzeg narzuty i zaglądam niżej. Zielone oczy mierzą mnie złowrogim spojrzeniem. Piper siedzi pod materacem i szykuje się do skoku.

– Serio? – pytam ją. Kocica ziewa, obnażając ostre białe zęby, a potem zaczyna się niewinnie lizać. – Więc tak to będzie wyglądało?

Poprzedniego dnia nie mogłam stwierdzić, jakiego jest koloru. Teraz widzę, że jest szara w złociste cętki, z białymi łapami i piersią. Niezbyt duża, ale na pewno niebezpieczna. Pora zacząć sypiać w skarpetkach, mówię sobie w myślach, po czym kuśtykam do kuchennego zlewu, odkręcam kran, moczę ręcznik i wycieram krwawiącą piętę. Zadrapania nie są głębokie. Bardziej strzał ostrzegawczy niż prawdziwy atak.

– Tak łatwo mnie nie wystraszysz – informuję bestię pod łóżkiem.

Idę pod przedpotopowy prysznic. Dziesięć minut później, drżąc lekko po umyciu się w letniej wodzie, ściągam włosy w koński ogon, po obu

stronach wsuwam w nie moje fikuśne wielozadaniowe spinki i smaruję się kremem nawilżającym. Twarz, która spogląda na mnie z lustra, nie jest młoda, świeża ani ładna. Mam wąskie kości policzkowe, zwyczajne brązowe oczy i piegowaty nos. Dwadzieścia lat wcześniej moja cera była może gładka i lśniąca, ale lata chlania odcisnęły na niej piętno. Nawet po nałożeniu kremu zmarszczki wokół oczu i ust oraz na czole są wyraźne.

Widać po mnie zmęczenie, myślę. Takie, jakiego nie zmieni żadna ilość odpoczynku. Dotykając podbródka, czuję kłujące włoski, których nie było dziesięć lat temu, a także obwisłą, miękką skórę pod linią szczęki. Nie bardzo wiem, czego szukam. Śladów dziewczyny, którą kiedyś byłam, czy dowodów na to, że jestem, kim jestem.

Chciałabym czasami zobaczyć siebie taką, jaką widział mnie Paul przed wielu laty.

Pod koniec pragnął chyba tego samego.

Odwracam się od lustra i wychodzę z osłoniętej kotarą łazienki.

Po tych wszystkich spędzonych w drodze latach mam stałe elementy garderoby. Dwie pary znoszonych dżinsów, jedną parę bojówek i jedną parę czarnych spodni do jogi. Do tego trzy T-shirty i trzy bluzki z długimi rękawami. Moja oliwkowa płócienna kurtka nie waży zbyt wiele – nie ma zimowej podszewki, ale powinna mi wystarczyć na następny miesiąc. Jeśli będzie trzeba, kupię sobie szalik i rękawiczki. Co do obuwia, mam parę sportowych butów i parę brązowych topornych, wysokich. Poza tym siedem kompletów bielizny, zdecydowanie spłowiałej, i siedem par skarpetek, jedna bardziej wytarta od drugiej. Powinnam zostać tu na tyle długo, by zarobić na odświeżenie garderoby. Ale to zależy głównie od Angeliqe Badeau.

Na razie zaczynam rozumieć, dlaczego relacje w mediach na temat jej zaginięcia były skąpe i dość mętne. Sprawa nie jest jasna. Angeliqe była dobrą dziewczyną. Mogła uciec z domu. Mogli ukraść jej plecak. Ale mogła też porzucić go po tym, jak się przebrała.

Kim była ta dziewczyna? Co się z nią stało w jednej z najgęściej zaludnionych dzielnic Bostonu?

I jak to możliwe, że przez niemal rok nie natrafiono na żaden jej ślad?

Zawiązuję sznurowadła sportowych butów, po czym napełniam miskę wodą i stawiam ją pośrodku pokoju. Stoney mówił, że kocica niczego nie potrzebuje, ale nie chce mi się w to wierzyć.

Zabieram klucz, chowam do wewnętrznych kieszeni kurtki telefon, dowód tożsamości oraz niewielką ilość gotówki i wyruszam na poszukiwanie śniadania.

NAJBLIŻEJ POŁOŻONĄ KAFEJKĄ okazuje się różowo-pomarańczowy Dunkin' Donuts. Nie odwiedzałam tej sieciówki od wieków, ale pamiętam, że kawa była tam znakomita, a pączki całkiem niezłe. Zamawiam dużą kawę z cukrem i śmietanką, siadam przy oknie z widokiem na Morton Street i zaczynam planować dzień.

Chociaż poprosiłam Guerline Violette o przekazanie moich danych kontaktowych przyjaznemu gliniarzowi z sąsiedztwa, niejakiemu Ricardowi, nie chce mi się czekać na jego telefon. Dzwonię sama do komisariatu B-3 bostońskiej policji i proszę, by połączono mnie z funkcjonariuszem łącznikowym Ricardem. Po drugiej stronie linii zapada cisza.

– Ma pani na myśli funkcjonariusza O'Shaughnessy'ego?

– Ricardo O'Shaughnessy? – Teraz to ja jestem zdezorientowana.

Telefonistka parska śmiechem.

– Zgadza się – mówi. – Chodzi pani o funkcjonariusza łącznikowego społeczności haitańskiej? Mamy kilku funkcjonariuszy łącznikowych. Społeczności Portorykańczyków, Salwadorczyków, LGBTQ?

Na chwilę autentycznie odbiera mi mowę. W większości prowincjonalnych miasteczek, które odwiedziłam, na posterunku policji zatrudnionych było dwóch, trzech funkcjonariuszy, którzy zajmowali się wszystkim i jakoś sobie radzili. Nikomu nie przyszło do głowy, by mieć specjalistów od każdej grupy społecznej. Uświadamiam sobie, że to dla mnie zupełnie nowy świat.

Potwierdzam, że chodzi mi o Ricarda O'Shaughnessy'ego, i podaję swoje nazwisko i numer telefonu.

- Dzwonię za zgodą Guerline Violette, by zapytać o sprawę zaginięcia Angelique – oświadczam po chwili wahania, kiedy telefonistka pyta, dlaczego chcę z nim rozmawiać.

Mówię to tak po prostu. Jakbym świetnie wiedziała, o co chodzi, może nawet była starą przyjaciółką rodziny.

Telefonistka zapisuje to, bez komentarza. Odkładam telefon na lekki blat stołu i popijając kawę, sporządzam listę pytań, na które chciałabym uzyskać odpowiedź. Podkreślam trzy razy słowo *komórka* – wczoraj wieczorem zauważyłam sklepy dwóch operatorów i zastanawiam się, jaki nastolatek pozbywa się starego telefonu, nie próbując załatwić sobie nowego – i w tym samym momencie dzwoni mój tracfone.

Odbieram natychmiast i słyszę po drugiej stronie funkcjonariusza O'Shaughnessy'ego, który nie jest chyba w najlepszym humorze.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Frankie Elkin...

- O co pani chodzi? Spodziewa się pani coś zarobić? Bo jeśli tak, to źle pani trafiła.

- Gdybyśmy mogli się spotkać osobiście...

- To nie ma sensu. Ta rodzina dosyć już przeszła.

- Jestem tu, żeby pomóc.

Głośnie parsknięcie.

- Niech pani posłucha...

- Proszę się ze mną spotkać. – Teraz to ja mu przerywam. – Wystarczy pięć minut. Spisze pan sobie numer mojego prawa jazdy, inne dane, wszystko, czego pan potrzebuje, żeby mnie sprawdzić. Jestem pewna, że Guerline zadzwoniła do pana dziś rano i oświadczyła, że zgadza się, abym z panem porozmawiała. Ze względu na nią niech pan przynajmniej pozwoli mi się krótko przedstawić. A potem zadać jedno pytanie. To wszystko. Jedno pytanie, potem dam panu spokój.

Kolejne parsknięcie, po którym zapada cisza. Jeżeli funkcjonariuszowi O'Shaughnessy'emu naprawdę zależy na tej rodzinie i na tym śledztwie,

powinien czuć się zobowiązany mnie przesłuchać. Jego podejrzenia to dla mnie najlepszy punkt wyjścia.

W końcu słyszę ciężkie westchnienie.

– Wie pani, gdzie jest Le Foyer?

– Jasne.

– Spotkajmy się tam za godzinę.

– Oczywiście.

O'Shaughnessy rozłącza się, a ja dopijam kawę, łapię swoje notatki i podchodzę do sześciu pracowników, które stoją za ladą, z otwartą ciekawością przypatrując się białej kobiecie.

– Wiecie, gdzie jest Le Foyer? – pytam z nadzieją w głosie.

Cztery z sześciu podnoszą dłonie. Pokazuję im moją mapkę. Kierowniczką, kobieta o imponującym wyglądem, z identyfikatorem, na którym widnieje imię Charadee, pisze coś na niej i oddaje mi ją z powrotem.

Chwilę później znów jestem na szlaku.

PRZEKONUJĘ SIĘ SZYBKO, ŻE Boston nie jest miastem z porządnymi, przecinającymi się pod kątem prostym ulicami. Strzałki na mojej mapie prowadzą często na ukos, stąd dotąd. Co chwila zatrzymuję się i sprawdzam, czy dobrze idę.

Spacer tymi ulicami w ciągu dnia różni się znacznie od tego, czego doświadczyłam w nocy. Po pierwsze, nie widzę dokoła żywej duszy. Po drugie, przy niektórych z tych uliczek stoją rzędy eleganckich willi, wyglądających, jakby przeniesiono je żywcem z lat pięćdziesiątych. O wielu zaparkowanych na ich podjazdach autach mogłabym tylko pomarzyć. Mijam pomalowany na niebiesko dom, którego biały gzyms zdobią wyryte serduszka, a potem werandę z misternie rzeźbioną, pomalowaną na czerwono i złoto drewnianą balustradą. Poza tym jest tu więcej zieleni, niż się spodziewałam, od zadbanych prywatnych ogródków po miejskie skwery i parki.

Idąc tymi uliczkami, nie czuję żadnych obaw. Zaczynam podejrzewać, że ta przyjemna okolica jest jednym z najlepiej strzeżonych sekretów Bostonu. Może miejscowi nie chcą tu widzieć obcych z całkiem innych powodów. Na pewno nie dzieliłabym się z nikim wiedzą o tego rodzaju niezbyt drogiej, uroczej enklawie.

Dochodząc do skrzyżowania z Blue Hill Avenue, mijam po lewej stronie wysokie ogrodzenie z siatki. Spodziewam się ujrzeć za nim warsztat samochodowy, gdy nagle w nozdrza wpada mi cudowny zapach. Mimowolnie się zatrzymuję i wdycham go ponownie. Ciasto, cukier, przyprawy. Słyszając, jak burczy mi w brzuchu, zdaję sobie sprawę, że cofnięty od ulicy budynek jest właśnie tym miejscem, do którego zmierzam. Piekarnia Le Foyer. Jeśli jej wyroby smakują choć w połowie tak dobrze, jak pachną, nic więcej mi nie trzeba.

Nie wiem, jak wygląda funkcjonariusz O'Shaughnessy. Domyślam się, że poznam go po mundurze. Co do mnie, jestem jedyną białą osobą w całej okolicy, więc rozpoznanie mnie będzie równie łatwe.

W środku piekarni zapach jest jeszcze bardziej upojny. W kilku gablotach leżą duże ciastka podobne do krakersów, obsypane chyba cukrem pudrem. Są również tace z domowej roboty słodyczami podobnymi do baklawy. Nie widzę żadnych nazw, cen ani menu. Powinnam najwyraźniej wiedzieć, na co patrzę i czego chcę.

Dwie osoby przede mną składają zamówienia, w języku francuskim albo kreolskim, jak zgaduję. Trzecia rozmawia przez telefon, również po kreolsku.

Drzwi za mną otwierają się i do środka wchodzi umundurowany policjant po trzydziestce. Zakładam, że to funkcjonariusz O'Shaughnessy. Kiwa mi głową i szeroko się uśmiecha, nie do mnie jednak, co odkrywam poniewczasie, lecz do stojącej za ladą młodej ślicznotki. Ona, cała w skowronkach, odwzajemnia mu się tym samym.

Chyba już rozumiem, dlaczego spotykamy się w tej piekarni.

– Frankie Elkin?

O'Shaughnessy podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką, pozdrawiając jednocześnie skinieniem głowy dwóch innych klientów, nie wiem, czy

z uprzejmości, czy dlatego, że ich zna.

– Cudownie tu pachnie – mówię, ściskając mu dłoń.

– Jadła pani kiedyś haitańskie krokiety z mięsem?

– Nie.

– W takim razie zapraszam. Z wołowiną, kurczakiem, śledziem?

– Hm... z kurczakiem.

O'Shaughnessy podchodzi do lady i zaczyna czarować swoją znajomą. Gawędzą ze sobą po francusku albo w jakimś dialekcie, którego nie znam. Dziewczyna bierze brązową papierową torbę i wkłada do niej złociste kwadratowe krokiety ze stojącego na ladzie podgrzewacza. Nadal nie widzę żadnego menu ani cen, ale najwyraźniej tylko ja zaprzętaam sobie głowę takimi drobiazgami.

Dziewczyna inkasuje pieniądze, a O'Shaughnessy odbiera od niej torbę, na której widać już pierwsze ciemne plamy tłuszczu. Ostatni olśniewający uśmiech dla ślicznotki, która czerwieni się i znów go odwzajemnia, po czym policjant, trzymając w ręce drogocenną torbę, odwraca się do mnie. Nie widzę, gdzie moglibyśmy usiąść w środku, więc wychodzę razem z nim na zewnątrz. O'Shaughnessy siada na betonowym schodku i wyciąga do mnie torbę. Sięgam do niej nieśmiało i wyjmuję krokietę. Smakuje bosko.

O'Shaughnessy wpatruje się we mnie bez słowa, gdy odgryzam pierwszy, a potem szybko drugi kęs.

– Najlepsze żarcie w mieście – informuje mnie.

Z entuzjazmem kiwam głową. Krokiet jest lekki i puszysty, nadzienie z kurczaka jednocześnie słodkie i pikantne. Może będę musiała zjeść ich więcej, by udało mi się zidentyfikować wszystkie smaki. Bez trudu dam sobie radę.

O'Shaughnessy rozsiada się wygodniej. Kupił cztery. Wyjmuje jednego dla siebie.

– W weekendy ludzie przyjeżdżają po te krokiety z całego Bostonu – mówi. – Kupują po kilkadziesiąt. Ja wpadam tu trzy, cztery razy

w tygodniu. Niech pani nie mówi tylko nic mojej mamie. Z synowskiego obowiązku muszę przysiąc, że jej są najlepsze.

Kiwam ponownie głową na znak, że go nie zdradzę. Przez chwilę jemy w milczeniu.

Funkcjonariusz Ricardo O'Shaughnessy wygląda tak, jak brzmią jego imię i nazwisko: trochę tego, trochę owego. Ma cerę jaśniejszą od Guerline, faliste włosy i mocne rysy twarzy. Z całą pewnością jest przystojny. Dziewczyna z piekarni musi być w niego zapatrzona.

– Ricardo O'Shaughnessy? – pytam w końcu.

– Haitańska mama, irlandzki ojciec. Witaj w Bostonie.

– Ojciec był gliniarzem?

– Tak, a matka pielęgniarką. Ale żeby trochę urozmaicić obraz, mam siostrę, która wstąpiła do policji, i jednego z braci w szkole pielęgniarskiej.

– Rozumiem. Jest pan łącznikiem policji z haitańską społecznością?

– Dorastałem w tej dzielnicy. Znam ją od dzieciństwa. Wciąż mieszka tu wielu krewnych mojej mamy. Mam dobre relacje z tą społecznością. I wielu karaibskich mieszkańców Mattapanu, zarówno ci zasiedziali, jak i nowo przybyli, lepiej się czuje, kiedy widzi naprzeciwko siebie znajomą twarz.

– Mówi pan po francusku?

– Po kreolsku. I nieźle tańczę – dodaje z kamienną miną.

Zjada do końca drugiego krokietu i bardzo starannie wyciera tłuszcz z palców.

Robi na mnie wrażenie solidnego, choć wciąż trochę nieopierzonego gliniarza. Więcej pozytywnego nastawienia niż doświadczenia. Mam ochotę poklepać go po dłoni i zapewnić, że bez względu na to, co odkryję w sprawie zniknięcia Angelique, to nie jest jego wina.

– Ma pani jakiś dokument ze zdjęciem? – odzywa się ostro, najwyraźniej gotów przejść do rzeczy.

Wyciągam z przedniej kieszeni kurtki prawo jazdy i mu podaję.

– Kalifornia? – mówi, sprawdzwszy adres. – Zawędrowała pani daleko od domu.

Wzruszam ramionami, kończę jedno z najlepszych śniadań w życiu i sięgam po serwetkę.

O'Shaughnessy kładzie moje prawo jazdy na schodku i fotografuje je komórka. Jego palce śmigają przez chwilę po ekranie. Domyślam się, że przesyła zdjęcie do kumpla, żeby mnie prześwietlił. Na jego miejscu zrobiłabym to samo. Po chwili chowa telefon do kieszeni kurtki i oddaje mi prawo jazdy.

– Po co tu pani przyjechała? – pyta.

– Mam tu robotę. Tani pokój. I... eee... kotkę. – Wzdycham ciężko. Nie da się w łatwy sposób przeprowadzić tej rozmowy. Ja jestem cywilem, on gliniarzem. A większość gliniarzy jest przekonana, że żaden cywil nie powinien wykonywać policyjnej roboty. – Dostanie pan o mnie raport mówiący, że nie zrobiłam nic złego – oznajmiam, próbując swojej najlepszej zagrywki. – Płacę podatki. Wszystko, co posiadam, mieści się w torbie podróżnej. I niemal od dziesięciu lat nie muszę troszczyć się o dom, samochód i kartę kredytową. Jestem, kim jestem, i robię to, co robię. Przez parę następnych miesięcy będzie to polegało na kelnerowaniu pięć dni w tygodniu u Stoneya, u którego wynajmuję pokój, oraz na szukaniu Angelique.

– Zna ją pani?

– Nigdy jej nie spotkałam. Tak samo jak nigdy nie spotkałam Lani Whitehorse, ciężko pracującej matki z plemienia Nawaho, ani Gwynne Margaret Andal, najstarszej z trójki rodzeństwa dumnej Filipinki, ani Peggy Struzeski Griffith, lekko stukniętej, kochającej książki blondynki. Nie znałam ich, ale je znalazłam. Niech pan sprawdzi te nazwiska. Zobacz pan, o co chodzi.

Ricardo marszczy czoło.

– Sprawdzę – ostrzega mnie.

Rozkładałam ręce, pokazując, że nie mam nic do ukrycia. A potem opieram się o metalową balustradę, żeby lepiej zobaczyć jego twarz i żeby on mógł zobaczyć moją.

– Pan i pańscy koledzy mnie nie polubią – mówię. – Rozumiem to. Ale jak każdy obywatel mam prawo zadawać pytania. Tym, czego się dowiem,

będę dzieliła się z odpowiednimi władzami. Nie mam tu żadnej jurysdykcji. Nie mogę przeszukiwać domów, przesłuchiwać ludzi, którzy nie chcą ze mną gadać, ani nikogo aresztować. Chcę po prostu poznać prawdę i zakończyć tę sprawę, dla dobra rodziny. Na każdym etapie będę współpracowała z policją.

– Wie pani, ile tu mamy morderstw? – pyta Ricardo.

– Dużo. I szokująco dużo napadów z nożem w rękę.

– Wie pani dlaczego?

– To teren, na którym działa wiele gangów.

– Właśnie. Są zorganizowani według przecznic. Przecznica D. Przecznica H. Ta, tamta ulica. Mówimy o gangach czarnych, gangach Haitańczyków, gangach Portorykańczyków. Do diabła, mamy nawet przecznicę, gdzie rządzą Chińczycy. Wie pani, co ich wszystkich łączy?

– Nie lubią gliniarzy? – zgaduję.

– Nie lubią obcych. – Ponownie mierzy mnie wzrokiem. – Pani jest tutaj kimś obcym.

– Tylko ja odpowiadam za swoje bezpieczeństwo.

– Do chwili, gdy wpadnie pani w kłopoty i szlachetni funkcjonariusze będą narażali życie, żeby panią ratować.

– Złożyli przysięgę, że będą służyć i chronić. Nie chodziło chyba o chronienie wyłącznie tych, którzy dokonali inteligentnych życiowych wyborów.

– Proszę zostawić tę rodzinę w spokoju. Dostyc już przeszli.

– Myślę, że to oni sami powinni zdecydować.

– Niech pani przestanie udawać. Chce pani wyłącznie pomóc? Jak długo będzie to trwało? Dopóki nie trafi pani na jakiś trop albo nie znajdzie świadka, który ujawni miejsce przebywania Angel, jeżeli rodzina zbierze pięćset, tysiąc, dziesięć tysięcy dolców?

– Proszę mnie przeświecić. Jestem czysta.

Zauważam, że użył zdrobnienia Angel. Jakby dobrze znał tę rodzinę. Jakby bardzo obchodził go jej los.

– To, że pani nie złapano, nie znaczy jeszcze, że jest pani niewinna.

– A to, że mnie pan podejrzewa, nie znaczy jeszcze, że jestem winna. – Tym razem to ja patrzę mu prosto w oczy. – Sądzi pan, że przyjechałam, żeby zrobić z was głupków albo, co gorsza, wykorzystać rodzinę. Nic, co powiem, nie zmieni zapatrywań funkcjonariuszy i detektywów prowadzących tę sprawę. Więc na razie zgódźmy się, że się nie zgadzamy. Wy róbcie swoje, ja będę robiła swoje. Podzielę się z wami wszystkim, czego się dowiem. I być może, zupełnie teoretycznie, okaże się, że to posunie sprawę naprzód. To sytuacja, w której każdy wygrywa. Zwłaszcza rodzina.

– Niech pani trzyma się z daleka od Guerline i Emmanuela – rzuca stanowczo Ricardo, po czym wciska zatłuszczone serwetki do torby i wstaje ze schodka.

– Chwilę. Chyba teraz moja kolej? Umówiliśmy się, że najpierw mnie pan pouczy, a potem zadam panu jedno pytanie.

– Chodzi pani o nagrodę za informację, dzięki której uda się odnaleźć Angelique Badeau? – pyta oschle.

Staram się nie tracić cierpliwości, choć to dość trudne, biorąc pod uwagę, ile razy odbyłam już podobne rozmowy.

– Angel zaginęła w piątek po południu – mówię. – Ale policyjne śledztwo zaczęło się dopiero w poniedziałek rano. Skąd ta zwłoka? Co takiego odkryliście albo czego nie odkryliście w to piątkowe popołudnie, że nie zgłosiliście tego do Amber Alertu?

Funkcjonariusz O'Shaughnessy przygląda mi się w milczeniu przez całą minutę.

– Dan Lotham – mówi w końcu.

– Kim jest Dan Lotham?

– To detektyw, który prowadzi tę sprawę. Jego powinna pani zapytać.

– Nie ma pan ochoty zadzwonić do niego w moim imieniu? Pewnie nie. No ale... – zawieszam na chwilę głos – zawsze mogę o niego zapytać Guerline...

Spojrzenie, jakie posyła mi Ricardo, jest tak jadowite, że ktoś mniej odważny wziąłby od razu nogi za pas. Lecz ja patrzę mu prosto w oczy

i nie zmieniam wyrazu twarzy. Grzecznością nie zawsze udaje się coś załatwić. A jeśli to, co powiedziałam, sprawi, że funkcjonariusz O'Shaughnessy uzna mnie za manipulującą ludźmi dziwkę, nie będzie pierwszą osobą, która doszła do takiego wniosku. Ani ostatnią.

Rodzinom wydaje się zawsze, że chcą poznać prawdę. Ale pracowałam już przy wystarczającej liczbie podobnych spraw, by wiedzieć, że twarde fakty potrafią czasem zboleć bardziej, niż ktoś się tego spodziewa. Moim zleceniodawcą nie jest policja. Nie jest nim rodzina i nie jest miejscowa społeczność.

Moim zleceniodawcą jest Angelique.

– Uważaj, czego pragniesz – mruczy O'Shaughnessy, jakby czytał mi w myślach. – Przekażę detektywowi Lothamowi pani dane. Ale mówiąc między nami, nie liczyłbym, że się z panią skontaktuje.

Historia mojego życia, myślę.

O'Shaughnessy rusza w stronę swojego radiowozu. Patrzę, jak odjeżdża.

Rozdział 6

BOSTOŃSKI SYSTEM OŚWIATY PUBLICZNEJ jest dla mnie kompletną zagadką. Dorastałam w małej miejscowości. Jedna szkoła podstawowa, jedno gimnazjum, jedno regionalne liceum. Stawałam przy krawężniku, podjeżdżał autobus i jechałam wraz z resztą dzieciaków z sąsiedztwa tam, gdzie miałam jechać. Tymczasem w Bostonie...

Szkoły publiczne, szkoły społeczne, szkoły międzynarodowe. Zapomnijcie o lokalnej geografii w rodzaju Mattapanu. Z tego, co czytałam, młodzi mogą ubiegać się o miejsce w każdej publicznej szkole na terenie miasta Bostonu, zgodnie z pokręconym systemem rekrutacyjnym, który sprawia, że bardziej troskliwi rodzice mają ochotę strzelić sobie w łeb, a ci mniej troskliwi... w ogóle przestają się troszczyć o swoje pociechy.

Ze względu na ten obłęd licealiści nie korzystają z normalnych żółtych szkolnych autobusów, ale dostają karty uprawniające do darmowych przejazdów komunikacją miejską. Kiedy o tym czytałam, rozboleła mnie głowa. Ten ból powraca, gdy przyglądam się mapie MBTA, czyli bostońskiego systemu transportu zbiorowego, w skrócie T.

W artykułach na temat zaginięcia Angélique pisano, że uczęszczała do tak zwanej Boston Academy, szcycącej się tym, że pomaga uczniom z mniejszości etnicznych wybrać przyszłość w ochronie zdrowia, medycynie i tak dalej. Jeżeli Angélique chciała zostać lekarką, wybór tej szkoły wydaje się całkowicie logiczny. Z tego, co widzę, do Boston Academy mam zaledwie dwadzieścia minut jazdy – oraz kilka skomplikowanych przesiadek z pociągu do autobusu i z autobusu do metra. Żeby było jeszcze ciekawiej, zawitałam do Bostonu w samym środku gruntownych zmian w systemie komunikacji miejskiej, co

z pewnością będzie powodowało opóźnienia, kasowanie kursów i co jakiś czas momenty totalnego chaosu.

Posiłkując się jedną z wydrukowanych wcześniej mapek, trafiam na miejscową stację, siadam grzecznie niedaleko torów i obserwuję śmieci, które wiatr niesie to w jedną, to w drugą stronę. Trochę dalej widzę graffiti, a na ławkach i słupkach mnóstwo wyblakłych ze starości nalepek. Obok znaku T wisi podarty plakat z wielkim napisem: ZAGINIONA i ledwo rozpoznawalną po jedenastu miesiącach złą i dobrej pogody podobizną Angeli. Czuję, jak znów ogarnia mnie smutek. Nie tylko dlatego, że ta dziewczyna zaginęła, ale też dlatego, że już zawsze będzie kojarzona z tym zdjęciem. Czy była szczęśliwa w dniu, kiedy je zrobiono? Czy myślała o szkole, marzyła o chłopakach, zastanawiała się, co zbroi z koleżankami?

A może, jeśli rzeczywiście sama zaplanowała swoje zaginięcie, dopracowywała jego szczegóły już wtedy, gdy robiono tę fotografię? Mając nadzieję, że nikt nie będzie się jej zbyt uważnie przyglądał? Obawiając się, że ktoś coś zauważy?

Wpatruję się w wyblakłe, brudne zdjęcie, szukając odpowiedzi, ale oczywiście ich nie znajduję.

Łoskot szyn; nadjeżdża mój pociąg. Tyle że moim zdaniem to żaden pociąg. Bardziej staroświecki tramwaj. Pomarańczowy, uroczy, z jednym wagonem. Mam przejechać tym tramwajem kilka stacji i przesiąść się do autobusu. Pracowałam kiedyś przy sprawie, gdzie teren poszukiwań dostępny był tylko konno; dlaczego tutaj miałabym sobie nie poradzić?

Niestety, przejeżdżam stację, na której powinnam wysiąść – bo akurat, co zabawne, studiuje głupią mapkę. Wsiadam na następnej i wracam pieszo, zmęczona i poirytowana, bo jeśli chcę się spotkać ze szkolnymi koleżankami Angeli w przerwie na lunch, nie zostało mi dużo czasu. Drugą opcją jest zaczekać na nie po szkole, ale wtedy powinnam już być z powrotem w barze. Nie sądzę, by Stoney tolerował pracownicę, która od razu pierwszego dnia spóźnia się do pracy, nawet jeśli zdołała przeżyć noc z kocią sublokatorką.

Udaje mi się zlokalizować właściwy autobus, ale okazuje się, że jadę nim w złym kierunku. Przy trzeciej przesiadce, kiedy zaczynam

autentycznie świrować i z całych sił staram się to ukryć, pociąga mnie delikatnie za połę kurtki starsza Afroamerykanka ze starannie ufryzowanymi siwymi loczkami i idealnie dobraną czerwoną szminką.

– Może ci w czymś pomóc, kochanie?

– Tak, proszę!

Siadam obok niej i wręczam jej pogniecioną mapkę. Kobieta patrzy na nią uważnie i po chwili mi oddaje.

– Nigdy nie wyznawałam się na mapach. Ale mam wszystko tutaj – mówi, stukając się wypielęgnowanym palcem w skroń. – Powiedz, dokąd jedziesz, dziecko, to cię pokieruję.

Ma na imię Leena. Jest emerytowaną recepcjonistką, która wybrała się w odwiedziny do siostry. Robi na mnie wrażenie wielkiej damy. Nie tylko nieskazitelnie wyszykowanej, ale też emanującej wewnętrznym spokojem, który osiąga się dzięki z trudem wygranym bitwom i zdobytej z jeszcze większym trudem zdolności do wybaczenia. Rozmawiamy przez trzy minuty i to wystarczy, bym uznała, że gdy dorosnę, chcę być kimś takim jak ona.

Uzbrojona w jej wskazówki, ruszam dalej. I już po chwili zdaję sobie sprawę, że Leena miała rację. Jeśli wbiję sobie do głowy, dokąd chcę trafić, stopy same mnie tam zanoszą. Ale wystarczy jedno spojrzenie na mapę i wszystko się sypie. Może dlatego, że mapa komunikacji miejskiej w żadnym wypadku nie przypomina realnego układu ulic. Pokazuje szereg uproszczonych niebieskich, zielonych, czerwonych i żółtych linii, które są zdecydowanie zbyt schematyczne, by odzwierciedlać rzeczywistość tętniącego życiem, pełnego zaułków historycznego miasta.

Ponownie dwa razy skręcam nie tam gdzie trzeba, ale w końcu staję przed Boston Academy w South Dorchester. Szkoła wznosi się na porośniętym trawą pagórku, jednym z nielicznych skrawków zieleni, jakie tu widzę. Jeżeli Mattapan jest gęsto zaludniony, ma wysokie wskaźniki przestępczości i niskie wskaźniki ekonomiczne, to South Dorchester wydaje się jego bliskim kuzynem.

Szkoła składa się z imponującego dwupiętrowego budynku głównego, od którego odchodzi kilka ceglanych skrzydeł. Za wielkimi oszklonymi

drzwiami widać dwa wykrywacze metalu. Wszystkie okna są tej samej wielkości, równo rozmieszczone.

Na rozległym trawniku rosną tu i ówdzie kępy krzewów: rododendrony, hortensje i coś, co wygląda jak forsycje. Nie są specjalnie zadbane, ale i tak stanowią miły widok po ceglano-betonowej pustyni. Słyszę dobiegający z wnętrza szkoły dzwonek, który coś sygnalizuje. Ponieważ uczniowie nie wychodzą na zewnątrz, kontynuuję swój rekonesans.

Ciekawi mnie szereg rzeczy. Wydaje mi się, że dojeżdżając tutaj, Angeliqve wysiadała z autobusu dwie przecznicie dalej. Od przystanku miała dość prostą drogę do frontowych drzwi szkoły, z których, biorąc pod uwagę wykrywacze metalu, muszą korzystać wszyscy uczniowie. W tym samym miejscu wchodzi się i wychodzi. Wszystkie szkoły, zwłaszcza te w wielkich miastach, mają obsesję na punkcie kontroli.

Idąc, jak sobie wyobrażam, jej śladem, mijam spożywczy na rogu, a potem sklep z alkoholami, salon manicure'u i fryzjera. Po drugiej stronie ulicy widzę szyld chiropraktyka i sieciową aptekę, w której jest sporo klientów.

Żeby dotrzeć do schodów prowadzących do szkoły, Angeliqve musiała przejść na drugą stronę ulicy. Jeśli robiła to na skrzyżowaniu, zostawało jej jeszcze do pokonania trzydzieści metrów szkolnego trawnika, ogrodzonego niskim płotkiem z kutego żelaza. Przy płotku rosną niewielkie krzewy, a ponieważ tuż obok biegnie chodnik, leżą przy nich jednorazowe kubeczki po kawie, plastikowe butelki po wodzie, a nawet alkoholowe małpki. Dostrzegam buteleczki po whisky Fireball, po trzech gatunkach wódki, a także po starym pocziwym Jimie Beamie. Wychylają je uczniowie czy sąsiedzi? Nie wiem, czy chcę znać odpowiedź na to pytanie.

Guerline powiedziała, że plecak Angeliqve znaleziono pod krzakiem na terenie szkoły. Jeśli byłaby uczennicą i chciała coś ukryć...

Spoglądam na sklepy i firmy po drugiej stronie ulicy. Zajmują całą przecznicę. A to oznacza dziesiątki wścibskich oczu, potencjalnych świadków i kamery monitoringu. Cokolwiek zdarzyło się w tamten piątek

jedenaste miesiące temu, to nie zdarzyło się tutaj. Cały ten odcinek jest zbyt widoczny.

Idąc dalej wzdłuż bocznej ściany ceglanego budynku, wydaję mały kołonoatnik i zapisuję w nim różne rzeczy. Przede wszystkim liczę kamery monitoringu, zaznaczam wejścia i ustalę położenie krzewów między nimi. Od czasu do czasu, chcąc to lepiej sprawdzić, wchodzę na szkolny trawnik, dając krok nad płotkiem z kutego żelaza. Zauważam brak drzew. Nic nie zakłóca pola widzenia. Sprytnie.

– Frankie Elkin?

Podnoszę wzrok i widzę przyglądającego mi się z chodnika wielkiego faceta w grafitowym garniturze. Ma pewnie z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie bary i sylwetkę czterdziestolatka, który był kiedyś niezłe wysportowany i nadal nie traci formy. Wyprostowane plecy i krótko ostrzyżone czarne włosy wskazują, że służył zawodowo w wojsku, a ciemna karnacja... że jest Latynosem, Afroamerykaninem lub kimś pomiędzy. Nie wiem. Tak czy owak, prawdziwe ciacho. A przynajmniej byłby nim, gdyby nie gapił się na mnie tak surowo. Po chwili odchyła niedbałym gestem połę marynarki, żeby pokazać przypiętą do paska złotą odznakę.

– Detektyw Dan Lotham – mówię, aby wiedział, że ja też potrafię kojarzyć fakty.

– Ma pani pozwolenie na przebywanie na terenie szkoły?

– O rany... Chyba nie odrobiłam pracy domowej.

Znowu piorunuje mnie wzrokiem. Posłusznie daję krok nad płotkiem i wracam na chodnik. Czuję się, jakby złapał mnie na wagarach.

Nie oczekuję, że detektyw Lotham mnie polubi. Cywil, który wtrąca się w oficjalne policyjne śledztwo? Będę miała szczęście, jeśli nie skuje mnie kajdankami i nie oskarży o wtargnięcie na cudzy teren.

Dlatego samą mnie zaskakuje, że tak długo przyglądam się jego twarzy. Jest coś szczególnego w jego oczach, w tym, jak na mnie patrzy, spokojnie i cierpliwie. Kojarzy mi się z ostatnią redutą, bastionem opierającym się burzy.

Zatrzymuję się półtora metra od niego. Przez chwilę kusi mnie, żeby skrócić ten dystans. Ten odruch jest zupełnie niespodziewany i lekko się czerwienię. To moja wina. Minęło dużo czasu, odkąd pozwoliłam sobie na bliższy kontakt z drugim człowiekiem. Ale to, że postanowiłam być sama, nie znaczy, że nigdy nie czuję się samotna.

– Gdzieś tu odnaleziono jej plecak – mówię niepewnie i przetykam ślinę. – Pod czwartym krzewem w drugim rzędzie – kontynuuję bardziej stanowczym tonem. – Nadal widać tam niewielkie wgłębienie w ziemi. Poza tym złamanym jest kilka niższych gałązek azalii.

Mój komentarz najwyraźniej go zaskakuje. W gazetach nie było informacji, gdzie dokładnie znaleziono plecak Angelique. To oznacza, że sama też potrafię coś odkryć.

– Teren na wprost przed szkołą jest monitorowany przez co najmniej sześć kamer, tych szkolnych i tych z firm po drugiej stronie ulicy – mówię szybko. Nie chcę, żeby kazał mi odejść albo zaczął pouczać, że powinnam zostawić tę sprawę profesjonalistom. – Teren z drugiej strony jest mniej dokładnie monitorowany, ale kamery ruchu drogowego śledzą wszystkie skrzyżowania, no i jest kilka kolejnych firm naprzeciwko. Czyli generalnie szkoła jest nieźle monitorowana. Aż do tego miejsca. Tu nie ma żadnych firm. Żadnych kamer ruchu drogowego i zero szkolnego monitoringu.

Detektyw nie przerywa mi, tylko mruży oczy. Co oznacza, że chyba dobrze to sobie wykombinowałam, przez co jeszcze bardziej go wkurzam.

– W połowie bocznego skrzydła szkoły jest wyjście awaryjne, zgodnie z regulaminem zamknięte od zewnątrz, jak się domyślam. Zmusza to uczniów do korzystania z głównego wejścia, gdzie przechodzą przez bramki wykrywaczy metalu i są poddawani przeszukaniu. To oznacza, że w tym liceum albo nie ma jednego grama narkotyków i ani jednej sztuki broni, albo...

Detektyw Lotham przewraca oczami. Na tym świecie nie ma instytucji, która byłaby całkowicie wolna od kontrabandy, i oboje o tym wiemy. Kierownictwo wprowadza środki kontrolne, a podopieczni bardzo szybko uczą się omijać system.

- Wydaje mi się, że uczniowie chowają rano noże, narkotyki i broń palną pod tymi krzakami, a potem czekają na przerwę międzylekcyjną – mówię, wyraźnie się rozgrzewając. – Wtedy łatwo jest zostawić otwarte boczne drzwi i zabrać do środka wszelkiego rodzaju zakazane przedmioty. A to znaczy, że o tym miejscu wie wielu uczniów. Wiedziała również Angelique.

- Druga kryjówka jest dwadzieścia metrów dalej – cedzi detektyw Lotham, chcąc chyba udowodnić, że nie wiem wszystkiego.

Wzruszam ramionami. Tutaj czy dwadzieścia metrów dalej – to nie ma znaczenia. Plecak Angelique został ukryty w strategicznym miejscu, które było znane uczniom, lecz nie dyrekcji. To znaczy, że ktoś wiedział, co robi. Tym kimś mogła być oczywiście sama Angelique, zostawiająca swoje rzeczy osobiste tam, gdzie jej zdaniem powinny być bezpieczne. Zanim...?

Tego jeszcze nie wiem. Nikt tego nie wie.

Ignoruję detektywa Lothama i jego surowe spojrzenie i obracam się dookoła, aby skupić myśli.

- Angelique się przebrała – mruczę. – Ubranie, w którym była w szkole, znaleziono w jej plecaku, razem z komórką. To znaczy, że po wyjściu ze szkoły frontowymi drzwiami obeszła budynek, żeby schować plecak pod krzakiem. Tyle że przedtem musiała się gdzieś przebrać.

Patrzę na drugą stronę ulicy, a potem w stronę skrzyżowania, gdzie jest dużo małych firm. Nadal próbuję to sobie wyobrazić.

- Gdyby weszła do jakiegoś sklepu, żeby się przebrać, zarejestrowałyby to kamery i byłoby to ostatnie miejsce, w którym ją widziano. Tymczasem ostatnim miejscem jest szkoła. Czyli musiała obejść przecznicę w szkolnym ubraniu, niosąc plecak, a potem...

Urywam i zerkam na detektywa. Chyba wiem, jak to wyglądało. Lotham nie potwierdza tego ani słowem, ale jego wzrok biegnie ku bocznemu wyjściu.

- Weszła z powrotem do szkoły – ciągnę. – Ktoś zostawił otwarte boczne drzwi. Okrążyła budynek, wślizgnęła się do środka bocznym wejściem, przebrała się i z powrotem wyszła. Ile czasu spędziła w szkole?

Detektyw Lotham milczy i zdaje sobie sprawę, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Jesteśmy oczywiście w martwym polu. Nie da się tego zobaczyć, nie da się ustalić, co się tutaj zdarzyło.

Ale zaczynam łączyć fakty. Nie w kwestii tego, co być może zrobiła Angelique, lecz tego, jak to potraktowała policja.

Piętnastoletnia dziewczyna nie wraca do domu. Kilka godzin później ciotka zgłasza to funkcjonariuszowi łącznikowemu policji. Ten przychodzi do niej, zadaje pytania. Nastolatka nie przyszła na kolację... trudno wszczynać od razu alarm.

Jednak procedura wymaga, żeby zadzwonić do miejscowego komisariatu, przedstawić sytuację. W tym momencie powinien zostać wezwany detektyw. Być może nawet sam Lotham. Powinien odebrać zeznania od Guerline i Emmanuela. Może Guerline aktywowała już wcześniej aplikację śledzącą telefon siostrzenicy, może namierzyła go policja. Ale to doprowadziłoby gliniarzy tutaj, w miejsce, w którym nie znaleźliby żadnych śladów przemocy, za to natrafiliby na wiele dowodów świadczących, że to dobrze znana uczniowska kryjówka.

Co dalej? Krótka wizyta w firmach po drugiej stronie ulicy, być może nawet wstępne sprawdzenie nagrań monitoringu, na których widać, że Angelique wychodzi ze szkoły i z własnej woli rusza w kierunku przeciwnym niż jej przystanek autobusowy. Żadnych śladów przemocy, za to wiele dowodów świadczących o zaplanowanym działaniu. To ukierunkowało opinię policji na temat jej zaginięcia.

Na dodatek był piątkowy wieczór. Nie tylko pora, kiedy młodzież zaczyna imprezować i dopuszcza się najróżniejszych wybryków, ale też koniec normalnego tygodnia pracy detektywa. W sytuacji, gdy nastolatki nie ma w domu dopiero od kilku godzin i zniknęła prawdopodobnie z własnej woli, trudno uzyskać zgodę na pracę po godzinach.

Dlatego detektyw wrócił do domu, zostawiając na miejscu mundurowych, którzy kontynuowali rozpytywanie sąsiadów i przeglądali nagrania. Potem był weekend. W poniedziałek rano detektyw wrócił do komisariatu i dowiedział się, że dziewczyny nadal nie ma, a trop ma już czterdzieści osiem godzin.

Sprawa jest poważna. Na nieszczęście dla bostońskiej policji. Na nieszczęście dla Angelique i jej rodziny.

– Teraz powie mi pan, żebym się stąd wyniosła – mówię. – I pilnowała własnego nosa.

– Tak jest.

– To nic nie da.

– Tak słyszałem.

– Mam pozwolenie od rodziny. Mam również prawo zadawać pytania.

– Wygląda, jakby wszystko pani sobie zaplanowała.

– To nie jest mój pierwszy występ.

– To też słyszałem.

– Zadzwoił pan do osób, których nazwiska podałam funkcjonariuszowi O'Shaughnessy'emu?

– Zdecydowałem, że najpierw sam panią sprawdzę. Potem dowiem się, co mają do powiedzenia inni.

– Prawidłowe detektywistyczne podejście.

– To również nie jest mój pierwszy występ.

– A więc?

Detektyw Lotham wzrusza masywnymi ramionami.

– Wygląda na to, że jest pani bardzo bliska rozwiązania sprawy i odnalezienia nastolatki, której my z powodu naszych deficytów intelektualnych nie byliśmy w stanie zlokalizować. Proszę, niech pani kontynuuje.

Uśmiecham się półgębkiem.

– Pańska pierwsza, robocza teoria była taka, że w ten piątkowy wieczór Angelique udała się z własnej woli w miejsce, o którym nie miała pojęcia jej ciotka – mówię. – I najprawdopodobniej jej brat. Bo choć Emmanuel najwyraźniej coś wie, to przecież kocha siostrę i gdyby wiedział, dokąd wtedy poszła, do tej pory już by wam to przekazał.

– I wszystko to wymyśliła pani po spotkaniu z rodziną, które trwało... ile, pięć minut?

– Bardziej dwadzieścia.

Detektyw Lotham przez chwilę mi się przygląda. Wyraz jego twarzy w ogóle się nie zmienia.

– Niech pani wraca do domu.

– Tu jest mój dom. Wynajęłam pokój nad barem Stoneya.

– Błędem jest oferowanie rodzinie fałszywej nadziei.

– Skąd pan wie, że jest fałszywa?

– Bo to wszystko panią przerasta. Bo pomyślała pani tylko o kamerach monitoringu, podczas gdy ta okolica jest kontrolowana nie tylko przez monitoring. To nie jest jakieś amerykańskie zadupie. To jest pierdolony Boston i dobrze wiemy, co robimy.

– To gdzie jest Angelique?

– Niech pani wraca do domu – powtarza Lotham.

– Macie dane z LPR? – pytam.

Wpadło mi to do głowy, kiedy mówił o kamerach monitoringu. LPR to system odczytu tablic rejestracyjnych. Instalowany zwykle w radiowozach, pojazdach kontrolujących strefy płatnego parkowania, może nawet w miejskich autobusach. Przemierzając się, robią zdjęcia tablic rejestracyjnych wszystkich aut zaparkowanych w danym momencie w danym miejscu. Kolejna baza danych. Słyszałam o tym, ale nigdy nie pracowałam na obszarze, który byłby dość duży i dość skomplikowany, by opłacało się coś takiego wdrożyć.

– Nie jestem upoważniony, by informować panią o szczegółach toczącego się śledztwa – odpowiada sztywno Lotham.

Co oznacza: owszem, Boston ma system LPR. To powinno dać śledczym informacje o wszystkich samochodach, furgonetkach, taksówkach i pojazdach miejskich, które znajdowały się na tym terenie. Dzięki temu w dniach i tygodniach po zaginięciu Angelique mogli zidentyfikować ich właścicieli, sprawdzić dane osobowe i kartotekę kryminalną. Tyle danych. O wiele więcej niż gdzieś na amerykańskim zadupiu, jak ujął to detektyw. A tymczasem minęło jedenaście miesięcy i najwyraźniej na niewiele się przydały. Rozważam to, kołysząc się na piętach.

– Wszystkie te kamery monitoringu i systemy inwigilacji... – mówię z namysłem. – Do tej pory powinniście byli odtworzyć każdy krok Angelique. Nawet jeśli wyszła ze szkoły w tym martwym polu i skręciła w lewo czy w prawo, już po kilkunastu sekundach trafiłaby na jakąś kamerę. Bez względu na to, czy szłaby piechotą, czy siedziała na miejscu pasażera w jakimś aucie lub z tyłu ubera.

Detektyw Lotham milczy.

– Mogła wsiąść do autobusu albo pójść na stację metra – ciągnę. – Ale to też powinniście mieć na jakimś nagraniu. To, jak idzie na stację, a potem stoi bez plecaka, w ubraniu, w które się przebrała. Oczywiście gdyby wsiadła do metra albo autobusu i wsunęła uczniowską kartę do czytnika, mielibyście kolejny trop, za którym można by podążać.

– Zakładając, że użyłaby karty. – Lotham wydaje się znudzony całą tą rozmową. – Możliwe, że kupiła za gotówkę bilet jednorazowy. Ale oczywiście w autobusach, metrze i pociągach też mamy kamery. Oraz służbę ochrony transportu miejskiego, dobrze wyszkoloną w sprawdzaniu tego rodzaju zapisów. Pod tym względem Boston jest bardzo zaawansowany.

Słyszę w jego głosie sarkazm, ale staram się traktować serio to, co mówi.

– Innymi słowy, Angelique nie skorzystała ze środków transportu miejskiego, bobyście ją tam zauważyli. Tak samo nie mogła po prostu odejść ani zostać wywieziona. Co zostawia nam...

Marszczę czoło. Zastanawiam się. Ponownie marszczę czoło.

– Nie zapadła się przecież pod ziemię – mówię w końcu, sfrustrowana.

– Na tym etapie śledztwa wykluczaliśmy ziemię z grona podejrzanych – informuje mnie detektyw Lotham.

Mądrała.

– W takim razie musieliście coś przegapić – oświadczam, bo nigdy nie tracę okazji, żeby pójść z kimś na udry. – Technologia to piękna rzecz, ale nie jest niezawodna. Może pierdolony Boston, najinteligentniejsze miasto na świecie, za bardzo uzależnił się od swoich zabawek. Nie wiem. Ale piętnastoletnia dziewczyna nie mogła się po prostu zdematerializować.

Musi być jakieś rozwiązanie tej zagadki. Zawsze jest. – Odczekuję chwilę, po czym kiwam energicznie głową. – Cieszę się, że przyjechałam. Pewnie pan jeszcze tego nie wie, ale jestem wam potrzebna.

– Słucham?

– Z tego, co pan powiedział, wynika, że macie odpowiednie środki i doświadczenie, nie mówiąc już o najnowocześniejszej technologii.

Lotham znów mierzy mnie wrogim spojrzeniem.

– I co wam to dało po jedenastu miesiącach?

– Niech pani posłucha...

– Nie rozumiem połowy tych pierdół, które robi pan jako policjant w wielkim mieście. O systemie LPR tylko czytałam, nie mówiąc o innych bajerach, które ma do dyspozycji bostońska policja. Ale to bez znaczenia. Wasze najlepsze procedury zawiodły.

– Za kogo się pani, kurwa, uważa?

– Za outsiderkę. Ale właśnie kogoś takiego trzeba, żeby odnajdywać nasze zaginione dzieci.

– Niech pani się trzyma z daleka od tej sprawy – ostrzega detektyw Lotham.

– Nie.

– Jeśli skrzywdzi pani rodzinę i utrudni nam śledztwo...

– Jakie śledztwo?

– Pierdol się!

Lotham podchodzi do mnie bliżej i podnosi ręce. Świadomie czy nie, przybiera agresywną postawę. Jest ode mnie większy, silniejszy i bardziej wściekły. Jednak wcale mnie to nie przeraża. Właściwie nawet mi się podoba. Powinien być wkurzony. Powinien starać się chronić rodzinę Angelique. To świadczy, że mu zależy. Ale trochę mnie to niepokoi. Bo niekompetencja policji byłaby łatwym wyjaśnieniem zagadki. A tymczasem detektyw Lotham nie zrobił na mnie wrażenia wypalonego albo leniwego.

A zatem co się przytrafiło tej bystrej, nieśmiałej nastolatce? Stała kiedyś dokładnie w tym samym miejscu co ja. A potem?

– Będę w kontakcie – informuję detektywa Lothama.

Ciemne oczy wychodzą mu niemal z orbit, taki jest wściekły. Uśmiecham się. Przyznaję, że te konfliktowe sytuacje nie zawsze muszą być zabawne dla innych osób. Ale zawsze są zabawne dla mnie.

– Nie musi pan ze mną rozmawiać – mówię, cofając się o krok. – Jednak nie może mnie pan powstrzymać. Więc tak naprawdę pytanie brzmi, czy chce pan, żebym działała na własną rękę, czy też woli pan zachować jakiś rodzaj kontroli, oferując mi współpracę. Wybór należy do pana. Tak czy owak, zrobię to, co zrobię. To znaczy odnajdę Angélique Badeau.

– Jest pani stuknięta.

– Odrobina szaleństwa nigdy nie zaszkodzi.

– Ale może zaszkodzić zadawanie niewłaściwych pytań.

Tu akurat ma trochę racji. Z wnętrza szkoły dobiega kolejny dzwonek. Tym razem słychać po nim hałas. Hurgot odsuwanych krzeseł, trzask otwieranych drzwi, dudnienie setek stóp po korytarzach. Przerwa na lunch. To przypomina mi o moim pierwotnym zadaniu i stanowi kolejny powód, by pozbyć się pana policjanta.

Macham mu na pożegnanie i ruszam z powrotem w stronę skrzyżowania. Detektyw Lotham stoi bez ruchu, bacznie mnie obserwując.

Znikam pośród uczniowskiej ciżby, która wylewa się z frontowych drzwi szkoły i zbiega po stopniach. Liczę do pięciu. Kiedy oglądam się za siebie, detektywa już nie ma. Tak jak się spodziewałam.

Uśmiecham się pod nosem i wracam do pracy.

Rozdział 7

NASTOLATKI SĄ HAŁAŚLIWE. MAM wrażenie, że są ich setki: roją się na jezdni, zbijają się w mniejsze grupki na chodniku, włączają do spożywczego na rogu. Nie mają szkolnych mundurków. Są ubrane w podarte dżinsy, legginsy z lycry, sportowe bluzy, flanelowe koszule i długie swetry. Generalnie w podobnym stylu jak ja. Biorąc pod uwagę dzielącą nas różnicę wieku, nie jest to chyba czymś dobrym.

Próbuję skoncentrować się na dziewczynach, analizuję poszczególne twarze. Według Guerline najlepszymi przyjaciółkami AngeliQUE były Kyra i Marjolie. Niestety, nie wiem, jak wyglądają. Detektyw Lotham i jego ludzie zdążyli już prawdopodobnie prześwietlić konta AngeliQUE w mediach społecznościowych, szukając najdrobniejszych okrucich informacji. Powinni znać jej życie od podszewki, poczynając od rodziny i znajomych, a kończąc na ulubionych daniach, znaku zodiaku i nerwowych tikach. Ja nie mam o tym wszystkim pojęcia. Przynajmniej na razie.

Jestem trochę oldskulowa. Rozmawiam z ludźmi, zamiast czytać tweety. Zadaję pytania, zamiast przeglądać raporty kryminalistyczne. Oczywiście trudniej mi dotrzeć do tego rodzaju źródeł. Jednak kiedy pojawiają się na miejscu zdarzenia – po kilku miesiącach, może nawet latach – żaden z tych tropów nie ma już większej wagi. Dlatego trzymam się mojego prostego tracfone'a i nawyków prywatnego detektywa.

Wybieram miejsce blisko centrum roju i kontynuuję obserwację. Uczniowie Boston Academy stanowią najbardziej zróżnicowaną mieszankę etniczną, jaką zdarzyło mi się w ostatnim czasie widzieć. Pośród dziesiątków Afroamerykanów widzę grupki Indian, Latynosów i Azjatów. Większość mówi chyba po angielsku, ale ponieważ nie rozumiem żadnej z toczących się wokół mnie rozmów, musi to być jakiś

szczególny dialekt, który znają tylko nastolatki. Zauważam, że inni piesi przechodzą na drugą stronę ulicy, by umknąć przed uczniowską szarańczę.

Angelique miała piętnaście lat, kiedy zginęła. Wynika z tego, że jej koleżanki też musiały być w tym wieku. A zatem muszą mieć teraz szesnaście. Dwie szesnastolatki. Tyle że prawie wszystkie dziewczyny w tym tłumie wydają się mieć od osiemnastu do dwudziestu jeden lat. Czy kiedykolwiek wyglądałam tak świeżo i ładnie?

W liceum nigdy nie należałam do żadnej grupy. Ojciec twierdził, że jestem swobodnym duchem, ale tak naprawdę byłam nieśmiała i nieporadna. Dopóki nie wypiałam kilku piw. Wtedy świat stawał przede mną otworem. Bzykałam się z pewnym futbolistą, rozgrywającym, urywałam na wagary i tańczyłam jak szalona.

Pamiętam, że moje miasteczko wydawało mi się za małe, a skóra za ciasna. Chciałam jednocześnie wyjść z siebie i zamknąć się w swoim pokoju. Kochałam mojego zapijaczzonego, nieodpowiedzialnego ojca. Nienawidziłam wymagającej, krytycznej matki. Chciałam mieć większe cycki i mniejszy tyłek, włosy jak ta dziewczyna i cerę jak tamta. To, co miałam, nie było tym, czego pragnęłam. A czego pragnęłam? Sama nie wiedziałam.

Biedne dzieciaki, myślę teraz. Muszą się zmierzyć nie tylko z pokreconymi czasami, ale również z zaginięciem koleżanki.

Żółte wstążki. Mniej więcej po minucie dostrzegam ich właściwe znaczenie. To nie jest przypadkowa ozdóbka przypięta do bluzki jednej dziewczyny czy ramienia innego chłopaka. Nosi je co najmniej sześć osób.

To musi mieć związek z Angelique. Zeszłej zimy nosiła je prawdopodobnie większość uczniów. Teraz, miesiąc po rozpoczęciu nowego roku szkolnego, w sytuacji, kiedy na jaw nie wyszły żadne nowe fakty...

Tylko jej przyjaciele nie stracili nadziei.

Zauważam dwie dziewczyny z żółtymi wstążkami, żywo dyskutujące o czymś z trzecią. Jedna z nich ma piękną czarną skórę, wysokie kości

policzkowe i gęste rzęsy. Zaciska palce na niebieskich paskach plecaka i rozmawiając z koleżankami, bez przerwy omiata wzrokiem ulicę.

Stale na baczności. Wiem, jak to jest.

Przeciskam się przez gęstą ciżbę. Niektórzy kiwają mi głowami, większość podejrzliwie mi się przygląda. Czuję się jak persona non grata. Zbliżam się do trzech dziewczyn. Pierwsza zauważyła mnie ta czujna. Mruży ciemne oczy, milknie i trąca stojącą obok, żeby się przymknęła.

Stopniowo milkną też inne dzieciaki w pobliżu. Czuję się jak mijająca stado lwów gazela. Obowiązują te same zasady przetrwania. Nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów. Nie okazuję lęku.

Staję naprzeciwko czujnej. Z kamienną twarzą patrzy mi prosto w oczy.

– Marjolie? Kyra? – pytam.

– Kto chce wiedzieć?

– Nazywam się Frankie Elkin. Przyjechałam odnaleźć Angelique.

Dziewczyna parska ostrym śmiechem.

– Jeśli szuka pani miłych przedmieść, paniusiu, to źle pani skręciła. Co najmniej cztery razy.

– Kyra? – zgaduję.

Stojąca przy niej niższa dziewczyna się wzdryga. Moja rozmówczyni przewraca oczami.

– Marjolie. Ale miło, że pani spróbowała...

Kłamie. Od razu to poznaję. Po tonie głosu i reakcji otaczających nas dzieciaków. Niektóre są zaskoczone, lecz większość drwiąco się uśmiecha. Rzucają wyzwanie stukniętej paniusi, która musi być głupia jak but, skoro sądzi, że może wtargnąć do ich świata i domagać się odpowiedzi na temat spraw, o których nie ma bladego pojęcia.

Potrąfię gładko przyjąć cios. To nie pora, by się odgryzać.

– Ciotka Angelique, Guerline, zaproponowała, żebym porozmawiała z wami obiema. Gdybyście mogły mi poświęcić chwilę...

Trzecia dziewczyna wycofuje się i odchodzi, ale Kyra i Marjolie nie ruszają się z miejsca.

– Muszę wracać do szkoły – oświadcza Kyra.

Jej splecione w skomplikowane warkoczyki czarne włosy podkreślają zarys kości policzkowych i tworzą coś w rodzaju aureoli wokół twarzy. Dziewczyna jest zjawiskowo piękna. To coś, co niełatwo się akceptuje u najlepszej przyjaciółki.

– Dziesięć minut. Chyba że to tylko na pokaz? – Wskazuję wstążkę, którą przypięła do fioletowej bluzki.

– Niech się pani odwali.

Niższa dziewczyna przestępuje z nogi na nogę. Jest ładna, ale nie olśniewająca. Ona i Angelique tworzyły bez wątpienia tło dla atrakcyjniejszej przyjaciółki. A to oznacza również, że były ze sobą bliżej związane.

– Proszę – mówię cicho i rozkładam ręce w błagalnym geście. – Tylko parę pytań. Proszę, Kyra – zwracam się do wyższej, patrząc jej prosto w oczy; niech wie, że zdaję sobie sprawę, że mnie okłamała.

Niższa dziewczyna, Marjolie, zerka na swoją przyjaciółkę. Jej lśniące czarne włosy są gęstwiną niewiarygodnie małych loczków. Pasuje to do jej okrągłej twarzy i jasnobrązowych oczu. Mam ochotę nachylić się i powiedzieć, że też jest śliczna, ale wiem, że świat odbiera to inaczej. Jej przyjaciółka jest piękna. Ona jest ładna. Kyra prowadzi, Marjolie podąża za nią. Musi strasznie tęsknić za Angelique.

– Dobrze – rzuca nagle Kyra. – Ale traci pani tylko czas.

– Bo Angelique nie chce, żeby ją odnaleziono?

– Bo nie jest nam potrzebna jakaś chuda jak szczapa biała paniusia, która próbuje ją zbawić, odwiedzając getto. Przejrzała się pani w lustrze? To nie jest pani dzielnica. – Kyra mówi to z taką pogardą, na jaką może się zdobyć tylko nastolatka.

Przyjmuję drugi cios i poddaję bitwę, skupiając się na wygraniu wojny. Prowadzę Kyrę i Marjolie na bok. Ich koleżanki znudziło już trochę całe przedstawienie. Moje wejście było ciekawe, ale zaginięcie Angelique to stara śpiewka. Szkoda czasu.

– Jak długo znaliście Angelique? – pytam swobodnym tonem.

– Sześć lat – odzywa się pierwsza Marjolie, cicho, wbijając wzrok w ziemię. – Mieszkam na Mattapanie niedaleko od niej. Moja rodzina też pochodzi z Haiti.

Kyra wzrusza ramionami.

– Ja znam ją od dwóch lat, odkąd obie przyszłyśmy do Boston Academy. Kradłam jej notatki i w końcu zaczęła mi je pożyczać. Powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, żeby pomóc przyjacielce. No i potem, rozumie pani, zaprzyjaźniłyśmy się. To cała Angel. Ma w sobie coś takiego... – Kyra znów wzrusza ramionami. – Jest o wiele za dobra, żeby tak nagle zniknąć, rozumie pani? Ale miała ukryte rezerwy. Na pewno wróci do domu, zobaczy pani. – Kyra rozszerza nozdrza.

Mam wrażenie, że jak na nią była to całkiem długa wypowiedź i że każde słowo jest tu ważne. Stojąca obok Marjolie kiwa głową.

– Pracowałam przy czternastu przypadkach zaginięć w całym kraju – mówię niepytana. – Zaginięć dzieci. Zaginięć dorosłych. Wiecie, co je łączy?

Dziewczyny czekają. Teraz przykułam ich uwagę.

– Rodziny ofiar, nawet te, które pozostawały z nimi w czułych, bliskich relacjach, nie wszystko o nich wiedziały. Nie znały wszystkich kawałków układanki, wszystkich drzazg, cierni, nieujawnionych marzeń. Myślę, że nie zna ich żaden rodzic, żaden brat ani siostra. Od tego są przyjaciele. Ciotka Angelique i jej brat widzieli to, co widzieli zawsze, to, co chcieli widzieć. Ale wy dwie... Wy znałyście Angelique. Wy byłyście rodziną, którą sobie wybrała.

Marjolie wygląda, jakby miała się zaraz rozplakać. Nawet Kyra nie jest już taka agresywna. Wydaje się młodsza. Mniej pewna siebie. Zerka na Marjolie, która sprawia wrażenie wystraszonej. Dlaczego?

Odzywa się dzwonek, ostry i natarczywy. Dzieciaki za naszymi plecami zaczynają zbierać swoje rzeczy.

– Czy Angelique miała w szkole jakichś wrogów? – pytam szybko. – Uczniów, którzy jej grozili? Uczniów, którym ona groziła?

– Trzymałyśmy się razem – mówi Kyra. – I nawzajem się pilnowałyśmy. I niech pani nie opowiada takich rzeczy o mojej Angel... ona nigdy

w życiu nikomu nie groziła.

– A gangi?

– Wykluczone. Szkoła to teren neutralny. Dyrektor Bastion mówi, że jeśli tylko zwietryzy jakieś oznaki działalności gangów, to będzie koniec, zaczniemy nosić mundurki.

Wnioskuje z tego, że największym zagrożeniem są mundurki i Kyra oraz inni traktują to zagrożenie bardzo poważnie.

– Angel nie była dziewczyną, która zwracałaby na siebie uwagę – dodaje Marjolie. – Jest przebudzona, rozumie pani. Wyczulona na innych, ale nie tak jak ludzie, którzy robią z tego wielkie halo. – Ona i Kyra wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. – Dopóki nie pojawili się gliniarze i nie zaczęli zadawać pytań, większość dzieciaków w naszej szkole nie znała nawet jej nazwiska.

Nie rozumiem do końca wszystkiego, co mówi Marjolie, ale widzę, że zaczyna się uczniowski odpływ, więc nie pora teraz na uściślenia.

– Miała chłopaka? – pytam.

Dziewczyny znów wymieniają spojrzenia. Marjolie jest wyraźnie skrepowana, Kyra zaciska usta.

– Tak, Angel miała chłopaka – odpowiadam za nie.

– Nie – poprawia mnie Kyra. – W każdym razie...

– Nie wiemy tego – wyjaśnia Marjolie. – W zeszłym roku wróciła po wakacjach... jakaś odmieniona. Nabijałyśmy się z niej...

– Musiała kogoś mieć – wtrąca Kyra.

– Zaprzeczała...

– I na pewno straciła cnotę. Nadal tak uważam. – Kyra spogląda wyniośle na przyjaciółkę. – Nikt mnie nie przekona, że było inaczej. I bardzo dobrze dla niej.

– Powiedziałyby nam – upiera się Marjolie. – Dlaczego miałyby to ukrywać?

– Może jest szpetny jak nietoperz.

Marjolie wypuszcza głośno powietrze.

– Kyra lubi udawać, że zna Angel lepiej niż ktokolwiek inny – mówi. – W poprzednie wakacje spędziłam z Angelique dwa miesiące w centrum rekreacyjnym. I nie było tam chłopców, to znaczy nikogo specjalnego.

– Angelique miała jakąś pracę?

– Opiekowała się dziećmi. Ale pomagała również bratu, więc to nie było tak, że miała masę czasu.

– Waszym zdaniem wróciła do szkoły jesienią jakaś odmieniona. Na czym to polegało?

Kolejna wymiana spojrzeń.

– Moim zdaniem zabujała się w kimś – cedzi Kyra.

Marjolie kręci głową.

– Była po prostu...

– Rozkojarzona. I to porządnie – wtrąca Kyra. – Pożyczała mi notatki z lekcji, gdzie była tylko połowa materiału. A kiedy ją o to pytałam, nie rozumiała w ogóle, o co mi chodzi. Normalnie jakby się zawieszała. Zmieniała się z Pani Jajogłowej w Panią Szkoda-Że-Cię-Tu-Nie-Ma.

– Czy była rozkojarzona, bo się czegoś bała, czy rozkojarzona, bo bujała w obłokach?

– Nieobecna duchem – mruczy Marjolie. – Robiła wrażenie nieobecnej duchem, ale również... bardziej pewnej siebie. Jakby była sama, nawet kiedy była z nami, chociaż wcale jej to nie przeszkadzało.

Wydaje mi się, że rozumiem. Razem, lecz osobno. Dobrze znam to uczucie.

Dzwonek po drugiej stronie ulicy staje się coraz bardziej natarczywy. Moje rozmówczynie podchodzą do krawężnika. Ich koleżanki wracają już do szkoły i na Marjolie i Kyrę działa potężna siła grawitacji.

– W tamten piątek przebrała się po szkole w inne ubranie – mówię szybko. – Wicie dlaczego?

Obie kręcą głowami i ruszają w stronę szkoły. Podążam za nimi.

– Widziałyście ją po tym, jak się przebrała? Może włożyła sukienkę? Jakby szła na randkę?

Znów kręcą głowami. I idą dalej.

– No dobrze, ostatnie pytanie. Boczne wyjście ze szkoły. To, przez które przemycacie kontrabandę. Jak blokujecie drzwi, żeby się nie zamknęły? Kamykiem, gałęzią, ołówkiem?

Dziewczyny przystają i gapią się na mnie.

– Musicie już iść. Mówcie szybko!

Mój natarczywy ton, w połączeniu z dźwiękiem dzwonka, okazuje się skuteczny.

– Nie można ich zablokować – mówi cicho Marjolie. – Sprawdza je woźny. Trzeba tam podejść w kilka osób. Dwie osoby stoją na czatach, a trzecia wybiega i zabiera... to co trzeba.

– Więc kiedy Angelique wróciła do szkoły w tamten piątek, która z was przytrzymała drzwi?

Kyra i Marjolie nagle bledną.

– Że jak? – pyta Marjolie.

– Policja wie, że wróciła do szkoły bocznym wejściem, żeby się przebrać. A potem schowała plecak pod krzakiem. Gliniarze już to wiedzą. Nie wydacie jej. Proszę. Jedenaście miesięcy to chyba dosyć. Czas to wszystko uporządkować.

– Policja nigdy o tym nie wspominała. – Kyra jest wyraźnie zdenerwowana.

– Policja nie ujawnia wszystkiego, co wie. Ja mogę to zrobić. Pomóżcie mi, a będę was informowała – mówię błagalnym tonem.

Z wnętrza szkoły dobiega ostatni przenikliwy dzwonek, a zaraz po nim odzywają się klaksony samochodów, którym blokujemy drogę.

Mam ochotę złapać Marjolie za rękę, lecz się powstrzymuję. Te dziewczyny coś wiedzą. Nie o powrocie Angelique bocznym wejściem, co chyba kompletnie je zaskoczyło, ale o tym, jak bardzo odmieniona wróciła po wakacjach. Muszę to z nich obu wyciągnąć. Detektyw Lotham ma swoje nagrania monitoringu, ja mam to.

– To nie byliśmy my – mówi nagle Marjolie. – Nie zrobiłyśmy tego. Nie wiedziałyśmy nawet, że weszła z powrotem do środka. Kiedy gliniarze powiedzieli, że znaleźli jej plecak na terenie szkoły, zastanawialiśmy się,

co to znaczy. – Zerka na Kyrę. – Ale szczerze mówiąc, nie miałyśmy pojęcia.

– Jesteśmy jej przyjaciółkami – mamrocze Kyra. – Najlepszymi przyjaciółkami.

– W takim razie muszę zapytać raz jeszcze: jakich miała wrogów?

Dzwonek cichnie, ale kierowcy trąbią coraz głośniej.

– Policja się myli – oświadcza stanowczo Kyra. – Angel nie była taka. Nie miałyby przed nami tajemnic, nie obgadywałyby przyjaciółek, a już na pewno... – zaczyna i nagle gryzie się w język.

Posyła mi ostatnie ostre spojrzenie, po czym łapie Marjolie za rękę i obie ruszają biegiem w kierunku szkoły.

Zostaję sama pośrodku ulicy, otoczona zewsząd przez samochody, których kierowcy chcą mi to dobitnie uświadomić. Nie przestając główkować, stawiam pierwszy krok w stronę chodnika.

Przyjaciółki Angelique kłamią, podobnie jak jej brat; wiedzą więcej, niż chcą powiedzieć. A mimo to wszyscy wydają się autentycznie zatroskani i chcą, żeby wróciła do domu. Co to może znaczyć?

Wstępuję na chwilę do spożywczego na rogu, żeby kupić wodę i zapisać szybko kilka uwag w kołonoatniku, i nagle zdaję sobie sprawę, że jeśli mam zdążyć do pracy, sama też muszę się pospieszyć.

Wychodzę ze sklepu, skręcam w kierunku właściwego, jak mi się zdaje, przystanku autobusowego i z przyzwyczajenia oglądam się przez ramię.

I w tym momencie go widzę. Wysokiego, chudego czarnego mężczyznę, który stoi po drugiej stronie ulicy i śledzi mnie wzrokiem. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wiek od dwudziestu kilku do trzydziestu kilku lat. Ma na sobie niebieski nylonowy dres, a na szyi gruby złoty łańcuch, jakby w kwestiach mody zatrzymał się zaraz po roku dwutysięcznym.

Po chwili zasłaniają go samochody i kiedy przejeżdżają, już go nie ma. Ale w drodze do baru czuję przez cały czas ciarki na plecach.

Rozdział 8

PO SPĘDZENIU POŁOWY DNIA w wielkim mieście powrót do mrocznego baru Stoneya jest niczym balsam. Zawijając paski białego fartucha i szykując się do bitwy, wciągam w nozdrza woń tłuszczu, soli i chmielu. Znam zapachy tego baru równie dobrze jak dotyk kraników do piwa i odgłos dzwonka sygnalizującego, że zamówienie jest gotowe. Podoba mi się u Stoneya. Nie tylko dlatego, że to zwykła, pozbawiona fanaberii knajpa, gdzie dostajesz to, o co prosisz, ale też dlatego, że przychodzą tu głównie miejscowi.

Pracowałam w dziesiątkach barów w bardzo wielu miastach. Mogłabym zarobić więcej w jakimś ekskluzywnym, wypasionym lokalu. Ale ja mam słabość do pubów, gdzie człowiek czuje się jak w domu.

Zastaję Stoneya w małym kantorku przy kuchni. Lustruje mnie od stóp do głów, szukając być może obrażeń zadanych przez Piper.

– W menu mamy trzy pozycje. Cheeseburger i frytki: dziesięć dolarów, skrzydełka i frytki: dziesięć dolarów, same frytki: pięć – oświadcza, odliczając na palcach, po czym znów pochyła się nad swoim antycznym komputerem.

To tłumaczy, dlaczego nie mamy drukowanego jadłospisu.

Czekam przez chwilę, na wypadek gdyby chciał omówić jakieś szczegóły, być może kwestię koktajli na zamówienie. Nic, zero. Najwyraźniej praca w tej knajpie nie wymaga długich instrukcji. I bardzo dobrze.

Zdejmuję krzesła ze stołów. Wycieram wszystkie dostępne powierzchnie. Sprawdzam pojemniki na serwetki, a także solniczki, pieprzniczki i tanie promocyjne podkładki.

Potem czas na sprawdzenie podłączeń kegow i oczyszczenie dyspensera. Następnie wytarcie i ustawienie szklanek, nasypanie

orzeszków do miseczek, pokrojenie cytryn i limonek.

Lubię tę pracę. Jest szybka, nie wymaga skupienia. Dzięki temu mogę swobodnie myśleć.

O Emmanuelu Badeau i jego podejrzliwej minie. O detektywie Lothamie i jego wrogiej minie. O Marjolie i jej wystraszonej minie.

Nie wiem, jaki wyraz twarzy mam ja sama na tym etapie śledztwa. Skonsternowany? Zaintrygowany?

Pracowałam dotąd głównie w odległych rejonach, gdzie albo brakowało środków, albo trzeba się było użerać z ograniczonymi umysłowo gliniarzami, którym nie chciało się ruszyć tyłka. Lub, powiedzmy, z policją plemienną, uważającą, że outsiderzy nie powinni się wtrącać. W wielkim mieście, takim jak Boston, sprawy oczywiście wyglądają inaczej, a jednak reakcje obronne są identyczne.

Czy bolały mnie kiedyś niewybredne komentarze? Czy bałam się, że każą mi się zamknąć, powiedzą, że jestem głupia i nie mam racji? Czy czułam się winna, że działałam tylu ludziom na nerwy? Jeśli tak, to dawno temu.

Zanim szeryf hrabstwa zatrzymał mnie na drodze pośrodku pustyni, a potem on i jego trzech zastępcy wysiedli z radiowozów i ruszyli ku mnie w falującym od upału powietrzu, uderzając rytmicznie pałkami w dłoń.

Zanim kula z karabinu roztrzaskała tylną szybę mojego wynajętego samochodu, a ja zjechałam z drogi i wpadłam na kępę drzew, wskutek czego kolejne szyby rozpadły się w drobny mak, a otwierająca się poduszka powietrzna złamała mi nos.

Zanim pewien rozwrzeszczany wujek ściągnął mnie z werandy domu swojej siostry, okładając mnie pięściami i krzycząc, że to wszystko moja wina, a potem padł na kolana i płakał, bo jego sześćioletnia siostrzenica już nigdy nie miała wrócić do domu i być może nie powinien zalewać się w trupa tamtego wieczoru, gdy się nią opiekował.

Wspomnienia pieką. Tyle ich teraz mam. To nie cudowne chwile, lecz płonące węgle, które stale podnoszę i obracam w głowie. To boli. Przyglądam im się uważniej. Pieką jeszcze mocniej. Wracam po więcej.

Paul zarzucał mi, że chociaż przestałam pić, nadal jestem uzależniona. Nie sędzę, by rozumiał, jak to dokładnie działa. Jestem moimi demonami, moje demony są mną. Czasami mówię tylko ja, kiedy indziej pije tylko mój potwór. Ale to zawsze jestem ja.

Viv pojawia się, nucąc pod nosem, i pozdrawia mnie skinieniem dłoni, a zaraz potem do baru wchodzą pierwsi klienci. Prawie każdy bacznie mi się przygląda. Jestem, przynajmniej w tym momencie, jedyną białą osobą na sali. Lecz alkoholu nie brakuje i w miarę jak robi się coraz tłoczniej, a ja gładko nalewam piwo beczkowe do szklanek i wódkę do małych kieliszków, wszyscy się odprężają. Przekazuję Viv karteluszkę z zamówieniami i podaję gotowe dania do stolików. Stoney, który dzieli swój czas między kuchnię a kasę, ustala ze mną łatwy kod: liczba uniesionych palców.

I tak mija nam szybko happy hour oraz kolacyjna godzina szczytu i zaczyna się godzina nocnych marków, ludzi, którzy nie muszą w dzień powszedni wracać do domu o dziesiątej. Co jakiś czas zanoszę do kuchni tacę z brudnymi szklankami, wstawiam je do przepastnego zlewu ze stali nierdzewnej i polewa gorącą wodą.

A potem wracam do baru i czekam, aż ktoś zamówi następnego drinka.

Naprzeciwno mnie siada detektyw Lotham. Nie w szarym garniturze, ale w dżinsach i granatowym swetrze, opinającym jego szeroką klatę. Zatem po służbie.

Uważnie mi się przygląda. Przyjaciół czy wróg? Nadal nie może tego rozstrzygnąć. Co oznacza, że czeka nas niezła zabawa.

– Co mam podać? Niech zgadnę: bourbon bez lodu.

Lotham unosi brwi.

– Dobry Boże, nie.

– Corona? – Choć nie robi na mnie wrażenia piwosza.

– RumChata.

– Serio?

– W tej okolicy prawdziwi faceci piją rum.

Kręcę głową i sięgam po prostą białą butelkę. Do tej pory nigdy nie słyszałam o tym alkoholu. Teraz co chwila ktoś go zamawia. To karaibska odmiana baileysa, tyle że ma jaśniejszy kolor i pachnie jak ryżowy pudding posypany cynamonem. Zapytałam o niego Viv w trakcie jednego z wypadów do kuchni. Mruknęła coś ponuro o haitańskich *crèmes*, o Bożym Narodzeniu i o tym, że powinnam przed nim zażądać podwyżki.

Biorę niską szklanekę, wrzucam do niej kostki lodu, zalewam je białą słodkawą ciecżą i podaję detektywowi.

– Dziewczyński drink dla wielkiego faceta. Zaraz wracam – mówię.

Przechodzę w drugi koniec baru, gdzie dolewam wody jednemu klientowi i nalewam kolejne piwa trzem innym. Robię to wszystko z wdziękiem i uśmiechem, udając, że nie czuję, jak detektyw Lotham wypala oczami dziurę w moich plecach.

Ktoś w narożnym boksie daje mi znak. Idę tam i odbieram zamówienie na trzy burgery od tercetu starszych dżentelmenów, którzy chyba świetnie się bawią. Ten, który siedzi z brzegu, kiwa, bym podeszła bliżej.

– Pani jest tą nową dziewczyną, o której mówiła Viv?

Ma siwe wąsy, iskrzące się brązowe oczy i figlarny uśmiech. Mogłabym się założyć, że w swoim czasie był z niego niezły gagatek. I że ten czas być może skończył się dopiero wczoraj.

– Tak, to ja jestem tą nową dziewczyną – potwierdzam.

– Yhym. Wiesz, co ci powiem? Jeżeli Viv będzie ci robiła koło dupy, zgłoś się do mnie. Załatwię to z nią.

– Z Viv? Chcesz powiedzieć, że będziesz mnie bronił przed Viv?

– Zgadza się. Potrafi być upierdliwa. I despotyczna. Wiem to najlepiej: jestem jej starszym bratem.

– Naprawdę?

– Mam na imię Albert.

– Miło cię poznać, Albert, ale obawiam się, że muszę być z tobą szczerą. Oboje wiemy, że nic u niej nie wskórasz. Tak czy owak, dziękuję za życzliwość.

Koledzy Alberta rechoczą, a on uśmiecha się jeszcze szerzej. Czegokolwiek dotyczył ten test, najwyraźniej go zdałam. Puszczam do nich oko i przekazuję zamówienie Viv; informuję ją, że ma stolik wielbicieli, wśród których jest jej brat Al. Viv tylko przewraca oczami i wsadza kolejny koszyk do frytkownicy. Uciekam z kuchni, zanim oblepi mnie tłusta para.

Stając ponownie przy barze, widzę, że Lotham ledwie tknął swojego drinka. Najwyraźniej ma zamiar spędzić tu trochę czasu. Zostały już same nocne marki i nie dzieje się nic, co wymagałoby mojej pilnej uwagi. Opieram łokcie o kontuar i nachylam się do bostońskiego gliniarza.

– A więc... ze wszystkich knajp we wszystkich miastach na całym świecie...

Lotham uśmiecha się.

– Miałem wolną chwilę i chciałem się napić.

– Serio? Bo ja myślę, że nadal wkurza pana, że nowa dziewczyna węszy na pana terenie.

– Po naszej rozmowie nadal kręciła się pani przy szkole.

– Nie powiedziałam, że stamtąd odejdę.

– Rozmawiała pani z uczennicami. Kyrą i Marjolie.

– Spodobały mi się ich żółte wstążki.

Detektyw Lotham upija łyk drinka. Kiedy odstawia szklanekę, jego oddech pachnie cynamonem.

Ma ciemne oczy, gęste brwi i poobijaną twarz. Widać, że miał złamany nos, najprawdopodobniej kilka razy, i brakuje mu kawałka ucha. Być może ktoś mu je odgryzł. Kryje się za tym bez wątpienia jakaś historia. Lubię to w jego twarzy. Jest niczym mapa drogowa: byłem tu i tam, zrobiłem to i tamto. To ciekawe.

Kiedy chlałam, spędziłam ileś tam nocy z poznanymi po pijaku facetami. Nawet wtedy nie chodziło o seks, który był na ogół nieporadny i niewart zapamiętania. Lubiłam ciszę tuż potem. Kiedy żadne z nas się nie odzywało. Kiedy słyhać było tylko coraz wolniejszy oddech i wracający do normy rytm serca. Te krótkie, ulotne chwile, zanim

zaczynasz żałować. Kiedy czujesz zapach swojego potu, zmieszany z zapachem cudzego, i po raz kolejny zastanawiasz się, jak możesz być kimś tak osobnym. Jakby to nie były twoje ręce, twoje nogi, w ogóle twoje ciało.

Nie zaprosiłabym do swojego pokoju na seks kogoś takiego jak detektyw Lotham. Ale nawet teraz chętnie powiodłabym palcem po jego odgryzionym uchu i poobijanej szczęce.

Prostuję się, zwiększając dzielący nas dystans, po czym nalewam sobie wody do szklanki i wypijam.

– Zadzwoń do osób, których nazwiska podała pani O'Shaughnessy'emu – rzuca od niechcenia Lotham.

– I co?

– Nie powiem, żeby wynosili panią pod niebiosa, ale wygląda na to, że jest pani w porządku. To znaczy na tyle, na ile może być niewykszolony, niedoświadczony cywil.

– Uznaję to za komplement.

– Nie zależy pani na gratyfikacji finansowej ani na popularności w mediach.

Odruchowo się wzdygam.

– Mam w dupie media.

Lotham kiwa głową, a potem krzywi się, jakbym przyłapała go na czymś, co nas łączy.

– Jest pan dobrym detektywem? – pytam.

Nie łyka przynęty.

– Chyba tak – mówię dalej. – Pan i bostońska policja dysponujecie wszystkim, co można sobie wyobrazić. Nie wspominając o tym, że macie dostęp do znacznie większego zasobu informacji niż ja. Musiałam na przykład wypytywać Marjolie i Kyrę, by dowiedzieć się, czy Angeliqwe miała chłopaka. Podczas gdy wy znacie prawdopodobnie wszystkie szczegóły, bo przeczesałicie jej porzuconą komórkę, laptopa i konta w mediach społecznościowych. A mimo to wpadł pan tu dzisiaj, żeby dowiedzieć się, co powiedziały mi jej dwie przyjaciółki. Ciekawe.

Odchodzę od niego, by przyjąć nowe zamówienie na drinka i wystawić rachunek.

Kiedy wracam, widzę, że detektyw Lotham wypił kolejny znikomy łyk trunku. Tym razem porzuca wszelkie pozory.

– Co miały pani do powiedzenia Marjolie i Kyra?

– Jeśli ja pokażę panu swoje karty, pan pokaże mi swoje?

W odpowiedzi unosi krzaczastą brew.

– Założmy, że to oznacza „tak”. – Opieram łokcie o kontuar. – Coś zmieniło się w życiu Angelique w wakacje, zanim zniknęła. Wróciła do szkoły bardziej... powściągliwa, zdystansowana, nieobecna duchem. Według Kyry poznała chłopaka, doszło do seksu. Marjolie jest innego zdania, ale głównie dlatego, że nie wierzy, by jej najlepsza psiapsiółka trzymała przed nią coś takiego w sekrecie.

– Jak długo pani z nimi gadała?

– Pięć, może osiem minut, zanim skończyła się przerwa na lunch.

– I opowiedziały pani o życiu seksualnym swojej przyjaciółki?

– Niech pan to potraktuje jako rozmowę „między nami dziewczynami”.

Widzi pan? Cywilny śledczy nie jest taki zły.

Lotham w znaczący sposób upija drinka.

Teraz moja kolej.

– Na pewno macie wszystkie esemesy Angelique, ale co ze Snapchatem? Tego komunikatora używa większość nastolatków, żeby uniknąć kontroli rodziców. Uważają, że to wszystko jest tajne, znika parę sekund po odczytaniu i tak dalej. Ale czy na pewno? Możecie odzyskać wiadomość, która znika zaraz po tym, jak zostaje odczytana?

– Policja ma dostęp do Snapchata.

– Jak?

– Wiadomości przechodzą przez najbliższy serwer, serwer zapisuje dane.

– Ale skąd wiecie, do którego serwera zdobyć dostęp, skoro ludzie używający telefonów przemieszczają się po dużym obszarze?

- Najlepiej zacząć od obszarów blisko domu, szkoły, pracy. Nie zdobędzie się wszystkiego, ale coś się uzyska.

- A co z wiadomościami przekazywanymi przez inne aplikacje? Rozumie pan, Instagram albo inne komunikatory?

- Od tego są nakazy przeszukania.

Kiwam głową. To wydaje się sensowne. Na każde nowe medium wymyśla się nowy sposób jego odczytania.

- W porządku. Powiedzmy, że minęło, no nie wiem, jedenaście miesięcy od wszczęcia śledztwa. Ale teraz macie już chyba wyniki przeszukań, dane z serwerów i z porzuconej komórki?

- Chyba że to jest coś, co blokuje Apple. W takim razie wciąż się z nimi procesujemy.

Uśmiecham się.

- Ciężko coś z siebie wyciągnąć. Powiedz: czy wszystkie te nowe informacje, które uzyskaliście dzięki nakazom przeszukań albo przeczesując najróżniejsze serwery, potwierdziły waszą początkową teorię, czy całkowicie ją odmieniły? - Patrzę mu prosto w oczy. - Nadal uważacie, że Angelique przebrała się w tamten piątek, żeby spotkać się z tajemniczym kochankiem?

Teraz to Lotham się uśmiecha. Znowu upija trochę więcej RumChaty.

Nie odpowie mi na to pytanie i oboje dobrze o tym wiemy. W porządku. Świadomie lub nieświadomie oddał mi przysługę, bo wiedząc, jakie informacje są niejawne, wygrywa się połowę bitwy. O kopie części otrzymywanych przez policję raportów mogę poprosić na podstawie Ustawy o wolności informacji. W tej sprawie prawdopodobnie mi odmówią. Ale mogę chyba zwrócić się do ciotki Angelique, Guerline, żeby o nie poprosiła. Większość rodzin nie ma pojęcia, jakie działania prowadzi policja, i to je frustruje. Dlatego moja sugestia, żeby poprosili o jakiś konkretny dokument, prawie zawsze trafia na podatny grunt i za to jeszcze bardziej nienawidzą mnie gliniarze.

- Rozważacie hipotezę chłopaka - mówię. - Po tym, jak na mnie patrzysz, widzę, że to, czego dowiedziałam się od Marjolie i Kyry, nie jest niczym nowym. Przeczytałeś już pewnie esemesy, przejrzałeś zdjęcia.

Ciekawe, przez ile godzin tych nastoletnich dramatów musiałeś się przedzierać. Dzieciaki trzymają w swoich telefonach wszystko.

Przerywam na chwilę dla dramatycznego efektu.

– Ale nie Angelique. Telefon w plecaku nie był jej prawdziwą komórką. Miała drugi, zapasowy, prawdopodobnie tani telefon na kartę. Tam rozgrywało się jej prawdziwe życie, dlatego bez żalu porzuciła model zatwierdzony przez opiekunów.

Siedzący naprzeciwko mnie Lotham zaciska wargi i rozchyła nozdrza. Rozmyślałam o tym przez całe popołudnie. Sądząc po jego reakcji, mam rację. Ale co to dla nas oznacza?

Przychodzi mi do głowy kolejna myśl. Smutniejsza, bardziej trzeźwa. Powód, dla którego detektyw Lotham się tu pofatygował. Bo on też zdaje sobie sprawę, że minął prawie rok, a policja ani trochę nie zbliżyła się do celu. I to go niepokoi – to, co odkrył, i to, czego nie odkrył. Nie chce, żebym się w to angażowała, żaden policjant tego nie chce. A jednak... Może moje prowadzone po omacku próby coś dadzą?

Detektyw Lotham nie pała do mnie zbyt dużą sympatią. Ale jest zdesperowany. I jak każdy dobry detektyw wie, że nie musi mnie lubić, żeby skorzystać z moich usług.

Odchodzę od baru, by podejść do klienta, który od pewnego czasu próbuje zwrócić na siebie moją uwagę. Przy okazji zanoszę burgery tercetowi flirciarzy; wszystkie trzy są polane specjalnym sosem Viv – opłacają się rodzinne koneksje. Wycieram blaty dwóch niedawno zwolnionych stolików. Szorując je postrzępioną ścierką, mogę się przez chwilę zastanowić.

Minęła już jedenasta. W lokalu zostało tylko sześciu klientów, do zamknięcia mamy czterdzieści pięć minut. Wracam za kontuar i ponownie staję naprzeciwko Lothama.

– Funkcjonariusz O'Shaughnessy ostrzegł mnie przed działającymi w tej okolicy gangami, dziesiątkami gangów gotowymi zabić za to, że ktoś zapuścił się na ich teren. Zanim weszłam niedoświadczona i niewyszkolona do jaskini lwa, przeczytałam sobie co nieco na ten temat. Mieliście tutaj taką sprawę przed kilku laty. Jeden z gangów chciał zwabić

na swój teren członka konkurencyjnego gangu, żeby go wykończyć. Ale ich twarze i twarze ich dziewczyn były zbyt dobrze znane. Zwerbowali więc nową dziewczynę, bez kryminalnej przeszłości; zaprzyjaźniła się z nią jedna z dziewczyn gangu. Kilka miesięcy później nowa dziewczyna zaprosiła tego chłopaka na randkę do parku. Pojawił się... i po raz kolejny wzrosła liczba zabójstw.

Nachylam się bliżej do Lothama.

– Angelique świetnie nadawałaby się do tego rodzaju planu. Nieśmiała, cicha dziewczyna, w dodatku niewinna i ładna. Może ktoś się z nią zaprzyjaźnił, może ktoś ją zastraszył, lecz tak czy inaczej, znalazła się w sytuacji, nad którą nie miała kontroli.

– Pamiętam tamtą sprawę. – Lotham kiwa głową. – Krótco potem doszło do akcji odwetowej. Kolejne trzy trupy.

– Ale jeśli tak to właśnie wyglądało – mówię z namysłem, znów się do niego nachylając – dlaczego nie wróciła do domu, kiedy było już po wszystkim? Może zdarzyło się coś gorszego? Po zabójstwie nastąpił odwet, tak jak kilka lat temu? Choć w takim przypadku mielibyśmy całą gromadę gliniarzy przydzielonych do tych zabójstw i któryś z nich powinien coś usłyszeć o Angelique.

– Zgadza się. Jest jeszcze jeden problem z twoim scenariuszem.

– Mów.

– Członkowie gangów nie umieją fruwać.

Po sekundzie to do mnie dociera. Jeżeli Angelique spotykała się ze swoimi nowymi przyjaciółmi i członkami gangu, powinien zachować się jakiś tego ślad na nagraniach monitoringu. Kamery mogły nie uchwycić tego ułamka sekundy, kiedy raz gdzieś się pojawiła. Ale jeżeli przez dłuższy czas przemierzała zakapturzona ulice i parki, pieszo, metrem albo w samochodzie... Nie zdziwiłabym się, gdyby detektyw Lotham osobiście obejrzał po kilkanaście razy wszystkie te nagrania. Sama też tak robiłam, ślęcząc bez końca nad mapami.

Tak właśnie odnalazłam Lani Whitehorse, bo ostatecznie jezioro było jedynym miejscem, do którego mogła trafić, choć zdaniem policji plemiennej na brzegu nie było żadnych śladów, które wskazywałyby na

wypadek drogowy i usprawiedliwiły koszty wynajęcia płetwonurków. Nie miałam pojęcia, dlaczego nie było połamanych krzaków i jak ten stary chevrolet, nie zostawiając śladów opon, runął do jeziora na ostrym zakręcie. Być może nie wszystko na tym świecie da się wytłumaczyć.

W przypadku Angeliqwe wchodzi oczywiście w grę jeszcze jeden straszny, okropny scenariusz.

– Handel żywym towarem – mruczę. – Niewinne dziewczyny często są zwabiane i kończą w ten sposób. Angeliqwe pasuje do takiego scenariusza. To znaczy wydawało jej się, że idzie na randkę z facetem, który odmieni jej życie, tyle że... – Wzruszam ramionami. – Nie wróciła już do domu.

Lotham nie odpowiada od razu. Kołysze drinkiem, patrząc, jak białą napój obmywa kostki lodu.

– W Bostonie jest komórka zajmująca się handlem żywym towarem – mówi wreszcie. – Mają wgląd do wszystkich śledztw, mogą sprawdzać miejscowe usługi seksualne przy użyciu programów do rozpoznawania twarzy i współpracują z Krajowym Centrum Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci. Prostytucja to nie jest już coś, co dzieje się na ulicy. Jak wszystko inne przeniosła się do internetu. Klienci logują się, przeglądają „menu” i zamawiają towar. Dzięki cybertecnologii możemy to kontrolować w znacznie większym stopniu. Powiedzmy po prostu, że komórka zajmująca się handlem żywym towarem nie wniosła nic nowego do sprawy.

Przy końcu kontuaru pojawia się Stoney, ubrany w swoje znoszone dżinsy i niebieską batystową koszulę. Spogląda na zegarek. Według mnie do północy zostały dwie minuty, ale dla niego to najwyraźniej bez znaczenia, bo uderza trzy razy pięścią w kontuar.

Ostatnie wezwanie. Klienci dopijają drinki, wstają od stolików, płacą rachunki. Jeden po drugim. Zostaje tylko detektyw Lotham. Stoney mierzy go wzrokiem, uznaje chyba, że nie ma czego się obawiać, i wycofuje się do kuchni.

– Pomożesz mi posprzątać? – pytam, ziewając, i zaczynam zbierać brudne szklanki.

– Próbuję cię rozgryźć.

– Nie wiem, czy komukolwiek się to udało.

– Naprawdę nie robisz tego dla pieniędzy.

– I oddaję się tego rodzaju nieostrożnej pasji?

– Rzeczywiście przenosisz się z miejsca na miejsce, od sprawy do sprawy, bez żadnej przerwy, nie mając między nimi żadnego życia, nikogo, kogo byś kochała? Jak jakiś współczesny rewolwerowiec?

– Tak, jest aż tyle nierozwiązanych spraw zaginionych osób. Mogłabym do końca życia jeździć od miasta do miasta, od śledztwa do śledztwa, a i tak nie zmienię statystyki.

– Dlaczego?

Lotham dopija drinka, po czym podnosi się ze stołka, obchodzi kontuar i staje naprzeciwko mnie. Nie mierzy mnie już beznamiętnym wzrokiem. Jego oczy są mroczne i przepastne. Naprawdę chce wiedzieć. Szkoda, że ja sama tego nie wiem.

– Moim zdaniem Kyra i Marjolie mają rację – mówię. – Gdyby Angelique poznała chłopaka, powiedziałyby im o tym. Może nie ciotce i bratu, ale na pewno swoim najlepszym przyjaciółkom. Więc powinny o tym wiedzieć. Najprawdopodobniej jednak kogoś poznała. A jakiej osoby nastolatka wolałaby nie przedstawiać od razu swoim kumpelom?

– Starszego mężczyzny?

– Albo nowej przyjaciółki. Kogoś, kto byłby może odpowiedni dla Angelique, ale zagrażałby jej starej paczce. Nastoletnie dziewczyny nie zawsze odnoszą się dobrze do tego rodzaju zmian.

Lotham przygląda mi się intensywnie, wciąż starając się mnie rozszyfrować, zrozumieć cały mechanizm. Odkryć, co mnie napędza.

Chciałabym, żeby to było takie proste. Ale on nadal jest sfrustrowany, a ja nadal jestem starą sobą, z natłokiem myśli, ciarkami na skórze i wiecznym niepokojem.

Detektyw cofa się i rusza w stronę wyjścia.

Ja też tam idę, żeby zamknąć za nim drzwi. Ulicę przed barem przecinają smugi światła i cienia. Zrobiło się chłodniej, nieliczni przechodnie przemykają szybkim krokiem, z opuszczonymi głowami.

- Zamierzam się skupić na potencjalnych nowych osobach w otoczeniu Angelique i na jej zaginionym telefonie na kartę - informuję Lothama, kiedy wychodzi na zewnątrz.

- W Massachusetts nie można kupić komórki na kartę przed ukończeniem osiemnastego roku życia.

- To żadna przeszkoda dla nastolatka.

Lotham kręci głową, najwyraźniej poirytowany, ale nie zaskoczony moim uporem.

- Uważaj na siebie. Złe rzeczy dzieją się tutaj nawet w jasny dzień - mówi.

- To słodkie, że myślisz, że zaczekam do jasnego dnia - odpowiadam.

Obraca się, zaskoczony, a ja rygluję drzwi, macham mu na pożegnanie i wracam za kontuar, żeby posprzątać, nim zacznę kolejną przygodę.

Rozdział 9

ŚWIAT BYŁBY LEPSZYM MIEJSCEM, gdyby więcej osób spędzało czas, pijąc tanią kawę w kościelnych podziemiach. Wiele osób sądzi, że musimy mieć takie same poglądy, by się ze sobą dogadać. Z mojego doświadczenia wynika, że o wiele skuteczniejszą strategią jest posiadanie takich samych obaw.

Schodząc do podziemi kościoła kongregacyjnego, mam lekką zadyszkę. Biorę składane metalowe krzesło i idę do samego końca korytarza. Sala, jak tyle innych, w których wcześniej siedziałam, ma tanią wykładzinę podłogową, niski sufit i ściany pełne dziecinnych rysunków i oprawionych w ramki cytatów z Biblii. Wokół unosi się zapach kawy i pleśni.

I znów jestem tu jedyną białą osobą. Ale nie czuję się outsiderką. W tym pomieszczeniu rasa, płeć, wiek, narodowość oraz poziom dochodów nie mają żadnego znaczenia. Co ciekawe, nie ma też znaczenia wyznanie. Choć ruch Anonimowych Alkoholików początkowo opierał się na idei Boga, z biegiem lat ich język ewoluował i uznaje teraz bardziej ogólnie rozumianą istotę wyższą. Nazywajcie to, jak chcecie; nawet ateści mają jakiś rodzaj duchowości. Chodzi o to, że zbieramy się tam wszyscy, bo przyznajemy, że mamy problem z alkoholem. Pragniemy trzeźwości i rozumiemy, że jeśli ma nam się udać, potrzebujemy pomocy.

Inni anonimowi alkoholicy zaczynają już do mnie podchodzić i witają się uściskiem dłoni. Od siwego weterana wojennego w wojskowej kurtce po czarnego młodzieńca w T-shircie i kobietę, która składa właśnie swój fartuch szefowej kuchni. Przedstawiamy się sobie przed rozpoczęciem spotkania. Trudno mi spamiętać wszystkie imiona i rozpoznać wszystkie akcenty, ale uśmiecham się i robię to szczerze. Kolejna podstawowa zasada: wszyscy są mile widziani i wszystkich mile witamy. Jesteśmy towarzyszami broni, prowadzącymi wspólną walkę z wrogiem.

I przyszedliśmy tu dzisiaj, by opowiedzieć sobie o okropnościach wojny i wspomagać się w dalszej walce.

Jest siła w pokorze. To jedna z najtrudniejszych lekcji, jakie musiałam przejść. Podobnie jak inni na tej sali stąпам po kruchym lodzie. W każdej chwili dokonuję wyboru i choćby tych pozytywnych było wiele, jedna pomyłka powoduje, że muszę zaczynać wszystko od nowa. Będąc kimś, kto dwa razy wrócił do picia, wiem dobrze, że nie mogę tego lekceważyć i zaniedbywać. Bez względu na to, gdzie jestem, te spotkania, ta grupa, ci obcy ludzie, którzy nie są wcale obcy, są moim kluczem do przetrwania.

Spotkania mają różny przebieg. To akurat zaznaczone jest w broszurze jako lektura Wielkiej Księgi, co oznacza, że będziemy ją po kolei czytali na głos, a potem nastąpi dyskusja. Nie pamiętam, ile razy przebrnęłam przez ten wielgachny tom, ale taki format spotkania nadal należy do moich ulubionych. Jest coś kojącego w powtarzaniu słów, które spisano przed osiemdziesięciu laty i które wciąż są aktualne. Czuję już, jak opadają mi ramiona i słabnie ucisk, jaki czułam w klatce piersiowej. Jestem wreszcie ze swoimi ziomami, jedenaściorciem młodych i starych, czarnych i białych, bogatych i biednych, pobożnych i bezbożnych pijaków.

Przy stoliku prowadzącego siada starszy dżentelmen, który wygląda na prawdziwego kombatanta. Zaczyna od Modlitwy o pogodę ducha, która brzmi jeszcze piękniej z jego francuskim akcentem, a potem przechodzimy do czytania. Kiedy nadchodzi moja kolej, czytam na głos odpowiedni ustęp, choć lekko łamie mi się głos. Jesteśmy na samym początku Wielkiej Księgi, w rozdziale przedstawiającym prawdziwą naturę tej choroby i perfidii, z jaką działa na umysł alkoholika.

Zgadzam się z całego serca. Mój umysł jest zdradziecką bestią, której muszę stale pilnować. Te wszystkie gierki, których próbuję w myślach: muszę się napić, zasłużyłam sobie na drinka, przysięgam, że wypiję tylko jednego.

Pijemy ze złości, ze smutku i z radości. Pijemy, bo jesteśmy samotni, pijemy, bo się zakochaliśmy. Pijemy, żeby szybciej zasnąć, pijemy, żeby się przebudzić.

Ja piłam, bo wtedy czułam, że żyję. A potem piłam, bo nie chciało mi się żyć.

A teraz siedzę tutaj. Prawie codziennie.

Mam wrażenie, że uczestnicy spotkań dzielą się na dwie grupy – tych, którzy czerpią otuchę z opowiadania o sobie, i tych, którzy czerpią otuchę ze słuchania takich opowieści, bo odnajdują w nich samych siebie. Ja należę do drugiej grupy. Podczas dyskusji rzadko się odzywam i wolę nie opowiadać o własnych przeżyciach. Z przejściem słucham o cudzych. O tym, jak się różnimy, a jednak jesteście do siebie podobni.

W trakcie dzisiejszej dyskusji o tej chorobie, alergii, czy jak jeszcze chcielibyśmy to nazwać, rozpoznaję klasyczne elementy z własnego życia. Rodzinne dziedzictwo alkoholizmu. Jeden rodzic, który był chronicznym pijakiem, drugi, który mu to chronicznie ułatwiał. Wejście w tę kłopotliwą, krępującą fazę w szkole średniej, kiedy nie wiedziałam już, kim jestem i gdzie należę – i w konsekwencji chlałam piwo na każdym przyjęciu albo podpijałam alkohol starym przed poranną jazdą autobusem do szkoły. To magiczne uczucie odprężenia, które zaraz potem mnie ogarniało. Uświadomienie sobie niemal prymary prawdy. Lubię to. Chcę tego. Potrzebuję tego.

Nawet teraz wspominam te pierwsze drinki z rozrzewnieniem. Cudowny okres pierwszej miłości, nim zdałam sobie sprawę, w jak toksyczną i niszczącą wplątałam się relację.

Weteran wojenny opowiada, jak się staczał. Żona wyгнаła go z domu, dzieci nie odbierały telefonów. Kilka miesięcy spędził na ulicy, aż w końcu odnalazł go inny weteran i zaciągnął do szpitala, gdzie zaczęło się odtruwanie. Uczestnicy spotkania kiwają głowami.

Ja nie tyle się staczałam, ile pogrążałam – coraz niżej i niżej. W wieku dwudziestu paru lat całe moje życie kręciło się wokół gorzały. Istniałam, żeby pić, piłam, żeby istnieć. Pamiętam głównie światła neonów i dziwny paskudny śmiech, który dzwonił mi w uszach. Kiedy trzeźwiałam, uprzytamniałam sobie, że to ja się śmieję, więc oczywiście znów musiałam się napić.

A potem pojawił się Paul. Wyciągnął do mnie rękę. Powiedział, że mnie uratuje.

Na początku to wystarczało.

Później przyszła świadomość trudnej prawdy, że nikt nie może mnie uratować przede mną samą.

Spotkanie trwa już godzinę. Każdy z nas wyciąga dolara, wrzuca go do koszyka, po czym wstajemy. Ciekawi mnie, czy ta grupa odmawia Modlitwę Pańską. W ten sposób kończą się tradycyjne spotkania, ale coraz więcej grup od tego odchodzi. Okazuje się, że nasza grupa jest tradycyjna. Biorę za rękę starszą czarną kobietę z prawej strony i taksówkarza z akcentem, którego nadal nie rozpoznaję, z lewej. Recytujemy razem słowa modlitwy, a ja wykorzystuję tę chwilę, by poczuć dotyk dłoni ściskającego moją dłoń sąsiada i przypomnieć sobie, że ta godzina jest ważna, że trzeźwość jest tego warta. Że wszyscy jesteśmy tego warci.

Spotkanie się kończy. Pomagamy zebrać książki i uprzątnąć filiżanki. Weteran wojenny dyżuruje przy kawie. Staję przy nim, by opłukać dzbanek, a on chowa do szafki cukier i śmietankę. Ma na imię Charlie. Przedstawiam mu się ponownie i wyjaśniam, że niedawno tu przyjechałam.

Podchodzi do nas prowadzący spotkanie. Ma w ręce dwie broszury i wyrwaną z notesu kartkę.

- Lista dziennych spotkań - informuje mnie, podając mi zieloną broszurę. - A także informacje o zbliżających się imprezach AA. - Ta broszura jest niebieska.

Wycieram dłonie ręcznikiem papierowym i przeglądam obie broszury. Miłe w dużych miastach jest to, że mają pokaźną liczbę AA. W poprzednim miejscu nie miałam nawet w przybliżeniu tak dużego wyboru. Wspaniałe są zwłaszcza te nocne spotkania, przeznaczone dla tych, którzy pracują w branży restauracyjnej, kończą po północy i potrzebują wsparcia, nim wrócą do domu.

- Arnold - mówi prowadzący, znów podając mi rękę.

My, anonimowi alkoholicy, często się sobie przedstawiamy. Wiemy wszyscy, jak to jest, gdy człowiek zagubi się w tłumie.

– Frankie. I dziękuję za numery telefonów. – Biorę od niego wyrwaną z notesu kartkę.

– Na samej górze jest mój. Trzeci Charliego. – Weteran kiwa do mnie głową. – Drugi Ariel. – Prowadzący wskazuje kobietę w fartuchu szefowej kuchni, która podchodzi, by ucisnąć mi dłoń. – Gdybyś czegoś potrzebowała... – dodaje Arnold, dając do zrozumienia, że mogę dzwonić w każdej chwili.

– Dziękuję – mówię i jestem mu naprawdę wdzięczna.

Nigdy nie wiadomo, kiedy najdzie człowieka ta chcica: za dziesięć dni, dziesięć miesięcy, dziesięć lat. W takich chwilach jeden telefon może wszystko zmienić.

Nawet po tym, jak zakończyła się nasza znajomość, często dzwoniłam do Paula. O pierwszej, drugiej, trzeciej w nocy. To nie miało znaczenia.

Wybierałam jego numer. Przyciskałam komórkę do ucha. Słuchałam sygnałów dzwonka, a potem kliknięcia, kiedy ktoś odbierał telefon.

Nie odzywał się. Nie musiał. Wiedział, że to ja, a ja wiedziałam, że to on.

Leżeliśmy razem w milczeniu. Koncentrowałam się na dźwięku jego oddechu, wyczuwałam go, podobnie jak bicie jego serca pod moją dłońią, kiedy jeszcze ze sobą byliśmy i przytulałam się do niego w środku nocy, żeby moje ciało, moje myśli, moja jaźń nie rozpadły się na kawałki.

Trwało to długie minuty. Aż miałam dosyć.

Wtedy rozłączałam się i znowu byłam tylko sobą.

Dwa tygodnie temu, już po pogrzebie Lani Whitehorse, kiedy praca została wykonana i cel osiągnięty, leżąc w łóżku w tanim motelowym pokoju i czując, jak dopada mnie smutek i pustka, znów wybrałam jego numer.

Ale tym razem po drugiej stronie nie usłyszałam milczenia.

Tym razem odebrała kobieta.

– Musisz z tym skończyć – powiedziała. – Potrzebujesz pomocy – dodała, choć wcale nie napastliwym tonem.

Z walącym dziko sercem rozłączyłam się, a potem zwinęłam w kłębek i wybuchłam płaczem.

Tak to jest, gdy dociera do ciebie prawda.

– Słuchajcie – mówię teraz do stojących przede mną trzech osób. – Muszę kupić nowy telefon. Coś prostego i taniego, najlepiej na kartę.

– Za rogiem jest sklep T-Mobile – odpowiada Ariel, zapinając kurtkę.

– To dla mnie chyba za drogo.

Arnold nie odzywa się, ale weteran Charlie daje mi znak głową. Domyśliłam się, że to będzie on. Zabawne, jak uzależniony zawsze wyczuwa diler. Diabelnie dobrze potrafimy oceniać ludzi. Z wyjątkiem nas samych.

Arnold i Ariel ruszają w stronę schodów, a ja zostaję z Charliem.

– Jak tani towar cię interesuje? – pyta, podchodząc do wyłącznika światła.

– Bardzo tani. Dopiero co dostałam pracę, więc kiepsko u mnie z kasą.

– Pracuję jako wolontariusz w centrum rekreacyjnym. – Charlie gasi światło i kieruje mnie w stronę schodów. – Słyszałem, jak dzieciaki gadają o „telefonie po godzinach”.

– Po godzinach?

– Po godzinach zamknięcia. Przed sklepami operatorów znajdziesz wtedy zawsze jednego albo dwóch dilerów. Mają stare telefony z nowymi kartami SIM. To znaczy naprawdę stare telefony. Na ogół z klapką.

Kiwam głową.

– Kupuje je masa dzieciaków. Możesz ich używać przez miesiąc albo dwa za dziesięć, góra dwadzieścia dolców.

Gdybym była rozpoczynającą sekretne życie nastolatką z mikrymi funduszami, taka cena najzupełniej by mi odpowiadała.

– Czy mam zapytać o gościa, który ma na imię Marco, czy po prostu rozejrzeć się za facetem w prochowcu? – pytam, zniżając głos do scenicznego szeptu.

Charlie szczerzy do mnie zęby. Podoba mi się jego broda. Pasuje do szerokiej twarzy i masywnej budowy ciała. Byłby z niego doskonały

pluszowy niedźwiadek.

– Chudzina taka jak ty musi uważać, kręcąc się po ulicach i wypytując ludzi – przestrzega mnie. – Niektórzy z tych chłopaków to na pewno miastowi.

Rozumiem, że mówi o gangach. Co wydaje się logiczne. Dodatkowe fundusze na nielegalną działalność.

– Nikomu nie zagrażam – zapewniam go. – Żaden chłopak, który dba o swoją reputację, nie będzie sobie zwracał głowy białą chudziną w średnim wieku. Szczerze mówiąc, to byłoby zbyt krępujące.

Charlie znów się uśmiecha.

– Masz chyba rację, mała damo. Masz chyba rację.

– Pracujesz w centrum rekreacyjnym? – pytam, kiedy wychodzimy z kościoła i Charlie zamyka za nami drzwi na klucz.

– Jako wolontariusz, trzy razy w tygodniu. Chcę, żeby ci chłopcy wyszli na ludzi. Przeżyłem tu prawie całe życie. Widziałem dobre, złe i podłe rzeczy. Wiem, przez co przechodzą.

– Spotkałeś kiedyś Angelique Badeau?

– Tę zaginioną dziewczynę? – Charlie przystaje i mi się przygląda. – Dlaczego o nią pytasz?

– Słyszałam o tej sprawie. Zaciekawiała mnie.

– Widywałem ją w centrum – mówi powoli Charlie. – Ale nie powiem, żebym wiedział o niej coś więcej.

– Mogę tam do ciebie wpaść, rozejrzeć się?

– Dlaczego nie. Najlepiej po szkole albo w weekend. Jeśli chciałabyś zobaczyć dzieciaki.

Charlie bada mnie wzrokiem. Może ma nadzieję, że chciałabym szkolić dziewczyny albo pogadać z nastolatkami o odpowiedzialnym picu. Tak czy inaczej, moje pytania go intrygują i włącza mu się jakiś wewnętrzny radar. Kłamcy potrafią rozpoznać innych kłamców. Nie draży jednak sprawy. Może wróci do tego, gdy spotkamy się ponownie.

Stoimy teraz przed kościołem, przy szerokiej alei. Od Stoneya dzieli mnie osiem przecznic. Kilka pierwszych ulic jest jasno oświetlonych, ale

potem robi się mroczniej. Chowam dłonie do kieszeni kurtki i prostuję ramiona. Teraz albo nigdy.

– Mogę cię odprowadzić – proponuje Charlie.

– Nic mi nie będzie – odpowiadam, kręcąc głową. – Mieszkam niedaleko i mam w rękawie kilka sztuczek.

Charlie najwyraźniej nie bardzo mi wierzy. Ale dopiero co się poznaliśmy, a wśród uzależnionych ważne jest przestrzeganie granic. Jego obowiązkiem jest dbać o siebie, moim – o siebie. Oboje lepiej na tym wyjdziemy.

Wzrusza w końcu ramionami i oddala się w przeciwnym kierunku. Przez chwilę patrzę, jak powłócząc nogami, znika w ciemności, a potem ruszam o wiele szybszym krokiem do Stoneya.

Zanim docieram do pierwszej przecznicy, nie widzę żadnych pieszych. Tylko mijające mnie samochody – niektóre zwalniają, inne dodają gazu, co ostentacyjnie ignoruję. Skręcam z oświetlonej alei w węższą, mroczniejszą uliczkę. Od ścian nie odrywają się żadne cienie. Nie słyszę żadnych zbliżających się kroków.

Mijam szybko kolejne przecznice. Mam dwie ulice do celu, kiedy zauważam przed sobą cztery sylwetki. Stoją przy drzewie, w rogu niezabudowanej, zarośniętej chwastami działki. Z całą pewnością mężczyźni, ale po ciemku trudno powiedzieć coś więcej. Są skupieni wyłącznie na sobie i chyba mnie nie widzą, gdy przechodzę na drugą stronę ulicy, żeby się od nich oddalić.

W ruchach tych facetów jest coś tak ukradkowego, że włosy jeżą mi się na głowie. Jeden ma zsunięte do kolan spodnie. Nie chcę tego oglądać, ale nie mogę odwrócić wzroku.

I nagle w padającym z odległej werandy świetle lampy widzę igłę wbity w wewnętrzną stronę uda mężczyzny. A potem wyraz ekstazy na jego twarzy. Jego towarzysze przysuwają się bliżej, jeden wyciąga rękę po strzykawkę, czekając na swoją kolej.

Idę dalej. W ogóle mnie nie zauważyli. Piątka uzależnionych biorąca udział w czymś, czego czterech z nich w ogóle nie zapamięta.

Docieram do swojego pokoju, zamykam za sobą drzwi i pamiętając, by nie zdejmować skarpetek, skonana walę się na łóżko. Słyszę niski pomruk, a potem czuję na piersi solidny ciepły ciężar.

– Dobranoc, Piper – mamroczę.

Kolejny pomruk.

A potem obie zasypiamy.

Rozdział 10

RANO PIPER PONOWNIE NIE MA na łóżku. Nie chcąc powtórzyć wczorajszego błędu, przysuwam się do brzegu materaca i daję duży krok na środek podłogi. Spod łóżka nie atakują mnie żadne pazury. Obchodzę ostrożnie łóżko, kierując się do aneksu kuchennego, i zauważam jednocześnie dwie rzeczy. Trzeba dolać wody do miski, a na starych deskach podłogi leżą dwie wypatroszone myszki. Viv nie żartowała; Piper zarabia na swoje utrzymanie.

– Chcesz mi zaimponować? – pytam moją sublokatorkę. – I co mam z tym począć? Wyrzucić trupy? Zrobić sobie naszyjnik z ich uszu?

W jednej z kuchennych szuflad znajduję plastikową torbę na zakupy i niezbyt chętnie wkładam tam szczątki. Na podłodze nadal widać rdzawe plamy. Zdecydowanie paskudne. Wskakuję pod prysznic, zanim moja kocia sublokatorka zdąży mnie po raz kolejny zaskoczyć.

Dziesiąta rano. Mam pięć godzin do rozpoczęcia pracy za barem i wiele tropów, które powinnam sprawdzić. Chciałabym zapoznać się bliżej z handlem „telefonami po godzinach”, ale wygląda na to, że będę musiała z tym poczekać do wolnego wieczoru. Teraz, kiedy poznałam lepiej teren, mam również więcej pytań do rodziny. Zastanawiam się, czy Guerline pozwoli mi przeszukać pokój Angelique, i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że dziewczyna nie miała tak naprawdę własnego pokoju. Musiała mieć jednak jakiś ką w salonie.

Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jakim finansowym luksusem jest prywatność. Własna sypialnia, czas tylko dla siebie, przestrzeń do pracy. Takie rzeczy kosztują. Angelique musiała spać we wspólnym pokoju, a pracę domową odrabiała prawdopodobnie przy kuchennym stole na używanym laptopie, kiedy skończył to robić jej brat.

To oznacza, że jeśli chciała zachować coś w sekrecie, mogła mieć pamiętnik. Policja musiała już wcześniej przejrzeć jej rzeczy, zrobili to też ciotka i brat. W takich sprawach zawsze przyda się jednak świeża para oczu.

Może udałoby mi się spotkać z Guerline w ich mieszkaniu podczas jej przerwy na lunch. Czyli rano mogłabym odwiedzić centrum rekreacyjne. Nawet jeśli nie będzie tam dzieciaków, dobrze będzie pogadać z członkami personelu. Niektórzy mogli zapamiętać Angelique z ubiegłych wakacji.

Warto spróbować.

Sznuruję sportowe buty, wkładam oliwkową kurtkę i idę na dół do bocznych drzwi.

Za którymi czeka na mnie kolejna dziś rano niespodzianka.

Przestępujący z nogi na nogę Emmanuel Badeau, który najwyraźniej zrobił sobie wagary.

– Muszę pani coś pokazać – oznajmia bez zbędnych wstępów i podchodzi bliżej. – Ale nie wolno pani nic mówić ciotce.

Zanim zdążę powiedzieć „tak” lub „nie”, rozpiną plecak i wyciąga poobijanego laptopa.

Z powrotem otwieram kluczem boczne drzwi i prowadzę chłopaka do środka baru.

– Nie zna pani mojej siostry – zaczyna. – Ludzie myślą, że ponieważ jest nastolatką, musi być głupia albo impulsywna. Ale to nieprawda.

– Napijesz się wody? – pytam.

– Kawy – odpowiada.

– Ile ty masz lat... trzynaście?

Spogląda na mnie pustym wzrokiem. W jego świetle picie kawy w wieku trzynastu lat nie jest, jak widać, czymś szokującym. Idę do kuchni zaparzyć kawę, bo ja z pewnością muszę się jej napić. Emmanuel tymczasem odpala laptopa.

Kiedy wracam, siedzi w najbardziej oddalonym od drzwi boksie, wpatrując się w ekran. Laptop wydaje dziwny brzęczący odgłos, który nie

świadczy chyba dobrze o jego stanie technicznym. Emmanuel podnosi go i wali nim w blat stolika. Brzęczenie ustaje. Zauważam, że poobijaną obudowę pokrywają nalepki przedstawiające wszystko, od ulubionych kafejek po haitańską flagę i drużynę Red Sox. Pokaż mi swoje nalepki, a powiem ci, kim jesteś. Na razie wywnioskowałam, że Emmanuel ma zainteresowania typowe dla nastolatka.

– Z cukrem, śmietanką? – pytam.

Dowiaduję się, że nie pogardzi ani jednym, ani drugim. Dodaje sobie tego tyle, że kawa zmienia się w kawowy koktajl. Pijąc pierwszy łyk gorącego napoju, tłumaczę sobie, że nie będzie smakował lepiej z kieliszkiem likieru Baileys, Kahlua ani nawet RumChata.

Emmanuel obraca laptopa, żebym mogła zobaczyć ekran. Dopiero po chwili zaczynam rozumieć, na co patrzę.

Przypomina to wirtualną tablicę ogłoszeniową, pełną zdjęć jego siostry i zeskanowanych artykułów prasowych. Tu i tam są dymki z komentarzami, a także nagryzmołone w poprzek gniewne słowa.

Starsza siostra. Kochająca córka. Wzorowa uczennica.

Cyfrowy kolaż. Nie pytając o zgodę, przysuwam sobie laptopa i przyglądam się uważnie każdemu zdjęciu i cytatom.

Wyblakła fotografia niemowlęcia z rozmazanym na buzi bananem. Fotografia dziewczynki siedzącej na starej sofie razem z małym dzidziusiem i głaszczącej go po głowie tak, jak głaszczce się psa. Następne zdjęcie: uśmiechnięci Angelique i jej młodszy brat trzymają się za ręce, w tle widać prowizoryczną huśtawkę.

Dalej nowsze fotografie. Angelique siedzi przy stole w ich mieszkaniu, ślęcząc nad lekcjami. Angelique na sofie, wyciągająca niecierpliwie rękę, żeby odgonić natrętnego fotografa. Śpiąca Angelique, zwinięta w kłębek na sofie, z podciągniętą pod samą szyję kolorową narzutą i atlasem anatomii, który opadł jej na brodę, gdy zasnęła.

Angelique uśmiechająca się tak samo nieśmiało jak na plakacie o jej zaginięciu. Angelique śmiejąca się, Angelique pracująca. Dorastająca na moich oczach piętnastoletnia Angelique.

Zaczynam czytać podpisy i wtedy to do mnie dociera.

- To byłeś ty - mówię, spoglądając na Emmanuela. - To ty publikowałeś posty i odwiedzałeś internetowe biuletyny. To ty... to twoje posty mnie tutaj sprowadziły.

- Nie sądziłem, że to będzie pani. - Krzywi się ponuro.

- Opowiedz mi o tym. - Przesuwam laptopa w jego stronę. - Jak to zrobiłeś? Po co?

Chłopak zbiera przez chwilę myśli.

- W tamten piątek - zaczyna - kiedy LiLi nie wróciła do domu, a *mamant* zadzwoniła do funkcjonariusza O'Shaughnessy'ego, widziałem, że nie traktują tego wszystkiego serio. Na pewno wróci, powtarzali. Pewnie musiała coś załatwić albo zaplanowała coś z koleżankami. Nie przejmujcie się, nie martwcie. Takie rzeczy przytrafiają się młodym dziewczynom. Ale takie rzeczy nie przytrafiały się mojej siostrze. Nie przytrafiały się LiLi.

To imię, które nadał siostrze, kiedy był mały i nie potrafił wymówić „Angelique”. Czytałam o tym w internecie. Zdaję sobie sprawę, że sam podrzucił ten detal, by nadać siostrze ludzkie oblicze. Uczynić ją kimś bliskim nie tylko dla sympatyków, ale i dla drapieżcy, który być może ją przetrzymuje.

- Funkcjonariusz O'Shaughnessy obiecał, że popyta ludzi w okolicy. Wezwał nawet detektywa, żeby zadowolić ciotkę, i przyjechali kolejni policjanci, którzy chodzili po sąsiadach. Ale ja widziałem, że nie wierzą, żeby stało się coś złego. Myśleli, że w każdej chwili otworzą się drzwi i moja siostra wejdzie do mieszkania.

- Przesłuchali waszych sąsiadów?

- Z naszej ulicy. Tych, którzy wpuścili ich do środka.

- Rozpytywanie - wtrącam; początek każdego poszukiwań.

- Ja prowadziłem własne rozpytywanie - powtarza oficjalne słowo Emmanuel. - Tyle że poszedłem do koleżanek LiLi. Kiedy powiedziały, że nie mają pojęcia, gdzie się podziała, zorientowałem się, że wpadła w kłopoty. I że policja nic nam nie pomoże. Ale nie mogłem pukać do żadnych drzwi. Nie mogłem zmusić dorosłych, żeby rozmawiali ze mną, ani policjantów, żeby mnie wysłuchali. Dlatego to zrobiłem. Żeby moja

siostra żyła dalej. Żeby cały świat wiedział, kim jest, i jeśli ktoś ją gdzieś zobaczy, zadzwonił do nas. Albo... – Emmanuel prostuje ramiona – żeby ten, kto ją więzi, wiedział, że jest córką, siostrą, siostrzenicą. Że jest mądra i kochana. I żeby ten ktoś pozwolił jej wrócić do domu.

– A funkcjonariusz O'Shaughnessy? Wydawało mi się, że twoja ciotka go lubi.

– Podoba jej się, że mówi po kreolsku. Że pije sok z gravioli i przynosi jej domowe klopsiki od swojej matki. Dobrze nas zna, ale to nie to samo. Jest Amerykaninem, którego rodzina przyjechała z Haiti. A moja ciotka, Angelique i ja jesteśmy Haitańczykami, którzy mieszkają w Stanach. Nigdy nie poczuł, jak ziemia trzęsie się pod jego stopami. Nigdy nie zrozumie, że to może znów się zdarzyć.

Śluchając Emmanuela, zdaję sobie sprawę, że mówi nie tylko o trzęsieniu, które przed dziesięciu laty zrównało Port-au-Prince z ziemią. Mówi o ich obecnym życiu, w którym nie ma nic pewnego.

– Jesteś tu szczęśliwy? – pytam. – Czy ty... i Angelique... chcieliście tu zostać?

– Chcemy być Amerykanami. Bardzo. LiLi nie mówiła o niczym innym.

– Słyszałam o komplikacjach z waszymi wizami. Że mogą zostać cofnięte. Czy Angelique bała się, że będzie musiała wrócić na Haiti? Czy pamiętała, jak tam się żyło?

– Nie rozumie pani mojej siostry – mruczy Emmanuel.

– Ale chciałabym ją zrozumieć – odpowiadam szczerze. – Bardzo bym chciała.

Emmanuel wzdycha. Pochyla się do przodu i przybiera minę, którą ludzie robią, rozmawiając z idiotami.

– Nie pamiętam Haiti. Miałem trzy lata, kiedy wyjechaliśmy. Nie pamiętam nawet własnej matki. Znam jej twarz ze zdjęć, jej głos z telefonu. To wszystko trwa już zbyt długo.

Kiwam głową.

– Pamiętam tylko ciemność. To, że zbudziłem się w ciemności i byłem przerażony. Nie wiedziałem, co się dzieje, byłem jeszcze mały. Ale nawet nic nie widząc, zgadywałem, że dzieje się coś bardzo złego. I nagle usłyszałem mamę, która płakała i o coś błagała. „Nie, nie, nie”, powtarzała ciągle. I znów usłyszałem ten straszny odgłos. Jakby ktoś kogoś bił.

Nie bardzo wiem, co na to powiedzieć.

– Nie mogłem wstać. Przerażony zsikałem się do łóżka. A potem LiLi wzięła mnie po ciemku za rękę. Wyjaśniła, że to tylko coś w telewizji, choć oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Zaśpiewała mi piosenkę, jedną z moich ulubionych, i po chwili zacząłem śpiewać razem z nią.

– Ile wtedy miała? Sześć, siedem lat?

Emmanuel kiwa głową. Patrzy gdzieś daleko, z wykrzywioną ponuro twarzą.

– Później zatrzęsa się ziemia, ze ścian spadły obrazy i moja siostra znów się pojawiła. Złapała mnie za rękę i wyciągnęła na podwórko. „Zostań tu!”, rozkazała i wróciła do domu. Chciałem za nią pobiec. Tak się bałem. Ludzie krzyczeli. Myślałem, że umrę. Myślałem, że wszyscy umrzemy, a ja nic nie mogę na to poradzić.

– Miałeś wtedy trzy lata – przypominam łagodnie.

– Kiedy znów zobaczyłem siostrę, trzymała za rękę mamę. Nie wydaje mi się, żeby to mama ją znalazła. To LiLi po nią wróciła. Myślę, że to LiLi wyprowadziła ją z domu, zanim się zawalił.

Sześćioletnia Angeliq̄ue. Przypuszczam, że to możliwe, ale zastanawiam się też, jak bardzo to wspomnienie może być zniekształcone przez młodszego brata, który idealizuje siostrę.

– Mieliśmy ojca – ciągnie Emmanuel. – Nigdy nie widziałem jego zdjęć. LiLi, ciotka i matka nigdy o nim nie mówią. Pamiętam jego głos. I jego pięści. I pamiętam, że LiLi nie wyprowadziła go z domu.

To kompletnie zbija mnie z tropu. Odchylam się na krześle, próbując zrozumieć, w co właściwie wierzy Emmanuel. Że sześćioletnia Angeliq̄ue nie tylko ocaliła jego i ich matkę podczas trzęsienia ziemi, ale też świadomie zostawiła w domu przemocowego ojca?

– Ludzie myślą, że LiLi jest nieśmiała – kontynuuje chłopiec. – To nieprawda. Jest skoncentrowana na tym, co ważne. Ma te swoje przyjaciółki, ale to głupiutkie dziewczyny z głupiutkimi marzeniami. A LiLi ma misję. Uratować nie tylko siebie, lecz nas oboje.

– Miała plan, jak uchronić was przed deportacją?

– Zaczęła się uczyć online. – Emmanuel wskazuje laptopa. – Dwa dodatkowe kursy w semestrze. Powiedziała, że nie może liczyć na to, że jej wiza pozostanie ważna jeszcze trzy lata, dopóki nie ukończy szkoły średniej. Postanowiła pracować ciężiej i skończyć szkołę wcześniej, a potem pójść na studia. Wtedy otrzyma wizę studencką. Tak będzie dla niej bezpieczniej.

– A co z tobą i twoją ciotką?

– Ciotka ma zieloną kartę. Jest tutaj od dawna. Ale mówi, że jeśli LiLi i ja będziemy musieli wyjechać, ona też wróci na Haiti. Byliśmy ze sobą tak długo, że nie chce się z nami rozstawać. Należymy do niej, jesteśmy dziećmi z ciała i serca jej siostry.

Wyobrażam sobie, że po kreolsku brzmi to jeszcze piękniej.

– Czyli jeśli Angélique miałaby wizę studencką...

– To ona i ciotka byłyby już bezpieczne. Mogłyby wtedy ubiegać się o przedłużenie wizen tylko dla mnie, zyskać trochę na czasie. LiLi powiedziała, żebym się nie martwił. Zawsze mi to powtarzała.

– Więc nie uważasz, że zniknęła, żeby po prostu uniknąć deportacji?

– W życiu.

– Używaliście oboje tego komputera? – pytam, wskazując głową laptopa.

– Tak.

– Policja na pewno go zbadała.

– Zabrali go i trzymali przez parę miesięcy. O'Shaughnessy poprosił w końcu, żeby go oddali. Wiedział, że jest mi potrzebny do odrabiania lekcji.

– Znaleźli coś?

– Nie. Ale i tak wiedziałem, że nic nie znajdą.

Mierzę go uważnym spojrzeniem.

– Bo miałeś tego laptopa przez cały weekend, zanim policja uznała, że sprawa jest poważna?

– Niczego nie skasowałem. Nie było czego kasować. – Emmanuel kładzie palce na klawiaturze. – Moja siostra uwielbia matematykę i nauki ścisłe. Czytała książki o łamaniu szyfrów i rozwiązywała zagadki liczbowe, żeby się rozerwać. Będzie lekarzem. Nikt w to nie wątpi. A moją mocną stroną jest to. – Śmiga palcami po klawiaturze. – W piątek o północy, gdy LiLi nadal nie wróciła do domu, zacząłem szukać. Przejrzałem każdy gigabajt na jej twardym dysku. I nic nie znalazłem. Kiedy w poniedziałek policja zabrała laptopa, miałem to w nosie. Jak zwykle się spóźnili.

– Ale twoja siostra jest bardzo sprytna. I jest chyba cała masa aplikacji, które pomagają nastolatkom ukryć przed rodzicami swoje sekrety?

Emmanuel wzrusza tylko ramionami.

– Mogła mieć sekrety przed ciotką, ale nie przede mną.

– A jej komórka?

– Nie mamy jej. Była w jej plecaku. Gdyby nie to, też bym ją sprawdził.

– Widziałeś kiedykolwiek w domu inną komórkę? Starą, poobijaną, z klapką...? – pytam.

– Mówi pani o „telefonie po godzinach”? Ma je wiele dzieciaków.

– Czyli wszyscy o nich wiecie? Angelique też wiedziała?

– Tak. – Emmanuel przez chwilę się waha. – Zauważyłem raz pod jej szkolnymi papierami coś, co wyglądało jak telefon. Ale to było tylko raz.

– Kiedy?

– Ponad rok temu. We wrześniu zeszłego roku.

– Dwa miesiące przed zaginięciem Angelique?

Emmanuel kiwa głową.

– A co z centrum rekreacyjnym?

– To znaczy?

– Rozumiem, że w wakacje, przed rozpoczęciem roku szkolnego, Angelique tam chodziła.

– Mają tam programy dla nastolatków. Oboje tam bywaliśmy.

– Z kolegami ze szkoły?

– Z kolegami z sąsiedztwa. Większość kolegów ze szkoły mieszka za daleko.

– Więc było tam sporo nowych dzieciaków?

– Tak.

– Zaprzyjaźniłeś się z którymś?

– Tak.

– A Angelique?

Wzruszenie ramionami.

– O nikim nie mówiła. Miała oczywiście Marjolie. Codziennie ze sobą spacerowały.

– Był może jakiś chłopak?

Emmanuel odchyła się do tyłu.

– Teraz gada pani jak ci głupi gliniarze.

– Przepraszam.

– Moja siostra nie poznała żadnego chłopaka. Nie porzuciłaby mnie, ciotki i marzeń o medycynie dla jakiegoś chłopaka.

W jego głosie słychać tyle wzgardy. Zastanawiam się, czy nie za mocno odsuwa od siebie taką możliwość.

– „Myślę, że Bóg ma chore poczucie humoru i będzie się śmiał, kiedy umrę” – rzuca nagle.

Kompletnie zbija mnie to z tropu.

– Chwilę, czy to nie Depeche Mode? – pytam. – Po co mielibyśmy teraz wracać do moich licealnych wspomnień?

– Muzyka z lat osiemdziesiątych jest bardzo popularna – oznajmia z powagą Emmanuel.

– Nadal nic z tego nie rozumiem.

Chłopak rozgląda się na boki, jakby spodziewał się, że ktoś może nas podsłuchiwać.

– LiLi nie wierzy w miłość – szepcze. – I nie wierzy w Boga. „Nikt nas nie ocali, *ti fre*”, powtarzała. Kiedy budziły mnie koszmary, kiedy płakałam z tęsknoty. „Nikt nas nie ocali, *ti fre*, ale nie martw się, bo ocalimy się

sami”. W to właśnie wierzy moja siostra. Taką ma siłę, determinację i plan. Nie czekała, aż ciotka w magiczny sposób odnowi nasze wizy albo adwokaci złożą pozwy w naszym imieniu. LiLi wierzy w LiLi. Poradzimy sobie, bo ona się o to postara. Tylko niech pani nie mówi tego ciotce – dodaje po chwili. – To złamałoby jej serce.

Kiwam powoli głową, w milczeniu. Siostra, którą opisuje, dziewczynka, która w wieku sześciu lat potrafiła uratować matkę i brata i która wciąż wykuwała dla nich wszystkich lepszą przyszłość...

Wydaje mi się, że bardzo bym ją polubiła. I nie chce mi się wierzyć, że zeszła z prostej drogi dla czegoś tak ulotnego jak męska uwaga. Choć piętnaście lat to właśnie taki wiek. I może dziewczyna, której w wieku sześciu lat nie dane było postępować jak zwykła sześciolatka, zapragnęła, by choć raz zakręciło jej się w głowie. Nie mogłabym jej o to winić.

– Będziesz dalej aktualizował tę stronę? – pytam Emmanuela.

– Tak. Policja... od samego początku reagowali za wolno. I przez cały ten czas w ogóle nie posunęli się do przodu. Ostatnio rzadko się z nami kontaktują. Nawet w szkole... Zaczął się nowy rok. Dzieciaki i nauczyciele żyją nowymi sprawami. To nie ich dom jest pusty.

– Masz nadzieję, że tym zaginięciem zainteresuje się cały kraj. Że o sprawie twojej siostry będą mówić w wiadomościach, że śledztwo ruszy z miejsca.

– Co tydzień wysyłam im listy i maile. Nie odpowiadają. Ale moja siostra... – Lekko łamię mu się głos. – Ona jest tego warta. Powinien się o niej dowiedzieć cały świat. Dlaczego... dlaczego jej nie szukają?

Emmanuel nie może dalej mówić. Szybko mrugając, wbija wzrok w blat. Sięgam przez stół i delikatnie zaciskam palce na jego dłoni. Nie cofa jej, ale oboje wiemy, że pragnie innego rodzaju otuchy.

– Nie prowadzę telewizji śniadaniowej – mówię. – Ani programu o osobach zaginionych...

– Nie – potwierdza gorzko.

Nikt tak dobitnie jak nastolatek nie wskaże ci twojego miejsca.

– Ale mogę ci obiecać – kontynuuję – że będę się tym zajmowała, będę szukała i nie wyjadę, dopóki twoja siostra nie wróci do domu.

– Ona nie jest pani rodziną.

– Ale ją wybrałam. Sam powiedziałeś, że jest tego warta. To mi wystarczy.

Emmanuel spogląda na mnie przez łyży.

– LiLi nie uciekła z domu.

– Wierzę ci.

– Nie zostawiła nas dla jakiegoś chłopaka.

– Rozumiem.

– Ale coś się zmieniło.

– Najwyraźniej.

– Nie, mam na myśli, że ostatnio. W ciągu kilku ostatnich tygodni. Zaraz po tym, jak zaginęła, monitorowałem stale sieć, szukając śladów jej aktywności. Ale... to trwa już tak długo.

Kiwam głową.

– Przestałem tego pilnować. I nagle pojawiła się pani i zaczęła zadawać pytania. Wczoraj wieczorem...

– Co się stało wczoraj wieczorem?

– Chciałem się zalogować na jeden z jej kursów – mamrocze Emmanuel. – Wyobrazić sobie, jak siedzi przy komputerze i stuka palcami w klawiaturę. Chciałem znów poczuć, że jest ze mną blisko. Ale nie mogłem.

– Nie mogłeś się zalogować czy nie mogłeś... poczuć, że jest z tobą blisko?

– Kurs został zamknięty.

– Sam mówiłeś: minęło jedenaście miesięcy.

– Nie, nie chodzi o to, że został zawieszony czy odwołany. On został ukończony. Praca została wykonana, więc kurs zaliczono. W którymś momencie moja siostra zalogowała się, przesłała pracę domową i zdała test. – Emmanuel wbija we mnie wzrok. – W zeszłym tygodniu moja zaginiona siostra... nie rozumiem tego, nie potrafię tego wytłumaczyć...

ale ni stąd, ni zowąd LiLi ukończyła ten internetowy kurs. Ona wciąż gdzieś tu jest i odrabia lekcje. Ale nie wraca do nas do domu. Dlaczego? Dlaczego to robi?

Rozdział 11

DETEKTYW LOTHAM NIE CIESZY SIĘ, gdy do niego dzwonię. Wiadomość, że jestem z Emmanuelem i chłopak ma do przekazania pewne informacje, wcale nie poprawia mu humoru.

– I co, rozmawiałś z nim dziś rano przez cztery minuty i całkiem się przed tobą odsłonił?

– Ściślej biorąc, to on przyszedł do mnie. Z samego rana. I wcale nie potrzebował czterech minut.

Detektyw wydaje z siebie groźny pomruk. Taki mam wpływ na stróżów prawa.

– Dlaczego?

Traktuję to pytanie jako retoryczne. Odpowiedź, że Emmanuel przyszedł ze swoim odkryciem do mnie, bo nie jestem gliną, z pewnością będzie nie w smak detektywowi.

– Nie ruszaj się stamtąd – nakazuje. – Sprowadzę techników kryminalistycznych i zaraz tam będę.

– Nie potrzebujesz żadnych techników.

– Powiedziałaś, że znalazł coś w komputerze...

– W sieci. Jego komputer jest tylko punktem dostępu. I jeśli po raz drugi zabierze mu laptopa, na którym odrabia lekcje, z całą pewnością nie podzieli się już żadnymi informacjami ani ze mną, ani z tobą. Sprowadź siebie, detektywie.

Reakcją jest kolejny pomruk, lecz co ciekawe, dwadzieścia minut później detektyw Lotham puka do drzwi baru i jest sam jeden. Wykorzystałam ten czas, żeby zaparzyć kolejny dzbanek kawy i usmażyć dwa kopiaсте talerze frytek. Sama też nie jadłam jeszcze śniadania, a frytki to pewniak. Biorąc pod uwagę, jak szybko Emmanuel pochłania pierwszą porcję, najwyraźniej się ze mną zgadza.

- Ale przytulnie - mruczy detektyw Lotham, wchodząc do środka i wdychając zapach kawy i smażeniny.

- Co najpierw: kofeina czy sarkazm?

- Kofeina.

- Masz przynajmniej trochę zdrowego rozsądku.

Zaskoczony detektyw stara się odgadnąć, o co mi chodzi, a ja nalewam kawy do trzeciego kubka. Emmanuel przygląda się Lothamowi z rezerwą. Gdybym nie wiedziała, że jest inaczej, uznałabym, że chłopak czuje się urażony.

Czy cieszył się, gdy wielki detektyw pojawił się w końcu w jego mieszkaniu? W towarzystwie tylu funkcjonariuszy i techników? Dzieciak, który wychował się na amerykańskich serialach policyjnych, musiał być przekonany, że jego siostra wróci za chwilę, cała we łzach, do domu.

Tyle że jedenaście miesięcy później detektyw Lotham nadal nie ma pojęcia, co się z nią stało.

Nie sądzę, by ta rozmowa była dla kogoś przyjemna. Zerkam tęsknie na ścianę z butelkami alkoholu. Poczuj swoje uczucia, mówią. Tyle że wiele uczuć jest trudnych do zniesienia.

Czekając na detektywa Lothama, przekonałam Emmanuela, żeby zadzwonił do ciotki. Wyjaśnił, że Guerline nie może w pracy odbierać telefonu, i zostawił jej tylko wiadomość głosową, mówiąc, gdzie jest i co robi. Są szanse, że podczas przerwy na lunch ciotka ją odsłucha. A to oznacza, że mamy mniej więcej godzinę do chwili, gdy tu zawita. W barze Stoneya sporo się dzieje.

- Może frytek? - pytam detektywa, kiedy siada w boksie naprzeciwko Emmanuela, i podsuwam mu drugi talerz.

Tego ranka ma na sobie jasnoniebieską koszulę, wzorzysty fioletowy krawat i granatową marynarkę. Elegant, myślę, lecz nadal bardziej podobają mi się jego złamany nos i naderwane ucho. Strój jest kamuflażem, a blizny - świadectwem uczciwości.

Lotham upija łyk kawy, zerka na mnie i bierze frytkę. Proponuję keczup. Emmanuel i detektyw jednocześnie sięgają po butelkę. Jesteśmy

gotowi.

– Zaczynj od początku – mówię do chłopaka, a on bierze to sobie do serca.

Lotham, co raczej mu się chwali, nie przerywa i nie robi srogich min. Pije kawę, zajada frytki i pilnie słucha.

Kiedy Emmanuel kończy, detektyw wyjmuje mały kołnotatnik i telefon. Robi telefonem zdjęcie ekranu laptopa, z dobrze widocznym adresem internetowym szkoły Angelique. Następnie przesuwa kołnotatnik w stronę chłopca, a ten zapisuje w nim login i hasło siostry.

– Czyli Angelique zarejestrowała się na tej stronie GED Now, żeby skończyć kurs online?

Emmanuel kiwa głową.

– I dzięki temu skończyć wcześniej szkołę średnią?

Kolejne kiwnięcie.

– I zaczęła ten kurs historii Stanów Zjednoczonych na krótko przed tym, jak zniknęła?

– Przerabiała go podczas wakacji.

– Kto o tym wiedział?

Emmanuel wzrusza ramionami.

– Oczywiście ja i ciotka. Nie wiem, czy rozmawiała o tym ze swoimi przyjaciółkami.

Lotham wpatruje się w ekran komputera.

– Nie pamiętam tego z naszych pierwszych rozmów. I nie widziałem nic na ten temat w raporcie dotyczącym tego komputera.

– Nie mógł pan widzieć. Kurs online to kurs online. Komputer nie ma znaczenia, ważne są kody dostępu.

Lotham bierze do ręki swój notatnik. Login Angelique to nazwa jej konta na Gmailu, co wydaje się logiczne. Za to hasło wygląda jak przypadkowy ciąg cyfr, zakończony wykrzyknikiem. Patrzę na Emmanuela.

– Potrafisz to zapamiętać? – pytam.

- To kod - wyjaśnia. - Cyfry zastępują litery. LiLi wymyśliła ten szyfr, kiedy byliśmy młodszy. Czyta się „DocToBe!”.

- Czyli *doctor-to-be*, przyszła pani doktor?

- Właśnie.

Lotham zapisuje to w kołonoatniku.

- To jej podstawowe hasło? Najczęściej używane?

- Nie wiem. Rozumiem jej szyfr. Wysyłaliśmy sobie zakodowane nim wiadomości. Ale używaliśmy tego laptopa oboje i wiele razy patrzyłem, jak się logowała. Ona wiedziała, że wiem. Jakie to ma znaczenie?

- Możesz sprawdzić, kiedy logowała się na ten kurs? - pyta Lotham. - I ile razy?

Emmanuel przysuwa sobie laptopa.

- Normalnie można by sprawdzić historię przeglądarki, ale ponieważ nie logowała się z tego komputera, żeby ukończyć kurs... - Przygryza dolną wargę i namyśla się, mrużąc ciemne oczy. - Aha. Tutaj. Kiedy zalogowałem się wczoraj wieczorem, system pokazał mi, kiedy to poprzednio zrobiłem. - Dotyka palcem ekranu, pokazując datę i godzinę.

Lotham znów coś notuje, a ja zerkam na ekran.

- Dwa tygodnie temu - oznajmiam. - O piętnastej zero trzy. Czy to ci coś mówi? - pytam Emmanuela. - Czy data lub godzina mają jakieś szczególne znaczenie? Wspomniałeś, że twoja siostra lubi szyfry.

Chłopak stuka przez chwilę w klawisze, a potem kręci głową.

- Nie wydaje mi się - mruczy.

- Pokaż, jak to działa - prosi Lotham, odkładając notatnik. - Angelique loguje się na tej stronie, dostaje jakieś zadania i co dalej? Wykonuje je w jakiejś wirtualnej klasie czy przesyła odpowiedzi z własnego komputera, żeby nauczyciel mógł je ocenić?

- Prace pisze sama, a potem je przesyła. Z testami to jest bardziej skomplikowane. Są dodatkowe kody, które musi wpisać ktoś dorosły, na przykład moja ciotka, w ramach ochrony przed ściąganiem.

- Więc żeby ukończyć kurs, trzeba przedstawić pracę pisemną?

- Tak.

– Którą Angelique musiała przesłać z jakiegoś komputera – zastanawia się na głos Lotham. – Komputera, który ma adres IP. To już coś.

Chwilę później trzyma przy uchu telefon i rozmawia z kimś o stronie internetowej, kodach dostępu i wydaniu nakazu uzyskania dodatkowych danych. Emmanuel przez cały czas kiwa głową, więc najwyraźniej ten techniczny żargon jest dla niego zrozumiały.

Ja mam inne pytanie.

– Czy po zaginięciu Angelique ty albo twoja ciotka kontaktowaliście się z tą stroną, informowaliście nauczycieli, że zniknęła?

– Ciotka dostaje od nich maile informujące o postępach Angel. Za te kursy trzeba płacić, więc szkoła chce, żeby opiekunowie wiedzieli, co się dzieje. Gdyby zadania nie były wykonywane, na pewno zawiadomiliby ciotkę. Ale ona ma na głowie tyle różnych rzeczy i zmartwień, że...

– Co przesłała im Angelique? – Lotham przestał rozmawiać przez telefon i znów na nas patrzy. – Możemy ściągnąć tą jej pracę?

Emmanuel kręci głową.

– Kurs został ukończony. Nie mogę się zalogować i przejrzeć tego, co zostało wysłane wcześniej.

– A nie mógłbyś skontaktować się z kierownikiem kursu? – pytam. – Masz przecież login i hasło siostry. Nie mógłbyś... podszyć się pod nią i wysłać maila z prośbą o kopię tej pracy? Bo zaraz po jego przesłaniu zepsuł ci się laptop, wirus zaatakował twój twardy dysk, cokolwiek...?

Obaj, Emmanuel i Lotham, są najwyraźniej pod wrażeniem tego pomysłu, więc może moja skąpa wiedza o internecie do czegoś się przydaje.

– Mogę spróbować na Instachacie – oznajmia po chwili Emmanuel i znów stuka palcami w klawisze. – Kierownik kursu jest na nim dostępny. Zaczekajcie.

Popijam kawę. Zbliża się południe. Zastanawiam się, kiedy przyjdzie Stoney i zobaczy, że zmieniłam jego bar w rodzaj sztabu kryzysowego. I co w związku z tym zrobi. To może być najkrótsza robota, jaką kiedykolwiek miałam.

To znaczy było pewne inne miejsce, gdzie pracowałam tylko przez dwadzieścia minut. Raczej nie pomogło to, że zjawiłam się tam totalnie ujarana, histerycznie płacząc. No i była jeszcze restauracja, w której już na pierwszej zmianie włosy zajęły mi się ogniem.

Emmanuel wpatruje się w ekran.

– Kierowniczką kursu jest doktor Cappa. Jak pisze, spodziewała się, że się odezwę.

Lotham i ja wymieniamy spojrzenia.

– Chociaż praca odbiega poziomem od moich poprzednich – kontynuuje Emmanuel – poprawka, ze względu na ogólną wysoką ocenę, nie jest wymagana.

– Niech nam prześle tę cholerną pracę – cedzi Lotham.

Palce chłopaka śmigają po klawiaturze. Nie mam pojęcia, co takiego pisze nauczycielce; czy nadal udaje Angelique, czy wyjaśnia jej całą sytuację, ale trwa to kilka minut. Lotham wierci się niespokojnie na kanapie.

– Wysłała go – słyszymy w końcu. – Muszę otworzyć komunikator. Dobrze, jedziemy. Plik został przesłany, kiedy Angelique po raz ostatni weszła na ich stronę z... z kafejki internetowej. – Emmanuel podsuwa laptopa Lothamowi, który fotografuje informację na temat pliku i zaczyna znów stukać w ekran swojego smartfona.

– Możesz się tego wszystkiego dowiedzieć z informacji o pliku? – pytam Emmanuela.

– Kafejki internetowe też mają swoje kody – mamrocze i pracuje dalej. – Zaczekajcie. Mam ją. Jej pracę. Tyle że nie jest zapisana w Wordzie. To PDF... czyli skan.

Na ekranie pojawia się obraz. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że to, na co patrzę, to kopia podartych na kawałki żółtych kartek. Zeskanowano je w kolorze, więc wyraźne są ślady po zgięciach i smugi w tle. Na samej górze widać zapisany drobnymi literami tytuł *Ekspansja na zachód*.

– To jej charakter pisma? – pytam.

– Tak, to pismo LiLi – potwierdza Emmanuel, wciąż wpatrując się w ekran. – Ale nie pisałyby przecież odręcznie szkolnych prac. Nie rozumiem...

Czytamy to, co widać na ekranie. Nie wiem, co myśli o tym detektyw Lotham, ale ja jestem zdezorientowana. Wszyscy opisywali Angeliq ue jako zdolną uczennicę. Tymczasem ta praca jest nie tylko krótka, bo zajmuje za ledwie dwie strony, ale też napisana dość nieporadnie.

Nigdy nie było w amerykańskiej historii czegoś tak ważnego jak ekspansja na zachód.

Nie było innej opcji dla osadników szukających nowych ziem uprawnych, jak powiedzieć najbliższej osobie:

Zostawię za sobą Wschodnie Wybrzeże, choćby dla mnie i dla Ciebie oznaczało to narażenie się na wielkie niebezpieczeństwo...

Nic z tego nie rozumiem. Jedenaście miesięcy po swoim zniknięciu tym właśnie zajmuje się Angeliq ue? Szukaniem sposobu, by napisać dziwną pracę, wysłać ją i zaliczyć kurs? Oznaczałoby to, że ma jakiś dostęp do świata zewnętrznego. A mimo to nie wraca do domu?

Szukając osób zaginionych, miałam do czynienia z wieloma dziwnymi zachowaniami, ale to zupełnie zbija mnie z tropu.

– Czy zapisała się na jakieś kolejne kursy? – pytam i w tym samym momencie Emmanuel prostuje się i uderza dłońmi w blat stołu.

– To szyfr! Wiedziałem! Moja siostra przesłała nam wiadomość!

– Jaki szyfr? – Lotham przysuwa do siebie laptopa, próbując rozwiązać zagadkę.

– Wiadomość tworzą zaczynające się od dużej litery słowa na początku każdej linijki. – Emmanuel wskazuje palcem wyrazy na ekranie, a ja powoli je czytam.

– *Nigdy. Nie. Zostawię. Ciebie.* – Zerkam na Lothama. – Nie było przypadkiem takiej piosenki...

– *Never gonna give you up* Ricka Astleya z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, tak, zgadza się – mówi szybko Emmanuel. Bez pytania bierze kołonoatnik Lothama i zaczyna spisywać

słowa pojawiające się na początku każdej linijki. Detektyw mu nie przeszkadza. – To się nazywa rickrolling – informuje nas chłopak, nadal zawzięcie pisząc. – Lata temu były takie dowcipy z memami. Ludzie wstawiali na różnych stronach linki do klipów muzycznych. To było naprawdę zabawne. Mówiłem pani, że lata osiemdziesiąte były super.

Lotham spogląda na mnie, a ja wzruszam ramionami, potwierdzając, że oboje naprawdę jesteśmy już bardzo starzy.

– LiLi nie obchodziły memy. Spodobała jej się jedna praca – mówi chłopak.

– Jaka znów praca? – Lotham wyraźnie się niecierpliwi.

– Z fizyki kwantowej, napisana przez jakiegoś studenta i wykorzystująca idealnie słowa piosenki. LiLi była zachwycona tym pomysłem: napisać pracę naukową, która jest jednocześnie żartem. Sprytnie, prawda? Piosenka też jej się podobała, nuciła ją przed wyjściem rano do szkoły.

Emmanuel przestaje nagle pisać, poważnieje i podnosi wzrok.

– Te słowa zaczynające się dużą literą są z piosenki, tak? – Pokazuje nam to, co zapisał. – Jeśli ktoś zwraca na to uwagę i wie, czego szukać, wiadomość jest całkiem zabawna. Takie głupie żarty, które robią sobie dzieciaki.

On to powiedział, nie my.

– Ale dwa słowa tutaj nie pasują. Też zaczynają się od dużej litery, ale są o wiele dalej w jej pracy i nie ma ich w tekście piosenki. Wcisnęła je. Miała nadzieję, że ten, kto jej pilnuje, nie zauważy tego. – Chłopak patrzy mi prosto w oczy i zniża głos do szeptu. – *Pomóżcie nam*. Moja siostra napisała: *Pomóżcie nam*. To jest właściwa wiadomość. Tylko dlaczego nie pisze *mnie*, ale *nam*?

Rozdział 12

LOTHAM PONOWNIE TRZYMA przy uchu telefon, wielki detektyw rozwiązujący ważne śledztwo. Przemierzając tam i z powrotem bar, wydaje kolejne rozkazy. Nie mając żadnych pomagierów ani ekspertów, do których mogłabym zadzwonić, siedzę dalej z Emmanuelem. Chłopak ponuro wpatruje się w ekran laptopa, jakby chciał go przejrzeć na wskroś. Może żałuje, że wcześniej nie zalogował się na konto siostry i nie znalazł tej wiadomości. Może żałuje, że znalazł ją teraz.

Daję mu trzydzieści sekund, a potem stawiam kubki po kawie na pustych talerzach.

– Chodź ze mną – mówię.

– Że co?

– Trzeba posprzątać.

Emmanuel otwiera szerzej oczy. Jak bardzo trzeba być szurniętym, żeby w takiej chwili myśleć o brudnych naczyniach? Ale to nie jest prośba, a on jest zbyt dobrze wychowany, by nie wykonać mojego wyraźnego polecenia. Idzie za mną do kuchni, gdzie stawiam go przy wielkim zlewie.

Podczas gdy on zmywa naczynia, ja zajmuję się dzbankiem do kawy, a potem czyszczę frytkownicę.

– Twoja siostra wysłała tę wiadomość tobie – zwracam się do Emmanuela.

Chłopak na chwilę nieruchomieje, a potem bierze do ręki następny kubek.

– Wysłała ją tobie – powtarzam. – Przesłała tę pracę, wiedząc, że ją zobaczysz. Kto inny logowałby się do tej wirtualnej szkoły? Kto inny poza młodszym bratem, którego ona tak dobrze zna, wpadłby na pomysł, żeby tam zajrzeć?

– Nie rozumiem. Dokąd ona odeszła? Co się stało? Z kim teraz jest? Nie rozumiem.

– Żadne z nas tego nie rozumie. Ale generalnie powinniśmy się cieszyć. Angeliqne nawiązała kontakt. Jeśli udało jej się raz, może uda się ponownie.

– Moją siostrę porwano – mówi, jakby sprawdzał, jak to brzmi. – Udało jej się wyrwać do kafejki internetowej, ale musi się nadal czegoś bać, skoro nie poprosiła zwyczajnie o pomoc. Dlaczego nie mogła poprosić o pomoc? Co to znaczy *pomóżcie nam*?

– Powinniśmy się cieszyć – powtarzam. – Angeliqne żyje.

– Ale nie jest bezpieczna – odpowiada. – *Pomóżcie nam, pomóżcie nam, pomóżcie nam.*

Pierwszy szok mija i wiem, co zaraz nastąpi.

Podchodzę do zlewu, zakręcam kran, wydjmuję kubek z drżącej ręki chłopca i odstawiam go na bok.

– Nie wiemy tego, czego nie wiemy – mówię, trzymając go za rękę, kiedy zaczyna coraz szybciej oddychać i coraz bardziej drżą mu ramiona. – Ona myśli, Emmanuelu. Sam powiedziałeś, że twoja siostra nie buja w obłokach. Ona planuje. Ukrycie wołania o pomoc w szkolnej pracy, a potem zaniechanie na odpowiedni moment, by móc ją wysłać, tak żeby mógł ją przeczytać jej brat... przecież to coś genialnego. Twoja siostra znalazła sposób, by się z tobą skontaktować. A ty byłeś na posterunku. Cokolwiek się teraz zdarzy, odebrałeś wiadomość. Byłeś tam dla niej.

Jest bliski łez, ale nie chce wyjść na mięczaka. Traci zmysły ze strachu, ale desperacko pragnie pozostać silny.

Nagle z baru dobiega jakiś hałas i w drzwiach kuchni staje Guerline, nadal w płaszczu i imponująca. W ogóle na mnie nie patrząc, podchodzi do siostrzeńca i go przytula.

Ramiona chłopaka zaczynają drżeć jeszcze bardziej, ale nie słycać, by płakał. Ciotka gładzi go po włosach i mruczy słowa otuchy. Rodzina składająca się kiedyś z trzech, teraz z dwóch osób.

Zostawiam ich. Idę poszukać detektywa Lothama i zastanowić się, co powinnam teraz zrobić.

GODZINĘ PÓŹNIEJ GUERLINE I Emmanuel siedzą w boksie, nachyleni do siebie głowami, a detektyw Lotham stoi w drugim rogu sali, prowadząc ożywioną rozmowę z funkcjonariuszem O'Shaughnessym. Starają się mówić cicho, ale ich intensywna gestykulacja sprawia, że ja i rodzina Angelique nadstawiamy uszu.

W końcu obaj gliniarze kończą dyskusję i podchodzą do nas. Ja stoję za barem, udając, że ustawiam szklanki, i przecierając już raz przetarte blaty, żeby po prostu czymś się zająć. Jest mi trochę niedobrze. Może sprawiły to frytki z samego rana, a może świadomość tego, co musi oznaczać zakamuflowane wołanie Angelique o pomoc.

– Mówi wam coś nazwisko Levesque? Tamara Levesque? – zwraca się Lotham do Guerline i Emmanuela.

Oboje kręcą głowami. O'Shaughnessy wślizguje się do boksu, siada naprzeciwko nich i bierze za rękę ciotkę, która mu na to pozwala.

– W porządku, powiem wam, czego się dowiedzieliśmy – rzuca Lotham, nadal stojąc.

Zauważyłam to już wcześniej. Należy do ludzi, którym lepiej myśli się w ruchu. Jest niespokojny i ma w sobie coś surowego, zwłaszcza w stresie.

– Dwa tygodnie temu do kafejki internetowej w Roxbury weszła czarna dziewczyna. Wylegitymowała się tym prawem jazdy. – Lotham pokazuje czarno-białą fotokopię.

Z tej odległości udaje mi się odczytać jedynie imię i nazwisko. Tamara Levesque. Zdjęcie jest za małe, bym mogła ocenić, jak bardzo przypomina Angelique, ale sądząc po minach obecnych, cholernie przypomina.

– Według faceta z obsługi zaraz po tym, jak ją zalogował i zrobił kopię prawa jazdy, zadzwoniła jej komórka. Dziewczyna rozmawiała tylko przez chwilę, a potem dała nagle facetowi kartkę i dwadzieścia dolców i powiedziała, że musi natychmiast wyjść, ale jeśli nie wyśle swojego zadania szkolnego, nie zaliczą jej kursu. Czy nie mógłby zrobić tego za

nią, według instrukcji? Bardzo proszę. Dziękuję. Wybiegła, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Trochę go to zdenerwowało, ale dwadzieścia dolców za coś, co potrwa dwie minuty? Zrobił to, o co prosiła, i nigdy więcej jej nie widział.

– Moja Angelique – mówi Guerline.

Lotham kuca, by móc spojrzeć jej prosto w oczy.

– Facet nie zidentyfikował tej dziewczyny jako Angelique. Miała nasuniętą nisko na czoło czerwoną bejsbolową czapkę i specjalnie jej się nie przyglądał. Ale jeśli obejrzyście zdjęcie na sfalszowanym dowodzie tożsamości...

– To moja Angelique – powtarza Guerline i wzdycha. W tym jednym westchnieniu słysząc potworne brzemie smutku.

– Była sama? – pyta Emmanuel.

Bystry dzieciak.

– Facet z obsługi nie pamięta nikogo innego. Ściągamy monitoring z kafejki i z całej okolicy. – Lotham znów się prostuje i słysząc, jak strzyka mu w kolanach.

Odruchowo masuje jedno z nich.

– Więc... Sama szła ulicą... Sama weszła do kafejki... Miała własny telefon... – Emmanuel spogląda na Lothama; widać, jak bardzo jest zboląły i zdezorientowany.

– Traktujemy to bardzo poważnie – oznajmia O'Shaughnessy. – Znajdziemy ją.

– Nawet jeśli twoja siostra była sama, Emmanuelu – mówi ciszej Lotham – to wcale nie oznacza, że nic jej nie groziło. Skoro czuje się do tego stopnia zagrożona, by szyfrować wiadomość, może to oznaczać, że jest stale obserwowana i o tym wie. Może to oznaczać, że robi to, co robi, żeby nie narazić innych na niebezpieczeństwo.

– Dlatego napisała: *Pomóżcie nam?* – pyta Emmanuel.

Wydaje się zbyt młody, by brać udział w takiej rozmowie. Naprawdę życzyłabym sobie, by był na to zbyt młody.

– Czy moja siostrzenica została uwięziona? – odzywa się Guerline. – Czy ktoś ją... porwał? Po szkole? Ją i kogoś innego? Ale jej przyjaciółki... Widzieliśmy przecież jej przyjaciółki.

– Ważne jest to, że Angelique żyje i cieszy się pewną swobodą – stwierdza Lotham.

Nie podejmuje tematu przyjaciółek Angelique, bo niestety, w grę wchodzi zbyt wiele innych fatalnych możliwości. Handel żywym towarem. Angelique porwana wraz z innymi ładnymi dziewczynami. Lub wplątana w coś, czego nie kontroluje. Może poznała nieodpowiedniego chłopaka. Albo nieodpowiednią nową przyjaciółkę. Apel o pomoc jest ważnym przełomem w sprawie, lecz również powodem do niepokoju. Świadczy, że mamy do czynienia z czymś o wiele poważniejszym niż zaginięcie czy ucieczka z domu jednej nastolatki.

– Czy któreś z was widziało wcześniej to fałszywe prawo jazdy? – pyta Lotham, patrząc na Emmanuela i Guerline.

Oboje kręcą głowami.

Przynoszę do boksu cztery szklanki wody, co ma być przejawem gościnności, ale pozwala mi również przyjrzeć się z bliska czarno-białej fotokopii fałszywego dokumentu.

Widzę od razu, że to stare prawo jazdy ze stanu Massachusetts. Podczas kontroli na lotnisku wymagane jest nowsze, zgodne z systemem Real ID. Pracownik kafejki skopiował tylko przednią stronę, i to w marnej jakości. Najwyraźniej zrobił to na odczepnego.

– Ekhem – odchrząkuje znacząco Lotham.

Podnoszę wzrok i widzę, że mi się przygląda. Ani przez chwilę nie uwierzył, że podałam im wodę bezinteresownie.

– Czy w kafejce nadal mają to prawo jazdy? – pytam.

Skoro zostałam zdemaskowana, mogę się włączyć.

– Nie.

– A co z pracą, instrukcją logowania i notatkami, które Angelique dała pracownikowi?

– Wyrzucił je. Zostały zeskanowane i przesłane. Nie było powodu, żeby je przechowywać.

– Dlaczego w Roxbury? Korzystała wcześniej z tej kafejki?

Lotham nie ma nic przeciwko mojemu pytaniu. On i O'Shaughnessy zerkają na rodzinę. Odpowiedzi udziela ponownie Emmanuel.

– Nigdy mi o niej nie wspominała. Nie jest blisko naszego domu ani po drodze do szkoły. Ani – dodaje, bo jest skrupulatnym młodym człowiekiem – po drodze do jej przyjaciółek.

– A do jej nowej przyjaciółki? – pytam, skoro nikt nie odbiera mi głosu. – Tej, którą poznała w wakacje w centrum rekreacyjnym?

– Nie znam jej – mówi Emmanuel.

– O kim mówicie? – pyta Guerline.

Odpowiedź na to pytanie zostawiam innym. Choć nie jest to łatwe, biorąc pod uwagę ostre spojrzenie, które rzuca mi Lotham. Policja woli ukrywać jak najwięcej informacji, nawet przed rodziną zaginionej osoby. Rozumiem to: w dziewięciu na dziesięć przypadków rodzina jest częścią problemu, a nie rozwiązania. Ale pracowałam również przy sprawach, w których takie luki w komunikacji prowadziły do przestojów w śledztwie. Być może gdyby ktoś wspomniał o jakimś nowo odkrytym fakcie członkowi rodziny, to śledczy dowiedzieliby się natychmiast, że taki fakt nie mógł mieć miejsca.

Ponieważ jestem, jak lubi to ujmować Lotham, niewyszkolonym, niedoświadczonym cywilem, nie obowiązują mnie policyjne wytyczne. Mogę zdać się na intuicję. Autentyczny szok, smutek i lęk, jakie widzę na twarzach Guerline i Emmanuela, świadczą, że oboje nie mają pojęcia, co się przytrafiło Angelique. Bez względu na to, w jak wielkie wdepnęła bądź dała się wciągnąć bagno, chcieliby coś o tym wiedzieć.

Pragnę wierzyć, że nadal będą ją kochać. Ale może ma to więcej wspólnego z moimi, nie z ich potrzebami.

– Przyjaciółki Angelique twierdzą, że jesienią przed swoim zniknięciem była jakaś inna – wyjaśnia w końcu Lotham. – Rozkojarzona. Niewykluczone, że poznała kogoś na letnich zajęciach w centrum rekreacyjnym. Zauważyliście coś?

Guerline milczy. Na stole dłoń O'Shaughnessy'ego nadal spoczywa na jej dłoni. Funkcjonariusz ścisną krzepiącym gestem jej palce.

- Moja Angel... była chyba bardziej milcząca - przyznaje w końcu Guerline. - Więcej siedziała przy komputerze. Myślałam, że odrabia lekcje. Nauczyciele w jej klasie byli bardzo wymagający, a ona brała dodatkowe kursy online. Chciała szybciej skończyć szkołę. Sądziłam, że to dobrze. Nie martwiłam się. Nie przyszło mi do głowy, że powinnam się martwić.

Emmanuel opiera głowę o jej ramię.

- Czy Angelique miała własne pieniądze? - pytam.

Guerline zerka na mnie.

- Opiekowała się dziećmi, wykonywała drobne prace. To nie były duże sumy. Ale starczało jej na własne wydatki.

- Odnalazła pani te pieniądze po jej zniknięciu? W torebce, jakiejś szafce?

- Angelique miała mały portfelik zapinany na zamek błyskawiczny. Zniknął razem z nią. Ale... - Guerline marszczy brwi.

Robi to również detektyw Lotham.

- W trakcie przeszukania nie znaleźliśmy w mieszkaniu żadnej gotówki - oznajmia. - Portfela nie było również w plecaku. Miała go pewnie przy sobie, kiedy zniknęła.

- Ile było tych oszczędności, Guerline? Kilkaset dolarów? Kilka tysięcy? To znaczy, jeśli zatrudniano ją jako babysitterkę i nie wydawała kasy na głupstwa...

Guerline kręci głową.

- Wszystkie pieniądze wydawała na dodatkowe kursy. Nie powiem, żeby mi się to podobało. Chciałam sama za nie płacić, żeby miała coś na drobne przyjemności. Ale... - wzrusza ramionami - to ja robię całe zakupy, płacę czynsz i wysyłam pieniądze rodzinie w kraju.

Kiwam głową. Podobnie jak O'Shaughnessy.

- Czyli możemy wykluczyć kwotę rzędu kilkuset dolarów? - cisnę dalej.

Guerline nadal nie jest tego pewna, ale Emmanuel kiwa głową.

- Takiej forsy nie nosi się przy sobie w tej okolicy - mówię do Lothama. - Jeśli miała ją całą w portfelu, kiedy zaginęła...

Najwyraźniej detektywowi w takim samym stopniu jak mnie nie podobają się wnioski wynikające z tego scenariusza. Dziewczyna tak inteligentna jak Angelique na pewno nie chodziłaby po ulicach z dużą gotówką. Ale skoro całe te pieniądze zniknęły... W tamten piątek musiały je wyjąć z ukrycia i wziąć do szkoły. Żeby wydać na coś specjalnego, co zaplanowała na później.

- Nie rozumiem... - mruczy Emmanuel.

- Czy mogłabym was znowu odwiedzić? - zwracam się do Guerline. - Nie dzisiaj, wiem, że jest pani wykończona. Może jutro? Chciałabym się trochę rozejrzeć i poznać bliżej Angelique. Dodatkowa para oczu nigdy nie zaszkodzi.

- Chwileczkę... - odzywa się Lotham swoim zbolalym głosem.

- To pani i mój Emmanuel znaleźliście tę wiadomość - wpada mu w słowo Guerline. - Apel o pomoc od naszej Angel.

Właściwie znalazł ją chłopak, ale chętnie dzieli się z nim zasługą.

- Dlatego powinna pani przyjść. Teraz, już dzisiaj. Minęło kilka tygodni, odkąd wysłała tę wiadomość. Dużo czasu. Moja Angel musi jak najszybciej wrócić do domu.

Jej kategoryczny ton łamie mi serce. Nie wiem, jak zdołam urwać się z baru już drugiego dnia pracy, ale nie mogę jej przecież odmówić. Nawet obaj gliniarze, wpatrujący się we mnie z dezaprobatą, nie odzywają się ani słowem.

Słyszę z tyłu niewyraźny zgrzyt zamka. Chwilę później na salę wchodzi Stoney, z rękami w kieszeniach kurtki. Widząc konferującą w jego zamkniętym barze dziwną grupkę, zatrzymuje się w pół kroku. Mierzy wzrokiem policjantów, chłopca, jego ciotkę i mnie.

Otwieram usta, pragnąc desperacko mu to wszystko wytłumaczyć. Nie przychodzą mi do głowy żadne słowa.

Stoney czeka.

- Twoja kocica zabiła dwie myszy - zawiadamiam go w końcu.

Kiwa głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

- A potem Emmanuel Badeau... znasz Emmanuela? Mieszka w sąsiedztwie. Odkrył coś w laptopie, który dzielił ze swoją siostrą Angélique, tą zaginioną dziewczyną. Więc przyszedł tutaj, a ja zadzwoniłam do detektywa Lothama, a potem przyszli tu ciocia Emmanuela i funkcjonariusz O'Shaughnessy... - W tym momencie tracę oddech.

Stoney ponownie kiwa głową, po czym odwraca się i znika w swoim kantorku.

- Nadal mam tę posadę?! - wołam za nim. - Bo jeśli tak, to będę chciała wziąć sobie wolne...

Bez odpowiedzi.

- Dogadam się z nim - zapewniam Guerline i Emmanuela. - Dogadam się z nim - zapewniam detektywa Lothama.

A potem się przymykam, bo nikt mi nie wierzy, a zresztą mamy teraz na głowie większe problemy.

Rozdział 13

KOŃCZĘ SZYKOWAĆ BAR przed pojawieniem się gości, na wypadek gdyby jednak udało mi się zachować robotę i zakwaterowanie. Stoney jak to Stoney, niewiele daje po sobie poznać. Mówię mu, że wrócę, zanim zrobi się większy ruch. Kiwa głową. Mówię, że nie później niż o piątej. Znow kiwa głową. Mówię, że przykro mi, ale muszę to zrobić.

Mierzy mnie długim spojrzeniem.

Uznawszy, że nasza rozmowa dobiegła końca, wychodzę na zewnątrz. Fakt, że czeka tam na mnie detektyw Lotham, zbytnio mnie nie dziwi.

– Nie powinienes oglądać nagrań sprzed tej kafejki internetowej? – pytam go.

– Prawdziwa policyjna robota nie jest taka szybka. – Wykonuje nieokreślony ruch ręką w moim kierunku.

– Chyba coraz bardziej cię lubię – oznajmiam z uśmiechem.

Lotham przewraca oczami.

Stajemy przed jego standardowym policyjnym samochodem, nieoznakowanym chevroletem.

– Co jest takiego w policyjnych autach, że nawet te nieoznakowane można rozpoznać z odległości kilometra? – rzucam.

– Ciesz się, że to nie furgonetka z lodami.

– Furgonetka z lodami?

– Kupiliśmy parę takich przed kilku laty. Na potrzeby operacji Hoodsie Cup.

Nie wiem, czy mówi poważnie, czy mnie podpuszcza.

– Żeby rozbić spisek lodziarzy, którzy chcieli za pomocą mrożonego kremu waniliowego przejąć władzę nad światem?

- Bardziej żeby jeździć po Roxbury i rozdawać darmowe lody dzieciakom. Nie możemy być przez cały czas aroganckimi, niekompetentnymi dupkami.

- Nie mówiłam, że jesteś niekompetentny. Co innego, jeśli chodzi o arogancję...

Lotham wzdycha i otwiera przede mną drzwi pasażera, ale ja kręcę głową.

- W taki piękny dzień wolę się przejść.

- Zawsze stwarzasz trudności?

- Podobno. Ale mamy ładne popołudnie i zważywszy, że resztę dnia spędzę w zatęchłym barze...

Chyba to go przekonuje, bo zostawia swój pojazd i rusza razem ze mną na piechotę.

- Przeczesałismy całe mieszkanie wyjątkowo dokładnie - uprzedza mnie.

- Wiem.

- Sprowadziłem nawet psy tropiące - mówi z naciskiem, abym nie miała wątpliwości, że chodzi mu o psy szukające narkotyków.

Kolejny szczegół, o którym najprawdopodobniej nigdy nie wspomniał rodzinie. Sądzę, że sprawa Angélique Badeau nadal nie daje mu spać po nocach, a dzisiejsze rewelacje raczej tego nie zmieniają.

- Co myślisz o wiadomości Angélique? - pytam. - *Pomóżcie nam*. To sugeruje, że zagrożona jest więcej niż jedna osoba. Ale jak zauważyli Emmanuel i ciotka, wszystkie jej przyjaciółki są bezpieczne. Więc co to za *my*?

Lotham milczy. Ma zatroskaną minę.

- Żebyśmy mieli jasność - odzywa się po chwili. - Angélique Badeau jest w tym momencie jedyną zaginioną osobą w tej okolicy. Czyli nawet sięgając poza krąg towarzyski tej nastolatki... - Wzrusza ramionami.

Innymi słowy, nie ma żadnego bezpośredniego i oczywistego powiązania między Angélique a innymi potencjalnymi ofiarami. Ciekawe.

– Może porwano ją i jest trzymana z jakąś grupą uciekinierów – myślę na głos. – Albo, biorąc pod uwagę, że handel żywym towarem obejmuje przede wszystkim kobiety, z grupą innych dziewczyn, imigrantek, które przemycono do kraju, żeby tu pracowały. Tego rodzaju ofiary pojawiają się na policyjnych radarach dopiero wtedy, gdy jest już za późno. Choć w jaki sposób Angelique stała się częścią takiej operacji i w co dokładnie wdepnęła... – Milknę.

To wszystko czyste spekulacje. W ostatecznym rozrachunku złowroga wiadomość od Angelique zmienia wszystko... i nie zmienia niczego.

Śledztwo nadal tkwi w martwym punkcie. Nie ma spójnej teorii. Piętnastolatka znika po szkole. Jak, dlaczego, gdzie? Możliwości są nieograniczone. Jednak co najważniejsze, mamy teraz dowód, że Angelique żyje. Ale skoro na tym etapie gry podjęła ryzyko i przesłała zaszyfrowaną wiadomość, jej życie – i życie enigmatycznych *nas* – być może wisi na włosku.

– Nie wiem, czego szukam, kiedy przeczესuję mieszkanie – mówię w końcu. – Na ogół mam po prostu nadzieję, że znajdę cokolwiek.

Lotham kiwa głową, jakby uważał to za całkowicie logiczne. W milczeniu pokonujemy kolejne odcinki między przecznicami.

Przyjemnie się z nim idzie. Podoba mi się jego masywna sylwetka, sprężysty krok. Ludzie jakby schodzą mu z drogi, choć może wynika to w równym stopniu z tego, że jest gliniarzem, co z innych przyczyn. Trudno nie zwrócić na niego uwagi. Kilka jaskrawo ubranych kobiet zerka na niego spod oka, gdy je mija.

– Futbol czy baseball? – pytam, bo sama nie mogę zgadnąć.

– Ani jedno, ani drugie.

Przygryzam wargę i zdaję sobie sprawę, że się wygłupiłam. Złamany nos, poobijana twarz.

– Boks – stwierdzam.

– Wiadomo, że spędziłem trochę czasu na ringu.

– To wtedy ktoś zabawił się w Mike'a Tysona z twoim uchem?

- Nie, to zrobił mój starszy brat, kiedy byliśmy dziećmi. Sporo się biliśmy. Żeby, rozumiesz, czymś się zająć.

- Ilu braci?

- Trzech.

- Dobry Boże, wasza biedna mama.

- Zgadza się.

- Gdzie dorastałeś?

- W Foxborough.

- To gdzieś blisko?

- W południowej części miasta. Rodzice byli nauczycielami. Mama uczyła angielskiego, ojciec był instruktorem gimnastyki w dzień i szkolnym trenerem wieczorami. To było gimnazjum, więc prowadził treningi wszystkiego, co się dało, futbolu jesienią, koszykówki zimą, baseballu na wiosnę. Ale jego pierwszą miłością był boks. W weekendy zabierał mnie i moich braci do klubu. Twoja kolej.

- Dorastałam na Zachodnim Wybrzeżu. Mama ciężko pracowała, tato ostro tankował. Oboje nie żyją.

Przygląda mi się podejrzliwie, kiedy przechodzimy przez jezdnię.

- Wypadek samochodowy - wyjaśniam. - Zawinił kierowca drugiego pojazdu, co było dość szokujące, zważywszy na to, że ojciec wiecznie pił, a matka wiecznie się denerwowała. Facet przekroczył środkową linię i doszło do czołowego zderzenia. Zginęli na miejscu. Co zabawne, moi rodzice byli fatalnym małżeństwem. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widziała, że któreś z nich jest szczęśliwe. Mimo to fakt, że zginęli razem, daje mi rodzaj pociechy.

Lotham kiwa głową na znak, że rozumie.

- Zawodowy żołnierz - rzucam domyślnie, patrząc na jego krótko przycięte włosy. - Być może wojska lądowe, ale z tym wyglądem bardziej były żołnierz piechoty morskiej.

- Nie ma czegoś takiego jak były żołnierz piechoty morskiej - zauważa. - Co po szkole średniej? - pyta.

- Świetne wyniki w imprezowaniu. Teraz spędzam wiele czasu w podziemiach kościołów.

- Ale pracujesz w barze.

- Bliskość gorzały nie jest dla mnie wielkim problemem. A stać za barem to jedyne, co potrafię.

- Nie masz domu. Męża ani dzieci. Po prostu jeździsz po kraju... i robisz to.

- Wtykam nos w problemy innych ludzi?

- Właśnie.

- Coraz bardziej cię lubię. A jak to wygląda u ciebie? Żona, dzieci, dom z ogródkiem?

- Moja praca jest tak absorbująca, że nie szukam innych podniet. Wolny czas wypełniają mi siostrzeńcy i siostrzenice.

- Czyli jesteś ich ulubionym wujkiem? Wpadasz, zabierasz ich na gry wideo, dosładzasz coca-colą, a potem odjeżdżasz w blasku zachodzącego słońca.

- Przyznaję się do winy. - Lotham unosi brew.

Teraz moja kolej. Każdy kogoś ma, nieprawdaż?

- Duchy dawnych świąt Bożego Narodzenia - bąkam, nie zamierzając mówić nic więcej. - No dobrze, runda bonusowa: w tej epoce zadrażnień rasowych, genderowej płynności i politycznej polaryzacji, jak byś się najdokładniej określił?

Lotham krzywi się, ale widzę również, że poważnie się namyśla.

- Czarny mężczyzna - słyszę po chwili. - Nie Afroamerykanin, bo według mojej matki w tym mikście jest znacznie więcej składników, łącznie z portugalskim, choć wiem o tej kulturze niewiele więcej niż o afrykańskiej. Zdecydowanie jestem bostońskim gliniarzem. Nie z Południa, nie z Zachodniego Wybrzeża, ale z Nowej Anglii. A poza tym... dobry syn, cudowny wujek. A ty? Biała, heteroseksualna...?

- Szukasz okazji, tak? - droczę się z nim, lecz zaraz poważnieję. - W kategoriach demograficznych jestem białą heteroseksualną kobietą, postępową agnostyczką, Kalifornijką. Ale po pierwsze i najważniejsze,

jestem uzależniona. Co pozwoliło mi tak dobrze poznać własne słabości, że rozumiem słabości innych.

– Dlatego obcy ludzie chcą z tobą gadać?

– Może jestem po prostu dobrą słuchaczką.

Docieramy do domu Guerline Badeau. Lotham zatrzymuje się przed frontowymi schodkami. Ma białe paprochy na swoim fioletowym krawacie. Muszę się pohamować, by ich nie strzepnąć. Twierdzi, że jest czarnym bostońskim gliniarzem, ale czy tego chce, czy nie, jest dla mnie bezpieczną przystanią podczas burzy.

Chciałabym wejść w milczenie, które go otacza. Oprzeć mu głowę na ramieniu. Odkryć, czy jego bezruch może wpłynąć na moje dzikie, niespokojne ja.

Uświadamiam sobie, że się do niego nachylam.

– Dlaczego to robisz? – pyta łagodnie, szukając mojego wzroku.

– Nie mam pojęcia.

– Czego szukasz?

– Prawdy.

– Nawet jeśli jest szpetna?

– Zawsze jest szpetna.

– Postaraj się nie skrzywdzić zbyt tej rodziny – mówi cicho.

I muszę się uśmiechnąć, bo dobrze go rozumiem. Te sprawy zaginionych osób...

Odwracam się i zaczynam wchodzić po schodach. Po krótkiej chwili Lotham rusza za mną.

KIEDY EMMANUEL WPUSZCZA NAS do środka, jego ciotka stoi przy kuchence i rzuca oprószoną mąką udko kurczaka na patelnię ze skwierczącym olejem. Do pierwszego udka szybko dołączają cztery następne.

Widząc nas, Guerline zostawia udka, bierze dzbanek i bez pytania nalewa nam do kubków kawy. Wypiłam już chyba od rana tyle kawy, ile sama ważę, i mam ochotę spasować, ale powstrzymuje mnie wyraz jej twarzy.

Stoicki, lecz serdeczny. Robi to, co do niej należy, tak jak wcześniej dzisiaj robiłam ja.

– Nie odmawiaj – mruczy Lotham. – Dla Haitańczyków to ważne. Wypij.

Biorę kubek i wylewnie jej dziękuję. Pamiętam, że w trakcie mojej pierwszej wizyty nie poczęstowała mnie kawą, i doceniam fakt, że zyskałam w jej oczach, choć jednocześnie zastanawiam się, jak długo to potrwa.

Pokój jest zbyt mały dla czterech osób, zwłaszcza gdy jedna z nich jest w rozmiarze XXL. Lotham sam chyba to widzi. Wypija duszkiem kawę i wycofuje się na klatkę schodową, skąd już po chwili słyszę, jak nawija przez telefon.

Emmanuel zostaje ze mną i wykręca sobie nerwowo palce.

– Co chciałaby pani zobaczyć? – pyta w końcu.

Guerline cofa się dwa kroki w ciasnej przestrzeni, by rzucić na patelnię kolejne udka, które skwierczą i syczą.

– Pokaż mi, jak mieszkanie.

Chłopak wskazuje drzwi prowadzące do jedynej sypialni, którą zajmuje ciotka. Naprzeciwko jest ciasna łazienka z zabudowaną umywalką, sedesem oraz wanną z prysznicem. Nad umywalką lustrzana szafka na leki, nad sedesem tanie półki. Ich wspólna przestrzeń jest straszliwie zagracona, co oznacza dla mnie mnóstwo pracy.

Na razie wracam z Emmanuelem do pokoju dziennego.

– Tu spała LiLi. – Pokazuje palcem sofę. – Tu ja. – Wskazuje na podłogę. Następnie macha ręką w stronę szafki nocnej przy sofie, komódki, a także zastawionej książkami najniższej półki w szafce pod telewizor. – To wszystko mojej siostry.

Poza tym w pokoju są jeszcze tylko dwa meble, w których są prawdopodobnie jego rzeczy.

Teren poszukiwań nie jest zatem duży, ale biorąc pod uwagę liczbę osobistych drobiazgów, rodzinnych fotografii i najprzeróżniejszych

świecidełek, mam sporo do przejrzania. Przypomina to zagłębienie do ciemnego lasu, w którym usiłuje się dostrzec pojedynczy liść.

Siadam na sofie, a po sekundzie znów wstaję.

– Gdzie siadała twoja siostra? – pytam Emmanuela. – Każdy ma swoje miejsce.

Chłopak wskazuje sam koniec sofy, tuż przy ścianie. Obok, na szafce nocnej, stoi wielgachna ceramiczna lampa, znakomite źródło światła dla kogoś lubiącego czytać.

– Jak siedziała? – pytam dalej. – Prosto, bokiem, z podwiniętymi nogami?

Emmanuel marszczy czoło, podchodzi do sofy i po krótkim namyśle siada w określonej pozycji. Bokiem, z podwiniętymi pod siebie nogami. Jak najbliżej światła.

Dziękuję mu skinieniem głowy, zajmuję to miejsce i przez dłuższą chwilę zupełnie nic nie robię. Po prostu tam siedzę, starając się zobaczyć to, co widziała Angelique. Nie stertę kłopotów, ale fragmenty pamięci piętnastoletniej dziewczyny, z rodziny rozdarłej między tym krajem a wyspą, którą nazywali domem.

Emmanuel przechodzi do kuchni i siada przy stole, przed swoim pokrytym nalepkami laptopem. Nie wiem, czy odrabia lekcje, aktualizuje informacje na temat siostry, czy zagłada na stronę jej wirtualnej szkoły. Zastanawiam się, co myślą jego koledzy. I czy w ogóle ma się komu zwierzyć.

Skupiam ponownie wzrok na ścianie przed sobą, a potem wstaję i zaczynam otwierać kolejne szuflady komódki. Przerzucając sterty cudzych ubrań, czuję się intruzem. Fakt, że rodzina jest w tym samym pomieszczeniu, wcale nie pomaga. Staram się przeszukiwać rzeczy szybko i dokładnie. Wystarczająco trudne jest robienie tego raz; lepiej, żebym nie musiała tego powtarzać.

Nie trafiam na żadne schowane notatki, zdjęcia ani pamiętniki. Obmacuję każdą szufladę, sprawdzając, czy nie ma podwójnego dna, a potem zaglądam za komódkę. Są pewne rutynowe miejsca, w których

zawsze chowa się kontrabandę: pod klepkami podłogi, za meblami, przymocowane taśmą pod półkami regału.

Odwrócona plecami do kuchni, biorę ramkę ze zdjęciem mamy Angélique i dyskretnie ją rozmontowuję. Moje wysiłki zostają nagrodzone odkryciem kawałka grubego białego papieru, na którym jakieś dziecko narysowało kredkami serce i kwiaty. Na górze napisane jest dużymi zaokrąglonymi literami: *Mwen renmen ou*.

Nie muszę znać kreolskiego, by wiedzieć, co to znaczy. Kocham cię.

Chowam laurkę z powrotem za fotografią, jeszcze bardziej czując się intruzem. Obchodzę półki na książki, prowizoryczny ołtarzyk i bujną roślinność w doniczkach. Pracowałam kiedyś przy sprawie zaginionej osoby, gdzie pendrive z nielegalnymi zdjęciami ukryto w doniczce ze sztucznym fikusem. Tutaj ziemia jest jednak wilgotna i gliniasta. I nikt jej ostatnio nie ruszał.

Przenoszę się do łazienki, gdzie przeglądam szafki z lekami i stojące na półce nad sedesem kosmetyki. Potrząsam sprayami, sprawdzając, czy nie mają podwójnego dna. Otwieram na wszelki wypadek słoiczki z kremami. Nie znajduję niczego w ręczce szczotki do włosów czy przyklejonego taśmą pod pokrywą spłuczki, czy też przymocowanego pod umywalką.

Sprawdzam listwy przypodłogowe i framugi drzwi, a potem opróżniam szafkę pod umywalką. Dużo detergentów, papieru toaletowego i środków higieny intymnej. Zważywszy, że klasycznym sposobem ukrywania gotówki przez podróżnych jest chowanie jej w opakowaniach podpasek albo tamponów, wyciągam wszystko z każdego pudełka. Podnosząc wzrok, widzę, że detektyw Lotham wrócił, patrzy na mnie i kręci głową. Wzruszam ramionami i kontynuuję swoją robotę.

Kolejne klasyczne kryjówki. W lodówce. W drzwiach lodówki. Pomiędzy szafkami albo pod listwami sufitowymi. Znalazłam raz działkę dragów w odkurzaczu. Okazało się, że działka należała do faceta matki i nie miała nic wspólnego z zaginięciem jej syna, ale gość był na mnie wkurzony przez kilka miesięcy. I owszem, zepsuło to moje stosunki z całą rodziną.

Ostatecznie odkryłam ciało dziewięciolatka na działce jego dziadka, w bagażniku stojącego tam auta. Proces o morderstwo ma się rozpocząć w przyszłym roku.

Idę z powrotem do pokoju dziennego i podchodzę do sofy. Zdejmuję z niej poduszkę po poduszce. Na szczęście nie jest rozkładana, bo musiałabym przearanżować cały pokój.

A potem wracam na moje miejsce przy końcu sofy i znów próbuję myśleć jak piętnastolatka. Tutaj oglądam telewizję, surfuję w telefonie, spędzam czas z rodziną. I tutaj zostaję do późna, układam się do snu, budzę się nazajutrz. W całym mieszkaniu ten róg sofy, ta szafka nocna i ta komódka są wyłącznie moje. Skrawki prywatności, w której obecny jest również mój młodszy brat, śpiący i budzący się obok mnie.

I może mi to nie przeszkadza. Broniłam brata przed ojcem. Wyprowadziłam go z walącego się w gruzy domu. Nawet teraz obiecałam mu lepszą przyszłość.

Ale może kogoś poznałam? Albo ktoś mnie znalazł?

Może, przez krótką chwilę, chciałam mieć własne marzenia, własną tajemnicę, własne życie. Ale jakim cudem? W tak małym miejscu, w tak zatłoczonym mieszkaniu, gdzie muszę dzielić z kimś nawet komputer...

Zostawiam zdjęcia i zaczynam inspekcję książek. Wyciągam każdą z nich, czytam tytuł, przetrząsam strony. Kilka jest po francusku, ale większość po angielsku. Żadna nie jest książką, którą bym rozumiała. Angélique najwyraźniej lubiła czytać wszystko, łącznie z biografiami Marii Skłodowskiej-Curie i Elizabeth Blackwell. Przerzucam kartki atlasu anatomii, między które wsunięte są niewiarygodnie realistyczne szkice, przedstawiające szkielet i grupy mięśni. Dziewczyzna była utalentowaną rysowniczką, przynajmniej dla mojego niewprawnego oka.

Odpuszczam sobie książki i wracam na sofę. Jestem tu już ponad godzinę. Udka kurczaka są gotowe i w tym momencie grzeją się w piekarniku. Jeśli nawet wcześniej nie byłam intruzem, to teraz jestem nim na pewno. Guerline siadła obok siostrzeńca przy stole i oboje coraz bardziej się niecierpliwią. Powinnam ich zostawić, żeby mogli się w końcu odprężyć.

Ostatnia próba. Mam piętnaście lat. Poznałam nową przyjaciółkę... chłopaka... kogoś intrygującego...

Nie wiem, w co się wdała Angelique, i na tym polega problem. Ale wiem o jednej rzeczy, którą miała... o drugiej komórce. Którą musiała ukrywać przed ciotką i bratem. Ale chciała ją często sprawdzać...

Obracam się dokoła. Nie ma nic wetkniętego między poduszki sofy. Nic przymocowanego taśmą pod niskim stolikiem, nic pod samą sofą.

Sięgam w stronę szafki nocnej, zapalam kolorową lampę i w tym momencie po prostu... już wiem. Miejsce Angelique na sofie. To, jak siedziała, nie nachylając się do przodu ani nie garbiąc, zwrócona ku ścianie.

Myślałam, że chodzi o lepsze światło do czytania, ale może chodziło po prostu o lepsze światło.

Wykręcam żarówkę. A potem biorę do ręki całą lampę, z jej wielką ceramiczną podstawą w czerwono-fioletowo-turkusową kratę. Kiedy nią potrząsam, w środku nic nie grzechocze ani się nie porusza. Ale jest taka ciężka, taka solidna, taka mocna. Obmacuję jej podstawę, aż moje palce natrafiają na śrubę, która trzyma wszystko razem. Nie potrzebuję żadnego klucza. Śruba jest luźna, tylko czeka, by ją odkręcić.

Robię to, a następnie powoli zdejmuję podstawę i w tym momencie na podłogę wypadają rulony banknotów. Jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty. Nie setki, ale tysiące ciasno zwiniętych dolarów.

Słyszę skrzypienie, kiedy Emmanuel podrywa się z krzesła. Cichy straszny jęk Guerline, która podnosi rękę do ust.

W drzwiach pojawia się detektyw Lotham.

Wytrząsam z lampy trzy kolejne rulony. Patrzymy wszyscy, jak toczą się po dywaniku. Tysiące dolarów w twardej gotówce. Pieniądze, których żaden nastolatek nie zdoła zarobić w legalny sposób.

Guerline chowa twarz w dłoniach i zaczyna płakać.

Rozdział 14

KIEDY WRACAM W KOŃCU DO PUBU Stoneya, miłośnicy happy hour nie zamierzają mi odpuścić. Łapię fartuch, myję ręce i rzucam się w wir pracy; nalewam piwo i podaję dania.

Cały czas wracam pamięcią do banknotów ukrytych w lampie Angelique. Kiedy stamtąd wychodziłam, detektyw Lotham pakował je do torebek na dowody rzeczowe. Sam fakt, że ani Guerline, ani Emmanuel nie protestowali przeciwko zabraniu tak dużej sumy z ich skromnego mieszkanka, potwierdzał, że pieniądze nie były ich, i nie wróży to dobrze.

Nie będąc kimś, kto oficjalnie prowadzi śledztwo, mogę się tylko domyślać, jakiego rodzaju badaniom zostanie poddana gotówka. Na pewno poszukają odcisków palców. Z mojego doświadczenia wynika, że z nowych banknotów można często zdjąć użyteczne odciski. Ale jeśli były długo w obiegu, dotykało ich zbyt wiele brudnych rąk, które zostawiły totalny miszmasz.

Sprawdzą każdy banknot, szukając cząsteczek chemicznych. Śladów narkotyków. Może jakiejś rzadkiej pleśni, którą można znaleźć tylko w jednej piwnicy w Bostonie. Albo czegoś innego.

Czytałam o sprawie, w której numery seryjne banknotów pozwoliły policji namierzyć konkretny bankomat, sprawdzić nagrania z monitoringu i zidentyfikować osobę, która podjęła gotówkę. Byłoby pięknie, gdyby coś takiego udało się i w tym przypadku. Biorąc jednak pod uwagę, jak ciasno były zwinięte banknoty, obawiam się, że nie będzie tutaj kolejnych numerów seryjnych wprost z drukarni ani w ogóle jakiegokolwiek użytecznej informacji.

Wyglądało na to, że w każdym rulonie były setki, jeśli nie tysiące dolarów. Co daje razem kilkanaście tysięcy. Jakiego rodzaju pracę może wykonywać nastolatka, żeby zarobić taką kupę szmalu?

Pierwszą rzeczą, jaka przychodzi na myśl, jest prostytutka. Pasowałyby to do tego, co wiemy o handlu żywym towarem. Ale przecież nie widziałam tam żadnych seksownych strojów ani gadżetów. A zresztą kiedy? Angélique spała w jednym pokoju z bratem. Jeśli wykradała się w nocy, na pewno by nam o tym powiedział. Nie wspominając już, że kilkanaście tysięcy to jednak bardzo dużo jak na tego rodzaju scenariusz. Żaden alfons nie chce, żeby jego pracownicy zdobyły finansową niezależność.

– Długo będzie pani łała to piwo? – Głos klienta wrywa mnie z zamyślenia.

I rzeczywiście, szklanka jest pełna i piana spływa teraz po bokach. Czerwienię się, zakręcam kranik i podaję piwo do stolika.

Kiedy wracam za bar, Stoney zastanawia się chyba, czy nie lepiej byłoby nie mieć barmanki do pomocy. Pewnie ma rację.

– Nielegalne dochody – mówię mu. – Jakie są lokalne opcje?

Ustawiając brudne szklanki na tacy, która ma trafić do kuchni, najwyraźniej bierze na serio moje pytanie.

– Dragi.

– Nie ma żadnych śladów towaru, poza tym psy wywęchałyby gotówkę, gdyby miała jakikolwiek kontakt z amfą, heroiną, czymkolwiek.

Stawiam w rzędzie cztery szklanki, wrzucam do nich kostki lodu i zaczynam łać rum.

Stoney przyjmuje do wiadomości moją odpowiedź.

– W takim razie seks.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne.

– Kradziony towar.

O tym nie pomyślałam. Zalewam rum colą i wychodzę z baru, żeby podać drinki do stolika. Kiedy wracam, okazuje się, że Stoney zdążył już odnieść do kuchni tacę ze szklankami i teraz wypisuje klientowi rachunek.

– Jakiego rodzaju kradziony towar? – pytam.

– Elektronika. Komórki. Broń.

– Nie sądzę, żeby nasza dziewczyna miała tego rodzaju umiejętności albo środki. To pilna uczennica. Chce zostać lekarką, kiedy dorośnie.

Z kuchni wyłania się, co nie zdarza jej się często, Viv i podaje mi trzy talerze. Zanoszę je na koniec baru, odbierając w drodze powrotnej zamówienie na dzbanek piwa.

– Sprzedaż nerki? – próbuje nadal Stoney.

– Rodzina by to chyba zauważyła – odpowiadam i zaczynam nalewać piwo do dzbanka.

Mogłabym zapytać o niedawne zabiegi. Może Angelique miała operację wyrostka robaczkowego, która tak naprawdę wcale nie była operacją wyrostka? Albo wycięli jej migdałki, które wcale nie były migdałkami? Choć nie wydaje się to zbyt prawdopodobne, biorąc pod uwagę, w jakiej mieszkała ciasnocie.

– Kopiowanie kart kredytowych. – Stoney nie daje za wygraną. – Kradzież tożsamości.

Warto to rozważyć. Wiemy, że Angelique miała fałszywe prawo jazdy, więc może też kartę kredytową na inne nazwisko? Mogła kupować w sieci jakieś towary, odbierać je w domu, a potem sprzedawać w lokalnych sklepach za gotówkę. Jednak taka działalność zwróciłaby czyjąś uwagę i do tej pory policja już by to wykryła. Chyba że przesyłki trafiały pod inny adres. Czyżby dopuściła kogoś do zмовy? Drugą połowę *nas*? Ciekawe.

Do obrazu Angelique, jaki sobie stworzyłam, najbardziej pasuje opcja przestępstwa białych kołnierzyków. Ale ten obraz opiera się na informacjach od rodziny i przyjaciół, którzy najwyraźniej nie wszystko o niej wiedzą.

Angelique chodziła w dzień do normalnej szkoły, a wieczorami uczyła się na kursach online. Dużo nauki, zwykłej i wirtualnej, jak na jedną nastolatkę. Czy coś może się za tym kryć? Nielegalna działalność pod pozorem odrabiania lekcji? Może sprzedawała odpowiedzi na testy albo prace semestralne? Ale czy zarobiłaby na tym kilkadziesiąt tysięcy? Czy w szkole średniej i na kursach internetowych jest dość dzieciaków, by zapewnić tego rzędu dochód? Analizuję to na wszelkie sposoby, ale nadal

nie przychodzi mi do głowy żadna legalna bądź też nielegalna działalność, która przyniosłaby tyle gotówki.

Może po prostu dziewczyna znalazła te pieniądze? Albo je ukradła? Może nie handlowała heroiną, ale opiekowała się, powiedzmy, dziećmi narkotykowego barona, znalazła pakiet gotówki i uznała, że ujdzie jej na sucho, jeśli je zabierze. A narkotykowy baron to odkrył i...

W tym momencie mam do rozważenia wiele możliwości: w większości z nich Angelique obrywa dla przykładu kulką albo jest przez jedenaście miesięcy więziona. Narkotykowi baronowie nie należą do ludzi subtelnych.

Nalewam wódkę do kieliszków i przyrządzam drinki. Robię to automatycznie – kobieta, która spędziła większość dorosłego życia w barach – podczas gdy trybiki w mojej głowie bez przerwy się obracają.

Wszystko to sprawia, że brakuje mi pogody ducha.

Pomóżcie nam, napisała szyfrem Angelique. Dziewczyna, która wpadła w tarapaty i jest tak zdesperowana, że szuka kontaktu. Zgadzam się z tym, co powiedział detektyw Lotham – to, że nikt nie wszedł do tej kafejki i nie wycelował do niej z pistoletu, wcale nie oznacza, że nic jej nie grozi.

W tym momencie do głowy przychodzi mi inna możliwość, bardziej ponura i przerażająca od innych. Angelique mogła zostać porwana, by grać rolę przynęty. Cicha i ładna imigrantka. Przetrzymana wbrew swojej woli i wysyłana na przystanki autobusowe i stacje kolejowe, żeby spotykać się z innymi niczego niepodejrzewającymi nastolatkami i zachęcać je, by poznały jej „przyjaciół”: handlarzy żywym towarem, alfonsów i dilerów. Jak bardzo może to zdeformować psychikę kogoś o naturalnych instynktach opiekuńczych, dziewczyny, która uratowała własną matkę i brata?

Jeśli postraszone ją, że coś złego spotka jej rodzinę tutaj albo na Haiti, i to zagrożenie było realne, nie miała pewnie innego wyboru, jak się podporządkować.

Taki scenariusz nie wyjaśnia, dlaczego Angelique miała schowane w lampie rulony banknotów, ale może tłumaczyć jej zniknięcie oraz nagłe pojawienie się z powrotem i apel o pomoc.

Jeśli chodzi o to, jak dała się wplątać w handel żywym towarem, widzę tylko jedną możliwość: wakacyjny program w centrum rekreacyjnym. Według jej przyjaciółek wróciła stamtąd bardziej zdystansowana. Bo kogoś tam poznała? Coś zobaczyła? Nie mam pojęcia, ale wydaje się to tak samo dobrym punktem wyjścia jak cokolwiek innego. Jutro rano odnajdę mojego nowego przyjaciela Charliego i utnę sobie z nim pogawędkę. Podobnie jak Angelique najlepiej mi idzie, kiedy mam jakiś plan.

To sprawia, że zaczynam się zastanawiać, gdzie jest teraz Angelique. Czy jest przerażona, czy zdeterminowana? Tęskni za bratem czy pogodziła się z losem?

I co oznacza tajemnicze *nas*? Inną dziewczynę? Kilka dziewczyn? Kilkadziesiąt? I wszystkie czekają, aż ktoś wybawi je z otchłani?

Wynikające z tego implikacje, odpowiedzialność za tyle ludzkich istnień, podczas gdy nigdy dotąd nie udało mi się odnaleźć nikogo żywego...

Nie mogę o tym myśleć.

O Angelique i innych. Gdzieś tam, bezbronnych.

Proszę, proszę, proszę. Niech mi się uda, choćby ze względu na nie.

KIEDY OSTATNIE NOCNE MARKI znikają za drzwiami, wpadam w posępny nastrój. W milczeniu szoruję i wycieram, ustawiam i zamiatam. Viv w kuchni czyści frytkownicę, Stoney liczy kasę.

To był długi dzień. Powinam iść na spotkanie, a potem trochę się przespać. A może trochę pobiegać. Jest późno, ciemno i niebezpiecznie, lecz nigdy dotąd mnie to nie powstrzymywało. Czasami krew krąży mi zbyt blisko skóry. Czuję, jak moje połączenia nerwowe iskrzą i zapalają się, jak rośnie ucisk w klatce piersiowej.

Dawno, dawno temu poszłabym do baru, wychyliła parę tequili i tańczyła do upadłego. Tańczyłabym, piła i tańczyła. A może tylko piła. Zapomnienie. Tego szukałam i tego nadal szukam.

Tej drogocennej chwili, kiedy nie jestem już uwięziona we własnej głowie. Wiedząc o rzeczach, o których nie chcę wiedzieć. Pamiętając

o tym, o czym nie chcę pamiętać. Bolejąc nad tym, czego już nie zmienię.

Myślę o Paulu, co robię zbyt często. O jego ustach, które muskają moją szyję. O jego silnych dłoniach, łaskoczących mnie włosach. O tym, jak na początku czułam się z nim bezpieczna. I jak w końcu złamałam mu serce i straciłam do reszty poczucie własnej wartości.

Nie chcę iść na spotkanie. Nie chcę biegać. Chcę złapać butelkę Hornitos, wbiec na górę i wybrać jego numer telefonu. Ból będzie szybki i dotkliwy. Jakbym cięła duszę brzytwą. A potem mogę tam leżeć, wykrwawiać się i złopać tequilę. Pić i się upadlać. Może mordercza Piper też lubi imprezy, na których użalamy się nad sobą. Kto wie.

Viv wybiega z kuchni, po drodze wkładając ręce w rękawy płaszcza. Jej mąż czeka tuż za drzwiami, żeby zabrać ją do domu. To takie słodkie i czarujące i jest solą na moje otwarte rany. Uzależnieni są wyjątkowo dobrzy w tej grze. Życie innych ludzi jest łatwiejsze, lepsze, szczęśliwsze. Gdybyśmy byli tymi ludźmi, nie musielibyśmy się znowu napić.

To zawsze вина kogoś innego. Wina wszechświata. Nigdy nasza własna.

Idź na spotkanie. Wyjdź frontowymi drzwiami i idź tam. Zerkam na baterię butelek stojących przy tylnej ścianie. Czuję, jak bestia budzi się w moim brzuchu, otwiera oczy, wyciąga pazury.

To był ciężki dzień. A ja jestem zmęczona i samotna. I biała. Dobry Boże, kiedy stałam się tym świecącym w ciemności, niemożliwie białym neonem, na który wszyscy się gapią i którego nikt nie zna? Kolor mojej skóry uczynił mnie wrogiem, chodzącą reklamą uprzywilejowania i dominacji, tyle że ja w ogóle tak się nie czuję. Czuję się tak jak zawsze. Rozbita. Jakby cała reszta świata wiedziała coś, czego ja nie wiem. Czują rzeczy, których ja nie czuję. Kontaktowała się ze sobą w sposób, w jaki ja nie potrafię się kontaktować.

Oczywiście spędziłam dość czasu w marginalizowanych społecznościach, by wiedzieć, że to nie jest cała historia. Że mimo całego zżerającego mnie niepokoju tak naprawdę dorastałam z ograniczoną liczbą lęków i nieograniczoną liczbą marzeń. Wierzyłam w system i nie przychodziło mi do głowy, by go kwestionować. Rozumiałam świat

intuicyjnie i wiedziałam, jakie mam w nim miejsce. Nie mówiąc już o dachu nad głową, pełnej lodówce i bezpiecznej okolicy, w której się wychowywałam.

Co jest prawdziwym przywilejem.

Powinnam iść na to spotkanie. Po prostu stąd wyjść, odnaleźć moich pobratymców i pozbyć się przygniatającego mnie ciężaru. Odetchnąć.

Niespokojny smok, teraz całkiem wybudzony, przeciąga się. Szepcze mi do ucha, przypomina mój pierwszy wypity alkohol, łyk jacka daniel'sa z colą, ze szklanki, którą ośmioletnia ja niosłam bełkoczącemu już lekko ojcu. Spływające po gardle kofeina i bourbon, jednocześnie gorące i zimne, rozpuszczające się i palące. A potem rozchodzące się powoli uczucie euforii, które oblekło rumieńcem moją niewiarygodnie młodą twarz.

Nie całą butelkę. Tylko jeden kieliszek. Najwyżej dwa lub trzy. A potem pójdę spać. Sen jest dobry. Poczuję się lepiej, kiedy się wyśpię.

– Siadaj. – Stoney staje przede mną, bierze krzesło, które właśnie postawiłam na stoliku, obraca je i stawia z powrotem na podłodze. – Siadaj.

Robię to.

Obok pierwszego krzesła stawia drugie. Potem znika, a ja zamykam oczy i liczę do stu piątkami, a kiedy to nic nie daje, siódemkami. Dochodzę do osiemdziesięciu czterech, gdy Stoney znów się pojawia, niosąc dwa kubki kawy.

– Bezkofeinowa. – Jeden kubek zostawia sobie, drugi daje mnie.

Siada naprzeciwko i przez dłuższą chwilę oboje pijemy w milczeniu.

– Żonaty? – pytam go w końcu.

Ucisk w klatce piersiowej słabnie, ale zaciskam palce na kubku jak na kotwicy. Kolejna sztuczka. Opisz szybko i jak najbardziej szczegółowo pięć rzeczy, które w tym momencie przed sobą widzisz. „Widzę coś, co zaczyna się na literę...” – jako ćwiczenie uziemiające. Jeśli nie działa, opisuje się pięć rzeczy odbieranych każdym z pięciu zmysłów. Zapach świeżo

zaparzonej kawy. Brzęczenie jarzeniówek. Nieprzenikniony wyraz twarzy Stoneya. Smak żalu.

– Byłem – odpowiada po dłuższej chwili. – Zmarła. Na raka macicy.

– Przykro mi.

– To było trzydzieści cudownych lat. Cieszyłem się każdą minutą. Byłem cholernym szczęściarzem.

– Dzieci?

– Trójka. Dwie dziewczyny, jeden chłopak. Jedna z córek mieszka na Florydzie. Powtarza ciągle, żebym zamieszkał z nią i jej rodziną. Ale mój dom jest tutaj.

– Tu dorastałeś?

– Urodziłem się w New Jersey. Ale przeniosłem się tutaj, kiedy byłem nastolatkiem. Czyli jestem prawie tutejszy.

– Ta dzielnica, ten bar... tu są twoje wspomnienia.

– Wszędzie widzę moją Camille – mówi Stoney. – I nie skarżę się.

– Wnuki?

– Czwórka. W wieku od trzech do ośmiu lat. Dwójka na Florydzie, dwójka w Nowym Jorku.

– Wszystkie twoje dzieci mają rodziny?

– Tylko córki. Syn, Jerome, zmarł w wieku szesnastu lat. Nie jest łatwo być młodym czarnym mężczyzną. Jeszcze trudniej, kiedy ma się szesnaście lat, pusto w głowie i wpada się w złe towarzystwo.

Jak zwykle u Stoneya najważniejsze jest to, czego nie mówi.

– Gangi czy dragi? – pytam.

– Dragi. Jego matce pękło serce. – Ojcu również, ale to się rozumie samo przez się.

– Chcesz dożyć swoich dni w tym barze? – pytam.

– Taki mam plan.

– Jak to jest? – szepczę. – Wiedzieć dokładnie, czego się chce? Wiedzieć, że tu jest twój dom. Czuć, że tu należysz?

Stoney nie odpowiada, ale właściwie wcale się tego po nim nie spodziewałam.

- Znasz tę rodzinę? - Teraz jego kolej na zadawanie pytań. - Tej zaginionej dziewczyny, Badeau.

- Nie. To jest coś, czym się zajmuję. Sprawdzam stare sprawy dotyczące zaginionych ludzi. A potem ich odnajduję.

- Ile razy ci się udało?

- Czternaście.

- Od jak dawna?

- Dziewięć lat. Mniej więcej.

- Od czego się zaczęło?

- Czysty przypadek. Dopiero co zaczęłam chodzić na spotkania Anonimowych Alkoholików. Jedna z kobiet nie umiała się pogodzić z zaginięciem córki. Policja uważała, że dziewczyna uciekła z domu. Margaret w to nie wierzyła, ale nie mogła się z nimi spierać. Zadałam kilka pytań, z których wynikły następne i jeszcze następne. Uzależnieni są obsesyjni. Ostatecznie namierzyłam córkę Margaret w jakiejś noclegowni, w której zaszył się z nią jej przemocowy chłopak. Dziewczyna była nieletnia, więc wezwałam gliny. Mieli zamiar go aresztować, ale on najpierw zabił ją, a potem siebie. Klasyczne rozszerzone samobójstwo.

- Niezbyt szczęśliwa historia.

- Tak, ale może dlatego wciąż wracam po więcej. Nie wierzę w szczęśliwe historie. I dobrze rozumiem tego rodzaju sprawy, tego rodzaju sytuacje.

Stoney kiwa głową i upija łyk kawy.

- Dziękuję - mówię w końcu.

Bez komentarza.

- Wiesz, że twoja kocica jest stuknięta? I że to seryjna zabójczyni?

Bez komentarza.

- Ale przyjemnie mruczy - przyznaję.

Stoney uśmiecha się. Oboje dopijamy kawę, a potem razem ustawiamy z powrotem krzesła na stoliku i zmywamy kubki i dzbanek.

Stoney idzie do domu, a ja, bez butelki w ręce, idę do siebie na górę.

ŚNI MI SIĘ ANGELIQUE. Biegnie długą ciemną alejką, która z każdym krokiem staje się dłuższa i ciemniejsza. Widzę tylko jej śmigające nogi i ręce oraz unoszące się i falujące ciemne włosy, które wystają spod jaskrawoczerwonej bejsbolowej czapki.

„Pomóż mi!”, krzyczy, znikając za rogiem. Tyle że kiedy tam docieram, ona już znowu skręca. Więc biegnę za nią, w lewo i w prawo, biegnę zyzgakiem, ale wciąż jej nie doganiam. Słyszę tylko echo jej kroków i zdyszany oddech.

„Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi...”

Ciemna alejka nagle znika i stoję na skraju drogi, spoglądając na rozbity samochód moich rodziców i ich zakrwawione twarze, wciśnięte w przednią szybę.

Nie, jestem pod wodą i staram się wyrwać rękę z kościstego uścisku Lani Whitehorse, która ciągnie mnie coraz głębiej w dół.

Próbuję się uszczypnąć. Próbuję wrzasnąć, żeby się obudzić, ale bez skutku. Tkwię dalej w tym koszmarnym pokazie slajdów, w którym sceny są coraz straszniejsze i bardziej okrutne...

Paul. Jego głowa na moich kolanach, ciało skąpane we krwi.

„Coś ty zrobiła?! – krzyczy, wyciągając ku mnie zakrzywione, szponiaste palce. – Coś ty zrobiła, Frankie?”

Ćśś, chcę mu powiedzieć. Zachowaj siły.

Ale jest za późno. Chłopak wrzeszczy, pada strzał. Nie ma gdzie się schować, nie możemy nic zrobić. Biorę Paula za rękę.

„Coś ty zrobiła?”, pyta mnie po raz ostatni, kiedy uchodzi z niego życie.

Tyle krwi. Za dużo. Mimo to nadal ściska moją rękę. Nadal na mnie patrzy.

„Kochałam cię”.

I w tym momencie zamykam oczy. Wokół nas eksploduje światło, bolesne, jaskrawe, przesywające. Krzyczę. We śnie i w moim łóżku.

Modłę się, żeby ból był krótki.

Teraz, tak jak i wcześniej, nie jest.

Rozdział 15

RANO JESTEM PÓLPRZYTOMNA. Budzę się przerażona, z uciskiem w żołądku. Przez chwilę leżę nieruchomo. Upiłam się. To chyba to. Odpuściłam sobie, skapitulowałam przed bestią, a teraz znów będę musiała zaczynać wszystko od nowa.

Czuję, jak z oczu zaczynają mi płynąć łzy, ale potem tuman snu się rozwiewa i uświadamiam sobie, że wcale nie pękłam. Stoney ściągnął krzesło ze stolika. I ze mną rozmawiał. Teraz płaczę z czystej radości, bo trzeźwość jest jedyną rzeczą, która udała mi się w całym moim pojebanym, żalonym życiu, i gdybym miała ją stracić...

Dzisiaj pójdę na spotkanie. Jeszcze przed pracą, obiecuję sobie. W południe też muszą się gdzieś spotykać. Zawsze się spotykają.

Siadam, opuszczam stopy i nagle zdaję sobie sprawę, że coś się zmieniło. Żadne pazury nie kaleczą mi pięt. Żadne martwe gryzonie nie leżą na podłodze. I nie pamiętam też, by kojący koci pomruk łagodził moje koszmary.

Zaglądam pod materac. Nie widzę zielonych rozjarzonych oczu. Zerkam na miskę z wodą. Nietknięta.

Moja sublokatorka najwyraźniej nie wróciła wczoraj do domu. Zważywszy, że mieszkamy ze sobą dość krótko, nie powinno mnie to martwić, lecz martwi. Myję zęby, biorę prysznic i ubieram się, przez cały czas nasłuchując, czy Piper nie wchodzi przez swoje drzwiczki. Kiedy jestem już gotowa do wyjścia, nadal nie ma po niej śladu. Czuję, że powinnam zostawić jej coś do jedzenia, ale ciągle jeszcze nie wybrałam się do spożywczego i moja lodówka jest pusta.

Idę na dół do kuchni i znajduję tam kawał sera. Odcinam plasterek. Nie wydaje mi się, by Stoney lub Viv mieli coś przeciwko temu. Kruszę ser

na drobniejsze kawałki, wracam do mojego pokoju i kładę przekąski przy misce z wodą.

Nie jestem pewna, co jeszcze mogłabym zrobić, więc choć nadal nie czuję się najlepiej, zaczynam realizować swój plan dnia.

Nie wiem zbyt wiele na temat centrum rekreacyjnego. Mam je na mojej wydrukowanej mapce: duży budynek w morzu zieleni. Tak duży park pośrodku gęsto zaludnionego śródmiejskiego terenu ponownie mnie zdumiewa. Ale dobrze; gdybym była znudzoną nastolatką, pewnie bym tam poszła.

Na piechotę to jednak dość daleko i powinnam chyba pojechać autobusem. Co oznacza, że muszę po raz kolejny zmierzyć się z systemem transportu miejskiego Bostonu. Jakbym nie miała dość kłopotów. Jaka starsza pani tym razem mnie uratuje?

Najpierw wchodzę do Dunkin' Donuts. Potrzebuję kawy oraz dobrej rady.

To późna pora jak na śniadanie, więc jestem jedyną klientką: szokująco białą kobietą, która wchodzi przez oszklone drzwi. Rozpoznaję tę samą co wczoraj załogę starszych czarnych pań, łącznie z kierowniczką, która pokazała mi, jak trafić do Le Foyer. Większość też chyba mnie pamięta. Łatwiej dzięki temu zamówić dużą kawę, a potem rozłożyć mapkę i poprosić o pomoc.

Tym razem stają wokół mnie wszystkie, a ja wyciągam ksero z trasami autobusów i rozkładem jazdy.

– Gdzie teraz mieszkasz, dziewczyno? – pyta mnie kierowniczka, Charadee.

Jest wysoka, zaokrąglona i mimo fuksjowo-brązowego uniformu w jakiś sposób imponująca.

– Pracuję u Stoneya i mieszkam nad jego barem.

– Jesteś barmanką? – Charadee unosi brew.

– Robię świetne mojito – informuję ją. – Powinnaś tam kiedyś zajrzeć. Jestem ci to winna za pomoc.

Charadee kiwa głową. Inne kobiety wydają się usatysfakcjonowane.

– Po co jedziesz do centrum rekreacyjnego, słonko? Masz dzieci?

– Nie, ale słyszałam o nim dobre rzeczy i chcę dowiedzieć się czegoś więcej. Jestem alkoholiczką – mówię, bo przekonałam się, że w wielu sytuacjach to pomaga przełamać pierwsze lody. – Zastanawiałam się, czy nie mogłabym w jakiś sposób pomóc. No wiecie, skoro sama przez to przeszłam...

Kobiety kiwają głowami. Charadee rozkłada moją mapkę i coś na niej pisze. Stawia duże, zaokrąglone litery, o wiele ładniejsze od moich.

Zadaje jakieś pytania swoim towarzyszkom, chyba po francusku, one coś po francusku odpowiadają, ona dalej pisze. W końcu dzieli moją kartkę na trzy części. W pierwszej są numery, w drugiej nazwiska, a w trzeciej, na dole, nazwy i numery.

Objaśnia mi, o co chodzi: to jest rozkład jazdy autobusów, który rozpoznaje; to są nazwiska jej „chłopaków” w centrum, którzy mogą mi pomóc; a to lista najlepszych restauracji.

– Taka chudzina jak ty musi dużo jeść – dodaje tytułem wyjaśnienia.

W kulturze szczycącej się krągłościami muszę sprawiać wyjątkowo żalotne wrażenie. Prawdę mówiąc, błagałam Boga o piersi od trzynastego roku życia. I nadal to robię.

Szczerze jej dziękuję i przybijam wszystkim piątkę.

Rozlega się dzwonek: jakiś samochód podjeżdża do stanowiska drive-thru. Kobiety wracają na posterunek, a ja kieruję się w stronę wyjścia, uzbrojona w kawę i mój nowy, poprawiony, przewodnik.

WSIADAM DO ODPOWIEDNIEGO AUTOBUSU i wysiadam z niego w odpowiednim miejscu. Dlatego uśmiecham się tak promiennie, że nawet czarny kierowca, stoik w wieku gdzieś między podeszłym a przedpotopowym, odwzajemnia mój uśmiech. Kiedy uśmiecham się jeszcze szerzej, kręci głową.

– Uważaj na siebie, mówię ci – mruczy i fakt, że się odezwał, to mój drugi już triumf tego dnia.

Mniejsza o detektywa Lothama. Może czuję miętę do wszystkich mieszkańców Mattapanu.

Euforia trwa do chwili, gdy stoję przed rozległym kompleksem centrum rekreacyjnego. Stwierdzam, że jest o wiele większy, niż sądziłam, i biorąc pod uwagę otaczający go park, korty tenisowe i ścieżki do biegania, różni się znacznie od tego, co sobie wyobrażałam. Ośrodek ma już oczywiście swoje najlepsze lata za sobą: olbrzymi metalowy hangar, który sprawiał zapewne imponujące wrażenie zaraz po tym, jak go wzniesiono. Dzisiaj wymaga solidnego odnowienia i odmalowania. Ale jego rozmiary i te tereny zielone... odwiedziłam sporo miejsc, gdzie można by tylko pomarzyć o czymś takim.

Nie wiem oczywiście, jak dostać się do środka. Jeśli to, czego dowiedziałam się od mojego nowego kumpla z AA, Charliego, jest prawdą, ośrodek działa głównie po szkole, wieczorami i w weekendy. Pewnie dlatego frontowe drzwi są zamknięte. Wisi na nich kartka, która kieruje dostawców na tyły.

Jestem dostawcą. W pewnym sensie.

Obchodzę dokoła cały ten wielki budynek. Widzę z bliska korozję na metalowych bocznych panelach, kolejną oznakę upływu lat. Przypuszczam, że wyblakłą niebieską konstrukcję wzniesiono w latach siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych, by zapewnić śródmiejskiej młodzieży więcej możliwości spędzania wolnego czasu. Chętnie pobiegałabym tymi ścieżkami. Pograła w koszykówkę lub w piłkę nożną na tych boiskach. Teraz są puste, ale po południu to miejsce zacznie pewnie tętnić życiem.

Odkrywam boczne wejście i szarpię za klamkę, lecz bez skutku. Idę dalej i z tyłu zauważam podwójne wejście, takie samo jak to od frontu. Tym razem, kiedy ciągnę za klamkę, szklane przyciemniane drzwi ustępują. Wchodzę w chłodne, mroczne wnętrze i szukam śladów życia.

Przed sobą widzę biurko, a za nim, za metalową kratą, pojemniki z najróżniejszego rodzaju artykułami sportowymi. A więc tu właśnie dzieciaki wypożyczają sprzęt, po czym biegną na rozległe tereny zielone.

Idę pograżonym w półmroku korytarzem w głąb budynku. Nie palą się górne światła, grobową ciszę zakłóca tylko szuranie moich butów; całe to miejsce robi z lekka upiorne wrażenie. Z zewnątrz wydawało się dość obiecujące, ale w środku... Spędziłam kiedyś kilka dni w okręgowym areszcie i z tym mi się to kojarzy. Ciekawe, czy dzieciaki czują się tak samo.

Mijam dwoje drzwi prowadzących na salę gimnastyczną. Jedne i drugie są zamknięte. Następnie siłownię, a za nią coś w rodzaju kuchni. Wszystko także zamknięte na klucz. Z wyjątkiem otwartych tylnych drzwi, traktują tu chyba poważnie kwestie bezpieczeństwa. Poniewczasie zdaję sobie sprawę, że powinnam zainteresować się kamerami, zarówno tymi na zewnątrz, jak i w środku. Zastanawiam się, czy jestem filmowana, gdy podążam centralnym korytarzem, wciąż wypatrując śladów życia.

Dalej jest mniejsza sala gimnastyczna, z matami na podłodze i bokserskim ringiem pośrodku. To kojarzy mi się z detektywem Lothamem. Ciekawe, czy kiedyś odwiedził to miejsce. O'Shaughnessy, jako funkcjonariusz łącznikowy z haitańską społecznością, z pewnością musi je dobrze znać.

Słyszę jakieś głosy. Nareszcie. Podążając w ich kierunku, docieram do końca korytarza, gdzie widzę smugi światła padające spod drzwi dwóch osobnych gabinetów.

Zaglądam do tego z prawej strony i widzę dwóch Afroamerykanów, jednego niskiego, drugiego wysokiego.

– Cześć – mówię.

Obaj gapią się na mnie bez słowa.

– Panowie są tu kierownikami?

Dalej się gapią.

Zaglądam do notatek mojej nowej przyjaciółki z Dunkin' Donuts.

– Czy któryś z panów nazywa się Dutch? A może Antoine?

– Jestem Dutch – odzywa się niższy.

Ma na szyi gwizdek. Nie wiedziałam, że nadal się takich używa.

- Doskonale. Charadee poradziła mi, żebym spytała was o program centrum. Właśnie się tutaj przeniosłam i chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej.

Przywołuję na twarz swój najbardziej niewinny uśmiech i wyciągam rękę. Obaj po kolei ją ściskają, co przełamuje chyba pierwsze lody.

- Rozumiem, że prowadzicie pozaszkolne zajęcia dla miejscowej młodzieży?

- Owszem, proszę pani - potwierdza Dutch.

Ma typowo bostoński akcent, zero obcych naleciałości.

- Mam na imię Frankie. A pan nazywa się... - zwracam się do wyższego mężczyzny, który wygląda na czterdziestolatka i ma posturę urodzonego przywódcy.

- Frédéric Lagudu - przedstawia się.

W jego głosie słyszę melodię piasku i morza. Już czuję do niego słabość.

- Jestem przyjaciółką rodziny Badeau - mówię. - Wiem od pani Violette, że jej siostrzenica i siostrzeniec często tu bywali.

- Przychodzi pani w sprawie Angeliqve Badeau? - Frédéric mruży ciemne oczy.

- Tak.

- Nie zaginęła w naszym centrum. Wróciła do szkoły. Tak mówią.

- Tak mówią?

Frédéric lekko się czerwieni.

- Z tego, co wiem, tak właśnie to wyglądało.

- Też tak słyszałam - zapewniam go. - Ciekawią mnie wasze programy wakacyjne. Kiedy oboje, Angeliqve i jej brat Emmanuel, tutaj uczęszczali.

Mężczyźni wymieniają spojrzenia. Rozumiem ich nieufność. Nie jestem policjantką, nie wiadomo, jak mnie traktować.

- Pani Violette skontaktowała mnie z funkcjonariuszem O'Shaughnessym - mówię. - Poradził, żebym z wami porozmawiała.

To nie do końca prawda, ale moje słowa odnoszą skutek. Obaj się odprężają. O'Shaughnessy, jak podejrzewałam, prawdopodobnie udzielał

się w centrum. I nawet jeśli Dutch i Lagudu zadzwonią do niego, by mnie sprawdzić, przecież mnie nie rozstrzela. W ciągu ostatnich dwóch dni dzieje się w sprawie Angélique więcej, niż bostońska policja zdziałała w ciągu dwóch miesięcy.

– Znam Angélique i jej brata – potwierdza Frédéric. – Zapraszam do mojego gabinetu. Możemy tam porozmawiać.

Uważam, że to wspaniała propozycja. Idę za nim przez korytarz do małego, skromnego pomieszczenia. Biurko, stary komputer, wieszak na płaszcze, na pół zwiędła roślina doniczkowa. Na ścianie wisi oprawiony w ramę plakat z herbem: widzę na nim stojącą między dwiema złotymi armatami palmę, a oprócz tego bagnety, kule armatnie, kotwice i trąbki, wszystko w patriotycznych zielono-niebiesko-czerwonych barwach. Niżej widnieje napis: *L'Union Fait la Force*^{*}.

– To herb naszego państwa – wyjaśnia Frédéric, podążając za moim wzrokiem. – Haiti, kraju, w którym zostało moje serce.

– Kiedy pan wyemigrował?

– Dwadzieścia lat temu.

To oznacza, że nie dotyczą go problemy z wizami, jakie mają ci, którzy wyjechali po trzęsieniu ziemi.

– Nadal ma pan rodzinę na wyspie? – pytam.

– Brata i dwie siostry.

– Nie chcą tu przyjechać?

– Może zechcą ich dzieci. Żeby się uczyć. Szkoły są tu lepsze niż tam.

– Rozumiem, że Angélique i jej brat dobrze się uczyli. Angélique chciała studiować w Stanach medycynę.

Frédéric wzrusza ramionami.

– Jestem dyrektorem tej placówki. W naszych różnych zajęciach biorą udział dzieciaki z ponad pięćset rodzin. Znam z grubsza wszystkie, ale żadnego bardzo dobrze.

– Jak funkcjonuje centrum w wakacje? Czy dzieciaki zapisują się na jakieś konkretne zajęcia?

Frédéric wszystko mi wyjaśnia. Młodzież, w zależności od wieku i zainteresowań, wybiera odpowiednie programy. Sprawdza w komputerze i informuje mnie, że Angélique zapisała się na zajęcia z mody, a Emmanuel na koszykówkę. Nie bardzo rozumiem, dlaczego przyszła lekarka miałaby się interesować modą, ale Frédéric wręcza mi program zajęć, z którego wynika, że jest tam dużo rysowania i wykładów o sztuce. Kiedy przypominam sobie jej niezwykle dokładne szkice anatomiczne, to nabiera sensu. Instruktorką zajęć jest niejaka Lillian, nauczycielka sztuki w miejscowym gimnazjum, dorabiająca sobie tutaj podczas wakacji. Frédéric nie daje mi jej numeru telefonu, ale obiecuje, że przekaże jej mój.

Ściąga listę uczestników, których jest osiemnaścioro. Szesnaście dziewczyn, dwóch chłopaków. Nazwisko Marjolie jest oczywiście tuż obok Angélique. Najpewniej zapisały się razem, jak to przyjaciółki.

– Pamięta pan, żeby Angélique trzymała się z kimś szczególnie blisko? – pytam, nie wymieniając imienia Marjolie.

Frédéric odchyła się do tyłu i łączy długie wypielęgnowane palce w piramidkę.

– Była taka dziewczyna. Siedziały razem. Także Haitanka. Niższa, bardzo ładna. Wyglądało na to, że dobrze się znają. Ale tej drugiej nie interesowały zajęcia o modzie. Więcej czasu spędzała na sali gimnastycznej.

– Grając w koszykówkę czy w coś innego?

– Obserwując chłopców grających w koszykówkę. – Znacząco unosi brew.

– Grał tam jej chłopak czy w ogóle miała hopla na punkcie chłopaków?

– Hopla na punkcie jednego. Musiałem raz interweniować w pewnej... niedwuznacznej sytuacji.

Rozumiem przez to, że Marjolie uprawiała z rzeczonym ukochanym seks w ustronnym miejscu. Szczerze mówiąc, gdybym była w tym wieku, na wakacyjnych zajęciach, w tym rozległym budynku... Ustronne miejsca muszą tu być wszędzie i założę się, że dzieciaki znają je na pamięć.

- A co z Angelique? Interweniował pan kiedyś w niedwuznaczej sytuacji z jej udziałem?

Frédéric kręci głową.

- Czy opuszczała zajęcia, żeby oglądać mecze koszykówki, boksu, baseballu, czegokolwiek?

Sprawdzam hipotezę, że Angelique miała sekretny romans. Skoro jej najlepsza przyjaciółka zabujała się w jakimś koszykarzu, być może Angelique uznała, że weźmie z niej przykład.

- Chodziła czasami na mecze, żeby obejrzeć swojego brata - mówi Frédéric. - Ale tylko w przerwach między zajęciami. Nigdy ich nie opuszczała. Ja w każdym razie nic o tym nie słyszałem, a pilnowanie takich rzeczy należy do moich obowiązków.

To, co mówi o Angelique, zgadza się z tym, czego się o niej do tej pory dowiedziałam. Na razie odkładam na bok hipotezę o chłopaku i wracam do pomysłu, który przyszedł mi do głowy poprzedniego wieczoru.

- A może poznała jakąś inną dziewczynę? Nową koleżankę, z którą nawiązała przyjaźń, kiedy Marjolie śliniła się, oglądając koszykarzy?

Frédéric waha się.

- To było prawie półtora roku temu...

- Ale krótko potem Angelique zaginęła. Nie powie mi pan chyba, że się nad tym nie zastanawiał.

Krzywi się. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak trudną ma pracę, próbując jednocześnie upilnować i zainspirować setki sprawiających problemy nastolatków. Chcąc coś zdziałać i mając świadomość wszystkich ograniczeń. A potem dowiaduje się, że dziewczyna, której wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi powinno się udać, po prostu znika w pewne jesienne popołudnie... Mam wrażenie, że Frédéric przez cały czas odtwarza w myślach to, co o niej zapamiętał.

- Żałuję, że nie zauważyłem czegoś więcej - przyznaje teraz. - Że nie zwracałem na nią większej uwagi, bardziej się nie przykładałem. Ale Angelique była dobrą dziewczyną. Przychodziła punktualnie na zajęcia. Realizowała program. Spod jej ręki wyszło wiele pięknych rysunków.

Lillian wywiesiła kilka na korytarzach. Pamiętam, że gratulowałem Angelique talentu. Robiła wrażenie nieśmiałej, nie kogoś, kto sprawia kłopoty. Ja muszę spędzać więcej czasu z tymi, którzy je sprawiają. – Frédéric wzrusza ramionami. – To smutne, ale tak to wygląda.

– Macie tutaj problem z gangami? – pytam, zmieniając temat.

– Stosujemy zasadę zero tolerancji. Jakikolwiek znaki wskazujące na taką działalność są podstawą do natychmiastowego wydalenia. Dzieciaki o tym wiedzą. Poza terenem, owszem, zdarzają się problemy. Ale kiedy tu wchodzi... Jeśli chcą pograć w kosza, muszą przestrzegać reguł. To daje lepsze efekty, niż pani myśli.

– Czy są momenty, kiedy dzieciaki przebywają w jednym miejscu? To znaczy te z zajęć o modzie z tymi trenującymi boks czy co tam jeszcze?

– Lunch jedzą w ramach swojej grupy. W ten sposób łatwiej ich kontrolować. Ale w ciągu dnia mają różne przerwy. Chodzą po całym terenie. Jedni mogą oglądać mecz piłki nożnej, inni po prostu cieszyć się słońcem. To są nastolatki i chcemy, żeby nasze programy dostarczały im radości i nie były...

– Czymś w rodzaju obozu internowania? – podpowiadam.

Frédéric wzdycha, ale nie zaprzecza.

– Czy mogłabym dostać kopię tej listy? – Wskazuję listę osób, które zapisały się na zajęcia o modzie.

– Ma ją policja.

– Nie chcę im zawracać głowy. Próbuję znaleźć nowe tropy, żebyśmy mogli pójść do przodu, a nie powtarzać to, co już jest ustalone.

Frédéric się waha, ale mój argument trafia mu chyba do przekonania. Drukuje mi egzemplarz listy.

– I jeszcze jedno. Jeśli pan pozwoli. Proste ćwiczenie z pamięci. Pamięta pan twarz Angelique?

Kiwa głową.

– To proszę wyobrazić sobie Angelique, tak jak widział ją pan po raz ostatni. Gdzie była?

Trwa to dłuższą chwilę, ale Frédéric spełnia moją prośbę, przymyka nawet oczy.

– Siedzi na dworze na żółtej ławce. Na kolanach trzyma szkicownik, ma pochyloną głowę i rysuje. Kiedy mijam ją, robiąc obchód, nie podnosi wzroku, tylko nadal szkicuje, bardzo szybko, bardzo skoncentrowana. Słyszę skrzypienie węgla po papierze. Pamiętam, że pomyślałem, że wygląda jak prawdziwa artystka, ktoś, kto ma wizję i musi ją zapisać, nim się ulotni. Byłem zafascynowany.

– Widział pan ten rysunek?

– Nie. Miała nisko pochyloną głowę i te jej gęste loki wszystko zasłaniały.

– Czy były przy niej inne dzieciaki?

Frédéric próbuje to sobie przypomnieć.

– Widzę trzech chłopaków. Rzucają zośkę i podbijają ją nogami. Na kolejnej ławce siedzą dwie inne dziewczyny. Niektóre dzieciaki leżą na trawie. Jest piękna pogoda.

– Kto jest najbliżej Angelique? Chłopak? Dziewczyna?

– Widzę tylko tych trzech chłopców. Pochłania ich gra.

– Nikogo więcej? Kogoś blisko Angelique albo tak jak pan... obserwującego ją, choć ona go nie widzi?

– Tak, jest jeszcze jedna dziewczyna – mówi powoli. – Siedzi trochę dalej, opierając się plecami o ścianę budynku. Też rysuje, ale jest w cieniu, nie w słońcu. Spogląda w stronę Angelique. Patrzy, jak ta rysuje. Jednak kiedy ją mijam, pochyla szybko głowę. Moim zdaniem zbyt szybko. Chcę się zatrzymać i ją o to zapytać, ale słyszę nagle krzyki dobiegające z boiska piłki nożnej. Odwracam się i idę w tamtą stronę.

– Jak wyglądała tamta dziewczyna?

– Kolejna nastolatka. Widywałem ją chyba na zajęciach z mody. – Frédéric kręci głową. – Tyle że nie pamiętam jej twarzy. Pewnie nawet nigdy jej się dobrze nie przyjrzałem. Ale mogłem ją zawsze rozpoznać w tłumie po czapce. Zawsze, czy pogoda była ładna, czy nie, miała na

głowie taką samą czerwoną czapkę. I owszem, kiedy pani o tym wspomniała, często gapiła się na Angelique.

* *L'Union Fait la Force* (fr.) – W jedności siła.

Rozdział 16

KIEDY WYCHODZĘ Z CENTRUM rekreacyjnego i zmierzam w stronę głównej ulicy w nadziei, że znajdę mój przystanek autobusowy, nagle mijają mnie pędzący w przeciwnym kierunku białe samochody. Gwałtownie daję po hamulcach, zawraca i staje tuż przy mnie.

– Wsiadaj – rozkazuje detektyw Lotham.

Przyglądam mu się przez moment, nie zamierzając stawiać oporu, ale zdecydowanie zdezorientowana.

– Wiem, że lubisz chodzić – cedzi.

– Właściwie to szłam na przystanek autobusowy.

– Przestań być taka cholernie przekorna i wskakuj.

Kiedy określa mnie jako przekorną, chcę oczywiście zaprotestować, ale zniecierpliwienie, gniew lub nawet lęk, jakie słyszę w jego głosie, przykuwają moją uwagę. Wsiadam do jego auta i Lotham natychmiast dodaje gazu. Nagłe przyspieszenie wciska mnie w fotel; szukam pasa bezpieczeństwa, żeby się zapiąć.

– Co wiesz o fałszowaniu? – pyta, trzymając obie dłonie na kierownicy i wpatrując się w jezdnię, jakby skupiał się wyłącznie na tej szaleńczej jeździe.

– Fałszowaniu pieniędzy?

– Ściślej biorąc, amerykańskiej waluty.

– Zdawało mi się, że bardzo trudno ją sfalszować.

– Zgadza się. To oznacza, że nikt nie może tego robić w domowych warunkach. Dobrze sfalszowane banknoty trafiają do nas zwykle z zagranicy. Z Europy, Rosji. Potrzeba dobrego sprzętu i odpowiedniego dystrybutora, żeby to zorganizować. Proces w pewnym stopniu ułatwiły komputery: dobrzy fałszerze skanują sto obrazków, powiedzmy, Bena

Franklina, a potem tworzą trójwymiarową matrycę opartą na złożonym obrazie. Dzięki temu sfalszowane banknoty mają takie same wady druku jak te, które Departament Skarbu celowo umieścił na prawdziwych. Dochodzi jednak kwestia znaków wodnych, specjalnego papieru i zmiennych optycznie farb...

Kiwając głową, zaczynam się domyślać, dlaczego detektyw Lotham stał się nagle ekspertem w dziedzinie fałszowania pieniędzy.

– Banknoty z lampy Angelique – mówię.

Ze wszystkich rzeczy, które możemy odkryć dzięki znalezieniu ukrytej gotówki, tej najmniej się spodziewałam.

– Jedna dziesiąta z nich jest fałszywa. Prawie dokładnie. Według agenta Secret Service, który odwiedził mnie dziś rano, tak to właśnie funkcjonuje.

– Mieszają prawdziwe banknoty z fałszywymi, żeby trudniej było odkryć te drugie?

Dojeżdżamy do skrzyżowania. Czerwone światło. Lotham włącza przycisk na tablicy rozdzielczej, rozlega się przenikliwe wycie syreny i przejeżdżamy. Łapię za uchwyt pod sufitem, nadal nie mając pojęcia, skąd ten nagły pośpiech.

– W lampie Angelique nie było aż tak dużo kasy, jak nam się zdawało. Obok setek w rulonach były dwudziestki.

– Rozumiem.

– To popularna sztuczka wśród członków gangów. Chcą wydawać się bogatsi, niż są.

– Podaj sumę.

– W lampie upchnięte było około dwunastu tysięcy dolarów.

– To nadal imponująca kasa.

– Tak. Ale to, co było na wierzchu, czyli setki...

– Były fałszywe?

– Zgadza się. Co ciekawsze, te konkretne sfalszowane banknoty były w obiegu już od kilku lat. Nazywa się je „ruskimi banknotami”, bo nasza Secret Service uważa, że wydrukowano je w Rosji. Przy użyciu maszyny

offsetowej, prawdopodobnie w dużej drukarni, posiadającej specjalistyczne barwniki i kwasy. Jak już wspomniałem, to nie jest coś, w co można się bawić w domu.

Kiwam głową, bardziej po to, żeby potwierdzić, że słyszę, co do mnie mówi, niż że to rozumiem. Przed kolejnym skrzyżowaniem Lotham znów włącza syrenę i przecinamy dwa pasy ruchu, po czym skręcamy w lewo, pod prąd. Żołądek podchodzi mi do gardła. Lotham znowu wciska gaz do dechy, a potem, unikając pewnej śmierci, skręcamy w wąską boczną uliczkę.

– Czy w tym momencie ścigają nas ci fałszerze? – pytam. – A może reagujesz w ten sposób, bo sprawą zajęła się agencja federalna?

– Możesz zapomnieć o Secret Service. Mają już te banknoty i na podstawie numerów seryjnych ustalili ich źródło. Dla nich są to odpryski operacji sprzed kilkadziesiąt lat. Jakiś rosyjski syndykat wyprodukował dziesiątki milionów prawie idealnie sfalszowanych dolarów. Sprzedali je po dziesięć centów za dolara dystrybutorowi, ten sprzedał je w cenie dwudziestu pięciu centów za dolara pośrednikom w różnych krajach, a ci, na samym końcu łańcucha pokarmowego, sprzedali je lokalnie po sześćdziesiąt centów za dolara. Zdaniem agenta Forda ludzie z agencji do końca życia będą odzyskiwali fałszywe banknoty z Benjaminem Franklinem.

– Jak trafiły do Angelique?

– Nadal tego nie wiemy. Jak, od kogo, dlaczego? Według agenta Forda każdy z nas może mieć w portfelu fałszywy banknot, w ogóle o tym nie wiedząc. Ale kilkanaście banknotów? Każdy zwinięty razem z autentycznymi dwudziestkami? To nie może być przypadek. W Bostonie mamy oczywiście rosyjskie gangi, co tłumaczy, jak te fałszywki się tu pojawiły. Ale niewielu rosyjskich bossów ma jakąś styczność z członkami gangów z Mattapanu. Zorganizowana przestępczość słynie ze snobizmu, a nasze lokalne gangi nie są dość wyrafinowane, żeby zainteresowali się nimi Rosjanie.

Nie wiem, jak to skomentować. Ale właściwie nie muszę nic mówić. Nasza ulica, jak to bywa w Bostonie, skręca na ukos w prawo, a następnie

rozwidła się na trzy kolejne, biegnące ukośnie uliczki. Lotham znów bierze ostry zakręt. Najwyraźniej nie jest dzisiaj w humorze.

– Spałeś w nocy? – pytam.

– Liczy się spanie przy biurku? Mój telefon zaczął dzwonić, kiedy tylko wprowadziłem te banknoty do ewidencji. A potem wezwał mnie do swojego gabinetu przełożony.

– Więc uciekamy teraz przed twoim przełożonym?

– Nie bądź taka dowcipna.

– Wolę być dowcipna niż martwa. Po co ta jazda na sygnale?

– Mieliśmy zgłoszenie.

– Jakie zgłoszenie?

– Nastolatka odpowiadająca rysopisowi Angelique próbowała właśnie kupić telefon na kartę, używając fałszywego prawa jazdy. Jest wystawione na to samo nazwisko co prawo jazdy, które okazała w kafejce internetowej dwa tygodnie temu. Tamara Levesque. O'Shaughnessy już tam jest i razem z funkcjonariuszami z innych jednostek przeczesuje teren. Może im się uda.

– Dołączamy do obławy? – Nie wiem, co mnie bardziej dziwi: to, że po wszystkich tych miesiącach nadal szukają na serio Angelique, czy to, że mam wziąć w tym udział.

– Nigdzie nie dołączamy. Ja przesłucham ekspedientów w sklepie operatora. A ty... – Lotham wypuszcza z płuc powietrze. – Boże, zmiłuj się... – mruczy.

– Będę ci udzielała moralnego wsparcia?

– Nie. Zabrałem cię, bo jeden ze świadków, facet o imieniu Charlie, zażyczył sobie twojej obecności.

Kiedy z piskiem opon zatrzymujemy się przed sklepem, widzę sporo gliniarzy w niebieskich mundurach, tłum gapiów i jeśli mnie wzrok nie myli, kilku dilerów, którzy pospiesznie oddalają się ulicą.

Detektyw Lotham omiata spojrzeniem wycofujących się młodzieńców, ale chyba nie zamierza ich ścigać. To ich szczęśliwy dzień. Policja ma na

głowie ważniejsze sprawy.

Prawie natychmiast zauważam Charliego. Stoi tuż przed sklepem, wyróżnia się swoimi rozmiarami i wojskową kurtką. Obok niego chyba czeka na nas umundurowana policjantka.

Detektyw Lotham prowadzi mnie przez tłum.

– Kiedy pogadasz ze swoim znajomym, nie zapomnij, kto cię tu przywiózł – mówi, po czym znika we wnętrzu sklepu.

Sama pokonuję kilka kroków dzielących mnie od Charliego.

Nagle ogarnia mnie skrępowanie. Nie bardzo wiem, co mam mu powiedzieć. Widzieliśmy się tylko raz, na spotkaniu AA. Dlaczego w środku tego bajzlu chciał zobaczyć się właśnie ze mną?

Charlie w pierwszej chwili się nie odzywa, kiwa tylko głową na powitanie.

A potem zerka na policjantkę. Ta spogląda na mnie, jakby chciała zaznaczyć, że od tej chwili to ja jestem za niego odpowiedzialna, po czym oddala się o dwa metry. Nadal monitoruje sytuację, ale daje nam trochę prywatności.

– Detektyw Lotham powiedział, że chciałeś się ze mną widzieć – mówię.

Charlie gapi się na mnie. Ręce trzyma w kieszeniach kurtki i wydaje się przez to jeszcze większy i bardziej barczysty. Nie sądzę, żeby zamierzał kogoś nastraszyć; to jest po prostu silniejsze od niego. Nie czuję, żeby mi zagrażał. Facet wstał do wojska, bo chciał chronić innych. A pewnych rzeczy, niezależnie od traumy, nigdy się nie zmienia.

– Pytałaś o tanie komórki – odpowiada. – I o tę zaginioną dziewczynę, Angélique Badeau. Przedwczoraj wieczorem zadałaś mi te pytania.

Kiwam głową.

– Zajrzałem dziś do tego sklepu, bo miałem coś do załatwienia. Będąc tutaj, myślałem o tobie i twoich pytaniach. I nagle podniosłem wzrok i ją zobaczyłem. Przysięgam na Boga.

– Angélique Badeau.

– Próbowwała kupić telefon. Nie mogłem się powstrzymać, gapiłem się prosto na nią. I zanim się zorientowałem, złapała z powrotem swoje prawo jazdy, rzuciła nowy telefon na ladę i szurnęła do drzwi. Cholerny sprzedawca zaczął wzywać ochronę, a dumny ochroniarz doskoczył do mnie. Kiedy wyszedłem w końcu na ulicę, nigdzie już jej nie zobaczyłem. Ale była tu, przysięgam. Chciała kupić telefon. – Charlie mruży oczy. – A teraz powiedz. Skąd wiedziałaś?

– Nie wiedziałam – odpowiadam szczerze. – Nie wiedziałam, że będzie kupować nowy telefon. Ale przeczytałam w gazecie, że jedenaście miesięcy temu policja odzyskała jej oryginalną komórkę. Ponieważ żadna nastolatka ani nastolatek nie może wytrzymać bez telefonu, wydało mi się logiczne, że będzie próbowała go kupić. Dlatego pytałam o tanie komórki na kartę. Ja przynajmniej, gdybym była nastolatką i miała swoje sekrety, starałabym się taką kupić.

– Nie jesteś nastolatką – przypomina mi Charlie.

– Ale mam swoje sekrety – mówię, blade się uśmiechając.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Frankie Elkin. Jestem alkoholiczką. Pracuję jako barmanka u Stoneya, właśnie przyjechałam do Bostonu. Ale mam również inną pasję: szukanie zaginionych osób. Zwłaszcza takich, które zaginęły już jakiś czas temu. I to prawda, przyjechałam do Bostonu z powodu Angeli Bateau. Chciałabym ją odnaleźć.

Charlie milczy. Podobnie jak policjantka, która bezwstydnie nas podsłuchuje.

– Naprawdę widziałeś Angeli Bateau? – pytam.

– Oglądałem jej fotkę od jedenastu miesięcy. Tak, do cholery, widziałem ją.

– Był z nią ktoś jeszcze czy wyglądało na to, że jest sama?

– Była sama.

– A kiedy wybiegła na zewnątrz? Ktoś tam na nią czekał?

– Nie miałem szansy tego zobaczyć. Musiałem najpierw strząsnąć z siebie tego tłustego ochroniarza.

Nasza policyjna przyzwyczajka uśmiecha się.

– Angeliqne odeszła pieszo czy wsiadła do jakiegoś samochodu? – pytam dalej.

– Tego też nie widziałem. Ale... – Charlie pokazuje mi markizę sklepu, pod którą dostrzegam dwie kamery. – Gliny będą mogły wkrótce poznać odpowiedź na to pytanie.

– W jakim była nastroju?

– Z początku nie zwróciłem na to uwagi. Ale kiedy zacząłem się na nią gapić, zrobiła się nerwowa. W końcu zawinęła się i uciekła.

– Spotkałeś ją wcześniej, Charlie?

– Chyba nie. To miasto nie jest takie małe, a nasze ścieżki raczej się nie przecinały.

– Poszłam dzisiaj do centrum rekreacyjnego. Rozmawiałam z jego dyrektorem, Frédérikiem. Twierdzisz, że wasze ścieżki raczej się nie przecinały, ale Angeliqne chodziła tam w wakacje na zajęcia, a ty pracowałeś tam wtedy jako wolontariusz.

– Staram się pomóc. Opiekowałem się czarnymi chłopakami, nauczyłem ich różnych rzeczy, na przykład gotowania, żeby mogli znaleźć jakąś pracę i trzymali się z daleka od gangów. Może ta dziewczyna też brała udział w jakichś zajęciach, ale jej nie widziałem. Na pewno nie była w żadnej z moich grup. Wpadła w kłopoty?

– Tak sądzę.

– To dlaczego uciekła? Kupowała ten telefon sama. Dlaczego nie poprosiła o pomoc?

– Nie wiem.

– Jak widać, żyje, ale mimo to nie wraca do domu. Więc może wcale tego nie chce. Może ma jakiś ważny powód, żeby nie wracać.

Rozumiem jego punkt widzenia. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Angeliqne dwukrotnie widziano w miejscach publicznych. Za każdym razem miała przy sobie fałszywy dowód tożsamości i działała samodzielnie. Jednak coś mi się tutaj nie zgadza. Angeliqne, taka, jaką znała jej rodzina, nigdy nie zniknęłaby z własnej woli. No i jest jeszcze ten

zakodowany apel. *Pomóżcie nam*. Po prostu nie wierzę, że uciekła z domu. Co tu jest grane?

– Jak wyglądała? – pytam. – Była zmęczona? Wypoczęta? Dobrze odżywiona? Zagłodzona?

Charlie musi się nad tym chwilę zastanowić. W końcu wzrusza ramionami.

– Wyglądała jak normalna nastolatka. W dzinsach, lekkiej szarej bluzie. Z przodu miała jakiś emblemat, ale patrząc z boku, niezbyt dobrze go widziałem.

– A jej twarz?

– Też nie za dobrze widziałem. Miała nasuniętą na czoło czapkę.

– Czerwoną?

– Skąd wiesz? – W jego głosie znów słyszę nieufność.

– Przepraszam. Naprawdę nie mogę ci tego powiedzieć, Charlie. Policja nie ujawnia publicznie wszystkich szczegółów, i ma swoje powody.

Charlie patrzy na mnie krzywo, ale nie naciska.

– Przecież bym jej pomógł – mówi nagle. – Wystarczyło poprosić. Pomógłbym jej.

– Może nie mogła poprosić. W takich sytuacjach bandziory grożą czasem, że zrobią coś złego bliskim tej osoby.

– Albo uzależniają dziewczyny od dragów, żeby nie chciały odchodzić. Nie mogę tego wykluczyć.

– Wyglądała na uzależnioną?

– Nie. Za szybko się poruszała. Wyskoczyła stąd jak oparzona. Uzależnieni nie mają takiej koordynacji ruchów.

Kiwam głową.

– Sądzę, że w coś się wplątała. Niestety, nie wiem w co, i tak naprawdę nie mam na to żadnego dowodu. Ale gdybyś ją znowu zobaczył, Charlie... myślę, że potrzebuje pomocy. I jeszcze jedno. Pamiętasz, czy na tej czapce był jakiś emblemat albo logo?

– Nie zauważyłem żadnego logo. Ale nie miałem okazji przyjrzeć jej się z bliska. W tej okolicy nie widuje się zbyt wielu czerwonych czapek.

– A to dlaczego?

– Dzieciaki noszą na ogół czapki swoich ulubionych drużyn. Patriots, Red Sox, Bruins. Ich czapki są granatowe albo czarne. Rozejrzyj się. Zobaczysz je wszędzie.

Teraz, kiedy to powiedział, uświadamiam sobie, że widziałam sporo granatowych czapek. Przypominam sobie o wydruku, który dostałam w centrum rekreacyjnym. Wyciągam go z tylnej kieszeni spodni, rozkładam i podaję Charliemu.

– Rozpoznajesz któreś z tych nazwisk? Z centrum rekreacyjnego, z miasta, skądkolwiek?

Charlie przez chwilę studiuje listę. Odchrząkuje dwa razy i wskazuje nazwiska dwóch nastolatków.

– Widuję ich w okolicy. Jeden jest młodszym bratem jednego z moich dzieciaków. Porządni chłopcy. Starają się, jak tylko mogą, nie napytać sobie biedy. Zaczekaj chwilę. – Wskazuje jedną z figurujących na liście dziewczynek. – Livia Samdi. Słyszałem to nazwisko. Niedawno. – W zamyśleniu drapie się po brodzie i nagle sobie przypomina. – Na spotkaniu AA – dodaje ciszej. – Przed kilkoma miesiącami. Tak, jestem pewien. Była tam jej mama, która wróciła do picia po prawie całym roku trzeźwości. Jak mówiła, miała ciężki okres. Straciła pracę, aresztowano jej syna, a na domiar złego jej córka uciekła z domu.

– Uciekła z domu? To znaczy, że Livia Samdi też zaginęła?

– Tak uważała jej matka. I nie zdarzyło się to po raz pierwszy. Livia najwyraźniej tak już ma: dokądkolwiek pójdzie, ściąga sobie na głowę kłopoty. Ale to nie ulega wątpliwości: na pewno odeszła z domu. Tak twierdzi jej własna matka.

Rozdział 17

STOJĘ NA CHODNIKU RAZEM z Charliem i naszą policyjną przyzwoitką do chwili, gdy ze sklepu wychodzi detektyw Lotham. To, czego dowiedział się w środku, zdecydowanie nie poprawiło mu humoru.

Zauważa mnie, a potem funkcjonariusza O'Shaughnessy'ego, który rozmawia z dwoma mundurowymi. Mogę śledzić tok ich dyskusji, obserwując twarz Lothama, który nagle odwraca się i szybko do mnie podchodzi.

– A więc? – pyta, zerkając na mnie i na Charliego.

– To jest Charlie – mówię.

Nie podaję nazwiska, bo go nie znam. Przez chwilę trwa niezręczna cisza i nagle Lotham wyciąga rękę i wymienia z nim uścisk dłoni.

– Siły lądowe? – pyta, wskazując na jego kurtkę. Charlie kiwa głową. – Piechota morska, jednostki zwiadowcze – przedstawia się Lotham. – Dziękuję za służbę, żołnierzu.

– Dziękuję, proszę pana.

– Widziałeś Angelique Badeau?

– Tak jest.

– Jesteś całkowicie pewien, że to była ona?

– Tak jest.

– Skąd znasz obecną tu panią Elkin?

Charlie nie reaguje od razu na tę nagłą zmianę tematu. Spogląda na mnie.

– Powątpiewasz, że mogę tu mieć znajomych? – pytam detektywa, starając się, by w moim głosie zabrzmiało słuszne oburzenie.

– Przyjechałeś do Bostonu trzy dni temu.

- Tym ważniejsze jest dla mnie nawiązanie kontaktów z ludźmi. Możesz spytać Charadee w Dunkin' Donuts, Viv u Stoneya albo Frédéric'a w centrum rekreacyjnym. - Gorączkowo szukam w pamięci kolejnych imion. - A także moją sublokatorkę Piper. Choć zeszłej nocy nie wróciła do domu i trochę się o nią martwię.

Detektyw Lotham wygląda, jakby rozboleła go głowa. Otwartą kwestią jest, czy powoduję to ja, czy komplikująca się sprawa.

- Charlie ma więcej informacji - dodaję szybko. - Byłam wcześniej w centrum rekreacyjnym...

- U twojego nowego znajomego, Frédéric'a.

- Zgadza się. Dał mi listę wszystkich dzieciaków, które brały wraz z Angélique udział w wakacyjnych zajęciach o modzie.

- Widziałem tę listę. Przesłuchiwałem nawet uczestników tych zajęć.

- W tym także Livię Samdi?

- Pewnie tak. To było przed jedenastoma miesiącami.

- A więc zaginęła później. To ciekawe.

- Że co? Chwileczkę.

Detektyw Lotham ściska grzbiet nosa. Mam wrażenie, że bierze jednocześnie głęboki oddech i mamrocze: „Szlag, szlag, szlag”, ale nie jestem tego na sto procent pewna.

- Charlie słyszał przynajmniej takie plotki. - Zerkam na znajomego z AA, żeby to potwierdził. - Mama Livii Samdi mówiła, że jej córka uciekła z domu. A żeby było jeszcze ciekawiej, Frédéric z centrum rekreacyjnego twierdzi, że Livia stale nosiła czerwoną bejsbolową czapkę.

Detektyw Lotham spogląda na Charliego, a ten kiwa głową.

- Livia uciekła - potwierdza.

- Gdzie słyszałeś te plotki?

- To nie ma znaczenia - wtrącam. - O'Shaughnessy jest funkcjonariuszem łącznikowym z haitańską społecznością. Może wie coś więcej. Powinniśmy go zapytać.

- Wiesz, czego dowiedziałem się w środku? - pyta nagle detektyw Lotham.

– No?

– Niczego. To znaczy nie do końca. Dowiedziałem się, że sprzedawca, niejaki Warren, nie potrafiłby opisać własnej matki, nawet gdyby zależało od tego jego życie, i owszem, kamery monitoringu nie działają od kilku miesięcy, ale mieli zamiar coś z tym zrobić. Ty natomiast, stojąc tu, na zewnątrz...

– Mam taki dar – zapewniam go i widząc, że O'Shaughnessy spogląda akurat w naszą stronę, macham do niego, zanim Lotham eksploduje na moich oczach.

Obaj odchodzą na bok i przez chwilę ze sobą rozmawiają. Teraz to Charlie, policjantka i ja bezwstydnie podsłuchujemy. Okazuje się, że mundurowi przeczesali całą okolicę. Według świadków dziewczyna w czerwonej bejsbolowej czapce wyskoczyła ze sklepu i pobiegła na północ. Jeden z policjantów znalazł jej fałszywy dowód tożsamości, który porzuciła na chodniku dwie przecznice stąd. Jednak sama Angélique przepadła bez śladu.

Lotham wraca do nas, razem z O'Shaughnessym. Charlie powtarza swoją historię. Funkcjonariusz łącznikowy przez chwilę się zastanawia.

– Znam rodzinę Samdi, choć niezbyt dobrze. Ojciec zaginął w akcji. Matka jest pijaczką.

Lotham zerka na mnie i Charliego i zaczyna się chyba wszystkiego domyślać. Wzruszam ramionami, jakbym chciała powiedzieć: „nareszcie”. Lotham wzdycha.

– Ale o Livii nic nie słyszałem – ciągnie O'Shaughnessy. – Jej starszego brata przytknęli ostatnio za handel narkotykami. Nic wielkiego, ale nie jest to też niespodzianka. Cała ta rodzina... Powiedzmy po prostu, że nie są to ludzie, którzy wtajemniczaliby policję w to, co robią.

Lotham kiwa głową.

– Będziemy musieli z nimi pogadać. Dowiedzieć się wszystkiego o Livii, o tym, kiedy była ostatnio widziana, jakie relacje łączyły ją z Angélique Badeau, i tak dalej, i tak dalej.

– *Pomóżcie nam* – mruzcę. – Może chodzi właśnie o Livię i Angélique.

O'Shaughnessy rzuca mi dziwne spojrzenie.

– Rodzina Angelique nigdy nie wspominała o Livii. Więc nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi.

– Nie sądzę, żeby o tym wiedzieli. Nie sądzę, żeby ktokolwiek wiedział.

– O czym?

– O ich przyjaźni. Czy jakiegokolwiek innej relacji między nimi. – Staram się połączyć ze sobą różne fakty. – Poznały się w centrum rekreacyjnym. Angelique zapisała się na wakacyjne zajęcia razem ze swoją najlepszą przyjaciółką, Marjolie, ale okazało się, że ta jest bardziej zainteresowana pewnym koszykarzem niż zajęciami o modzie. No i Angelique została sama. Do momentu, gdy zyskała nową przyjaciółkę, Livię Samdi, której istnienie postanowiła z jakiegoś powodu zachować w tajemnicy. Może dlatego, że Livia była znana z tego, że ściąga na siebie kłopoty? A może z powodu charakteru ich relacji? Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Ale Livia zdecydowanie interesowała się Angelique. Dyrektor ośrodka, Frédéric, mówił mi, że kilka razy zauważył, jak się jej przyglądała. Powinniście z nim porozmawiać.

– Rozmawiałem z Frédérikiem – cedzi Lotham.

– W takim razie powinieneś mu zadać więcej pytań, które miałyby jakieś odniesienia do życia nastolatek – odpowiadam ostro, bo zaczyna mi grać na nerwach.

To nie moja wina, że nie zwrócił uwagi na detale. Może powinien przypomnieć sobie własną burzliwą młodość. Ja dokonuję większości odkryć, pytając się, co zrobiłoby w danej sytuacji moje dawne, zdeprawowane ja, i voilà, mam rezultaty.

– Jadłaś coś? – pyta nagle Lotham.

– Nie...

– To świetnie. Chodź ze mną.

Nie czeka na mnie, tylko po prostu odwraca się i rusza ulicą. Patrzę na O'Shaughnessy'ego i Charliego. Obaj robią wrażenie tak samo skonsternowanych jak ja. Charlie kiwa w końcu lekko głową. Traktuję to

jako zachętę i podążam w ślad za detektywem, który przedzierając się przez tłum gapiów, nie ogląda się i ani trochę nie zwalnia.

Zdaję sobie sprawę z kilku rzeczy jednocześnie. Minęła już pierwsza po południu i jestem głodna jak wilk. Poza tym za dwie godziny muszę stawić się w pracy, do której nie wolno mi się spóźnić drugi raz z rzędu. Ale przecież nie mogę teraz zostawić tej sprawy...

Lotham przechodzi na drugą stronę ulicy. Ja gonię za nim, ledwo nadążając. Przed nami pojawia się gigantyczny poobijany szyld. Wygląda jak postawiony na dachu wielki rożek z lodami. Na łuszczącej się białej farbie rożka widnieją ustawione w pionie litery SIMCO. Trudniejsze do odczytania są słowa na samych lodach. HOT DOG? Lecz dlaczego gigantyczny rożek z lodami reklamuje hot dogi?

Lotham przyspiesza kroku. Usiłuję go dogonić.

Naszym celem okazuje się Simco's World's Largest Hot Dog. To długi wolno stojący budynek z rzędem okienek do zamawiania potraw na wynos. Na górnej połowie każdego okienka widnieją fotografie dań. Oprócz hot dogów dają tu wszystko, od smażonej ryby, przez kuchnię karaibską, aż po mrożoną kawę, naleśniki, racuchy i sok limonkowy z wodą sodową. Wszystkie te opcje tak bardzo mnie oszalałają, że nie zauważam prawie, że Lotham stanął przed jednym z okienek, gdzie czarna kobieta w średnim wieku czeka niecierpliwie na nasze zamówienie.

– Na co masz ochotę? – pyta detektyw.

– Na wszystko. Nigdy nie piłam soku limonkowego z wodą sodową. Brzmi wspaniale.

– Weźmiemy dwa hot dogi, jeden sok limonkowy i jedną mrożoną kawę z czekoladą – oznajmia Lotham.

– Świetnie. A co dla siebie?

Lotham przewraca oczami, najwyraźniej mając już dość moich celnych ripost.

Do hot dogów są różne dodatki. Nie mam pojęcia, o co poprosić, i zdaję się w tej kwestii na miejscowych. Po chwili odbieramy zatłuszczoną torbę z żarciem i dwa lodowato zimne napoje. Jestem podekscytowana.

– Czy jeśli będę grzeczna i zjem całego hot doga, będę mogła potem dostać racuchy? Albo pieczonego banana? Boże, to jest lepsze od wiejskiego jarmarku.

– Wiejskiego jarmarku?

– Możesz mi wierzyć.

Stajemy na chodniku, żeby zjeść. Mijają nas samochody, czasami stare graty, a czasami tak wypasione, że zastanawiam się, kim z zawodu są kierowcy. Lothama w ogóle to nie rusza. Żuje i przełyka, ze zmrużonymi ze szczęścia powiekami. Hot dogi są superdługie, frytki słone, a sok limonkowy orzeźwiająco cierpki.

– Szóste miejsce – informuję Lothama, zanim odgryzę kolejny kęs.

Nigdy nie zdołam zjeść całego najdłuższego na świecie hot doga, ale fajnie będzie spróbować.

– Szóste miejsce w czym?

– Na liście najlepszych posiłków, jakie kiedykolwiek zjadłam.

– Masz taką listę?

– Dobrze jest pamiętać kluczowe chwile. Jedzenie jest często źródłem szczęścia.

– Twierdzisz, że konsumowany na ulicy hot dog jest szóstym najlepszym posiłkiem, jaki w życiu zjadłaś?

– Właśnie tak.

– W ogóle cię nie rozumiem, Elkin.

– Bo jestem prosta tam, gdzie chcesz, żebym była skomplikowana. I skomplikowana tam, gdzie chcesz, żebym była prosta. – Wzruszam ramionami.

Żyję sama już od dłuższego czasu. A sekret mojej trzeźwości polega na tym, że jestem szczerą, nawet kiedy to boli.

Lotham kończy hot doga i z mechaniczną precyzją zabiera się do frytek.

– Wkurzasz mnie – oświadczam.

– Zdażyłam zauważyć.

– Zadawaliśmy dziesiątki pytań. Osobiście odwiedziłem to pierdolone centrum rekreacyjne. Byłem przy przeszukaniu mieszkania, przesłuchiwałem rodzinę i znajomych. A ty... – Najwyraźniej brakuje mu słów. – W ciągu trzech dni postawiłaś całą tę sprawę na głowie.

– Wolalbyś nie mieć żadnych nowych tropów?

– Nie, do jasnej cholery!

– Albo żebyśmy te wszystkie odkrycia zawdzięczali tobie?

– Nie jestem taki małostkowy.

– W takim razie czego, do diabła, chcesz? Jestem tutaj. Dzielę się wszystkim, co wiem. Szczerze mówiąc, to ty zachowujesz się jak dupek.

Zasępia się i zjada kolejną frytki.

– Próbuję odgadnąć, na czym polega twój sekret – mówi. – Albo co mam z tobą zrobić. I co mam o tobie sądzić.

– Ha, ha. Życzę powodzenia.

– Po co tu przyjechałaś? Dlaczego wybrałaś akurat tę sprawę? Akurat tę dziewczynę? Czego dokładnie szukasz?

Lotham psuje mi humor i apetyt. Zamykam pojemnik z hot dogiem i frytkami i pociągam łyk soku. Kostki lodu szybko się topią. Pewnie tak samo jak ja nie lubią tych wszystkich napastliwych pytań.

– Chcesz wiedzieć, kim jestem – rzucam.

– Zgadza się.

– Może ważniejsze jest, żebyś wiedział, kim nie jestem.

– Cholernie boli mnie głowa, a to... wcale nie pomaga – burczy.

Ale sam to zaczął i teraz nie dam sobie zamknąć ust.

– Chcesz mnie lepiej poznać, panie Wielki Detektywie, panie Ważny Policjancie z Pierdolonego Bostonu i Znacwo Wszystkich Lokalnych Spraw? Przeświliłeś mnie. Wiesz to, co powinienes wiedzieć. Jestem kobietą, która nie potrafi usiedzieć długo w miejscu. Nie nawiązuję bliskich, długich relacji. Kwestie materialne i stabilizacja finansowa nie mają dla mnie znaczenia. Codziennie walczę sama ze sobą, żeby się nie napić. I wiesz, co potrafię robić? To. Odnajdywać zaginione osoby.

Rozwiązywać stare sprawy. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Ale to jest to, co mam, praktycznie jedyna rzecz, którą mam, więc się jej trzymam.

– Jak jakiś współczesny Sherlock Holmes.

– Sherlock widział odpowiedzi. Ja mam tylko dar zadawania właściwych pytań. – Biorę od niego torbę i wsadzam do niej mój pojemnik z frytkami i hot dogiem. – Nie wiem, gdzie jest Angelique. Nie wiem, dlaczego schowała w lampie rulony fałszywych banknotów, co ją łączyło z Livią Samdi ani dlaczego gania po mieście z fałszywym prawem jazdy i zostawia zaszyfrowane wiadomości. Ale nie przeszkadza mi, że nie wybiegam w tej chwili tak daleko do przodu. Dotrę tam kiedyś, jeśli będę umiała zadać następne pytanie.

Lotham skończył lunch. Bierze torbę i wrzuca do niej swoje śmieci. Ma intensywne ciemne oczy i stoi znacznie bliżej mnie, niż to konieczne. Czuję emanujące z niego ciepło. Toczące się fale gniewu i frustracji.

– Ty chcesz odpowiedzi – mówię cicho.

– Oczywiście!

– Zależy ci na tym, żeby to zakończyć.

– Tak, do diabła. Chcę sprowadzić do domu zaginioną dziewczynę.

– Mnie zależy na procesie dochodzenia do celu. Kiedy mijamy linię mety, gubię się. Przestaję tak dobrze wszystko rozumieć.

Lotham marszczy czoło, autentycznie zaintrygowany.

– Naprawdę nigdy się nie ustatkujesz? Naprawdę będziesz to robiła zawsze... dryfowała z miasta do miasta?

– Będzie ci mnie brakowało?

Uśmiecham się, ale to smutny uśmiech. Bardzo chciałabym, żeby zacy detektyw mnie pocałował. Nie, tak naprawdę chciałabym, żeby zaciągnął mnie na tyły budynku i rznął do utraty tchu, bo tego rodzaju intensywności pragnę teraz najbardziej. Ale on jest taki solidny i stabilny: żołnierz jednostek zwiadowczych piechoty morskiej. A ja jestem huraganem, który niszczy wszystko, co spotka na swojej drodze.

Lotham musiał odczytać coś na mojej twarzy, bo nagle łapie mnie za podbródek. Jego dłoń jest ciepła, opuszki palców zrogowaciałe.

Rozchyłam usta. Jego kciuk muska moją dolną wargę, a ja delikatnie zaciskam na nim zęby i dotykam go koniuszkiem języka.

Ciemnieją mu oczy. Oto coś, co również wiem: zacni mężczyźni, tacy jak on, mają słabość do ludzkich wraków, takich jak ja.

Możecie zapytać Paula.

– Chcesz mnie zabrać do domu? – pytam cicho, puszczając jego kciuk. – Pojadę z tobą. Możemy pieprzyć się na sofie, na kuchennym stole, może nawet w twoim łóżku, jeśli sprawy zajdą tak daleko. Możesz się wyładować. Kto wie, może nawet poczuć, że kontrolujesz sytuację. Że w końcu trzymasz mnie w garści. Że jestem tam, gdzie chcesz, żebym była.

Lotham milczy, ale przysuwa się jeszcze bliżej.

– Uwielbiam seks. Im ostrzej, tym lepiej. Ten moment, gdy nie muszę myśleć, uciekam przed własnymi myślami... Potem mogę się nawet porządnie wyspać. Ale chwilę później ty będziesz dalej chciał tego samego co zawsze, a ja będę dalej sobą. I to znów cię wkurzy.

– Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje.

Uśmiecham się. I widzę Paula tak wyraźnie, że znów krwawi mi serce.

Coś ty zrobiła, Frankie? Dobry Boże, coś ty zrobiła?

Kochałam cię.

– Muszę teraz iść do pracy – mówię zgodnie z prawdą. – Kończę o północy. Jeśli chcesz się ze mną spotkać. Możemy porozmawiać o sprawie. Albo nie. Będę tam.

Cofam się. A potem, ponieważ jeden krok to za mało, robię drugi, trzeci, czwarty. Lotham patrzy, jak odchodzę – stoi bez ruchu, trzymając w ręce torbę z resztkami naszego wspólnego lunchu. Kiedy wiem już, że tam zostanie, odwracam się do niego plecami.

Wracam szybko do Stoneya. Powtarzam sobie, że nic mi nie jest. Że nie jestem roztrzęsiona. Że dam sobie z tym radę.

Bo nikt nie może być szczery zawsze i niezmiennie. Nawet ja.

Rozdział 18

PRZED PRACĄ IDĘ JESZCZE NA GÓRĘ, do swojego pokoju. Żeby się umyć, a także dlatego – choć nie chcę dać się ponieść wyobraźni – że martwię się o Piper. Jednak widząc pośrodku pokoju wielki stos wymiocin, wiem już, że moje obawy były bezpodstawne.

Zaglądam pod łóżko i widzę wlepione we mnie błyszczące zielone ślepie.

– Musimy porozmawiać o twoim stylu komunikacji – informuję ją.

W odpowiedzi powoli mruga.

– Moim zdaniem wypatroszona mysz i sterta rzygów świadczą o pasywnej agresji. Jeśli chcesz trochę więcej przestrzeni osobistej, po prostu to powiedz.

Piper ziewa, błyskając zębami. Może jej styl komunikacji jest całkiem bezpośredni, a mnie nie podoba się po prostu sam komunikat.

Biorę papierowe ręczniki i sprzątam cały bałagan. Obiecuję sobie, że jutro zajrzę do spożywczego. Ale najpierw muszę przetrwać kolejną zmianę za barem, spotkanie AA... i to, co czeka mnie potem z zacnym detektywem.

Naprawdę nie miałabym nic przeciwko nocy dzikiego, namiętnego bzykania.

Choć nie wydaje mi się, żeby Lotham był typem, który łatwo znosi poranek po seksie.

Ciężko wzdycham, po czym myję ręce i twarz, przeczesuję włosy i idę na dół, by zameldować się w pracy.

Stoney jest jak zwykle mało rozmowny. Dzisiaj nawet mi to pasuje. W głowie mam mętlik. Mimo tego, co klarowałam Lothamowi, nie cierpię, gdy pojawia się zbyt wiele pytań. Livia i Angeliq. Angeliq i Livia. Czy

nie jestem zbyt naiwna? Może były nie przyjaciółkami, ale kochankami, a Angelique nie chciała ujawnić swojej orientacji?

Z doświadczenia wiem, że nastolatki są całkiem otwarte w tych kwestiach. Na pewno w porównaniu z moim pokoleniem. Choć może inne orientacje nie są aż tak bardzo akceptowane w haitańskiej kulturze? Albo w rodzinie Angelique? Jak mam zadać to pytanie?

Bo to jest ważne. Jakie są relacje między Angelique a Livią i co sprawiło, że obie zniknęły w odstępie kilku miesięcy?

Nam. Pomóżcie nam.

Ponownie zastanawiam się, o ile tu chodzi osób. Czy domniemana uciekinierka wyczerpuje temat, czy może to dopiero początek?

Informacja o drugiej zaginionej dziewczynie pomaga odpowiedzieć na kilka pytań. Na przykład o oczywistą swobodę Angelique w poruszaniu się po mieście, a jednocześnie o to, że musi się ukrywać i nie wraca do domu. W handlu żywym towarem stosuje się zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Możesz mieć dziś wolny wieczór, ale jeden fałszywy ruch i zapłaci za to twoja przyjaciółka. Biorąc pod uwagę wrodzoną opiekuńczość Angelique, taka taktyka byłaby wobec niej wyjątkowo skuteczna. Zwłaszcza gdyby Livia była jej nową przyjaciółką lub kimś więcej niż przyjaciółką, kimś, kogo nie chce zdradzić.

To oznacza, że po jedenastu miesiącach Angelique cieszy się pewnym stopniem swobody i zaufania porywaczy – choć nadal boi się o bezpieczeństwo swoje i co najmniej jeszcze jednej dziewczyny.

Według Emmanuela Angelique nie wierzyła, że marzenia same się spełnią. Uważała, że wszystko trzeba zaplanować. Na przykład wysyłając zaszyfrowaną wiadomość. Odwiedzając duży sklep telefonii komórkowej, gdzie miała być może nadzieję, że nagrają ją kamery monitoringu. Dwa pojawienia się w ciągu dwóch tygodni.

Obojętnie, na czym polega jej plan, widać, że sprawa jest pilna. Co się zmieniło? Co się wydarzy, jeśli nie podążymy szybko tropem, jaki nam zostawia?

Zestawiam krzesła ze stolików, a potem kroję cytryny i limonki, wciąż nie znajdując odpowiedzi na żadne z pytań. Angelique wyraźnie stara się

coś zakomunikować. Szkoda, że nadal nie wiem co.

We frontowych drzwiach pojawia się Viv. Na mój widok staje w miejscu.

– Słyszałam, że szukasz tej biednej zaginionej dziewczyny.

– Tak jest, proszę pani.

– Jesteś kimś w rodzaju prywatnej detektyw?

– To prawda, „kimś w rodzaju”.

Viv w typowy dla siebie sposób mruczy z aprobatą.

– Żadne dziecko nie powinno być odrywane od swojej rodziny, złotko. Daj mi znać, jeśli będę mogła ci jakoś pomóc.

– Znasz rodzinę Samdi? Mają córkę Livię.

– Nazwisko nic mi nie mówi, ale popytam. Mattapan nie jest taki duży, ale gęsto tu od ludzi. Wydawało mi się kiedyś, że znam wszystkich sąsiadów, lecz to już przeszłość.

Viv znika w kuchni, pozdrowiwszy najpierw głośno Stoneya, który bąka coś w odpowiedzi. Pierwsi goście pojawiają się dokładnie w chwili, kiedy kończę szykować bar. Rozpoznaję kilku stałych klientów, którzy nie łąpią już na mnie podejrzliwie. Uznaję to za postęp i wkrótce zaczynam nalewać drinki i podawać gorące dania.

Przez cały czas staram się czymś zająć. Powtarzam sobie, że nie zerkam w stronę drzwi za każdym razem, gdy się otwierają, i że nie jestem zadurzoną licealistką, czekającą z wypiekami na twarzy na ukochanego.

Moje zaklęcia nie są zbyt skuteczne, ale dzięki taniemu piwu i tanim daniom stoliki wciąż są zajęte i wciąż napływają nowe zamówienia. Jestem dobrą barmanką. Lubię stały rytm, zastrzyk adrenaliny, gdy obsługuję dziesiątki gości, a potem spokojniejsze chwile, gdy uzupełniam zapasy, sprzątam i szykuję się na następną falę.

Hardkorowi pijacy są nieskorzy do rozmów – i to też mi się podoba. Tego wieczoru więcej ich nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. Jeszcze kilka dni i uznają, że warto zapamiętać moje imię. Lista moich nowych znajomych naprawdę wkurzy wtedy detektywa.

Dziewiąta wieczór. Kolacyjni goście wychodzą, coraz mniej zajętych stolików, coraz mniej zamówień.

Ani śladu po detektywie.

Dziesiąta. Tylko parę zajętych stolików, przy których bawi się hałaśliwa młodzież.

Ani śladu po detektywie.

Jedenasta. Przy stolikach nie ma prawie nikogo. Bar okupują hardkorowi maruderzy, którzy zostaną tu aż do zamknięcia.

Spłoszył się. Nie każdy lubi grać w otwarte karty i nie każdy mężczyzna radzi sobie z kimś tak porąbanym jak ja.

A może jest skonany po poprzedniej nocy, której większość spędził na nogach. Albo nadal pracuje, bo dzisiejsze rewelacje doprowadziły do kolejnych przełomów w sprawie.

Chcę wiedzieć, jakie są kolejne przełomy w sprawie. Chcę...

Drzwi się otwierają.

Wchodzi Lotham.

I mimo wszystkich moich śmiałych deklaracji, mimo że akurat ja powinnam wiedzieć lepiej, żołądek podchodzi mi do gardła, trzęsą mi się ręce i czuję się jak durna licealistka.

Detektyw wziął prysznic i przebrał się. W ciemne dżinsy i opinającą jego szeroką pierś turkusową koszulę z kołnierzykiem z guzikami. Łączy w sobie autorytet policjanta, człowieka władzy i wojskowego. Kiedy podchodzi do baru, kilku maruderów od razu daje nogę. Wcale im się nie dziwię.

– Drinka dla pańienek? – pytam, kiedy siada.

Lotham piorunuje mnie wzrokiem.

– Poproszę szklankę wody.

To zamówienie zbija mnie z tropu. Prosi o wodę, bo nadal jest w pracy i musi mieć jasną głowę? Bo pragnie w pełni skupić się na czekającym nas interludium?

Wrzucam do szklanki kostki lodu i zalewam je wodą. Pojawia się Stoney i pozdrawia detektywa skinieniem głowy. O tej porze zawsze

dobrze jest mieć w pobliżu gliniarza. A potem do baru zagląda Viv, mierzy wzrokiem mojego imponującego nowego gościa i zerka na mnie.

– Wchodź w to, dziewczyno – rzuca niezbyt subtelnie.

Czerwienię się i jeszcze bardziej mnie to peszy. Nigdy nie zachowywałam się jak egzaltowana pensjonarka. Szczerze mówiąc, byłam zwykle zbyt urżnięta, żeby się przejmować. Maniakalna, tak. Destrukcyjna, jak najbardziej. Ale nie egzaltowana.

Stawiam wodę przed Lothamem. Wypija łyk. Przy drugim końcu baru jeden ze stałych bywalców daje mi znak, że chce zapłacić rachunek. Jestem zadowolona, że mogę się zająć czymś innym.

Tu podaję piwo. Tam następną kolejkę rumu. Sprzątam talerze. Czyszczę stoły. Bez przerwy w ruchu.

Tak naprawdę chętnie bym się teraz napiła – i to wkurza mnie bardziej niż cokolwiek innego. Czas dojść do ładu z własnym pierdolonym ja.

Kiedy wracam za bar, jestem trochę spokojniejsza, a Lotham wypił pół szklanki wody.

– Chcesz coś zjeść? – pytam.

– Szczerze mówiąc, od kilku dni jem tylko smażone. Chętnie zjadłbym sałatę, ale nie ma jej chyba w menu.

– Viv jest znana z tego, że realizuje specjalne zamówienia. Dla swoich ulubieńców.

– Viv z kuchni?

– Właśnie. I sądząc po tym, jak na ciebie spojrzęła, już teraz zaliczasz się do ulubieńców.

Kwituje to uśmiechem. Przez krótką chwilę detektyw wydaje się dziesięć lat młodszy. Jego praca to brzemię, którego nigdy się nie pozbywa. To jest jednocześnie bardzo, bardzo pociągające i jakby smutne. Ratowanie świata może być tak samo kompulsywne jak picie, tyle że Lotham nie ma programu dwunastu kroków, które chroniłyby go przed nim samym. Zastanawiam się, czy kiedyś poczuje się wypalony, rozgoryczony pracą i życiem, którego nigdy nie miał czasu zbudować. Może pewnego dnia mi pozazdrości, choć raczej w to wątpię.

Zaglądam do kuchni i pytam Viv, czy nie zrobiłaby sałaty dla przyjaciela. Cichy chichot i porozumiewawcze mrugnięcia powodują, że muszę stamtąd wyjść, nim znów obleję się rumieńcem.

Niebawem pojawia się sałata i detektyw skupia uwagę na jedzeniu. Bar pustoszeje i wkrótce Stoney staje przy frontowych drzwiach, żeby zamknąć je na klucz. Mierzy Lothama pytającym spojrzeniem.

– On jeszcze trochę zostanie.

Stoney kiwa głową, przekręca klucz w drzwiach i chowa go do kieszeni, po czym ostentacyjnie wycofuje się do swojego kantorka. Nie wiem, jak zamyka się kasę, więc po jakimś czasie i tak będzie musiał się tym zająć, na razie jednak zaczynam ustawiać krzesła na stołach.

Lotham bez słowa wstaje i odnosi swój talerz do kuchni.

– Cześć, przystojniaku! – woła Viv.

O mnie możecie zapomnieć, detektyw jest już oficjalnie jej wybrankiem.

– Bardzo pani dziękuję. To było dokładnie to, czego potrzebowałem.

– Daj mi znać, jeśli będziesz chciał nas znowu odwiedzić, to zrobię ci stek. Wtedy będziesz na pewno wiedział, czego potrzebujesz.

Z kantorka dobiega dziwny dźwięk, jakby Stoney się dusił. A potem Lotham wraca, zaczerwieniony i z otwartymi szerzej oczami. Więc nie tylko mnie to dotknęło. Wręczam mu miotłę. Skoro już tu jest, może się do czegoś przydać.

Lotham zaczyna zamiatać, przemieszczając się od tyłu ku przodowi sali, a ja czyszczę ostatnie stoły i kończę ustawiać na nich krzesła.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej o Livii Samdi? – pytam w końcu.

– Zdecydowanie zaginęła, a jej rodzina zdecydowanie nie chce mieszać w to policji.

– Chwileczkę. Czy nie przyznajesz w ten sposób, że moje podejście może czasami przynosić pozytywne rezultaty?

– Dobry gliniarz nie będzie nigdy zachęcał cywila do angażowania się w sprawę – mówi, ale bynajmniej nie zaprzecza.

– Kiedy Livia uciekła z domu?

– W styczniu. Niecałe trzy miesiące po Angelique.

– W jakich okolicznościach?

– Poszła do szkoły i już z niej nie wróciła.

– To wydaje się podejrzenie znajome. Rodzina nigdy nie skontaktowała się z policją?

– Według jej mamy, Roseline, to nie był pierwszy raz, kiedy Livia zniknęła. Czasami dziewczyna nie wracała do domu w piątek, a w poniedziałek rano jakby nigdy nic zjawiała się w szkole. Znikała na weekendy. A czasami nawet na całe tygodnie. Powiedzmy, że biorąc pod uwagę... jak żyją, dziwię się, że to w ogóle zauważyli.

– Co Livia ze sobą zabrała?

– I tu mamy problem. Według Roseline w domu została większość jej ubrań i rzeczy osobistych. Livia nie miała komputera, wyłącznie komórkę, która zniknęła razem z nią. Próbowaliśmy ją namierzyć, niestety, bezskutecznie. Ale ściągamy teraz od operatora rejestr połączeń i esemesów. Ciekawe będzie ustalenie, czy telefon jest już naprawdę nieużywany, czy może włączany na krótkie okresy.

– Rodzina Livii wie o Angelique Badeau?

– Mama słyszała o niej w wiadomościach, to wszystko.

– Czyli nie wiedzieli, że dziewczyny się przyjaźniły?

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, by matka Livii wiedziała o jakichkolwiek jej przyjaciółkach. Ani jakie ma hobby czy ulubiony kolor. To nie jest tego rodzaju rodzina.

– Innymi słowy, to całkowite przeciwieństwo rodziny Angelique. – Na chwilę przerywam, trzymając dłonie na oparciu krzesła. – Zastanawiam się, co zbliżyło do siebie te dwie dziewczyny. Przeciwności się przyciągają? Opiekuńczej Angelique zdawało się, że może pomóc Livii zrobić coś z jej smutnym życiem?

Lotham wzrusza ramionami.

– Czy Livia nadużywała alkoholu? Albo narkotyków?

– Biorąc pod uwagę jej rodzinę, odpowiedziałbym twierdząco na jedno i na drugie pytanie.

- Może szkolny pedagog mógłby powiedzieć wam coś więcej.
- Dlatego będę u niego z samego rana.
- To tyle, jeśli chodzi o długie wspólne śniadanie – mruczę.

Detektyw bacznie mi się przygląda. Jego oczy ciemnieją. Stoi trzy metry ode mnie, nadal trzymając miotłę, ale w pomieszczeniu nagle zaczyna brakować powietrza.

- Wiemy tylko – mówi cicho – że Angélique żyje i potrzebuje pomocy. Kiwam głową.

- Jest w jakiś sposób związana z Livią Samdi, drugą zaginioną dziewczyną. I nie wolno nam pod żadnym pozorem ujawniać mediom informacji o czerwonej czapce bejsbolowej.

- To jest wasza zastrzeżona informacja.

- A poza tym nie chcemy sprawdzać dziesiątków zgłoszeń, że ktoś widział dziewczynę w czerwonej czapce.

- Co z dzisiejszym rozpoznaniem Angélique? Czy zintensyfikujecie śledztwo?

- Traktujemy jej pojawienie się w sklepie bardzo poważnie. Ale opinia publiczna ma być przekonana, że nie zostało potwierdzone, czy to rzeczywiście była Angélique. Co dobrze pasuje do „być może, tak jakby, niezupełnie” sprzedawcy.

- Nie chcecie informować opinii publicznej? – pytam zaskoczona. – I zgłosić na nowo jej zaginięcia do Amber Alertu?

Lotham opiera się o miotłę.

- Angélique ma najwyraźniej pewną swobodę ruchów – mówi – lecz czuje, że nie może wrócić do domu...

- Potrzebuje pomocy. *Pomóżcie nam*. Sama to napisała.

- Zgadza się. Czuje się zagrożona i jest w niebezpieczeństwie. Ale dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tym zagrożeniu, a także kogo i czego dotyczy, najbezpieczniej będzie brać z niej przykład i nie rozgłaszać tego wszem wobec. I nie martw się, włączamy do sprawy więcej funkcjonariuszy. Niemniej nasze oficjalne stanowisko, które

chciałbym, żebyś wspierała, jest takie, że nie pojawiły się żadne nowe fakty.

– Nie obrażaj mnie – odpowiadam ostro i wracam do ustawiania krzeseł. Naprawdę nie wiem, co mam o tym wszystkim sądzić. – Poinformujecie rodzinę Angelique, że znów ją widziano? – pytam po chwili.

– Im mniej ludzi wie, tym lepiej.

– Żartujesz sobie ze mnie? – Teraz skupiam na nim całą uwagę. – Macie ważny trop i nie chcecie zawiadomić o nim Guerline i Emmanuela?

– Kiedy dowiemy się czegoś więcej, będziemy mieli jakieś konkrety...

– Och, daj spokój. Nie dokonalibyście tych ostatnich odkryć bez Emmanuela. Rodzina wam ufa, przychodzi do was...

– Właściwie Emmanuel przyszedł do ciebie...

– I to cię dziwi? Wiedzieli już wtedy, że coś przed nimi ukrywacie. To pogłębiło tylko ich nieufność.

Lotham nie daje się wyprowadzić z równowagi.

– Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nigdy nie okłamałaś żadnej rodziny. Nigdy nie ukryłaś jakiegoś szczegółu, zawsze informowałaś ich o każdym tropie. Zajmujesz się tym i wiesz, jak to wygląda.

Krzywię się, ale nie mogę mu spojrzeć prosto w oczy i oboje o tym wiemy. Sama podejmowałam wcześniej podobne decyzje. Nie uważam po prostu, że to odpowiednie podejście w przypadku ciotki i brata Angelique.

Ustawiam kolejne krzesła. Lotham dalej zamiata. Pojawia się Stoney i zamyka kasę.

Pierwsza kończy Viv. Jej mąż staje po drugiej stronie drzwi z przyciemnianego szkła w tym samym momencie, kiedy Viv wychodzi przez nie, wsuwając ręce w rękawy kurtki. Telepatia po tylu latach małżeństwa? A może napisał jej esemesa, że już jest. Nie wiem dlaczego, ale romantyczna opcja bardziej mi się podoba.

Następny wychodzi Stoney. Ostatnie spojrzenie na Lothama i na mnie, a potem jakby wzruszając w myślach ramionami, idzie do bocznych drzwi i znika za nimi. Lotham odkłada miotłę. Ja kończę wycierać kontuar.

Na tym koniec. Praca jest wykonana. Klienci i inni pracownicy wyszli. Zostaliśmy tylko ja, ten mężczyzna i zabójcza kocica na górze.

Lotham podchodzi do mnie. Ma lekki, sprężysty chód. Bokser. Powinnam była zgadnąć od razu.

Staje tuż przede mną i nie mogę się powstrzymać. Podnoszę rękę. Gładzę opuszkami palców jego twarz, wodząc nimi wzdłuż linii szczęki, po miękkim, poszarpanym brzegu ucha, a potem odnajdując kolejną bliznę, tuż nad lewą brwią. Ma śmiesznie długie, gęste rzęsy. Dlaczego faceci mają zawsze ładniejsze rzęsy?

Jego krótko obcięte włosy drapiają wewnątrz mojej dłoni. Przypominają w dotyku jednodniowy zarost. Na czole ma głębokie zmarszczki. Wodzę palcami wzdłuż każdej z nich. Kolejny dowód na to, że ma stresującą pracę? Podoba mi się ich tajemniczość. To, co komunikują, ale nie mogą powiedzieć.

Opuszczam rękę na jego barki. Muskularne i twarde, podobnie jak ręce. Bokser, który nadal spędza dużo czasu na ringu. Z tej bliskiej odległości dobrze widzę pulsującą na jego szyi żyłę, słyszę jego urywany oddech.

Dotykam wargami zagłębienia na szyi. Pachnie drewnem sandałowym, smakuje solą. To jego wyprysznicowana wersja, ale pociąga mnie tak czy owak.

– Dobranoc, Frankie – mówi.

– Dobranoc, detektywie – odpowiadam i całuję go tak jak trzeba.

Na chwilę traci głowę. Przyciąga mnie do siebie i to jest burza pożądania i brutalnej siły. Jego wargi miażdżą moje. Jego język penetruje moje usta, a ja z entuzjazmem się temu poddaję. To nie jest macanie się po pijaku ani bezmyślne rżnięcie. To jest odpowiedź na to, co czujesz.

Nie protestuję, kiedy odsuwa się, puszcza moje ręce i robi krok do tyłu.

– Dobranoc, Frankie – powtarza.

– Dobranoc, detektywie.

Otwieram mu frontowe drzwi i patrzę, jak odchodzi.

Rozdział 19

JEST SŁONECZNY, JASNY RANEK, gdy pokonuję ostatnie przecznice dzielące mnie od domu Samdich. Chociaż pora dnia i pogoda są sprzyjające, nerwowo kulę się i rozglądam dokoła. Jeśli na Mattapanie są dobre i złe okolice, ta zdecydowanie zalicza się do tych drugich.

Za przekrzywionymi ogrodzeniami z zardzewiałej siatki widać zapuszczone od dziesięcioleci podwórka – zeschnięte krzaki i stopy zdezelowanych dziecinnych zabawek, potłuczonych butelek po piwie i zużytych kondomów. Każdy dwupiętrowy dom usiłuje sprawiać wrażenie bardziej zdewastowanego od swojego sąsiada. Trudno mi powiedzieć, który wygrywa w tej konkurencji.

W tym miejscu nikt nie powinien kręcić się po zmroku. Widząc pojawiające się w oknach sylwetki i czując, jak śledzą mnie liczne oczy, nie jestem nawet pewna, czy powinnam kręcić się tu teraz. Czuję się stuprocentową outsiderką.

Głęboko oddycham. Wdech ustami. Wydech nosem. Nie po raz pierwszy mam do czynienia z czymś takim. Zachowaj spokój, odpręż się, skoncentruj. Nie stanowią zagrożenia. Nie mam żadnych problemów. Chcę tylko zadać kilka pytań członkom rodziny.

Po mojej prawej stronie otwierają się frontowe drzwi i wychodzą przez nie trzej Afroamerykanie – krzyżują ręce na muskularnych torsach i mierzą mnie nieobecny spojrzeniem. To samo dzieje się po drugiej stronie ulicy. A potem dalej po prawej. I dalej po lewej.

Czyżbym była aż tak niemile widziana?

Docieram do domu Samdich, który nie jest ani najlepiej, ani najgorzej prezentującym się budynkiem przy tej ulicy. Ze ścian złazi wielkimi płatami ciemnozielona farba, zagracona weranda pochyła się

niebezpiecznie do przodu. Po prawej stronie ogromny płat dykty zakrywa dziurę w ścianie. Dwa kolejne przybite są gwoździami do dachu.

Nie muszę otwierać furtki – jest urwana z górnego zawiasu i wbija się dolnym rogiem w ziemię. Obchodzę ją dokoła i kopię sflaczałą piłkę, tak że wpada na stos pustych butelek po wódce. Cofając się odruchowo, zaczepiam kurtką o wystający z zardzewiałej siatki drut i rozdzieram materiał.

– Cholera jasna! – klnę i natychmiast tego żałuję.

Mam być odprężona i skoncentrowana. Rodzina, z którą chcę porozmawiać, szuka powodów, by mnie nie lubić, pretekstów, by mi nie pomóc. Nie wolno mi ich dawać.

Wchodzę na werandę. Jeden ze stopni wydaje się tak przegniły, że omijam go i stawiam stopę na następnym, robiąc to mocniej, niżbym chciała. Deska ugina się pod moim ciężarem i czując zastrzyk adrenaliny, resztę schodków pokonuję w okamgnieniu.

Kiedy stoję na werandzie, otwierają się frontowe drzwi i widzę przed sobą młodego czarnego mężczyznę w białym podkoszulku i opadających ciemnych dżinsach. Zaplecione w milion warkoczyków włosy opadają mu niczym kurtyna na ramiona, w uchu tkwi wielki kolczyk z diamentem, a na skórze rąk i karku ma dość tatuaży, żeby służyły mu jako druga koszula. Nawet z bliska nie sposób go dostrzec za mnogością tatuaży, biżuterii i doczepionych włosów. Miejski kamuflaż.

– Nie chcemy cię tutaj – mówi; ma ciemne, beznamietne oczy.

– Szukam pani Samdi – odpowiadam.

– Nie chcemy cię tutaj.

– Chodzi o jej córkę Livię.

– Spieprzaj z mojej posiadłości.

– Należy do ciebie cały dom? – pytam. – Sporo w życiu osiągnąłeś. I to w tak młodym wieku.

Chłopak mruży oczy.

– Nie chcemy tu żadnych białych dziwek.

– W porządku, ale ja jestem tanią białą dziwką. To chyba coś znaczy? Specjalizuję się w namierzaniu zaginionych osób, za darmo. Od pewnego czasu poszukuję już Angelique Badeau. Może ją znasz?

– Spierdalaj.

– Jesteś bratem Livii? Jej wujkiem? Przypadkowym znajomym? Zdaniem policji rodzina uważa, że Livia uciekła z domu. Z całym szacunkiem pozwolę się z tym nie zgodzić. Sądzę, że jej zniknięcie ma coś wspólnego z zaginięciem Angelique, i chciałabym pomóc im obu.

– Głucha jesteś, paniusiu? Spierdalaj. Stąd. W podskokach.

Chłopak daje dwa kroki w moją stronę. Jego ostre słowa nie odniosły żadnego skutku, więc zamierza przejść do rękoczynów. Ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i dobre osiemdziesiąt kilo żywej wagi. Ustępuję mu pod każdym względem.

– Szukam pani Samdi – powtarzam, tym razem szybciej. – Jeśli zechce, żebym sobie poszła, odejdę. Ale najpierw muszę się z nią zobaczyć. Posłuchaj. Nie przyszłam tu, żeby cię wrobić czy osądzać twoją rodzinę. Nie pracuję dla policji, dla mediów, dla nikogo. Chodzi mi tylko o te zaginione dziewczyny i chcę przez pięć minut porozmawiać z twoją matką. Pięć minut. Kto wie, może ona i ja zdołamy zrobić coś dobrego.

Chłopak, który musi być starszym bratem Livii, otwiera znowu usta. Dłonie ma zaciśnięte w pięści, żyły wystąpiły mu na szyi. Zaczynam się cofać, żałując, że nie zrobiłam tego trzy sekundy wcześniej. I nagle z wnętrza domu odzywa się znużony ochryply głos.

– Wpuść ją, Johnson.

Mój interlokutor krzywi się i rozluźnia zaciśnięte pięści.

– Johnson? – powtarzam bezgłośnie, unosząc brwi.

– J.J. – prycha i kiwa głową do licznych umięśnionych młodzieńców, którzy kręcą się przed domem, trzymając straż.

To jego znajomi? Gang? Nieważne. Zdaniem O'Shaughnessy'ego brat Livii jest dilerem, a zatem w moim najlepszym interesie jest pochylić głowę i patrzeć w ziemię, gdy prowadzi mnie korytarzem na tyły domu.

Wchodzimy do dużego pomieszczenia, w którym unosi się chmura papierosowego dymu. Po prawej stronie jest kuchnia, w której na wszystkich blatach stoją puste pojemniki po daniach na wynos i ogromne butle z alkoholem. Coś dużego, brązowego i lśniącego śmiga po podłodze. A potem drugie i trzecie coś.

Przełykam powoli ślinę. Kiedy porównuję kolorowe, przytulne mieszkanie Guerline z tym wnętrzem, trudno mi uwierzyć, że Livia i Angeliqne mogły mieć ze sobą coś wspólnego. A jednak...

Skupiam uwagę na stojącym przy ścianie po lewej stronie karcianym stoliku. Siedzi przy nim wychudła Afroamerykanka, której twarz spowija chmura dymu z papierosa. Ubrana w spłowiałą kwiecistą podomkę, ma przedwcześnie postarzałe rysy długoletniej alkoholiczki.

Przysuwam sobie składane krzesło i siadam naprzeciwko niej.

– Roseline Samdi?

Kobieta głęboko się zaciąga, a potem strzepuje popiół z papierosa do puszki po piwie.

– To ty jesteś tą kobietą? Tą, która szuka Badeau?

Pierwsze słowa wypowiada z typowo bostońskim akcentem, ale przy nazwisku Badeau górę bierze jej wyspiarskie pochodzenie. Wymawia je jednocześnie twardo i miękko, słychać w nim echo palm i sunących po niebie chmur.

– Emigrowała pani jako dziecko czy później? – pytam.

Staram się nie kręcić nosem na smród zepsutego jedzenia, niepranych ubrań i ludzkiego potu. Gdybym tu mieszkała, paliłabym przez cały dzień, żeby go nie czuć.

– Kiedy byłam mała. Przyjechałam tu z moją *mamè*, trzydzieści lat temu.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że Roseline jest niewiele starsza ode mnie. Ale kiedy się na nią spojrzę...

Wiedziona impulsem, chwytam jej dłoń. Jest zbyt zaskoczona, by ją cofnąć.

– Jestem od dziewięciu lat trzeźwa. Od dziewięciu lat i siedmiu miesięcy. Przez cały czas tego pragnę. To jest do dupy, prawda? Pragnąć czegoś tak bardzo, kiedy wiesz, że nie powinnaś?

Roseline milczy. Ma poślizgniętą skórę i patrzy na mnie ponuro. Ale zdaje mi się, że widzę w jej oczach wdzięczność.

– Udało mi się przez cały rok – mówi wreszcie. – Nie mogę powiedzieć, że to był mój najlepszy rok. Przez cały czas cierpiałam i tak bardzo tego pragnęłam. Ale potem... – Zaciąga się papierosem i kiwa powoli głową. – Potem żałowałam, że sobie odpuściłam.

– Wszyscy przez to przechodziliśmy.

– I na tym to polega? Ty jesteś uzależniona. Ja jestem uzależniona. Dlatego mam ci wszystko powiedzieć?

W jej głosie słyszę gorycz, co sprawia, że puszczam jej dłoń i odchylam się do tyłu. To nie będzie łatwa ani przyjazna rozmowa. Lepiej jej nie przedłużać.

– Czy Livia знаła Angeliqne Badeau?

– Nie – odpowiada ostro Roseline, jakby chciała czym prędzej wyrzucić z siebie to słowo.

– Czy kiedykolwiek mówiła coś o Angeliqne w kontekście wakacyjnych zajęć w centrum rekreacyjnym?

– Nie.

– Dlaczego zajęcia o modzie?

Roseline nie odzywa się i tylko mruga. Jej papieros jest prawie wypalony. Bierze następnego z leżącej obok paczki i odpala go od poprzedniego.

– A dlaczego nie? – pyta w końcu.

– Nie rozmawiała o tym z panią? Nie mówiła, jak bardzo chciałaby się zapisać i jak się cieszy, że się zapisała? Rozumiem, że to pani zapłaciła za te zajęcia, prawda? Na pewno chciała pani poznać powód.

Roseline milczy. Zaciąga się, wypuszcza dym i strzepuje popiół. Nie zapłaciła za te zajęcia. Livia musiała się zakwalifikować dzięki jakiemuś programowi dla rodzin o niskich dochodach. Co oznacza, że jej matce

nigdy nie przyszło do głowy zapytać, dlaczego zapisała się akurat na zajęcia o modzie.

Ostatecznie Roseline z rezygnacją wzrusza ramionami. Innymi słowy, Livia zapisała się na wakacyjny kurs, a jej własną matkę niewiele to obeszło. Dostrzegam, że papieros lekko drży w jej dłoni. Nie jest taka nieczuła, za jaką chciałaby uchodzić.

– Czy Livia miała przyjaciółkę, która też się tam zapisała? – cisnę dalej. – Może miała obsesję na punkcie *Misji „Moda”*? Jest taki program w telewizji. Może chciała zarabiać na życie projektowaniem?

Roseline zaciąga się, wypuszcza dym, strzepuje popiół.

– Lubiała wykonywać różne przedmioty – mówi w końcu.

– Wykonywać różne przedmioty... czyli zajęcia o modzie pozwalały jej... coś wykonywać? – Co jest ciekawe, bo założyłam już, że Angelique również nie interesowała się samą modą. Dla niej była to okazja, żeby zająć się sztuką. Może Livii chodziło o projektowanie? – Z kim się przyjaźniła? – pytam.

– Nie miała żadnych przyjaciół – zapewnia mnie Roseline, ale robi to bez przekonania. Po prostu nie zna odpowiedzi na moje pytanie.

Czekam, aż powie coś więcej. W milczeniu zaciąga się papierosem tak mocno, że jej twarz przez chwilę przypomina trupa czaszkę.

– Nie jesteśmy z tych, co się przyjaźnią – oświadcza wreszcie i powoli wydmuchuje chmurę dymu.

– Lubiała chodzić do szkoły?

– Nie opuszczała lekcji.

– Jaki był jej ulubiony przedmiot?

– Nie wiem. – Roseline znów się zaciąga, wydmuchuje dym, strzepuje popiół. – Przynosiła do domu rzeczy, które robiła w szkole. Na przykład sztuczną dynię. Małą, z pomarańczowego plastiku. Z wyciętymi oczami, nosem i ustami. Nawet fajna, ale gównem warta. Po co mi, do diabła, coś takiego?

Nie mam pojęcia, na jakich zajęciach w szkole robi się miniaturowe halloweenowe dynie.

– Wciąż ma pani tę dynię? – pytam.

Roseline spogląda na podłogę. Pod rozległą warstwą śmieci znów coś się porusza. Odwracam wzrok.

– Może pokazałaby mi pani komputer Livii? Na pewno są w nim jej zadania domowe.

Roseline stuka papierosem w pustą puszkę po piwie i kręci głową.

– Widzi tu pani gdzieś komputer? Dziewczyna korzystała z tego, który mieli w szkole.

– Czyli lubiła szkołę? Jej koleżanki pewnie...

– Chodziła tam codziennie. Wstawała i szła do szkoły. Tylko to się dla mnie liczyło – mówi Roseline, ale słyszę w jej głosie, że nie tylko to się dla niej liczyło, że nie tylko o to się martwiła.

– Wygląda na to, że była bardzo samotna – brnę dalej. – Chodziła codziennie do szkoły i nie miała żadnych przyjaciółek.

– Starła się unikać kłopotów.

– Jest nieśmiała?

– Jest sprytna. Zawsze pojawiała się tam, gdzie nikt się jej nie spodziewał. Widziała rzeczy, których nie powinna widzieć. Słyszała rzeczy, których nie powinna słyszeć. I tak miała od dziecka. Ale jak się człowiek odwrócił, już jej nie było. Nauczyła się od brata, żeby za długo nie sterczeć w jednym miejscu. Chcesz być przebiegła? – Roseline wbija we mnie wzrok. – To musisz być szybka. Livia umiała wiele rzeczy.

Czy to znaczy, że koleżanka Angelique z zajęć o modzie była z natury przebiegła? A może wpadła w poważne kłopoty, bo miała skłonność do zakradania się tam, gdzie nie powinna?

– Czy w tygodniach poprzedzających zniknięcie Livii coś odbiegało od normy? – pytam.

– Wszystko było tak jak zawsze.

Nie spodziewałam się innej odpowiedzi.

– A pani syn, Johnson? Interesował się trochę siostrą?

– Johnson nigdy nie skrzywdziłby własnej siostry! – Odpowiedź jest odruchowa, ale podszyta pewną obawą.

– A to dlaczego?

– Rodzina to rodzina. Poza tym... – Roseline po raz pierwszy przybiera żartobliwy ton – dramaty szkodzą biznesowi.

Rozumiem, o co jej chodzi. Tyle że według O'Shaughnessy'ego Johnson działa na dość niskim szczeblu. Melduje się gangsterom średniego szczebla, którzy odpowiadają przed narkotykowymi baronami wysokiego szczebla. Czy uznaliby, że piętnastoletnia dziewczyna jest nietykalna? Zwłaszcza jeśli ma skłonność do pojawiania się tam, gdzie nie powinna?

– Do jakiej szkoły chodziła Livia?

Roseline wymienia jakąś nazwę, która na pewno jest inna niż nazwa szkoły Angelique.

– To szkoła...?

– Zawodowa. Nie ma w tym nic złego. Dzieciaki muszą mieć w rękę jakiś fach. Bo inaczej...

Wrócą do rodzinnego narkotykowego biznesu.

– Livia miała jakiegoś ulubionego nauczyciela?

Roseline zaciąga się, wypuszcza dym, wzrusza ramionami.

– Ulubiony przedmiot?

– Lubiała robić dynie.

Słyszę hałas dobiegający od frontu domu. Roseline nagle wstaje i gasi papierosa. Po raz pierwszy, odkąd tu weszłam, nie pali.

– Czas się skończył.

– Chwilę...

– Musi pani już iść. Drzwi są za panią. I zna pani to powiedzenie: lepiej, żeby nie walnęły panią w tyłek, kiedy będzie pani stąd wychodziła.

Najwyraźniej nie wolno mi wyjść tą samą drogą, którą tutaj weszłam. Muszę uciekać tylnymi drzwiami. Chcę zaprotestować, ale Roseline wyciąga nagle w moją stronę żółty od nikotyny palec.

– Za drzwii! – mówi rozkazującym tonem.

Przez chwilę jeszcze się ociągam.

– Niech pani idzie ze mną – proszę. – Zabiorę panią na spotkanie. Pójdziemy razem. Ja będę trzymała za rękę panią, pani mnie.

– Wynoś się!

– Jeden krok. Pamięta pani tamten rok? Nawet teraz pani o nim myśli. Proszę pójść ze mną. Pomogę pani.

– Już!

– Pani Samdi...

Roseline łapie mnie za ramię i ściska je z siłą, której się po niej nie spodziewałam.

– Nie jesteś tu bezpieczna.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Zasycha mi w ustach, szponiaste palce wbijają mi się w ramię.

– Livia nie była tu bezpieczna – dodaje Roseline.

– Chce pani powiedzieć, że cieszy się pani z jej ucieczki? Dlatego nie zawiadamała pani policji, kiedy córka nie wracała do domu? Ma pani nadzieję, że tym razem uciekła na dobre. Uważa pani, że będzie dzięki temu bezpieczniejsza.

– To nie jest miejsce dla dziewczyn.

– Poradzę sobie z Johnsonem...

– To nie mojego syna powinnaś się obawiać.

Słyszę stek przekleństw i głośny tupot stóp. Zmierzających w naszą stronę.

Mam więcej pytań. Chcę zrozumieć, co tu się dzieje. Ale Roseline popycha mnie już w stronę tylnych drzwi.

– Jeśli znajdziesz moją Livię... – syczy, otwierając je.

– Zaraz...

– Nie sprowadzaj jej do tego domu! – kończy i wypycha mnie na zewnątrz.

Chwiejąc się i wymachując rękami, żeby nie stracić równowagi, zbiegam po stopniach. Kiedy jestem już na dole, słyszę za sobą gniewne męskie głosy.

– Mamo!

– Zatrzymaj ją!

– Do kurwy nędzy, J.J.!

Nie tracę czasu, by spojrzeć za siebie. Puszczam się biegiem, szybko, a potem jeszcze szybciej, nadal się nie oglądając, nawet kiedy słyszę kroki ścigającego mnie mężczyzny. Jednak przez ułamek sekundy kątem oka dostrzegam obwieszonego złotymi łańcuchami, zaskakująco wysokiego czarnego mężczyznę w czerwonym dresie. Rozpoznaję faceta retro spod szkoły Angelique. Tego, który wysiadł z kapsuły czasu z roku 2002.

Patrzy na mnie, jakby chciał mnie ostrzec.

Przyspieszam jeszcze bardziej i w tej samej chwili rozlega się strzał. A potem następny.

Robię unik w lewo, kulę się, by stanowić jak najmniejszy cel, i połykając łzy, pędzę po chodniku. Kolejny unik w lewo, kolejny w prawo. Ani na chwilę nie zwalniam. Nie oglądam się. Nigdy się nie oglądam.

Przez moment myślę o Paulu. W mojej klatce piersiowej otwiera się gigantyczna dziura i przebiegam także przez nią. Szybciej, szybciej, szybciej.

Nie oglądam się, nie oglądam, nie oglądam.

Biegnę tak szybko, że łzy zasychają mi na twarzy. Pędzę tak długo, że jestem już nie w tym mieście, ale gdzieś daleko, gdzie drzewa są złowrogimi cieniami, księżyc łapie mnie za włosy i muszę zacisnąć mocno oczy z czystego przerażenia.

Nie oglądam się, nie oglądam, nie oglądam.

W końcu wpadam do Dunkin' Donuts, gdzie moje nowe przyjaciółki wpatrują się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Policja! Wezwij policję! – wołam do Charadee.

Robi to, ale reszty nie pamiętam. Zanoszę się płaczem i w głowie mam mętlik. To, co było, miesza się z tym, co jest. I z tym, co już nigdy nie wróci.

Po jakimś czasie w drzwiach pojawia się Lotham. Spogląda na moją zapłakaną twarz i od razu chwytą mnie w ramiona.

– Paul – szlocham histerycznie, tuląc się do jego piersi.

Detektyw trzyma mnie, żebym nie upadła, i obejmuje mocno, gdy płaczę.

Rozdział 20

SIEDZĘ W BOKSIE U Stoneya. Na stole przede mną stoją kubek kawy, szklanka wody i olbrzymie pudło z pączkami, które Charadee wcisnęła mi, kiedy od nich wychodziłam. Pudło jest otwarte. Zjadłam już dwa, co tłumaczy cukier puder na moich palcach, wargach i policzku. Lotham, który na chwilę zniknął, pojawia się z mokrą ściereczką i delikatnie wyciera nią moją zasmarowaną i zażawioną twarz. Ja ani mu nie przeszkadzam, ani nie pomagam.

W moim umyśle spaliły się przewody. Moje serce eksplodowało. To, że uszłam z życiem, jest najmniejszym z moich zmartwień.

– Kawa – rozkazuje Lotham.

Podnoszę do ust kubek i wypijam łyk.

– Cukier – mówi, podając mi czekoladowego pączka.

Posłusznie go gryzę.

– Woda.

Podnoszę do ust szklankę.

– To samo jeszcze raz.

Powtarzam wszystko w tej samej kolejności, dwa, trzy, cztery razy. Aż kubek i szklanka są puste, a z pudła znika podejrzenie dużo pączków. Sądząc po plamce czerwonego dżemu w kąciku ust Lothama, nie ja jedna lecę się słodyczami.

– Zacznijmy od początku.

Próbuję. Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć. Spotkałam się z panią Samdi. Zadawałam jej najróżniejsze pytania na temat córki, Livii, ale w większości nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Co oznacza, że dowiedziałam się w zasadzie tego samego, co detektyw Lotham przekazał mi dzień wcześniej: rodzina Livii nie należy do tych kochających się.

– I nagle kazała ci wyjść – powtarza.

– Ktoś przyszedł. Słyszałam hałas przy frontowych drzwiach. Nie mam pojęcia, kto to był, ale pani Samdi nagle zaczęła zachowywać się inaczej. Wypchnęła mnie na zewnątrz przez tylne drzwi. Powiedziała... – Biorę głęboki oddech. – Powiedziała, że w tym domu dziewczyny nie są bezpieczne. I że bym nie sprowadzała tam z powrotem Livii, jeśli ją odnajdę.

– Dlaczego w ich domu dziewczyny nie są bezpieczne?

– Nie wiem.

– J.J., jej syn...

– Johnson.

Lotham unosi brew.

– Powinieneś go tak nazywać – mówię z naciskiem. – Naprawdę go to wkurza. Najwyraźniej jako Johnson nie może cieszyć się respektem ulicy.

– Jasne.

– Ale zdaniem pani Samdi nigdy nie skrzywdziłyby siostry. Rodzina to rodzina. Chodzi o kogoś innego. Kóregoś ze znajomych Johnsona albo jego szefów, nie wiem. Kogoś, kto stoi wyżej w kryminalnej hierarchii.

– W porządku. Pani Samdi wypchnęła cię przez tylne drzwi. Zaczęłaś biec, a oni...

– Nic nie widziałam.

– ...a oni cię ścigali. I ktoś do ciebie strzelał?

– Usłyszałam strzały. Ale nie zatrzymałam się, żeby to sprawdzić. Nie mam pojęcia, czy ktoś strzelał do mnie, czy do kogoś innego i czy ktoś strzelał do tego, kto strzelał do mnie. Wiem tyle samo co ty.

– Czyli zostają nam wyłącznie przypuszczenia – mruczy Lotham. – Mundurowi przeczesali już teren. I jak to bywa w takich razach, nikt nic nie widział. W tej okolicy tak to wygląda. Technicy wydobyli świeży pocisk z boku werandy, mniej więcej pół metra od miejsca, gdzie przebiegałaś. Ale jego trajektoria wskazuje, że strzał padł nie z tyłu, tylko z drugiej strony ulicy.

– O rany. Więc to jeden z sąsiadów chciał położyć mnie trupem.

- Pierwszy raz do ciebie strzelano, Frankie?
- Nie.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie.
- Chcesz się napić?
- Kpisz czy o drogę pytasz? Jasne, że tak, do diabła!
- No to będziemy tylko gadać.

Nie mogę się nie uśmiechnąć. Facet jest cwany, nieźle mną manipuluje. Ale nie powiem mu ani słowa o moim załamaniu, zespole stresu pourazowego czy jak tam chcecie to nazwać. To zbyt osobiste. I może, po tylu latach, wciąż zbyt intymne. Należy tylko do Paula i do mnie. Rozmawiać o tym z kimś innym...

Wybieram jego numer. Słyszę powtarzający się sygnał i kliknięcie, kiedy odbiera. Krzepiący odgłos jego oddechu, który łączy się z moim. Bicie mojego serca. Bicie jego serca. Połączonych ze sobą.

I nagle głos kobiety: „Musisz z tym skończyć. Potrzebujesz pomocy”.

Czyż nie potrzebujemy jej wszyscy?

Wychodzę z boksu i idę do kuchni po więcej kawy. Wypiłam jej już tyle, że chce mi się rzygać. Paradoksalnie to nie jest moment, kiedy grozi mi upadek. Jestem zbyt zmęczona, żeby się teraz upodlić. Jeśli naleję sobie w końcu tego drinka, o którym marzę od dziewięciu lat... Wiercie mi, to musi być jakaś pamiętna chwila.

Kiedy się odwracam, Lotham stoi za mną w kuchni. Bierze kubek z moich trzęsących się rąk i prowadzi z powrotem do boksu.

- Rozmawiajmy – mówi.
- Nie sędzę, żeby Angelique i Livia chciały się ze sobą zaprzyjaźnić.
- Tak?

- Myślę, że coś je do siebie zbliżyło. Żadna nie zapisała się na te zajęcia o modzie dlatego, że tak bardzo interesowała je moda. Angelique, przyszła lekarka, z talentem do rysowania. Livia, która, jak się zdaje, jest wnikliwa, dociekliwa i lubi majsterkować. I nagle najlepsza psiapsiółka Angelique porzuca ją dla jakiegoś koszykarza i pojawia się Livia, która nigdy nie

miała żadnej przyjaciółki. I mamy dwie samotne dziewczyny, obie ciche, lecz inteligentne. Może przypadkiem koło siebie usiadły... Nie wiem. Moim zdaniem zaprzyjaźniły się trochę wbrew sobie.

– Ale żadna nie poinformowała o tym swojej rodziny?

– Livia nie ma tego rodzaju rodziny. Co do Angelique... – Przerwywam i zerkam na detektywa. – Z początku myślałam, że trzymała znajomość z Livią w tajemnicy, żeby nie zrazić do siebie Kyrę i Marjolie. Ale biorąc pod uwagę, jak bardzo Angelique i Livia musiały się do siebie zbliżyć, skoro obie zniknęły... Może mieliśmy wcześniej rację? Angelique się zakochała. Tyle że nie w chłopcu.

– Wydaje ci się, że ona i Livia były parą?

– To by tłumaczyło trzymanie tego w sekrecie. W wieku piętnastu lat, kiedy poznaje się dopiero swoje preferencje, Livia ze swoją popieprzoną rodziną i Angelique ze znacznie bardziej tradycyjną... – Wzruszam ramionami. – To nie są łatwe rzeczy. Ale coś najwyraźniej połączyło te dwie dziewczyny. Angelique jednak nikomu nie wspomniała o istnieniu Livii. W jej świecie to bardzo znaczące pominięcie.

– Chyba że Livia wciągnęła ją w jakąś nielegalną działalność.

– Naprawdę sądzisz, że Angelique nie powiedziała by Marjolie i Kyrze o nielegalnej działalności? Błagam. Najlepsze przyjaciółki są z samej definicji konspiratorkami. Nie, ten poziom poufności ma wymiar bardziej osobisty.

Lotham kiwa powoli głową.

– W porządku. Ale nawet jeśli przyjmiemy, że Angelique i Livia nawiązały intymne relacje, to nadal nie tłumaczy, dlaczego w ciągu trzech miesięcy obie zaginęły. A także dlaczego Angelique ukryła w ceramicznej lampie kilkanaście tysięcy dolarów, w tym fałszywe setki.

– To są detale – mruczę, choć Lotham ma wiele racji. – Cofnijmy się na chwilę. Co wiemy o każdej z nich? Obie mieszkają na Mattapanie, ale nie chodziły do tej samej szkoły. Spotkały się dopiero na zajęciach o modzie. Angelique trafiła tam, bo interesuje się sztuką, Livia, bo lubi wykonywać różne przedmioty. Obie pochodzą z bardzo odmiennych rodzin. I obie najwyraźniej potrafią dochować tajemnicy.

Lotham znów kiwa głową. Jego dłoń nadal leży obok mojej na stole. Teraz machinalnie gładzi mnie po kciuku. Nie wiem, czy zdaje sobie z tego sprawę. Nie cofam jednak ręki, a on nie przestaje.

– Jakiego rodzaju przedmioty wykonywała Livia? – pyta.

– Jej mama mówiła o plastikowej halloweenowej dyni, którą Livia przyniosła ze szkoły. Z wyciętymi oczami, ustami i tak dalej. Choć nie mam pojęcia, na jakich zajęciach dzieciaki uczą się robić plastikowe dynie.

– Livia chodziła do zawodówki. Po otrzymaniu raportu o dzisiejszej strzelaninie rozmawiałem z jej doradcą zawodowym. Miała zajęcia z podstaw budownictwa, metalurgii i projektowania komputerowego. Nie pamiętam, żeby było tam coś związanego z plastikiem. – Choć zaraz... – Lotham pstryka palcami. – Na kursach projektowania komputerowego korzystali z drukarki trójwymiarowej. To by pasowało. Zadanie mogło brzmieć: zaprojektuj i wydrukuj własną halloweenową dynię.

– Fałszywe pieniądze – mruczę. – Czy można przejść od projektowania i drukowania dyni do projektowania i drukowania amerykańskiej waluty?

– W żadnym wypadku. Pamiętaj, że fałszowanie pieniędzy to bardzo zaawansowana technicznie operacja, która wymaga pras drukarskich, bardzo rzadkich tuszów i wysokiej klasy specjalistów...

– Tak, mówiłeś o tym. Mimo to...

– Mamy dwie zaginione dziewczyny, które łączą osobiste relacje, a także komplementarne umiejętności w dziedzinie sztuki i projektowania. – Lotham kręci głową. – Szczerze mówiąc, im więcej dowiaduję się o tej sprawie, tym mniejszy to wszystko ma sens. Powiedziawszy to, uważam jednak, że powinniśmy wrócić do szkoły Livii. Ustalić, jakie konkretnie posiadała umiejętności i czy kiedykolwiek została razem z Angelique po lekcjach w pracowni. Te fałszywe banknoty muszą o czymś świadczyć, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem o czym.

– Odwiedzimy razem szkołę Livii?

– Uważam, że w interesie bezpieczeństwa publicznego powinnaś trzymać się blisko mnie. Nie możemy mieć kilku strzelanin w ciągu jednego dnia.

Mówi to lekkim tonem, ale oboje zdajemy sobie sprawę, że po prostu rzuca mi kość. Chciałabym się łudzić, że zawdzięczam to swojemu wdziękowi, lecz wiem, że zwyczajnie się nade mną lituje. Żebracy nie mogą wybrzydzać, więc się nie kłóczę.

Wstaję powoli od stolika. Ostatni łyk kawy. Ostatni pączek z cynamonem. Po porannym zajściu nadal drżą mi ręce. W żołądku czuję twardą, gorzką gulę. Ale na tym polega moja praca. I biorąc pod uwagę wszystkie błędy, które popełniłam i których już nie cofnę, dziękuję Bogu, że dalej ją mam.

Lotham wkłada niebieską marynarkę i prowadzi mnie do drzwi.

Rozdział 21

W SZKOLE ŚREDNIEJ BOSTON Polytech pan Riddenscail uczył Livię projektowania przy użyciu programu AutoCAD. Wysoki, chudy biały facet o nieobecnym spojrzeniu, ubrany w znoszone dżinsy, cienki T-shirt i flanelową roboczą koszulę. Na nogach sfatygowane wysokie buty. Z cholewki prawego wystają łyżka i widelec, ale on chyba nie zwraca na to uwagi. Prowadząc nas do swojego biurka w klasie, machinalnie i zwinnie omija rozstawione tam stanowiska robocze. Fakt, że w trakcie przerwy na lunch złożył mu wizytę policyjny detektyw z osobą towarzyszącą, nie robi na nim większego wrażenia. Typ faceta, który z niejednego pieca chleb jadał i nic go już nie zdziwi.

– Tak, znam Livię Samdi – mówi, wysuwając szufladę biurka i wyjmując metalowe pudełko na lunch, które wygląda, jakby przyleciało tu prosto z lat pięćdziesiątych.

– Zrobiła na pana zajęciach plastikową dynię? – pyta Lotham, nie kryjąc swojej złotej policyjnej odznaki.

– Oczywiście. To nasze tradycyjne zadanie na jesień.

– Jak by pan opisał Livię?

– Dobra uczennica. Solidna. Ale domyślam się, że nie zadajecie tych pytań, żeby dowiedzieć się, jak sobie radziła w szkole.

– Kiedy pan ją ostatnio widział?

– W styczniu. Jeśli was to interesuje, to ja zgłosiłem jej nieobecność do dyrekcji szkoły.

– Nie chcemy pana oceniać – mówi Lotham, co jest zabawne, bo ja oceniam pana Riddenscaila bardzo krytycznie.

Jak można było się o nią nie niepokoić? Jak można było nie wyciągnąć pomocnej dłoni do nastolatki, która w oczywisty sposób tego

potrzebowała? Kiedy ujrzałam, w jakich warunkach mieszkała i jaką ma rodzinę...

– Proszę opisać, jaką była uczennicą – prosi Lotham.

Riddenscail przestaje odwijać kanapkę i posłusznie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Miała wrodzoną inteligencję przestrzenną. Zdolność do widzenia przedmiotów w trzech wymiarach. To coś, czego nie mogę powiedzieć o większości moich dzieciaków. Świetna uczennica. Ale nieśmiała. Nie zgłaszała się sama do odpowiedzi, nie pomagała kolegom. Nazwałbym ją „ścichapękiem”.

Szkolna atmosfera działa na mnie tak silnie, że nie mogę się powstrzymać i podnoszę rękę.

– Co to znaczy?

Pan Riddenscail spogląda na mnie.

– Miała wrodzone zdolności, ale funkcjonowała w stworzonej przez siebie bańce. Opanowywała materiał, wykonywała zadania i szła dalej.

– Była bardzo zdolna? – pyta Lotham.

– Mogę śmiało powiedzieć, że była jedną z moich najlepszych uczennic. – Riddenscail przez chwilę się waha. – Pracuję z wieloma zagrożonymi dzieciakami. Dla wielu z nich znalezienie właściwego zawodu to bilet, żeby się stąd wyrwać. To znaczy, kiedy trafią na coś, co im pasuje, dają z siebie wszystko. Współpracują ze mną, z kolegami, zostają po lekcjach. Nie uwierzylibyście, jacy są uzdolnieni. Jeśli tylko da się im szansę, wtedy... mój Boże! Ale Livia Samdi... Próbowałem wielokrotnie skłonić ją, żeby bardziej się zaangażowała, zadawałem jej specjalne prace domowe, żeby uwierzyła w siebie. Nigdy nie złapała przynęty. I owszem, bardzo mnie to martwiło.

– Mówiła kiedykolwiek o swojej rodzinie? – pyta Lotham.

Pan Riddenscail kręci głową. Teraz moja kolej.

– Przyjaźniła się z kimś? – pytam.

– Nie potrafię wymienić ani jednego nazwiska. Była samotniczką. Przynajmniej na moich zajęciach.

- Zostawała po szkole w pracowni? - To znów Lotham. - Na pana zajęciach?

- Namówiłem ją, żeby na wiosnę zgłosiła się do konkursu projektowania SkillsUSA, co wymagało pewnych przygotowań. Dlatego owszem, zaczęła zostawać po szkole. Przez kilka dni w tygodniu. Aż do chwili, kiedy, no wiecie, zaginęła.

- Widział pan kiedykolwiek, żeby ktoś na nią czekał? - pytam. - Może przyprowadziła ze sobą kogoś do pracowni, kiedy była tu po zajęciach?

Pan Riddenscail spogląda na nas zdziwiony.

- Nie, nigdy.

- Niech pan opowie coś więcej o tym konkursie - prosi Lotham.

- Livia specjalizowała się w projektowaniu plastikowych form do wytwarzania materiałów termoplastycznych. Z grubsza mówiąc, w korzystaniu z drukarki trójwymiarowej do produkcji części zamiennych. Podam wam przykład. Powiedzmy, że wasz laptop ma kilkanaście plastikowych części, które powstają w różnych procesach produkcyjnych. Umiejętność zaprojektowania właściwej części albo stworzenia formy, w której ta część zostanie odlana, jest wysoko ceniona. Miała głowę do takich rzeczy. Potrafiła wyobrazić sobie, co sprawia, że dana część działa prawidłowo, a co więcej, widziała, jak funkcjonuje w ramach większej całości. Dzięki temu łatwo było jej zaprojektować potrzebną część, a kiedy miała dobry dzień, zaprojektować całkiem nowy układ, który radykalnie poprawiał działanie całości. Jak mówiłem, jest niesamowicie utalentowana.

- Może nam pan pokazać jakiś jej projekt? - odzywa się Lotham.

Kiwam energicznie głową, ponieważ jak na razie mało z tego rozumiem. Nauki ściśle nigdy nie były moją mocną stroną.

- Używała chyba jednego z waszych komputerów - wtrącam.

- Jasne, ale mówicie o poprzednim roku szkolnym. Jej prac nie ma już na twardym dysku. Tak się jednak składa - pan Riddenscail stuka się w zamyśleniu po nosie - że nie uprzątnąłem jeszcze jej szuflady. Powinny tam nadal być jej rysunki, nie mówiąc o mniejszych pracach.

Zapomniawszy o lunchu, prowadzi nas do dużej metalowej szafy. Otwiera drzwi, za którymi jest rząd płytkich szuflad, wysuwa jedną z najniższych i wyjmuje kilka dużych arkuszy brystolu, a także kilka plastikowych przedmiotów.

Lotham bierze rysunki, a ja oglądam przedmioty. Sześcian z ruchomymi bokami, spirale, które wyginają się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zrobione ze zwykłego, białego, szorstkiego plastiku, są najwyraźniej prototypami czegoś. Ale mnie fascynuje sam fakt, że mogę poruszać bokami sześcianu i bawić się spiralami.

– Miała piętnaście lat? – pytam z niedowierzaniem, bo to znacznie przekracza moje możliwości jako dorosłej osoby, nie mówiąc już o wiecznie pijanej nastolatce, którą kiedyś byłam.

– Zgadza się. Najbardziej interesowało ją projektowanie gadżetów sensorycznych. Projektowanie dyni było czymś zabawnym, ale nie stanowiło dla niej żadnego wyzwania. Innym uczniom zajęło to tydzień, ona zrobiła to w jeden dzień. Zostało jej sporo wolnego czasu, dlatego zaprojektowała te dwa przedmioty. Zaciekały niektórych uczniów, ale jak już mówiłem, nie była skłonna do współpracy.

Znów podnoszę rękę, bo nie mogę się powstrzymać. Livia najwyraźniej miała niesamowite zdolności. A to oznaczało, że mogła się wyrwać ze swojego ubożego dilerckiego rodzinnego środowiska. Ucząc się tutaj, ze swoimi wrodzonymi zdolnościami miała nieograniczone możliwości. Więc co poszło nie tak? Dlaczego nie chodziła nadal do szkoły, nie doskonaliła swoich dyń i sensorycznych wihajstrów i nie produkowała form, żeby otworzyć następny ekscytujący rozdział w swoim życiu?

I jak to wszystko wiąże się z Angelique?

– Nie sprawiało jej to większych trudności? – pytam, biorąc do ręki sensoryczne gadżety. – To znaczy przychodziło zupełnie naturalnie?

– Jak najbardziej.

– Potrafiła produkować formy do plastiku? Żeby potem wytwarzać takie rzeczy?

– Jasne. Oczywiście to wszystko jest dość proste, ale z czasem powinna robić postępy. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jej inteligencję przestrzenną...

dar widzenia tego, jak jedna część łączy się z drugą. Tego rodzaju perspektywy nie można się nauczyć; albo się ją ma, albo nie.

Stojący obok mnie Lotham kiwa głową.

– Czy bawiła się kiedyś... no nie wiem... plastikowymi stemplami przedstawiającymi różne przedmioty, kwiaty, symbole Departamentu Skarbu i takie tam...

Pan Riddenscail ponownie stuka się po nosie.

– Nie.

– Ale potrafiłaby to zrobić? Czy mogła pracować w domu nad jakimiś własnymi projektami?

– Może by i potrafiła. Ale nie w domu. Wszystko, co robiła Livia, robiła tutaj. Program do projektowania jest na licencji i dzieciaki nie mogą go odpalać na własnych komputerach. Nie mówiąc już o tym, że do wykonania każdego z tych projektów... – Riddenscail wskazuje plastikowe gadżety w moich rękach – potrzebna jest drukarka trójwymiarowa. A to nie jest coś, co Livia miałaby w domu.

– Zna pan każdy projekt, nad jakim pracują uczniowie? – docieka dalej Lotham, podczas gdy ja gapię się na spirale, które trzymam w ręce, i analizuję to, co usłyszałam.

– Druk trójwymiarowy to nie jest coś taniego. Oczywiście, że wszystko nadzoruję. Widzieliście budżet szkoły? Poza tym do moich obowiązków należy stałe ocenianie uczniowskich projektów. Drukuje się wyłącznie coś, co jest dokładnie zaprojektowane. Inaczej marnowalibyśmy tylko czas i materiał. Widział pan kiedyś drukarkę trójwymiarową, detektywie?

Lotham kręci głową. Pan Riddenscail odwraca się i bez słowa prowadzi nas w stronę bocznych drzwi, za którymi znajduje się mniejsze pomieszczenie. Stojąca w nim wielka, w całości osłonięta szklanymi ściankami skrzynia ma w środku najróżniejszego rodzaju mechanizmy. Wygląda, jakby ważyła tonę i kosztowała fortunę. Riddenscail ma chyba rację, że nie jest to coś, co miałby w domu pierwszy lepszy nastolatek.

– To uPrint – oznajmia.

– Można na tym wydrukować plastikowy pistolet? – pytam, bo kiedy pomyślę o rodzinie Livii i moim niedawnym spotkaniu z nimi, wydaje mi się to czymś bardzo przydatnym.

– Czy można na niej wydrukować plastikowy pistolet? Tak. Czy robimy to tutaj? Nie. – W tej kwestii pan Riddenscail wydaje się bardzo stanowczy.

– Ale taki pistolet byłby czymś bardzo pożądanym – drążę dalej. – Zwłaszcza w tej okolicy.

– Nie.

Lotham unosi pytająco brew i Riddenscail czuje się zobowiązany wyjaśnić to szerzej.

– Większość plastikowych pistoletów może oddać tylko jeden strzał. A ponieważ lufa nie jest gwintowana, trzeba to zrobić z bliska. Jeżeli komuś zależy, żeby przemycić broń przez bramkę wykrywającą metale... na lotnisku, w sądzie, do akcji w stylu Jasona Bourne'a... to wtedy w porządku. Ale wiem, z czym spotykają się moi uczniowie, i mogę wam zaręczyć, że żaden członek gangu nie chce mieć małego pistoletu jednorazowego użytku. Zależy im na sile ognia. Im jest większa, tym lepiej. Nic, co byśmy tu wyprodukowali, nie spełni ich oczekiwań. Poza tym w przypadku większości tutejszych dilerów to, że umieją pociągnąć za spust, wcale nie oznacza, że umieją celować. Stąd ich miłość do broni maszynowej. Plastikowy pistolet to finezyjne narzędzie. – Pan Riddenscail wzrusza ramionami. – W tej okolicy nie ma dla niego zastosowania.

To wszystko jest w jakiś pokręcony sposób logiczne, ale cofa nas również do punktu wyjścia. Livia potrafi projektować i miała do dyspozycji tę olbrzymią drukarkę trójwymiarową. I co z tego wynika?

Plastikowe formy do fałszowania pieniędzy. Tyle że to tylko mały fragment skomplikowanego procesu. A poza tym jaka europejska siatka fałszerzy werbowalaby piętnastolatkę z centrum Bostonu?

A jednak Angélique miała fałszywe studolarówki i utrzymywała mniej lub bardziej intymne relacje z Livią. Angélique zniknęła, a trzy miesiące po niej zaginęła Livia. Coś łączyło te dwie dziewczyny i łączyły się z tym również pieniądze, a to pozwala sądzić, że umiejętności Livii i ambicje Angélique też musiały być ze sobą połączone.

Tylko w jaki sposób?

– Czy Livia mówiła coś o innych nauczycielach i zajęciach? – pyta Lotham.

Riddenscail wzrusza ramionami.

– Najlepiej zapytać o to panią Jones, szkolną doradczynię zawodową. Może wie coś więcej.

Lotham kiwa głową. Wspomniał, że rozmawiał rano ze szkolną doradczynią, domyślam się więc, że zadał jej już te pytania.

– Czy ktoś był wstrząśnięty albo szczególnie zmartwiony, kiedy Livia przestała chodzić do szkoły? – pytam.

– Nie... – odpowiada Riddenscail. – I to wielki wstyd. Była dobrą dziewczyną. Przykro mi, że nie mogę wam bardziej pomóc.

Nie pozostaje już chyba nic więcej do powiedzenia. Lotham ściska nauczycielowi dłoń, ja robię to samo i wychodzimy na korytarz.

– Do jakich wniosków nas to prowadzi? – zastanawiam się na głos.

Lotham marszczy brwi i zaciska usta.

– Nie mam pojęcia – oznajmia w końcu.

– Zaginięcie Livii i zaginięcie Angelique muszą być ze sobą związane.

– Też nie wierzę w tak wielki zbieg okoliczności – przyznaje Lotham.

– Gotówka w lampie Angelique, telefony na kartę. Dziewczyny były wpłątane w coś, co wiązało się z fałszywymi pieniędzmi i co miało im pozwolić zarobić prawdziwe. Najwyraźniej wpadły przez to w kłopoty. Najpierw zniknęła Angelique, potem Livia. Ale dlaczego jedno zdarzenie dzieli od drugiego trzy miesiące? *Pomóżcie nam*, napisała Angelique. Czy to znaczy, że są teraz razem? W jeszcze większym niebezpieczeństwie niż jedenaście miesięcy temu? Przetrzymany wbrew swojej woli? Przez kogo? Jak...?

Nagle staję jak wryta i łapię Lothama za rękę.

– Zapisy z kamer. Ostatni dzień Angelique w szkole! Z tych wszystkich kamer, na których nie widać, żeby po wyjściu ze szkoły szła dalej ulicą.

Lotham mierzy mnie pytającym spojrzeniem.

- Nie wiedziałeś wtedy o istnieniu Livii. Patrzyłeś na te taśmy, wypatrując Angelique. Cała ta sprawa dotyczyła jednej zaginionej dziewczyny. Jednego zaginięcia. Ale wiedząc to, co wiemy teraz...

Lotham również staje jak wryty.

- Powinniśmy jeszcze raz obejrzeć taśmy - mówi.

Uśmiecham się.

- Absolutnie powinniśmy - potwierdzam, kładąc nacisk na „my”.

Lotham nie protestuje. Razem wychodzimy na zewnątrz.

Rozdział 22

LOTHAM JEST, TAK JAK SĄDZIŁAM, oddanym policjantem i pracoholikiem. Nie zabiera mnie do jakiegoś laboratorium kryminalistycznego czy eksperta od inwigilacji, ale wiezie prosto do komisariatu bostońskiej policji na Mattapanie. *Dystrykt B-3*, głosi napis na niebieskiej tablicy stojącej przed dość nowym ceglany budynkiem. Jego wysoka fasada przypomina mi liceum Angelique. Architektura Nowej Anglii polega, jak widać, na tym, żeby zrobić dobre pierwsze wrażenie.

Za to wnętrza wyglądają bardziej jak z policyjnego serialu. Podwieszany sufit, tania wykładzina podłogowa, dyżurka, w której siedzi starsza pani z jastrzębim nosem. Lotham daje jej znak i sierżant dyżurna bez słowa komentarza rejestruje moje wejście. Wydaje się znudzona, ale ja patrzę na wszystko szeroko otwartymi oczami. Kilka moich ostatnich występów w roli śledczej dałam w miejscach, gdzie posterunki były niewiele większe od bungalowu. W porównaniu z nimi ten komisariat może zaimponować. To rzeczywiście jest pierdolony Boston.

Lotham zasuwa szybko korytarzem i wspina się po schodach. Ja po raz kolejny usiłuję dotrzymać mu kroku. Widzę ściany, na których fotki ściganych przestępców mieszają się ze zdjęciami policjantów poległych na służbie. Nie mam czasu przyjrzeć się żadnemu z nich, bo muszę podążać za bokserem owładniętym poczuciem misji.

Kiedy docieramy w końcu do jego biurka, okazuje się, że urzęduje w open space. Na niskich ściankach działowych jego boksu wiszą fotki uśmiechniętych dzieciaków – najprawdopodobniej jego siostrzenc i siostrzeńców – naszywki z najróżniejszych policyjnych wydziałów i cytaty z Muhammada Alego. Plakat ze zdjęciem zaginionej Angelique przypięty jest w jednym z rogów; Lotham widzi go za każdym razem, kiedy siada do komputera. Nie komentuje tego, podobnie jak ja.

Ale robi mi się dziwnie gorąco. Nie myliłam się. Jest tym, za kogo go miałam. A to coś, co mogę powiedzieć o bardzo niewielu osobach.

Lotham odpala laptopa, po czym znika i zaraz znów się pojawia, niosąc dwa plastikowe kubki z wodą. Przyciąga krzesło z sąsiedniego boksu i bez słowa wskazuje mi, żebym usiadła. Robię to, biorę swoją wodę i patrzę, jak jego palce śmigają po klawiaturze.

Moje zdolności techniczne są dość ograniczone. Za to Lotham, jak przystało na policjanta z wielkiego miasta, radzi sobie równie dobrze na ulicy, jak i za biurkiem, przed ekranem komputera.

Już po chwili odsuwa się na krzesło i kiwa ręką, żebym usiadła bliżej.

– To zapis z pierwszej kamery, która daje najlepszy kąt widzenia – oświadcza. – Umieszczonej nad sklepem spożywczym na rogu, po drugiej stronie ulicy. Zobaczysz uczniów wychodzących ze szkoły pod koniec dnia, w piątek, piątego listopada. W dniu zaginięcia Angelique.

Kiedy puszcza taśmę, wbijam wzrok w ekran. Nie słyszę szkolnego dzwonka, bo kamera rejestruje tylko obraz. Mogę sobie jednak wyobrazić ten dźwięk, gdy uczniowska masa wylewa się z drzwi szkoły i toczy po schodach.

Prawie wszyscy uczniowie to Afroamerykanie, w uniformach składających się z dżinsów, bluz z kapturem i flanelowych koszul. Ostatecznie jako pierwszą zauważam nie Angelique, lecz jej zaokrągloną przyjaciółkę, Marjolie. Następna jest Kyra, zaraz za nią Angelique. Dziewczyna ma na sobie legginsy z denimu i o kilka numerów za duży ciemnoczerwony sweter. Na szyi ciasno zawiązany szalik z jaskrawej włóczki, na stopach przeciwdeszczowe botki z rozwiązanymi sznurowadłami. Niebieski plecak trzyma na jednym ramieniu. Pogoda jest słoneczna, ale musi być zimno.

Lotham stuka palcem w ekran, na wypadek gdybym nie zauważyła naszego celu. Kiwam głową, by wiedział, że widzę. Przechodząc przez ulicę do spożywczego, trzy nastolatki rosną na naszych oczach, po czym znikają z pola widzenia.

– Poszkolna przekąska – mruczę.

Albo poszkolny drink, jak mogło to wyglądać w moim przypadku.

Lotham puszcza wideo szybciej. Po chwili dziewczyny znowu się pojawiają. Śmieją się, ściskają. Jedna ciemnowłosa głowa zaczyna się oddalać. Jest wyższa, więc to pewnie Kyra. Na miejscu zostają Angelique i Marjolie. Ta ostatnia chyba wchodzi z powrotem do sklepu, bo znika z kadru. Ale Angelique jest teraz lepiej widoczna: przechodzi przez ulicę i wraca do szkoły. Nie kieruje się jednak do schodów przed głównym wejściem, ale – wciąż z plecakiem na ramieniu – skręca w prawo, rusza w stronę bocznych drzwi i dobrze znanej uczniowskiej kryjówki. Po chwili znika nam z oczu.

Ogarnia mnie przykre uczucie. Oto mamy dziewczynę. Dopiero co stała ze swoimi przyjaciółkami, w ulubionym szaliku na szyi, ze szkolnym plecakiem na ramieniu, a zaraz potem zniknęła. Aż do momentu, kiedy jedenaście miesięcy później pojawiła się w kafejce internetowej.

Chcę wyciągnąć rękę i dotknąć jej postaci na ekranie. Zastanawiam się, czy jej rodzina robi to samo. Czy gładzą ją po uśmiechniętej twarzy na fotografii w ramce, zanim pójda spać. Czy kładą dwa palce na jej wargach codziennie, kiedy się obudzą. Jakim cudem osoba, która była tak bardzo obecna, tak bardzo żywa, mogła zaginać bez żadnego śladu?

Ponownie skupiam uwagę na ekranie. Staram się zobaczyć Angelique, którą teraz znam. Mądrą, solidną uczennicę. Opiekującą się bratem, ciotką, a także mamą, która została w starym kraju. Nie marzycielkę, ale dziewczynę z misją, jak ujął to jej brat.

Widzę teraz, jak idzie. Prosto przed siebie, zdecydowanie, bez śladu niepewności. Nie zawędrowała przypadkiem za budynek szkoły, nie wiedząc, co ją tam czeka. Szła tam z pełną determinacją. Z poczuciem misji.

– Co ty, do diabła, kombinujesz, Angelique? – szepczę.

Lotham prawie niedostrzegalnie kiwa głową. Zadawał sobie pewnie to pytanie milion razy.

– Mogę ci powiedzieć, jak kończy się ta taśma – mówi, zatrzymując wideo. – Angelique już się na niej nie pojawia. Nie pojawia się również na nagraniach z sześciu innych kamer, w tym również tych monitorujących ruch drogowy. Z tego, co ustaliliśmy, żadna z przyjaciółek Angelique nie

weszła za nią z powrotem do szkoły. Kyra skierowała się w lewo, Marjolie spędziła trochę więcej czasu w spożywczym. Kilka minut. Następnie ruszyła na przystanek autobusowy, z którego normalnie odjeżdżała Angélique. Śledziłem jej drogę do domu na podstawie nagrań z wielu kamer. Kyry też. Obie idą stąd na różne przystanki autobusowe i jadą do swoich miejsc zamieszkania.

Z uznaniem kiwam głową. Biorąc pod uwagę liczbę kamer, musiało to zająć cholernie dużo czasu. I dało użyteczną informację. Cokolwiek przytrafiło się Angélique, jej najlepsze przyjaciółki nie miały z tym nic wspólnego.

Co z tego wynika?

– W porządku – mówię. – Wiemy, dokąd idzie Angélique. Do bocznego wejścia do szkoły. Wiemy, dokąd zmierzają Kyra i Marjolie. Do domu. Pozostaje jej nowa przyjaciółka... współniczka... czyli Livia Samdi. Co wiemy o niej?

Lotham posłusznie cofa taśmę. Uczniowie znowu zbiegają po stopniach na szeroką ulicę. Tym razem wypatruję czerwonej czapki. To właściwie wszystko, co o niej wiem.

Lotham puszcza tę taśmę sześć razy. Opracowujemy system. Ja gapię się w górną lewą ćwiartkę ekranu, on w dolną prawą. Potem ja w górną prawą, on w dolną lewą. I na odwrót. Końcowy rezultat: ani jednej czerwonej czapki. Ani śladu Livii Samdi.

Piję wodę i pocieram oczy. Lotham ładuje kolejne wideo.

– To nagranie z kamery monitorującej ruch drogowy na skrzyżowaniu na zachód od szkoły.

Cieszę się, że dziś po południu nie pracuję, bo taśm jest tyle, że ich oglądanie zajmie chyba cały tydzień.

– Jak sobie poradziłeś za pierwszym razem? – pytam.

– Nie było łatwo. Nasz technik wrzucił to wideo do programu rozpoznawania twarzy, ale ponieważ dzieciaków jest tak dużo i rzadko kiedy patrzą w kamerę, prawdopodobieństwo, że coś wykryje, było dość niskie.

- Trzeba próbować wszystkiego - mówię, a Lotham kiwa głową.

Nagranie z kamery ruchu drogowego zaczyna się na minutę przed szkolnym exodusem. Patrzę, jak przez skrzyżowanie przejeżdża kilka samochodów. Potem coś zaczyna się dziać w samym rogu ekranu: pojawiają się uczniowie. Dziesiątki zmierzają w stronę skrzyżowania, zatrzymują się na przystankach autobusowych lub idą dalej. Nie ma wśród nich Angelique i jej przyjaciółek, co jest dość oczywiste, bo wiemy już, że weszły do spożywczego na rogu.

Mimo to przyglądam się poszczególnym twarzom, wypatrując nie tylko Livii Samdi, ale też jakiegokolwiek osoby, której obecność mogłaby mnie nagle zainspirować i pomóc odpowiedzieć na miliony pytań. Bez skutku.

Oglądamy to wideo przez co najmniej piętnaście minut. Do chwili, kiedy znikają ostatnie dzieciaki i na ekranie znów widać wyłącznie samochody.

Ziewam, wykręcając szczękę, w nadziei, że pozwoli mi to znowu się skupić. To naprawdę żmudna robota.

- Nagranie z następnej kamery? - pyta Lotham.

- Z następnej kamery.

Puszczamy je, powtarzamy i jeszcze raz powtarzamy. Mam coraz większy szacunek dla bostońskich policjantów. To jest cholernie wyczerpujące, a ja wcale nie wiem, czy czegoś nie przegapiłam. Z tyloma obiektami na zatłoczonej ulicy, w środku miasta, nie bardzo wiadomo, gdzie patrzeć, nie mówiąc już o skupieniu uwagi.

Lotham puszcza następne wideo; już kilka miesięcy temu musiał załadować wszystkie na swój komputer. Żeby móc je oglądać nocami, raz po raz, wciąż szukając czegoś nowego.

Znów dzielimy ekran na ćwiartki, bo wydaje się to najbardziej racjonalnym podejściem. Wpatrujemy się w nie, gapimy, pomrukujeśmy i chrząkamy. Bez powodzenia.

Godzinę później oboje odsuwamy się od biurka i pocieramy oczy.

- Zaczyna mnie to wkurwiać - mówię.

- Witaj w moim świecie.

– Byłam taka pewna, że to Livia jest naszym brakującym ogniwem. Że wiedząc teraz o jej roli, załadujemy te nagrania, zobaczymy jej czapkę, jej twarz, i szlus! Wszystkie fragmenty układanki znajdą się na swoich miejscach.

– I szlus?

– Lubię nieco ubarwiać narrację.

Ściskam grzbiet nosa. Burczy mi w brzuchu i konam z głodu. Lotham chyba też, ale widzę po jego twarzy, że tak samo jak ja nie chce zrobić sobie przerwy. Pragniemy, by nasz wysiłek został w jakiś sposób nagrodzony. To leży w ludzkiej naturze.

– Przegadajmy to – proponuje. – Czego dowiadujemy się z tej taśmy?

– Angelique z całą pewnością zmierzała do tych bocznych drzwi. Marjolie i Kyra nie.

Lotham przeciąga się i splata dłonie na karku.

– Zakładaliśmy, że Angelique weszła z powrotem do szkoły bocznymi drzwiami – mówi. – A zatem kto jej otworzył, skoro z tego, co wiemy, Marjolie i Kyra wróciły do domu?

Ciężko wzdycham.

– Pytałam, czy można je otworzyć i zostawić zablokowane. Władze szkoły znają chyba tę sztuczkę i nadzorują to wyjście. Dlatego dzieciaki korzystają z pomocy kogoś, kto jest w środku. Jediną osobą, która przychodzi mi do głowy, jest Livia Samdi. Brat Angelique chodzi do gimnazjum, tak?

– Zgadza się.

– Czyli to nie mógł być on.

Lotham obraca się na krześle w moją stronę.

– Livia uczyła się gdzie indziej. Więc jak i kiedy dostałaby się do tej szkoły?

– Po lekcjach.

– Niemożliwe. Frontowe drzwi są zamykane i monitorowane. Uczniowie, którzy chcą wejść, muszą się wylegitymować. Tak wyglądają dzisiejsze szkolne środki bezpieczeństwa.

Marszczę czoło i przygryzam dolną wargę.

– To może w ciągu dnia? – Przypominam sobie coś, czego byłam świadkiem, prawie tego nie zauważając. – Po przerwie na lunch – oświadczam podekscytowana. – Exodus ze spożywczego z powrotem do szkoły. Wszystkie dzieciaki wbiegają w pośpiechu do środka, żeby zdążyć przed dzwonkiem... Ochroniarze przede wszystkim zaglądną do plecaków i pilnują bramek do wykrywania metalu. Nie patrzą na twarze. A Livia jest w odpowiednim wieku. Łatwo byłoby jej się wślizgnąć.

Lotham opuszcza ręce i znowu przysuwa się z krzesłem do komputera.

– Mamy tu nagrane całe dwadzieścia cztery godziny. Sprawdźmy.

Chwilę trwa, nim taśma przewinie się do pory lunchu. Widok wylewającego się ze szkoły tłumu uczniów ma w sobie coś dziwnie znajomego. Mija trzydzieści minut. I nagle, ni z tego, ni z owego, dzieciaki zjawiają się ponownie, zajmują całą ulicę, wracając do szkoły. Wypatruję Angeliqne i jej przyjaciółek. Są.

– Tutaj.

Lotham kiwa głową, też ją zauważył. Nagrana zaledwie kilka godzin wcześniej, ma na sobie ten sam sweter i szalik. Idzie między Marjolie a Kyra. Wszystkie beztrąsko trąkoczą, na pozór nie zwracając uwagi na świat zewnętrzny.

Nagle, kiedy docierają już do chodnika przed szkołą, Angeliqne lekko zwalnia i ogląda się za siebie.

I w samym dolnym rogu ekranu dostrzegam czerwoną czapkę.

Patrzemy bez słowa, jak Livia Samdi, ubrana w podarte džinsy i szarą bluzę z kapturem, przechodzi przez ulicę. Angeliqne ze swoimi przyjaciółkami wspina się już po schodach do frontowych drzwi. Nie ogląda się, ale najwyraźniej wie, że Livia tam jest. Poznają to po jej sztywno wyprostowanych plecach, po tym, jak stara się skupić na sobie uwagę przyjaciółek, sprawić, by patrzyły wyłącznie do przodu.

Angeliqne, Kyra i Marjolie znikają za oszklonymi drzwiami szkoły. A kilka minut później ich śladem podąża Livia, z przewieszonym przez jedno ramię niebieskim plecakiem, podejrzanie podobnym do plecaka Angeliqne.

Lotham odchyła się do tyłu.

– Niech mnie szlag – mruczy.

– Chyba wiem, co tu się zdarzyło – mówię.

– Co ty powiesz, Sherlocku.

Włącza kolejne wideo, nagranie z kamery na najbliższym skrzyżowaniu. Przewija je do godziny, kiedy kończą się zajęcia w szkole, a potem dodaje jeszcze pięć, dziesięć, piętnaście minut. Zerka na mnie i wciska PLAY.

Czekamy kilka kolejnych minut. W końcu od strony szkoły pojawia się, między innymi przechodniami, nowa postać. Idzie prosto w stronę skrzyżowania, z opuszczoną głową i wyraźnie widoczną czerwoną czapką. Ma podarte dżinsy, szarą bluzę z kapturem, niebieski plecak.

Ale patrząc z bliska, dostrzegam, że czapka nie leży dobrze na jej głowie. Schowanych pod nią włosów jest o wiele więcej. Tu i ówdzie wystają spod niej czarne loki Angelique. I widzę ten charakterystyczny chód. Zdecydowany, śmiały, zdeterminowany.

– Angelique zamieniła się ubraniami z Livią Samdi – mruczy Lotham.

Jego palce tańczą po klawiaturze. Na ekranie pojawiają się i znikają inne nagrania, ale nie znajdujemy już nic więcej.

– To wyjaśniałoby, dlaczego w domu Angelique nie brakowało żadnych jej ubrań – mówię. – Włożyła to, co miała na sobie Livia. Ale z jakiego powodu?

Lotham nie odpowiada. Wraca do nagrań z kamery nad spożywczym na rogu, dwadzieścia minut po zakończeniu lekcji. Pięć minut po tym, jak Angelique, w ubraniu Livii, pojawiła się w kadrze kamery na skrzyżowaniu, zza bocznej ściany szkoły wychodzi kolejna dziewczyna. Porusza się zupełnie inaczej niż Angelique: przyczajona, stąpa nieśmiało i z wahaniem.

To Livia Samdi, ubrana teraz w czarne legginsy i granatową flanelową koszulę. Jej krótsze włosy spięte są spinkami i po raz pierwszy widzę jej twarz. Nie wygląda na swoje piętnaście lat.

Przystaje na skrzyżowaniu i czeka, aż zapali się zielone światło. Przez ułamek sekundy spogląda prosto w oko kamery.

Robi wrażenie przerażonej.

A potem przechodzi przez ulicę i znika z pola widzenia.

Lotham zatrzymuje nagranie i po raz kolejny odsuwa się od biurka.

– Ja pierdolę – rzuca.

Tym razem nie reaguję na to celną ripostą.

– Angeliqne zajęła miejsce Livii – mówię. – Przebrała się w jej ciuchy i założyła jej czapkę. Nie próbuje się ukrywać. Próbuje udawać, że jest Livią Samdi.

Lotham wzdycha i przeciera dłonią twarz.

– Zajmowałem się sprawą nie tej cholernej zaginionej osoby – przyznaje.

I w tym momencie zaczynam rozumieć wszystkie implikacje oszustwa Angeliqne, wszystkie implikacje planu jej i Livii. Poważna, pracowita, opiekuńcza Angeliqne. Nie podejmowała ryzykownych życiowych wyborów i nigdy nie narażała się bez potrzeby. Dlatego jej zaginięcie było taką zagadką.

Bo to nie ona była w niebezpieczeństwie.

Nie ona była celem.

Była nim Livia Samdi.

A teraz zaginęła również ona. Dziewczyna, która miała inteligencję przestrzenną. Dziewczyna, która mieszkała z dilerem. I która najwyraźniej bała się o swoje życie.

– Co one, do diabła, kombinowały? – pytam cicho.

Ale żadne z nas nie zna odpowiedzi.

Rozdział 23

NAJLEPIEJ SOBIE RADZE, KIEDY mam pełne ręce roboty. Po pożegnaniu się z detektywem Lothamem wracam do Stoneya. W środku jest kilku stałych klientów. Połowa stolików zajęta. Hałas w połowie skali. Minęło zaledwie kilka dni, ale dziwnie się czuję, nie musząc stawać za barem. Wycofuję się do mojego pokoiku na górze, gdzie odkrywam, że Piper zostawiła mnie na tę noc samą. Ponieważ mam wolny wieczór, mogłabym nadrobić zaległości we śnie albo wreszcie zająć się obowiązkami domowymi, jak pranie czy zakupy.

Zamiast tego robię jedyną w tej sytuacji sensowną rzecz: idę na spotkanie AA. Jest dość wcześnie, dlatego miło mnie zaskakuje, że widzę tam również Charliego. Siadam na pustym miejscu obok niego i sączę kawę, gdy wszyscy się sobie przedstawiamy, a potem przechodzimy do rzeczy. Spotkanie ma dotyczyć Dwunastu Kroków, w szczególności Kroku Dziewiątego. Zadośćuczynienia. Nigdy ich wszystkich nie przeszłam. Mam problem nie tyle z przeprosinami za zło, które wyrządziłam – z tym akurat sobie radzę – ile ze skatalogowaniem wszystkich moich grzechów. Mimo całej mojej gadki o uczciwości nie lubię zbytnio autoanalizy. Innym problemem jest prośba o wybaczenie. Jak można prosić o nie kogoś, kto już nie żyje?

Zaliczam spotkanie, zadowolona, że po raz kolejny znalazłam się w towarzystwie podobnie jak ja myślących osób, choć temat nie należy do moich ulubionych.

Potem pomagam Charliemu posprzątać i krzątamy się oboje w przyjaznym milczeniu.

– Może napilibyśmy się kawy? – odzywamy się nagle, prawie równocześnie.

W języku AA to znaczy: „Może masz ochotę pogadać?”.

Oboje się uśmiechamy.

– Tak.

Wychodzimy z kościelnych podziemi w skąpaną w jesiennych kolorach noc. Charlie najwyraźniej wie, dokąd idzie, więc spokojnie pokonuję z nim kolejne przecznice. W końcu docieramy do małej knajpki, której sama nigdy bym nie znalazła. Charliego najwyraźniej tam znają, bo witają go jak przyjaciela. Członkowie personelu zerkają na mnie z ciekawością, ale to, że jestem z nim, stanowi chyba wystarczającą rekomendację. Po moich porannych przygodach uśmiecham się szeroko, widząc dokoła życzliwe twarze.

Charlie zajmuje miejsce z tyłu sali. Choć nie odzywa się ani słowem, od razu łąduje przed nim kubek mocnej czarnej kawy. Daję głową znak, że dla mnie to samo, a ponieważ nic nie jadłam, proszę o menu. Charlie oznajmia, że nie jest głodny. Po krótkim namyśle zamawiam sałatkę grecką, co przypomina mi Lothama i inne rzeczy, których nie chcę teraz roztrząsać.

Moja sałatka pojawia się już po paru minutach – jesteśmy jedynymi gośćmi. Cała szczęśliwa, chrupię sałatę rzymską i oliwki kalamata, a Charlie pije kawę.

– Dziękuję za wczoraj – mówię w końcu.

Mam na myśli to, że rozpoznał Angelique Badeau w sklepie telefonii komórkowej. Że poprosił, abym tam przyjechała. I że podzielił się z nami informacją o Livii Samdi.

– Jakież nowe wiadomości? – pyta.

– Nic konkretnego. Złożyłam dziś rano wizytę pani Samdi. – Urywam, bo nie wiem, co powiedzieć dalej.

– Idę tam oto z łaski Bożej... – intonuje Charlie.

Energicznie kiwam głową i oboje milkniemy, bojąc się tego jednego drinka, który może unieważnić długie godziny, miesiące i lata ciężkiej pracy. W AA nie oceniamy; jest tylko wspólny lęk.

– Próbowałam ją zachęcić, żeby ze mną poszła – mówię w końcu. – Żeby wzięła udział w spotkaniu.

– Nie można pomóc komuś, kto tego nie chce.

Znów kiwam głową, powoli jedząc sałatkę.

– Ten jej dom, jej syn... Nie wiem, czy w takich warunkach umiałabym się zmobilizować.

– Bardzo długo uważałem, że nie dam rady wytrzeźwieć, żyjąc na ulicy – mówi Charlie. – Ale potem... potem zacząłem się zastanawiać, czy bezdomność nie jest łatwiejsza. Zdejmuje z ciebie odpowiedzialność, napięcia codziennego życia. Złość, smutek, radość... Nie potrzebujemy powodu, by pić. Łatwiej jest zrzucić winę na coś innego.

Charlie ma rację. Warunki, w jakich żyje pani Samdi, są godne ubolewania, lecz możliwe do zniesienia. W AA uczą, że najgorszy wróg mieszka nie za bramą, ale w naszych duszach. Nie potrzebujemy pretekstu, by pić. Tak długo jak żyjemy, będziemy wodzeni na pokuszenie.

Mimo to jest mi jej żal, sama nie wiem dlaczego. Jest więźniem nie tylko swojej choroby. Rodzina, ubóstwo, wcześniejsze życiowe wybory – przyczyn można szukać bez końca.

– Sprawiasz wrażenie kogoś... – zaczynam, nie bardzo wiedząc, jak to ująć – kto ma styczność z tutejszym półświatkiem.

Charlie uśmiecha się, błyskając białymi zębami, osadzonymi w potężnej szczęce.

– Tak jest, proszę pani.

– Czy macie tu gang lub inną organizację przestępczą na tyle zaawansowaną technicznie, żeby fałszować pieniądze?

Charlie unosi brew.

– Amerykańskie dolary?

– Ścisłej biorąc, studolarówki.

Brew unosi się jeszcze wyżej.

– To dość skomplikowana robota. O jakiej mówimy jakości?

– Najwyższej. Prawie idealnej.

Charlie pociąga kolejny łyk bezkofeinowej kawy i chyba poważnie zastanawia się nad tą sprawą.

- Czyli mówimy o specjalnym papierze, metalicznych nitkach, znakach wodnych i innych zwariowanych zabezpieczeniach?

- Właśnie.

- W takim razie nie. Mamy oczywiście swoją przestępczość i niektórzy z tych chłopaków... Nie myśl, że ich skłonność do przemocy oznacza, że nie są sprytni. Ale tego rodzaju technologia i specjalistyczny sprzęt...? Nie. Nawet za milion lat.

Kiwam głową i przekazuję mu to, czego dowiedziałam się od Lothama o fałszowaniu pieniędzy: drukowane w Europie banknoty są sprzedawane pośrednikowi po dwadzieścia pięć centów za dolara i trafiają do użytkowników po sześćdziesiąt pięć centów.

- Trzydzieści pięć procent marży - oblicza szybko Charlie. - To ma sens. Osoba, która puszcza w obieg te pieniądze, powinna mieć najwyższy procent, bo najbardziej ryzykuje. - Wypija kolejny łyk kawy. - Coś takiego jest tutaj możliwe. Dragi i broń wymagają gotówki. Gdyby pojawił się jakiś nowy gracz i ogłosił, że będzie sprzedawał tanie pieniądze... Tak, sporo osób by w to weszło. I sporo innych ludzi - dodaje po chwili - odstrzeliłoby im tyłki, kiedy zorientowałyby się, że zapłacono im fałszywymi banknotami. Więc ogólnie rzecz biorąc, to dość ryzykowna operacja.

- Ale skoro jest zapotrzebowanie?

- Jak powiadają: kto nie ryzykuje, ten nie jedzie. Moim zdaniem przynajmniej paru chciałoby spróbować szczęścia.

- Masz na myśli kogoś konkretnego? - Pochylam się do przodu.

Charlie chwilę się zastanawia.

- Nie powiem ci tak z głowy. Ale przychodzi mi na myśl kilka osób, które mógłbym zapytać.

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Żaden kłopot. Tylko chciałbym wiedzieć, do czego ci to potrzebne.

Opowiadam mu pobieżnie o fałszywych pieniądzach znalezionych w lampie Angelique, o jej przyjaźni z Livią Samdi i o tym, z jaką łatwością ta druga posługiwała się drukarkami trójwymiarowymi, co razem

wziąwszy, może o czymś świadczyć albo i nie świadczyć. I że tuż przed swoim zaginięciem Angeliqye miała na sobie ubranie Livii.

– Myślisz, że prawdziwym celem była Livia?

– Być może. Niewykluczone. Jeśli byłabym dość arogancka, by wiedzieć, co mam o tym myśleć.

– Ale Livia nadal jest zaginiona. A Angeliqye nadal żyje.

– Zgadza się.

Charlie wypija do końca kawę i prosi kelnerkę o dolewkę.

– No dobrze. Skoro to Livia była celem, a dziewczyny wciąż żyją...

– Angeliqye przemyciła wiadomość: *Pomóżcie nam*.

– Cholera, to straszne. Ale... – Charlie znów się zastanawia. – Jeśli dziewczyny wciąż żyją, ale nie mogą wrócić do domu, czy to nie znaczy, że są przetrzymywane wbrew swojej woli?

Kiwam głową.

– Czyli muszą być użyteczne, tak? Jedynym powodem, dla którego porywacze nadal trzymają je przy życiu, jest fakt, że obie coś wiedzą albo robią coś, czego tamci potrzebują.

Podoba mi się sposób, w jaki to wyklada. Prosty i logiczny. Dziewczyny coś wiedzą albo coś robią.

– To sprowadza nas z powrotem do Livii i łatwości, z jaką posługiwała się AutoCAD-em i drukarką trójwymiarową – mówię. – Ale to za mało, żeby fałszować pieniądze, a plastikowe pistolety nie są, jak się okazało, tak cenne, jak myśleliśmy.

Tym razem to Charlie kiwa głową.

– Jeśli fałszowanie pieniędzy jest jak wyższa matematyka czy coś w tym rodzaju, to co z innymi rodzajami fałszerstw? Choćby nowych dowodów tożsamości? W to warto byłoby zainwestować poważną gotówkę.

– Możesz wyjaśnić?

– Kiedy byłem młody, żeby sfalszować prawo jazdy, wystarczyło zdrapać laminat i wkleić nowe zdjęcie. Nie tak dawno słyszałem, jak dzieciaki w centrum rekreacyjnym mówiły o kupowaniu fałszywek online, zwłaszcza zagranicznych. Na przykład z Irlandii i podobnych miejsc. Jeśli

chcesz wejść do baru, może to wystarczyć. Ale dzisiaj, gdy kolejne stany przyjmują system Real ID...

– Który jest bardzo zaawansowany, prawda? Znaki wodne, ukryte obrazy, farba refleksyjna? Czy nie dlatego stało się to nowym standardem dla wydziałów komunikacji?

– Otóż to. Stara metoda fałszowania praw jazdy po prostu się nie sprawdziła. Na całym świecie traktują to coraz poważniej, co oznacza, że wszyscy, w tym również przestępcy, też muszą traktować to poważnie. – Charlie wzrusza ramionami. – Nie mówię, że fałszowanie nowych praw jazdy jest łatwe, ale w porównaniu z banknotami to na pewno inny poziom trudności.

Myślę o Angélique, która pojawia się w kafejce internetowej z fałszywym prawem jazdy. A potem próbuje kupić komórkę w sklepie operatora, z prawkiem na to samo nazwisko. I uciekając, upuszcza to prawko.

Przychodzi mi nagle do głowy, że przegapiliśmy coś oczywistego. Angélique nie próbowała nam przekazać zakodowanej wiadomości. Kluczem była jej fałszywa tożsamość.

– Niech mnie diabli wezmą – mruczę.

– Nie wezmą, jeśli się nie zachłasz.

– Czy w mieście pojawili się jacyś nowi gracze, Charlie? Sama nie wiem... Nowe gangi? Nowe organizacje przestępcze? Jakiś król zbrodni w rodzaju Keysera Söze'a z *Podejrzanych*?

Charlie unosi brew.

– Na ulicach uwielbiają opowieści o duchach. Ale o nikim takim nie słyszałem.

– To może jakiś nowy gang walczy o poszerzenie strefy wpływów? Próbuje przejąć władzę?

Charlie zastanawia się nad tym trochę dłużej.

– Być może – mówi w końcu. – Mimo wszystkich tych złych rzeczy, które dzieją się na Mattapanie... Nasze gangi są w większości małe. Podzielone. Walczą nie tylko czarni przeciwko innym czarnym, ale też

Salwadorczycy przeciwko Azjatam i Azjaci przeciwko Haitańczykom. Przy każdej przecznicy rządzi ktoś inny. To podwyższa wskaźniki przestępczości, bo zawsze ktoś do kogoś strzela, ale również obniża poziom zorganizowania. Nikt zbyt nie urośnie ani nie przetrwa na tyle długo, by narobić wielkich szkód. To, co sugerujesz...

– Sama nie wiem, co sugeruję.

– Wysokiej jakości podrabiane dowody tożsamości, wysokiej jakości fałszywe pieniądze albo przynajmniej dostęp do nich...

Czekam.

– Tak z głowy mogę ci powiedzieć, że to wcale nie musi być nowy gang – mówi powoli Charlie – ale może to być stary gracz z nowymi kontaktami. Mogę trochę poniuchać.

– Postaraj się zbyt nie narażać.

Charlie po raz któryś z rzędu unosi brew i zerka na swoje potężne bicepsy.

– Żyję tu od bardzo dawna, mała. Dorastałem w tym mieście. Chodziłem po jego ulicach. Nie musisz się o mnie martwić.

– Ale się martwię.

– Nie jesteś za słodka jak na kobietę, która tu nie pasuje?

– To, że tu nie pasuję, nie znaczy, że nie jestem sentymentalna.

– Chyba to właśnie znaczy.

– Nie – mówię bardzo poważnie. – Ja po prostu wiem, jak żyć z bólem.

Charlie nie znajduje na to odpowiedzi.

– Naprawdę uważasz, że te dziewczyny, Angeliqne i Livia, są wplątane w działalność przestępczą? – pyta w końcu.

– Wydaje mi się... Livia była najwyraźniej czymś przerażona. Widać to na nagraniu z monitoringu. A fakt, że Angeliqne wyszła ze szkoły przebrana za swoją przyjaciółkę... Opisywano ją jako osobę o silnym instynkcie opiekuńczym. Nie mówiąc o tym, że była w bliskich relacjach z Livią. Może nawet bardzo bliskich.

Charlie znów unosi brew, ale nie komentuje tego.

– Mogę sobie wyobrazić, że Angelique próbowała wymyślić jakiś plan, żeby pomóc przyjaciółce. Tyle że... – wzdycham ze smutkiem – to jeszcze dzieci. I wiesz, jak to jest z nastolatkami. Łatwo wpadają w kłopoty.

– Dopiero później zdają sobie sprawę z tego, co im grozi – kończy za mnie Charlie.

– Właśnie. I w jakikolwiek sposób Angelique i Livia mogły być użyteczne dla przetrzymujących je osób, obawiam się, że to już dobiega końca. Stąd biorą się desperackie próby Angelique nawiązania kontaktu. Zasztyfowana wiadomość, pojawienie się w sklepie telefonii komórkowej. Coś się zmieniło, zegar tyka coraz szybciej. Zważywszy, że obie zaginęły dość dawno temu, nic nie powstrzyma porywaczy, żeby uciszyć je na dobre.

– Niech to szlag – mruczy Charlie. – Zasięgnę języka. Ale skoro mówimy o zagrożeniach – dodaje ciszej, żebym tylko ja mogła go usłyszeć – to dowiedziałem się kilku rzeczy. Nie chodzi teraz o Angelique i Livię.

Zastanawiam się tylko sekundę.

– Ale o mnie?

– Zadajesz za dużo pytań. Twoja dzisiejsza wizyta u Samdich wkurzyła paru ludzi.

– Kogo? Dlatego do mnie strzelali?

– Musisz być bardziej ostrożna, kochana.

– Dlaczego? Jeżeli brat Livii jest jakimś mało ważnym dilerem, kogo obchodzi moja wizyta?

– Człowiek może tu oberwać kulkę za to, że obejrzy się w złą stronę. Nie sądzę, że jesteś taka nietykalna, jak ci się wydaje.

Wysuwam do przodu podbródek, próbując wyglądać na odważniejszą, niż jestem.

– Przyjechałam tu, żeby odnaleźć zaginioną dziewczynę. Albo, co całkiem możliwe, więcej zaginionych dziewczyn. I nie ruszę się stąd, dopóki nie wykonam swojego zadania. Możesz rozpuścić plotkę: chcecie,

żeby chuda biała kobitka wyjechała, wypuście Angelique i Livię. W parę godzin stąd znikam. Daję słowo.

– To tak nie działa.

– Dla mnie działa.

Charlie uśmiecha się, ale tylko przelotnie.

– Uważaj na siebie, mała damo – mówi, nachylając się do mnie.

– Bywałam już wcześniej w paskudnych miejscach.

– Nie takich jak to.

– Skąd wiesz?

– Bo byłem na wojnie i nie było tam tak paskudnie jak tutaj.

Nie potrafię na to odpowiedzieć. Kończę sałatkę. On dopija kawę. Płacę za nas oboje, a potem, mimo moich protestów, Charlie odprowadza mnie do domu.

Chociaż mi towarzyszy, zdaję sobie sprawę z kryjących się w mroku grupek i pojedynczych postaci, słyszę dochodzące z bocznych uliczek hałasy. Widzę chłopaka z bronią. Niczego więcej nie trzeba. Szybka i skuteczna mokra robota. W tej kwestii Charlie się nie myli.

Przy bocznym wejściu do Stoneya całuję z wdzięcznością w policzek mojego nowego przyjaciela, po czym wbiegam na górę i zaszywam się w swoim pokoiku.

DZWONIĘ DO LOTHAMA. JEST PÓŹNO, ale nie dziwi mnie, że natychmiast odbiera.

– Powinieneś sprawdzić fałszywe prawo jazdy, które upuściła wczoraj Angelique – mówię. – Mam powody sądzić, że może zawierać jakąś wskazówkę.

W słuchawce zapada cisza; czuję brzemię niezadanych pytań, na przykład: dlaczego doszłam do takiego wniosku i z kim ewentualnie rozmawiałam?

– Wezmę je z magazynu dowodów rzeczowych jutro z samego rana – odzywa się w końcu.

– Dzięki – odpowiadam i przez jakiś czas oboje milczymy.

Przyciskam do ucha moją małą komórkę z klapką i słucham, jak Lotham oddycha. Mam poczucie déjà vu. Przykrą świadomość, że to jedyny sposób, w jaki potrafię nawiązać z kimś kontakt. Po wszystkich tych latach nic się nie zmieniło. Jestem sobą, a reszta świata, dobrzy faceci, tacy jak Paul i Lotham...

- Dobranoc - mówię w końcu grubym głosem; chyba płaczę, choć staram się powstrzymać.

- Dobranoc - rzuca Lotham i rozłącza się.

Siedzę w moim skąpo umeblowanym pokoju, przyciskając komórkę do piersi, i powtarzam sobie, że nie mam powodów się smucić. Sama wybrałam sobie takie życie.

W końcu przebieram się w ciuchy do spania, myję zęby i kładę się do łóżka. Gaszę światło. Skończył się dzień, niedługo zacznie się następny.

Ale znów nie dają mi spać koszmary.

Paul: „Zamierzasz mi powiedzieć, co się naprawdę dzieje?”

Ja: „Mam po prostu coś do zrobienia”.

„Znów pijesz?”

„Nie! To nie ma nic wspólnego z pićiem”.

„Więc skąd te tajemnice, dlaczego znikasz bez słowa wyjaśnienia?”

„Mówiłam ci, badam pewną sprawę. Chodzi o zaginioną córkę przyjaciółki”.

„A co to cię obchodzi?”

Ja, wrogo: „A co to ciebie obchodzi?”

„Znów zaczynasz. Próbuję zadać ci pytanie, a ty wszczynasz wojnę”.

„Nie wszczynam żadnej wojny!”

„Ale masz przede mną sekrety, Frankie. Wytyczasz granice, wznosisz mury. A potem odwracasz się i udajesz, że to nie ma znaczenia. Czego trzeba, żebyś była ze mną szczerą?”

„Czego trzeba, żebyś mi zaufała?”

„Jesteś uzależniona. Naprawdę musisz mnie o to pytać?”

Ja, patrząc na niego i czując ucisk w klatce piersiowej i gulę w gardle: „Nie zawsze chodzi o pićie!”

„To o co chodzi?”

Otwieram usta, ale nic nie mówię. Patrzę na jego miłą, szczerą twarz. Patrzę w oczy człowieka, który mnie kocha. I po raz kolejny słyszę tylko gorączkowe bicie własnego serca. Muszę wyjść. Muszę się stamtąd wynieść. Nie zniosę tego dłużej.

Znalazłam tego mężczyznę. Pokochałam go za jego dobroć, jego cierpliwość. Zobaczył mnie, całą mnie, i się nie odwrócił. Dopuszczał mnie do siebie. Trzymał mnie za głowę, kiedy rzygałam w trakcie detoksu. Karmił mnie łyżką, kiedy powoli wracałam do świata żywych. Kładł się obok mnie do łóżka w te wszystkie straszne noce, kiedy trzęsłam się i modliłam o śmierć, ale nigdy sobie nie odpuściłam, bo nie chciałam go rozczarować.

Jest moją kotwicą. Najlepszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Kiedy myślę o życiu bez niego, czuję ból, gdzieś głęboko, w miejscu, którym kiedyś zawładnął alkohol. I z tym bólem będę musiała żyć już zawsze.

Mimo to dzień po dniu, dzień po dniu jakoś egzystuję. Nie czując radości, zadowolenia ani wszechogarniającego spokoju.

Nie patrz na mnie, myślę przez cały czas, nie patrz na mnie, nie patrz na mnie.

Szkoda, że nie mogę zniknąć. Zniknąć bez śladu. Nigdy już się nie pojawić.

Dłoń, którą trzymam na klamce, lekko drży.

„Wrócę później”.

Paul, z grymasem gniewu na przystojnej twarzy: „Nie musisz”.

„Okej”.

„To dla ciebie takie łatwe? Po prostu odejść i nawet się nie odwrócić? Na litość boską, ja cię kocham, Frankie”.

Ja, naciskając klamkę: „Okej”.

„Okej? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Pierdolone «okej»? Łamiesz mi serce”.

„Kocham cię”, szepczę w końcu, ale to za mało. Oboje wiemy, że to za mało. Tak bardzo pragnę znaleźć się po drugiej stronie drzwi. Tak bardzo pragnę...

„Spierdalaj, Frankie”.

„Okej”.

Paul z goryczą: „To nie jest okej. Nigdy nie było”.

Ja, niczym zacięta płyta: „Okej”.

Wychodzę.

Nie zatrzymuje mnie.

Okej. Okej. Okej.

A potem, kilka godzin, kilka dni, całe życie później:

„Coś ty zrobiła, Frankie? Wielki Boże, coś ty zrobiła?”

Teraz to ja płaczę. To ja trzymam jego głowę w ramionach. Wszędzie krew, krew, krew. Dobry Boże, tyle krwi.

„Kocham cię. Kocham cię, kocham, przysięgam, że cię kocham”.

Ale krwi jest za dużo. Oczy Paula się zamykają, oddech staje się płytki.

„Coś ty zrobiła?”, pyta po raz ostatni.

„Kochałam cię...”

BUDZĘ SIĘ Z KRZYKIEM. A może z płaczem. Sama nie wiem. Zwinięta w kłębek Piper leży przy moim boku. Wpatruję się w mrok i słucham jej regularnego mruczenia, starając się uspokoić oddech i oddalić od siebie poczucie grozy.

Paula nie ma.

Zaginęły dwie dziewczyny.

A ja nadal jestem sobą. Tą, która boi się wszystkiego. I nie boi się niczego.

Odnajdę Angelique i Livię, przyrzekam sobie, zaciskając palce na prześcieradle. Sprowadzę je do domu. Przysięgam. Bo tego potrzebuję. Naprawdę tego potrzebuję.

Dlatego nie dziwi mnie telefon, który odbieram chwilę później.

Rozdział 24

- **MÓWI EMMANUEL** - słyszę w słuchawce, nadal półprzytomna po niespokojnej nocy.

- Emmanuel?

- Jestem tu z ciotką. Musimy z panią porozmawiać.

Chcą rozmawiać. Teraz. Rodzina ofiary.

- Mogę do was wpaść w ciągu dnia.

- Stoimy przed barem Stoneya, przy bocznym wejściu.

No tak, oczywiście.

- Zejdę za pięć minut – mruczę, choć jest to totalne kłamstwo.

Leżę pod kołdrą, nadal w koszuli nocnej, z nieświeżym oddechem, już bez dzikiej sublokatorki, która gdzieś się wyniosła.

Kończę rozmowę i zwlekam się z łóżka. Biorę lodowaty prysznic, a potem wkładam dżinsy i bluzkę z długimi rękawami i bez zastanowienia biegnę na dół. Rodzina Angelique. Mogą mieć jakieś informacje albo czekają na nowe informacje ode mnie. Tak czy owak, trzeba uszanować ich ból.

Uchylam drzwi, żeby sprawdzić, czy to rzeczywiście Emmanuel i jego ciotka. Guerline ma na sobie zwykły turkusowy szpitalny fartuch, ale coś w wyrazie jej twarzy...

Mrugam, oślepiąca jasnym światłem dnia, i zerkam na zegarek. Dziesiąta. Według wielu standardów – późno. Dla ludzi pracujących na nocnej zmianie o wiele za wcześnie. Otwieram ciężkie metalowe drzwi.

- Głodni? – pytam.

- Już jedliśmy – oznajmia Guerline.

- Kawy?

Tego nie odmawiają. Poza tym według Lothama kawa jest ważnym elementem haitańskiej gościnności, a ja chcę być tak gościnna, jak to tylko możliwe. Guerline kiwa głową. Wpuszczam do środka ją i jej siostrzeńca. Emmanuel, dość dobrze obeznany z tym wnętrzem, prowadzi ją do boks, który zajmowaliśmy poprzednio, a ja znikam, by włączyć kawowe maszyny. Burczy mi w żołądku. Zaglądam do lodówki Viv, mając nadzieję, że wybaczy mi brak dwóch jajek, po czym włączam grill i robię sobie jajecznicę.

Niosę do boks dzbanek i z wprawą doświadczonej kelnerki nalewam kawę do trzech kubków. Emmanuel rzuca się na śmietankę i cukier, a ja wracam do kuchni, pozeram jajecznicę, by wypełnić czymś żołądek, i motywuję się do działania.

– Policja pyta, ale nic nie mówi – oświadcza Guerline, ściskając w ręce kubek, kiedy pojawiając się z powrotem. – Na pewno ma pani jakieś nowe wiadomości.

Rozumiem ją. Rodziny pozostają często w bolesnym stanie zawieszenia – nie są informowane, nie są darzone zaufaniem, nie są reprezentowane w śledztwach dotyczących zaginionych bliskich. Pracowałam przy wielu sprawach, w których podejrzenia wobec rodziny okazywały się uzasadnione, ale intuicja mówi mi, że Emmanuel i jego ciotka nie zaliczają się do tej grupy.

Opowiadałam w skrócie, czego dowiedzieliśmy się o odnalezionych w lampie pieniądzech Angelique, i dodaję, że niektóre z banknotów okazały się wysokiej jakości falsyfikatami. Guerline, autentycznie zszokowana, otwiera szerzej oczy, a Emmanuel zastyga z kubkiem w ręce.

– Falsyfikatami? – pyta.

– Wydrukowanymi prawdopodobnie w Europie.

– Nie mamy fałszywych pieniędzy – mówi Guerline. – Nie mamy... żadnych pieniędzy.

A jednak jej siostrzenica je miała.

– Czy Angelique wspominała kiedykolwiek o swojej przyjaciółce z letnich zajęć w centrum rekreacyjnym, Livii Samdi? – pytam.

Oboje kręcą głowami.

– Znacie Livię?

Ta sama reakcja.

– Czy słyszeliście kiedykolwiek to nazwisko? Może kiedy Angelique rozmawiała z którąś z przyjaciółek? A może wróciliście wcześniej do domu i zastaliście Angelique z jakąś jej nową koleżanką?

Guerline kręci głową jeszcze bardziej zdecydowanie.

Emmanuel się waha.

– Któregoś dnia podsłuchałem LiLi, jak rozmawiała przez telefon – mówi. – Próbowwała kogoś uspokoić. „Wiem, wiem”, powtarzała. A potem: „Pracuję nad tym. Zaufaj mi, proszę”.

– I co dalej?

– I nagle mnie zobaczyła. Odwróciła się i natychmiast zakończyła rozmowę. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że trzymała komórkę nie tak jak trzeba.

– To znaczy?

– Jej iPhone jest płaski, jak u wszystkich. Ale ta komórka, to, jak ją trzymała... Musiała być mniejsza i grubsza. Jak telefon z klapką.

– Telefon po godzinach – dopowiadam.

– Co to jest „telefon po godzinach”? – pyta Guerline.

– Rodzaj telefonu na kartę. Podejrzewamy, że Angelique miała drugą komórkę. Dlatego zostawiła pierwszą w plecaku. – Wcielając się, jak sądzę, do końca w Livię, a także zabezpieczając przed możliwością, że jej oficjalny telefon zostanie namierzony i posłuży do śledzenia wszelkich jej ruchów. – Jesteś pewien, że nie rozmawiała z jedną ze swoich przyjaciółek, Marjolie albo Kyrą? – pytam Emmanuela.

– Nie sądzę, żeby to była któraś z nich. LiLi mówiła takim tonem... – Chłopak wzrusza ramionami. – Kiedy mnie zobaczyła, wyglądała, jakby czuła się winna. Dlaczego miałyby czuć się winna, gdyby rozmawiała z przyjaciółką?

Emmanuel jest bystrym młodzieńcem. Mogę się założyć, że ma rację. Angelique rozmawiała przez drugi telefon z Livią i po raz kolejny uderza mnie, w jak wielkiej tajemnicy trzymała tę znajomość... Ale nie jest to

chyba odpowiedni moment, żeby zaznajamiać rodzinę ze wszystkimi szczegółami.

– Nie wydaje mi się, żeby Angelique próbowała uciec albo zniknąć – mówię w końcu. – Wygląda na to, że zaprzyjaźniła się z tą dziewczyną, Livią, na letnich zajęciach w centrum rekreacyjnym. Livia pochodzi z rodziny... powiedzmy po prostu, że miała pewne kłopoty, i Angelique próbowała jej pomóc. Do tego stopnia, że przebrała się za nią w tamto popołudnie w listopadzie. Dlatego policja nie mogła z początku znaleźć nagrań, na których Angelique wychodzi ze szkoły. Wyszła, przebrana za Livię Samdi.

Guerline otwiera usta. Najwyraźniej nie wie, co powiedzieć. Siedzący obok niej Emmanuel wydaje się tak samo zszokowany.

– Co ta cała Livia ma do powiedzenia na ten temat? – pyta w końcu Guerline.

– Livia również zaginęła. Kilka miesięcy później. Tyle że jej rodzina w ogóle tego nie zgłosiła. Dlatego policja nie połączyła tych dwóch spraw. Bliscy Livii uważają, że uciekła z domu.

– Ta dziewczyna ma kłopoty z prawem?

– Nie wiem. Ale jej brat jest znanym narkotykowym dilerem.

– Moja Angelique nie bierze narkotyków!

Podnoszę dłoń w uspokajającym geście.

– Nikt nie twierdzi, że bierze. Zresztą nie ma również dowodów, żeby brała je Livia. Podobnie jak Angelique, była dobrą uczennicą, ale specjalizowała się w projektowaniu komputerowym i druku trójwymiarowym.

Guerline jest coraz bardziej zdezorientowana. Pierwszy otrząsa się Emmanuel.

– LiLi jest sprytna. I potrafi rysować, ale na papierze. Nigdy nie widziałem, żeby projektowała coś w komputerze.

– Ta dziewczyna z rodziny dilerów... – odzywa się Guerline. – Czy fałszywe pieniądze mogły należeć do niej? Bo moja Angelique... Dzieci popełniają błędy, owszem, ale ona jest dobrą dziewczyną. Tego rodzaju

pieniądze mogą pochodzić tylko ze złych rzeczy. A LiLi na pewno nie miała z tym nic wspólnego.

Teraz to ja jestem zdezorientowana. Kiedy znaleźliśmy pieniądze, nie wiedzieliśmy jeszcze o istnieniu Livii. Ale w tym momencie, wydaje się całkiem prawdopodobne, że pieniądze pochodziły od Livii albo od jej brata dilerka. Może Angelique tylko przechowywała je dla niej w bezpiecznym miejscu.

Albo służyły jako zabezpieczenie? Tego rodzaju suma, tysiące dolarów, jest czymś, co Johnson – no dobrze, J.J. – zdecydowanie chciałby odzyskać. A co więcej, fałszywe setki... Czy Angelique i Livia zorientowały się, że to podróbki? Dwie inteligentne dziewczyny, obie znane z tego, że mają oko do detali?

Czy Livia zdała sobie sprawę, że jej brat wpłatał się w coś o wiele bardziej niebezpiecznego niż dilerka na rogu ulicy? Mogła ukraść pieniądze i poprosić nową przyjaciółkę Angelique, żeby je przechowała. Albo...

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Mam nagle zbyt dużo informacji, żeby je przetworzyć i złożyć wszystko w sensowną całość.

Opieram łokcie na stole i wbijam wzrok w Guerline i Emmanuela.

– Czy jest coś jeszcze, co zapamiętaliście z okresu poprzedzającego zniknięcie Angelique? – pytam. – Najdrobniejsze szczegóły, które wtedy nie wydawały się ważne, ale teraz, z perspektywy czasu, nabierają znaczenia? Jakies strzępy rozmów, maili? Szybkie wymiany słów? Dziwne zachowanie?

– Była cichsza niż zwykle – odpowiada w końcu Emmanuel. – Zostałem ją któregoś dnia siedzącą z podwiniętymi nogami na sofie. Po prostu siedziała. Nie oglądała telewizji, nie sprawdzała niczego w telefonie. Kiedy ją zagadnąłem, powiedziała, że jest zmęczona. A innego dnia po południu...

Nagle milknie i pochyla głowę.

– Mów – nakazuje mu Guerline.

– Trzymała w ręce fotografię naszej mamy. Wzięła ją z półki i wpatrywała się w nią. Wydawała się... taka smutna. Bardzo smutna.

Kiedy mnie spostrzegła, odstawiła ją na miejsce. Widać było, że płakała. Myślałem, że tęskni. Ja też czasami tęsknię, choć nie pamiętam już nawet naszego starego kraju.

Guerline kładzie rękę na jego dłoni.

– Kiedy to było? – pytam.

– Dokładnie nie pamiętam. Po letnich wakacjach. Jesienią.

Kiwam głową. Zbadałam już tę oprawioną w ramkę fotografię przy moim pierwszym przeszukaniu ich mieszkania, widziałam rysunek wciśnięty za wyblakłe zdjęcie. I Angelique, i Emmanuel nie widzieli matki od niemal dziesięciu lat, ale oczywiście nadal za nią tęsknili. Być może tak mocno, że cokolwiek działo się w życiu Angelique, czuła, że nie może opowiedzieć o tym ciotce. Szukała więc pociechy, wpatrując się w zdjęcie mamy.

Biorę głęboki wdech.

– Dwa dni temu – mówię – Angelique widziano w sklepie z telefonami przy Mattapan Square.

Guerline gwałtownie łapie powietrze i widzę, że jest wzburzona. Emmanuel reaguje tak samo. Ta moja mała niedyskrecja na pewno doprowadzi do wściekłości Lothama, ale czuję, że jestem to winna rodzinie.

– Uciekając stamtąd, upuściła fałszywe prawo jazdy. W tej chwili je badają. Moim zdaniem ty też powinienesz mu się przyjrzeć – zwracam się do Emmanuela. – Może znowu użyła jakiegoś szyfru. Ty znasz się na tym najlepiej.

Emmanuel natychmiast kiwa głową. Mimo młodego wieku jest niezwykle poważny. W tym momencie widzę w nim cechy starszej siostry, tak jak ją opisał. Należy do tych, którzy działają i rozwiązują problemy. Życie nie zawsze głąaskało go po głowie, ale to go wzmocniło, dodało determinacji. Sposobność nie jest człowiekowi dana, trzeba ją wywalczyć.

To sprawia, że ponownie się zastanawiam, do czego zmierza Angelique. Pomoc przyjaciółce ma sens i wyjaśnia zarówno te ukryte pieniądze, jak i fakt, że w tamten piątek przebrała się za Livię, żeby podążyć na jakieś tajemnicze spotkanie. Ale co takiego zdarzyło się

potem, że nie mogła wrócić do domu ani uratować przyjaciółki, która zaginęła trzy miesiące później?

Myślę o tym, co powiedział Charlie. Skoro porywacze przetrzymują je wbrew ich woli, ale dziewczyny wciąż żyją, to znaczy, że są w jakiś sposób przydatne. Jakiego rodzaju przydatność mogą mieć dwie piętnastolatki, poza oczywistą, w branży seksualnej. Czuję, że to musi mieć coś wspólnego z fałszywymi pieniędzmi, które są następnym niepasującym do reszty elementem. Może porywacze wiedzieli, że dziewczyny mają fałszywe setki, i chcieli, by dostarczyły kolejne? Wyprodukowały kolejne? Tyle że byłoby to bardzo wygórowane żądanie, zważywszy, że druk dobrej jakości fałszywych banknotów wymaga specjalistów wysokiej klasy.

Analizuję różne warianty, lecz żaden z nich nie ma sensu.

Uznaję teraz, że kluczem do zrozumienia tego, co wydarzyło się w przeszłości, jest Livia. Zaginiona dziewczyna, o której nikt nie wie, że jest zaginiona, chociaż to ona była pierwotnym celem. Ale to Angelique, biorąc pod uwagę jej niedawne pojawienia się na mieście, daje więcej nadziei na odnalezienie obu dziewcząt. Zanim skończy się czas ich przydatności.

Pamiętając o tym, zaczynam planować następne kroki.

– Zadzwoń do detektywa Lothama – oznajmiam, wstając od stolika – i poproszę, żeby przyniósł fałszywe prawo jazdy Angelique. Emmanuel zostanie tutaj, żeby mu się przyjrzeć.

Patrzę z wahaniem na Guerline.

– Muszę wykonać kilka telefonów – mówi. – I wracać do pracy. Mogę tu być z powrotem...

– To żaden problem. Emmanuel skontaktuje się z panią, kiedy skończymy – odpowiadam.

Domyślam się, że Guerline nie ma za dużo dni urlopu i po wydarzeniach poprzedniego roku wykorzystwała prawdopodobnie wszystkie.

Podnosi się z miejsca i rusza w stronę drzwi, a ja odchodzę na bok, żeby zadzwonić do Lothama. Przekazuję mu najnowsze informacje i odsuwam komórkę daleko od ucha, kiedy zaczyna wrzeszczeć.

Rozdział 25

KIEDY WPUSZCZAM LOTHAMA DO BARU, wydaje mi się, że już trochę ochłonał. Przeszywa mnie morderczym spojrzeniem i rusza do stolika, przy którym siedzi Emmanuel.

Zaparzyłam już wcześniej drugi dzbanek kawy i teraz bez słowa stawiam kubek przed Lothamem. Siadam obok chłopaka, a detektyw naprzeciwko nas. Po chwili sięga do wewnętrznej kieszeni grafitowej marynarki i wyjmuje przezroczystą plastikową torebkę. Na czerwonej taśmie u góry widnieje napis: DOWÓD RZECZOWY. Lotham nie otwiera torebki, tylko kładzie ją na stoliku.

W środku jest prawo jazdy wydane w stanie Massachusetts. Pamiętam, jak Emmanuel i ja badaliśmy jego czarno-białą kserokopię, zrobioną w kafejce internetowej kilka dni wcześniej. Oryginał jest o wiele wyraźniejszy i z pewnością zauważymy więcej detali.

– Nie wolno otwierać torebki i prawo jazdy nie może zniknąć z mojego pola widzenia – podaje swoje warunki Lotham.

Te zasady postępowania mają służyć zapewnieniu ciągłości łańcucha dowodowego.

Emmanuel kiwa głową i ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy bierze do rąk torebkę, ogląda przód prawa jazdy, a potem odwraca ją, żeby przyjrzeć mu się z tyłu.

Zdjęcie przedstawia młodą Afroamerykankę z czarnymi włosami związanymi ciasno w koński ogon. Ciemne brwi, ciemne oczy i okrągła twarz, umalowana o wiele mocniej, niż mogłabym się spodziewać. Duże, wysadzone kryształkami kolczyki jeszcze bardziej odwracają uwagę od rysów twarzy. Zauważam głównie oczy. Nie wpatrują się prosto przed siebie wzrokiem oślepionego reflektorami jelenia, jak zdarza się na wielu

fotografiach w dokumentach, lecz przeszywają na wskroś patrzącego. Emanuje z nich inteligencja.

– To moja siostra – potwierdza Emmanuel. – Ale... nigdy nie widziałem u niej tych kolczyków. I... LiLi prawie się nie maluje. To ona, tyle że inna.

– Spotykamy to często na podrabianych dokumentach – mówi Lotham. – To sztuczki sprawiające, że dana osoba wydaje się starsza albo zmieniają się rysy jej twarzy. Na tym zdjęciu Angelique ma być Tamarą Levesque, lat dwadzieścia jeden.

Emmanuel przechyla na bok głowę.

– Użyła tego prawa jazdy, żeby wysłać mailem szkolną pracę – przypomina. – Ale dlaczego Tamara Levesque? To nazwisko nic mi nie mówi.

– Wiesz, jak się sprawdza, czy dany dokument nie jest fałszywy? – pyta Lotham.

– Nie, proszę pana.

– Ten akurat jest wzorowany na obowiązującym aktualnie prawie jazdy ze stanu Massachusetts, które ma skomplikowane zabezpieczenia. Nie tak bardzo zaawansowane, jak mają dowody tożsamości zgodne z systemem Real ID, którymi trzeba się teraz legitymować na lotniskach, ale tak czy owak ich podrobienie jest trudne. Powiem ci, na co należy uważać. Przede wszystkim na wagę. Autentyczne prawa jazdy są wysokiej jakości, dość ciężkie i prawie nie sposób ich zgiąć. Spróbuj to zrobić.

Emmanuel bierze prawo jazdy przez plastikową torebkę i próbuje je zgiąć. Bez skutku.

– Innymi słowy – kontynuuje Lotham – materiał, z którego zrobiono tę podróbkę, jest solidny. Widać tu fachową wiedzę. A teraz przesunij palcem po druku. Jest lekko wypukły. To specjalistyczna technologia laserowa.

Emmanuel unosi brwi.

– Czuję to wyraźnie przez folię.

– Możesz mi wierzyć, że z tym także nieźle sobie poradzili. Ale w tym momencie zaczynają się schody. Widzisz ten znak wodny ze złotą kopułą

Massachusetts State House? Dalej mamy dołączone obrazki stanowego ptaka i stanowego kwiatu.

– To jest ta brązowa plama pośrodku? – wtrącam, zerkając w stronę dokumentu. – Myślałam, że to smok.

– To sikora.

– Aha.

Lotham mierzy mnie spojrzeniem.

– Jeśli podniesiesz go do światła, okaże się, że ten hologram nie jest prawdziwym hologramem. – mówi. – Fałszerze stworzyli tylko złudzenie optyczne, używając wyjątkowo jaskrawych tuszów. Widziałem tę technikę już wcześniej. Poza tym na oryginalnym prawie jazdy w niebieskim świetle powinno się pojawić kilka innych rzeczy. W tym wypadku fałszerze zastąpili ultrafioletowy tusz barwnikami odbłaskowymi. Reasumując, powiedziałbym, że to prawo jazdy jest klasy barowej, nie lotniskowej.

Emmanuel kiwa głową.

– I tu zaczyna się coś interesującego – mówi dalej Lotham. – Ostatnia znacząca cecha: kod kreskowy. Po zeskanowaniu powinien potwierdzić informacje widniejące w prawie jazdy. Kod kreskowy jest na wielu podróbkach, ale nic nie znaczy. Ten kod kreskowy jest autentyczny. Co stanowi spore osiągnięcie. Ktokolwiek sfalszował to prawo jazdy, był bardzo uważny i użył do tego zaawansowanej technologii. Gdyby postarał się trochę bardziej, może awansowałby do klasy lotniskowej.

Emmanuel ponownie kiwa głową. Bardzo chciałabym obejrzeć z bliska ten dokument, ale chłopak ściska go w rękach w sposób, który świadczy o czymś więcej niż tylko zainteresowaniu badacza. To prawo jazdy jest ostatnią rzeczą, której dotyczyła jego siostra. Kolejne małe łączące go z nią ogniwo. Widać, że nieprędko odłoży je na stolik.

– I tu dochodzimy do informacji zawartych w tym prawie jazdy – ciągnie Lotham. – Nazwisko, adres i data urodzenia posiadacza. Najczęstszą praktyką fałszerzy jest pozostawienie dnia i miesiąca urodzenia, a zmiana wyłącznie roku. Dzięki temu, kiedy podejrzliwy wykidajło zacznie zadawać pytania, posiadacz może mu odpowiedzieć bez

wahania. Znając dane osobowe twojej siostry, mogę od razu stwierdzić, że w tym przypadku mamy inną sytuację. Spójrz. Czy ta data urodzenia coś ci mówi? Czy to jest szyfr? Kolejny apel o pomoc? Cokolwiek?

Emmanuel otwiera szerzej oczy.

– To data urodzenia naszej matki! – wyrzuca z siebie. – Ale... dlaczego? Powiedział pan, że łatwiejsza byłaby tylko zmiana roku.

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

Jednak Emmanuel nie potrafi tego wytłumaczyć.

– Dobrze. Teraz następne linijki. Wzrost, waga, kolor oczu. Widzisz tu coś osobliwego?

– Adres – rzuca od razu chłopak podekscytowanym tonem. – Skrytka pocztowa osiemnaście zero cztery.

– To zbyt krótki numer, żeby mógł być przypisany do jakiegokolwiek skrytki pocztowej w tej okolicy – informuje go Lotham.

– To ważna data na Haiti. W tysiąc osiemset czwartym uzyskaliśmy niepodległość.

Nie wiem, co o tym sądzić. Czy to kolejny żart Angelique dla wtajemniczonych? Ale czemu ma służyć?

– Jest również adres zamieszkania – mówi Lotham. – Możesz go sprawdzić?

Emmanuel wpatruje się w odpowiednią rubrykę.

– Nie znam tego adresu.

– Bo jest fikcyjny. W prawdziwym wydziale komunikacji system od razu by go odrzucił. Tej ulicy nie ma nie tylko na Mattapanie, ale i w całym Bostonie.

– Mogę pokazać go ciotce?

– Ze względu na ciągłość łańcucha dowodowego ten dokument nie może zniknąć z pola mojego widzenia. Ale możesz przepisać dane. Chciałbym również, żebyś przyjrzał się numerowi prawa jazdy. Normalnie te cyfry są informacją dla policji: to kolejny element weryfikacji. Możesz mi wierzyć, że ten akurat numer jest nic nieznaczącym ciągiem cyfr. Co trochę nie ma sensu. Ustawiają właściwy kod kreskowy, żeby potem

spartaczyć numer prawa jazdy? Dlatego przyszło mi na myśl... Może to kolejny skierowany do ciebie szyfr?

Emmanuel marszczy czoło i poruszając wargami, po cichu czyta kilka razy cały ciąg cyfr. W końcu kręci głową.

- To nie jest dla mnie jasne. Ale LiLi miała kilka różnych szyfrów. Jeśli porównam te cyfry z notatkami w jej zeszytach, może coś odkryję.

- Zapisz to, razem z adresem. - Lotham wyjmuje kartkę i przesuwa ją po stoliku.

Emmanuel zabiera się do pracy.

- Może ma tutaj znaczenie coś związanego z Haiti - odzywam się. - Odniesienia do wierzeń, religii, zwyczajów, sama nie wiem. Ale Angelique nie przypadkiem wybrała datę urodzenia waszej matki, a także numer skrytki pocztowej, będący rokiem uzyskania przez wasz kraj niepodległości.

Chłopak lekko się uśmiecha.

- Ma pani na myśli, że pokazując palcem tęczę, ściągam na siebie nieszczęście? Albo że jeśli zjem czubek arbuza, moja matka umrze? W naszym kraju jest wiele zabobonów. O większości z nich ja i siostra dowiedzieliśmy się od ciotki. Ale dla nas... LiLi wierzy w naukę. A ja żyję tutaj, nie tam. Dla nas to tylko bajki, nic więcej.

- Czyli to nie jest dla Angelique coś osobistego - kwituję. - W każdym razie coś wystarczająco osobistego.

Emmanuel kiwa głową. Przez chwilę trzyma jeszcze w palcach torebkę z dowodem rzeczowym, po czym ją odkłada.

- Mogę zbadać numer prawa jazdy i adres zamieszkania - mówi. - Ale w tym momencie wiem tylko, że LiLi myśli o naszej matce.

Lotham wypuszcza powietrze z płuc, starając się nie okazywać frustracji.

- Twierdzisz, że to niezłej jakości podróbka - zwracam się do niego - którą ktoś o zaawansowanych zdolnościach może wykonać za pomocą komputera i drukarki. A jak to prawo jazdy trafiło do rąk Angelique?

– Kupiła je pewnie na ulicy. W tym rejonie działa kilku znanych nam dostawców. Nietrudno byłoby popytać i sfinalizować transakcję.

– Tak sądzisz? Bo mówimy o dziewczynie, która w wolnym czasie uczy się na internetowych kursach. Nie wystaje raczej w ciemnych zaułkach.

Emmanuel nagle się czerwieni.

– Tak, Emmanuel? – W głosie Lothama słychać ostrzegawczy ton.

– Inne dzieciaki, w liceum i w centrum rekreacyjnym, mówiły o fałszywych prawach jazdy.

– Kupionych w internecie? – rzucam.

Tyle przynajmniej dowiedziałam się od Charliego.

– Może niektórych. Ale... – Znów zapada niezręczna cisza.

– Kto miał takie prawo jazdy, Emmanuel? – pyta Lotham.

Chłopak ciężko wzdycha.

– Marjolie. Najlepsza przyjaciółka Angelique. Miała fałszywe prawo jazdy. Słyszałem, jak rozmawiała o tym kiedyś z LiLi. Przechwalała się, że może wejść do klubu. Kiedy LiLi zapytała, jak to robi, Marjolie zaczęła chichotać. Nie usłyszałem, co w końcu odpowiedziała. Ale wiem, że miała fałszywe prawko, i na pewno mogła załatwić takie samo mojej siostrze. Jeszcze niedawno byłbym przekonany, że LiLi nie miała dość kasy na takie rzeczy. – Emmanuel zerka na mnie. – Ale po tym, co znalazła pani w lampie... Muszę pogodzić się z tym, że nie wiedziałem wszystkiego o siostrze. Zastanawiam się... Może w ogóle jej nie znałem.

– Znałeś ją, Emmanuel. Znasz ją. I ona na to liczy. Szkolna praca z zaszyfowaną wiadomością, detale tego prawa jazdy. Twoja siostra jest gdzieś w pobliżu i nawiązuje z tobą kontakt. Liczy na ciebie – mówię.

Widzę jednak, że chłopak mi nie wierzy. I po wszystkich tych sprawach, które rozpracowałam, tak naprawdę wcale mnie to nie dziwi.

Biorę kubki po kawie i odnoszę je do kuchni. Wiem już, dokąd się teraz udamy.

Rozdział 26

TRZYDZIEŚCI MINUT PÓŹNIEJ STOJĘ naprzeciwko szkoły Angelique, czekając, aż rozlegnie się dzwonek. Po wczorajszym wielogodzinnym oglądaniu zapisu z kamery nad spożywczym na rogu mam wrażenie, że znam to miejsce od wieków, a nie dopiero od kilku dni.

Detektyw Lotham chciał wmaszerować do Boston Academy, błysnąć złotą odznaką i od razu zawlec Marjolie do komisariatu, na przesłuchanie. Na szczęście górze wzięło bardziej subtelne podejście.

W związku z tym będę miała honor zaczekać tu na Marjolie i zachęcić ją, by udała się do zaparkowanego nieopodal samochodu Lothama, gdzie będziemy mogli dyskretnie porozmawiać. Niedługo muszę wracać do pracy, więc liczę na to, że wszystko uda się przeprowadzić szybko i spokojnie. Bez presji.

Słyszę szkolny dzwonek. Mniej więcej pięć minut później drzwi frontowe się otwierają i wylewa się przez nie pierwsza fala wypuszczonych na wolność uczniów.

Po kilku minutach pojawiają się Marjolie i Kyra, które schodzą po stopniach, pogrążone w rozmowie. Po raz kolejny uderza mnie kontrast między tymi dwiema dziewczynami. Kyra, wysoka i olśniewająca, nawet z tej odległości. Marjolie, nieświadomie kuląca ramiona. Nie taka ładna jak superatrakcyjna Kyra. Miękką w porównaniu z charakterną Kyra, która jest liderką.

Czuję ciarki na karku, kiedy Marjolie unosi wzrok i mnie dostrzega. Oddzielona ode mnie ulicą i tłumem uczniów, waha się. Na jej twarzy widać tyle emocji: wstyd, lęk, żal. Poczucie winy. Piekielnie mocne poczucie winy.

Wie, że przyszedłam tu z jej powodu. Że ostatecznie chodzi właśnie o nią, o te głupie wakacyjne zajęcia w centrum rekreacyjnym i wszystkie rzeczy,

które zdaniem nastolatek należy zachować w sekrecie.

Odwraca się od przyjaciółki, rozważając, jakie ma opcje. Pochyliłam się do przodu, gotowa rzucić się w pościg.

I w tym momencie zauważa mnie Kyra. Łapie Marjolie za ramię, kompletnie nie rozumiejąc, co jest grane. Ciągnie ją za sobą i po krótkiej chwili niższa dziewczyna ustępuje i pozwala, by Kyra poprowadziła ją na drugą stronę ulicy, w moim kierunku.

I o to chodzi. Po jedenastu miesiącach najwyższy czas poznać prawdę.

- **MAM KILKA PYTAŃ DO MARJOLIE** w związku z letnimi zajęciami, na które chodziła razem z Angelique w centrum rekreacyjnym – mówię lekkim tonem, po czym powtarzam historyjkę, którą ja i Lotham ułożyliśmy, by odłączyć Marjolie od stada.

- Dobrze. – Marjolie wbija wzrok w ziemię i zaciska dłonie na paskach plecaka.

- Co chce pani wiedzieć? – pyta Kyra.

- Będzie chyba lepiej, jeśli porozmawiamy o tym w cztery oczy. Prawda, Marjolie?

Niższa dziewczyna wciąż na mnie nie patrzy. Stojąca obok niej Kyra mruga zdezorientowana.

- Dlaczego interesują panią letnie zajęcia w centrum rekreacyjnym? Dowiedziała się pani czegoś więcej o Angel? – Kyra badawczo się we mnie wpatruje. – Proszę nam powiedzieć! Jesteśmy jej przyjaciółkami, mamy do tego prawo.

- Zajęcia o modzie – rzucam, nie spuszczać wzroku z Marjolie. – Zapisłaś się tam razem z Angelique?

Kiwa głową.

- I była tam ta inna dziewczyna. Livia Samdi, prawda? Ta, która nosiła czerwoną bejsbolówkę?

Na twarzy Marjolie maluje się wyraz czystej rozpacz.

- Tak – odpowiada.

– Chodź ze mną – mówię łagodnie. – To nie zajmie dużo czasu. Mam tylko kilka pytań. Nic szczególnego.

Marjolie kiwa głową.

– Spotkamy się później – zwraca się do przyjaciółki.

Kyra nie jest taka głupia. Omiata wzrokiem Marjolie i mnie.

– Pójdę z tobą...

– Nie! – przerywa jej ostro Marjolie, z dzikim błyskiem w oku.

– Marjolie... – odzywa się błagalnym tonem Kyra.

Uświadamiam sobie, że się boi. Nie tego, o czym wie, lecz tego, o czym nie ma pojęcia. W dodatku martwi się o przyjaciółkę.

– Przepraszam – szepcze Marjolie.

Widzę jednak, że Kyra nie ma pojęcia, kogo albo czego dotyczą te przeprosiny.

– Zadzwoń do ciebie później – mówię, po czym kładę dłoń na ramieniu Marjolie i odchodzę z nią, nim Kyra zdąży się otrząsnąć.

Czuję, jak Marjolie drży, kiedy mijamy pierwszą, a potem drugą przecnicę. Idziemy w kompletnym milczeniu, napięcie rośnie.

Lotham ma swoje sztuczki, ja mam swoje.

Za rogiem stoi nieoznakowany samochód. Otwieram tylne drzwi i w tej samej chwili dziewczyna nagle się prostuje.

– Nie chciałam tego! – woła głośno i wybucha płaczem. – Przysięgam, że nie chciałam jej skrzywdzić! Nie miałam pojęcia!

– Nie musisz mi dziękować – mówię do Lothama, gdy dziewczyna siada na tylnym siedzeniu i zaczyna się przedstawienie.

MARJOLIE OPOWIADA I SZLOCHA. Jak w wielu podobnych historiach zaczęło się od chłopaka. Koszykarza. Pilnowała, by nikt go jej nie odbił, dlatego trafiła do centrum rekreacyjnego.

Lotham i ja siedzimy z przodu, ona z tyłu. Nie trzeba jechać do komisariatu. Nasza rozmówczyni wyznaje od razu wszystkie swoje grzechy. Nie będziemy tracić czasu na jazdę przez miasto.

Lotham włączył telefon i dyskretnie wszystko nagrywa. Stara się w ogóle nie patrzeć na płaczącą dziewczynę, więc to ja w dalszym ciągu pełnię honory domu.

– Przekonałaś Angelique, żeby zapisała się razem z tobą na te zajęcia. Miała być kimś w rodzaju twojej skrzydłowej – mówię.

– Chciała zarobić pieniądze, opiekując się dziećmi. Ale ja prosiłam ją i błagałam, a ona taka właśnie była. Dla przyjaciół zrobiłaby wszystko, a przyjaźniłyśmy się od piątej klasy.

– Więc zapisałyście się razem na zajęcia o modzie. Tyle że w ogóle nie chodziło o modę.

– Dommy J. – oświadcza ze szlochem Marjolie.

– Złamał ci serce?

– Myślałam, że mnie kocha. Myślałam... powinnam była wiedzieć...

Biedna dziewczyna. Sprawia teraz naprawdę żalosne wrażenie.

– Ile lat ma Dommy J.? – pytam.

– Siedemnaście.

Marjolie miała wówczas piętnaście.

– Gorące ciacho?

Lotham rzuca mi krytyczne spojrzenie, ale nie cofam pytania.

– Totalnie. Dziewczyny wariowały na jego punkcie. A on wybrał mnie. Mówił, że lubi mój uśmiech.

Kiwam ze współczuciem głową. Wiem już, jak potoczy się ta historia, i jest mi szczerze żal Marjolie. Żal wszystkich wrażliwych, nieśmiałych dziewczyn, które uwierzyły, że wybrał je klasowy gwiazdor, podczas gdy tak naprawdę...

– Co się zdarzyło później, Marjolie? Poznałaś go, przekonałaś Angelique, żeby zapisała się na zajęcia o modzie, i co dalej?

– Dommy nie podobał się Angel. Ostrzegła mnie. Co gorsza – Marjolie gorzko się uśmiecha – powiedziała, że stać mnie na kogoś lepszego. Ale oczywiście kto mógł być od niego lepszy? Nie chciałam jej słuchać, nie chciałam jej wierzyć.

Dziewczyna zaciska wargi i po policzkach płyną jej kolejne łzy. Trącam w bok Lothama i ten podaje jej w końcu pudełko z chusteczkami.

– Dommy jest ode mnie starszy, rozumie pani. To nie jest ktoś, kto przesiadywałby wieczorem w domu, a poza tym przyjaźni się z wieloma studentami. Koszykarzami, którzy znają modne kluby.

Kiwam głową.

– W ciągu dnia, w centrum rekreacyjnym, był naprawdę słodki. Nazywał mnie swoją dziewczyną, chodziliśmy objęci po korytarzu. Czułam się kimś wyjątkowym. Nie jestem taka seksowna jak Kyra ani taka mądra jak Angeliq. Jestem po prostu sobą. – Marjolie wzrusza ramionami. – Chyba że był ze mną Dommy. Wtedy to na mnie gapiły się inne dziewczyny. To mnie wszystkie zazdrościły. Więc kiedy powiedział, że chce się wybrać do paru klubów i że powinnam z nim pójść, musiałam to zrobić. On w takich miejscach, ze swoimi kumplami...? Nie ma mowy, żeby wrócił do domu sam.

– Miałaś wtedy tylko piętnaście lat – zaznaczam delikatnie.

Marjolie wysuwa podbródek.

– Potrafię zrobić się na starszą. Trochę więcej makijażu, odpowiednia fryzura i ciuchy. Potrzebowałam tylko prawko, żeby to uwiarygodnić. I sprawa była prosta, bo Dommy znał kogo trzeba. Pięćdziesiąt dolców za podróbkę. Noc na mieście z moim facetem, bezcenne. – Dziewczyna uśmiecha się z przekąsem i zaczyna wycierać rozmazany tusz. – Nie powiedziałam nic Angel, w każdym razie nie z początku. Wiedziała, że tego nie pochwali. Poza tym była na mnie wściekła. Namówiłam ją, żeby zapisała się na te zajęcia o modzie, a potem przestałam na nie chodzić, bo ciągle się wykradałam oglądać Dommy'ego na boisku. Powiedziała, że się na nią wypięłam. Nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Byłam... byłam po prostu dziewczyną, która chodziła po korytarzu z gorącym ciachem, rozumie pani. Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło.

– Jak zdobyłaś fałszywe prawko, Marjolie?

– Załatwił je Dommy. We wtorek dałam mu pieniądze, a w czwartek przyniósł mi prawko. Tamtego wieczoru bawiliśmy się ze wszystkimi jego kumplami w ich ulubionym klubie. Dommy tańczył ze mną. Ja z nim.

Stawiał mi drinki. Wszyscy byli szczęśliwi. Miałam wrażenie, że zaraz pofrunę – dodaje po chwili ciszej. – Że to najpiękniejszy wieczór w moim życiu. Że nigdy już nie będzie lepiej. A potem Dommy zabrał mnie do samochodu swojego kumpla.

Dziewczyna milknie i opuszcza głowę.

– Zgwałcił cię, Marjolie? – pytam.

Lotham ma zaciśnięte usta i pięści.

– Nie, to nie było tak. Oddałam mu się. Sądziłam, że to jest to, na co czekałam. Że to będzie ta wyjątkowa, zajebista chwila z tym wyjątkowym, zajebistym, facetem. – Marjolie śmieje się, ale przykro tego słuchać. – Następnego dnia, w centrum rekreacyjnym, wyznałam mu, że go kocham. Że nie mogę się doczekać, żeby znowu wyjść z nim na miasto. Że chcę mieć fałszywe prawko, podróżować, wie pani. Dommy odparł, że powinnam zabrać ze sobą jakąś koleżankę. Że przy tych wszystkich facetach niezręcznie mu być tylko ze mną. Powiedział, że może zabrałabym Kyrę.

Superatrakcyjną przyjaciółkę Marjolie.

– Och, skarbie. Tak mi przykro – mówię.

Marjolie już nie płacze. Jest zbyt przybita, by ronić łzy. Ma rację, pierwsza miłość przypomina lot w stronę słońca. I w nieunikniony sposób prowadzi do twardego lądowania.

– Zamiast niej poprosiłam o to Angelique. Nie chciałam wierzyć... – Marjolie zerka na mnie. – Myślałam, że jeśli przyprowadzę Angelique, to wystarczy.

– Poprosiłaś Angelique, żeby wybrała się z tobą na clubbing? – Lotham jest tak zaskoczony, że zadaje w końcu swoje pierwsze pytanie.

– Pokazałam jej moje fałszywe prawo jazdy. Co w tym złego? Nawet jeśli nie lubi imprezować, to przecież stale nawija o studiach. Mogłaby użyć podróbki, żeby zakradać się na kampus, chodzić na wykłady, cokolwiek. Przydałaby jej się. Błagałam ją. Ale ona się wściekła. Wtedy o wszystkim jej opowiedziałam. Co zrobiliśmy ja i Dommy i jak bardzo go kocham. Jak bardzo zależy mi, żeby ze mną poszła, bo nie mogę przecież

zabrać Kyry. To oczywiste. I nie zniosłabym... Nie chcę, żeby to się skończyło.

– Co na to Angelique? – Lotham zadaje kolejne pytanie.

– Nic. Nie powiedziała ani słowa. Po prostu mnie uściskała, naprawdę mocno. A ja zaczęłam płakać, bo... już wiedziałam. Odsuwałam to od siebie, ale wiedziałam.

Marjolie zamyka oczy i drżąc cała, bierze głęboki oddech.

– Okazało się, że Dommy to kolekcjoner. Kolekcjonował dziewice. Konkurował nawet ze swoimi kumplami, kto zaliczy więcej. No i skoro już mnie przeleciał... Zerwał ze mną dwa dni później. Clubbing, taniec, prawdziwa miłość. Nic z tego nie miało już znaczenia.

– Och, skarbie... – powtarzam.

– I wtedy sytuacja zrobiła się dziwna.

Lotham marszczy czoło, spogląda na mnie i obraca się do niej.

– W jakim sensie dziwna?

– Tydzień później, w słoneczny, jasny dzień, wszyscy siedzieliśmy na dworze. Angel podeszła prosto do Dommy'ego. Z początku nikt ich nie słyszał. Ona coś do niego wściekle szeptała, on kompletnie ją olewał. Łypał na mnie spode łba, jakby to wszystko była moja wina. I nagle Angel przestała szeptać. Zaczęła mówić na cały głos, że Dommy jest oszustem. Że sprzedawane przez niego fałszywe prawa jazdy nie są warte plastiku, na którym je drukują.

Oboje, ja i Lotham, słuchamy teraz Marjolie bardzo uważnie.

– Wcześniej pokazałam jej moje, chcąc ją przekonać, żeby też sobie kupiła. I nagle Angel wrzeszczy, że pięćdziesiąt dolców to rozbój na prostej drodze. Nawet ochroniarz w markecie rozpozna, że są fałszywe, i Dommy naraża swoich znajomych na aresztowanie. Na koniec oświadczyła, bardzo głośno, że powinien zwrócić wszystkim kasę.

– Zwrócić kasę? – powtarza Lotham.

Marjolie z powagą kiwa głową.

– Dommy wpadł w szal. Ona nie wie, o czym mówi. Niech zamknie, kurwa, mordę i zejdzie mu, kurwa, z drogi. I w tym momencie ta druga

dziewczyna, Libby... Liv...

– Livia Samdi.

– No właśnie. Cicha jak myszka, nigdy przedtem się nie odzywała. Wszyscy wiedzą, że jej starszy brat dwa lata wcześniej wypadł z programu za dragi. J.J. czy jakoś tak.

– Johnson.

– Serio?

– Aha.

– No więc ta Livia Samdi dołącza nagle do Angel i wrzeszczy na Dommy'ego. Tyle że ona akurat dobrze znała się na rzeczy. Podróbki, które sprzedaje Dommy, nie mają hologramu, druku laserowego i czego tam jeszcze. Najprzeróżniejszych rzeczy. Generalnie też daje do zrozumienia, że Dommy naciąga swoich kumpli. Ludzie tego słuchają i robi się naprawdę niemiło. To znaczy byli tam wszyscy jego znajomi. Kto wie, ile sprzedał im tych podróbek.

– A ty wiesz? – ciśnie ją Lotham.

Marjolie kręci głową.

– Czy był w to zaangażowany ktoś inny? Czy któryś z jego kumpli też sprzedawał fałszywe dowody tożsamości?

– Wiem tylko o Dommym. I on ich nie podrabiał. Tak mi się w każdym razie wydaje. Mówił, że robi to jego kumpel. Ale kiedy byliśmy w nocnym klubie, korzystali z nich wszyscy jego znajomi. Żaden raczej nie skończył dwudziestu jeden lat.

Pięćdziesiąt dolców za sztukę. Lotham i ja wymieniamy spojrzenia.

– Masz przy sobie to prawko? – pytam.

Marjolie waha się, jakby przypomniawszy sobie w końcu, że rozmawia z glinami. Lotham unosi brwi i dziewczyna daje za wygraną. Wyciąga z plecaka portfel, wyjmując z niego fałszywe prawo jazdy i podaje je Lothamowi. Ten waży je w ręce i obraca w padającym przez szybę świetle. Nie mówi ani słowa, po prostu mi je przekazuje.

Marjolie mówiła prawdę. To tandetna podróbka. Zbyt cienka, z nieostrą fotografią, bez czegoś, co choćby przypominałoby hologram.

W porównaniu z tym fałszywe prawo jazdy, które porzuciła niedawno Angélique, jest wręcz majstersztykiem. Pięćdziesiąt dolców za takie dziadostwo? Rozumiem punkt widzenia Angélique.

– Czyli Angélique i Livia oskarżyły Dommy'ego, że okrada swoich znajomych – podsumowuję. – I mówiły to przy wszystkich.

– Angel chciała go skompromitować za to, co mi zrobił. Nie wiem, o co chodziło tej drugiej dziewczynie. Ale ci ludzie, Dommy i jego kumple... Z nimi nie ma żartów. Angélique nie powinna była mówić takich rzeczy. Zwłaszcza w obecności innych. Dommy bardzo szybko stracił nad sobą panowanie. Odepchnął je i powiedział, żeby się przymknęły, bo tego pożąają.

– Groził im? – pyta Lotham, starając się to sprecyzować.

– Chyba tak.

– I co potem?

Marjolie wzrusza ramionami.

– Z budynku wyszedł dyrektor. Pan Lagudu. Koniec przerwy, wszyscy wracają do środka. Angel nadal cała się trzęsła, była naprawdę zdenerwowana. Wiedziała, że zrobiła to tylko dla mnie, ale powiedziałam, żeby sobie odpuściła. Mogła ściągnąć na siebie kłopoty. Poza tym... było mi wstyd. Może miałam wcześniej nadzieję, że Dommy zmieni nagle zdanie, że znów ze sobą będziemy. Ale po tym incydencie... – Marjolie gwałtownie wypuszcza powietrze. – Angel i ja zamieniłyśmy parę przykrych słów. Tak naprawdę ostro się poprzytykałyśmy. Angel... po prostu tego nie widziała. Czasami była zbyt bystra, zbyt zdolna. Nie rozumiała, jak to jest być zwykłą dziewczyną, taką jak ja. Nie rozumiała, że czasami dołuje mnie to, że ona po prostu jest sobą.

Marjolie przełyka ślinę i milknie.

– Potem stosunki między nami nie były już takie jak wcześniej – ciągnie po chwili. – Siadywała często z tą Livią. Czasami przysięgłabym, że szeptały coś na mój temat. Chciałam przeprosić, wszystko naprawić. Mnie też nie było łatwo. Kochałam tego faceta, a on się zmył... i co? Nie wiem. Te letnie zajęcia naprawdę były do dupy. Kiedy się skończyły i zaczął się rok szkolny, wszystko wróciło do normy. Livia zniknęła i z powrotem były

Angel, Kyra i Marjolie. Wydawało mi się, że z biegiem czasu znów się do siebie zbliżymy. Tyle że pewnego dnia Angelique zniknęła. I straciłyśmy drugą szansę.

– Widziałaś ją jeszcze kiedykolwiek z Livią Samdi? – pytam. – Po tym letnim programie?

Marjolie kręci głową.

– A z Dommy? – wtrąca Lotham. – Doszło między nimi do kolejnych scysji?

– Nie między nim i Angel.

– To między kim?

Marjolie bierze głęboki oddech.

– To było w ostatnim tygodniu programu. Wysłałam z centrum rekreacyjnego i zobaczyłam Dommy'ego na rogu ulicy. Więc zwolniłam. Dlaczego? Bo jestem głupia, dlatego. A potem zobaczyłam Livię, w tej jej czerwonej bejsbolówce. Stała przed nim, ale tym razem to nie ona się na niego wydzierała. Dommy był najwyraźniej wkurzony i ją ochrzaniał, a ona po prostu się kuliła, jakby chciała przeczekać burzę. Nagle złapał ją za ramię. Zdziwiło mnie to, bo wcześniej nie widziałam, żeby był agresywny wobec dziewczyn. I wtedy Livia stanęła na szeroko rozstawionych nogach i spojrzała mu prosto w oczy. „Wiesz chyba, kim jest mój brat?”, rzuciła głośno. Dommy odparł, że J.J. może mu naskoczyć, a Livia pokręciła głową. „Nie mówię o J.J., tylko o moim drugim bracie”, powiedziała.

– O drugim bracie? – pyta ostro Lotham.

– Właśnie. Livia zerknęła na drugą stronę ulicy i wtedy go zobaczyłam. Obwieszzonego złotymi łańcuchami, bardzo wysokiego gościa w niebieskim dresie. Nie wydał mi się specjalnie groźny. Ale Dommy, jego reakcja... Puścił Livię i dał dyla tak szybko, że myślałam, że potknie się o własne nogi.

– Zobaczył tego faceta po drugiej stronie ulicy i zwiął? – pytam.

Przypominam sobie nagle swoją pierwszą wizytę w szkole Angelique i faceta, który mnie obserwował. A potem stał przed domem Samdich,

zanim w powietrzu zaczęły fruwać kule.

– Dommy wyglądał, jakby miał się zesrać w portki – mówi Marjolie. – Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był taki przerażony.

– A co zrobiła Livia? – pyta Lotham.

– To było ciekawe. Kiedy już Dommy ją puścił, odeszła. Nie do tego faceta, tylko w zupełnie przeciwnym kierunku. Widziałam jej twarz, tuż zanim się odwróciła, i przysięgam, że wydawała się tak samo przerażona jak Dommy. Ale skoro ten facet był jej bratem, to dlaczego tak panicznie chciała przed nim uciec?

Rozdział 27

O TRZECIEJ PO POŁUDNIU Lotham uruchamia samochód i ponownie jedziemy na Mattapan. Spóźnię się do pracy, ale mam nadzieję, że nie za bardzo, jeśli tylko nie trafimy na korki. Gnębi mnie myśl, że przez następnych osiem godzin będę podawała drinki i wycierała stoliki, podczas gdy już teraz mam tyle pytań dotyczących Angelique i Livii. I jesteśmy tak blisko odkrycia prawdy.

Alkoholicy są chorobliwie obsesyjni. Zwłaszcza kiedy chodzi o coś tak stymulującego jak „już teraz”.

– Co sądzisz o fałszywym prawie jazdy Marjolie? – pytam, bębniąc niecierpliwie palcami po kolanie.

– Straszna tandeta. Dziwię się, że na jego podstawie wpuścili ją do jakiegokolwiek klubu. Choć w takich miejscach często wystarczy dać w łapę bramkarzowi i sprawa jest załatwiona. Chcą być po prostu kryci, gdyby coś poszło nie tak.

– Prawo jazdy Angelique jest zdecydowanie lepszej jakości.

– Tak, to znaczący krok do przodu – mruczy Lotham.

Wydymam wargi i obracam się w fotelu, żeby go lepiej widzieć.

– Czy to nie ciekawe? Zarzucała temu Dommy’emu, że robi kiepskie podróbki...

– I że potraktował podle jej przyjaciółkę.

– A rok później sama biega po mieście z dużo lepszą podróbką.

Lotham kiwa w zamyśleniu głową. Kiedy stajemy na czerwonym świetle, zerka na mnie. Trudno coś wyczytać z jego twarzy.

– Sądzisz, że Angelique sama podrobiła to prawo jazdy? – pyta. – Albo pomogła komuś je podrobić?

- Sądzę, że jeśli Marjolie mówi prawdę, Livia Samdi zna się dość dobrze na dowodach tożsamości i potrafi je lepiej fałszować. Pięćdziesiąt dolców za sztukę... Skoro Dommy mógł zgarnąć w wakacje setki dolarów za gówniane podróbki, pomyśl, ile zarobiłaby Livia za porządną towar.

- Ze wszystkich fałszerstw, o których mówiliśmy, podrabianie dowodów tożsamości to coś, co najłatwiej robić w domowych warunkach. Sądzę, że mając odpowiednie oprogramowanie i specjalistyczną drukarkę, dwie nastolatki zdecydowanie by sobie z tym poradziły. Niestety - dodaje Lotham, marszcząc czoło.

- Może pieniądze w lampie Angelique pochodziły z ich własnej „firmy”? Livia pewnie z chęcią podjęłaby się projektowania, a Angelique miała osobisty motyw, żeby wygryźć Dommy'ego z interesu.

- Ale skąd wzięły się fałszywe setki? - pyta Lotham, skręcając ostro w prawo, w zakorkowaną główną ulicę.

- Może ktoś im nimi zapłacił. Może nie wiedziały, że są fałszywe.

- Czyli były wystarczająco sprytne, żeby zobaczyć defekty w fałszywych prawach jazdy, ale nie poznały się na fałszywych setkach?

Rzeczywiście nie ma w tym konsekwencji, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, co mają wspólnego drukowane w Rosji studolarówki z podrabianymi lokalnie prawami jazdy. Ciekawi mnie także, dlaczego dyrektor centrum rekreacyjnego, Frédéric Lagudu, nie wspomniał o wielkiej awanturze z udziałem Angelique, Livii i Dommy'ego. Chyba że zjawił się tam, kiedy było po wszystkim, i mógł z czystym sumieniem uznać, że oto dobiegł końca kolejny dzień w jego raj. Bo po zaginięciu Angelique jej słowna utarczka ze znanym chuliganem z pewnością była warta odnotowania.

- Powiedzmy, że Livia Samdi zna się nie tylko na projektowaniu, ale i na produkcji. - Lotham przez chwilę się zastanawia. - Po scysji z Dommym ona oraz jej nowa najlepsza przyjaciółka Angelique zaczynają snuć plany. Będą robiły własne fałszywe prawa jazdy. Lepszej jakości, dzięki czemu będą mogły zarobić i wygryźć z interesu tego kretyna Dommy'ego.

- Livia zajmie się produkcją, Angelique marketingiem i sprzedażą.

Lotham kiwa głową. Utykamy w korku. Czekamy jeszcze dziesięć sekund, a potem detektyw włącza policyjne światła. Kierowca samochodu przed nami robi, co może, żeby nas przepuścić. Lotham przeciska się wąskim korytarzem między pasami ruchu i skręca w pierwszą przecznicę. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, ale podoba mi się jego styl jazdy.

– Jednego nie rozumiem – mówi. – Czy pierwszymi klientkami Angelique nie powinny być jej przyjaciółki? Pomyśl o tym całym Dommym. Założę się, że zapisał się na te wakacyjne zajęcia tylko po to, by móc sprzedawać podróbki znajomym. I teraz pojawia się Angelique, która według nas sprzedała ich tyle, że ma tysiące dolarów, ale w ogóle nie oferowała towaru osobom z najbliższego kręgu. To wydaje się dziwne.

Nagle przypomina mi się to, co usłyszałam od Charliego.

– Może ona i Livia sprzedawały podróbki przez internet. Tak robi się z międzynarodowymi prawami jazdy. I mamy tutaj dwie dziewczyny, które są określane jako ciche. Sprzedaż online mogłaby się niezłe sprawdzić, a jednocześnie ta nowa działalność przestępcza byłaby mocno oddzielona od ich realnego życia i planów pójścia na studia.

– Możliwe. Ale to wymaga dodatkowej infrastruktury. W jaki sposób by im płacono? Przelewami? Bitcoinami? Musiałyby mieć rachunki w banku, a obie są niepełnoletnie.

– Pełnoletnia jest za to Tamara Levesque. Alter ego Angelique.

Lotham otwiera trochę szerzej oczy i wali dłonią w kierownicę.

– Cholera. Oczywiście. Zbadaliśmy prawo jazdy Levesque pod kątem zostawionych na nim śladów, a potem z pomocą Emmanuela szukaliśmy w nim zaszyfrowanych wiadomości. A może wiadomością jest samo nazwisko. Tamara Levesque. Trop do sekretnego życia Angelique, przez które ona i jej przyjaciółka wpadły w tarapaty.

– No tak. – W końcu to do mnie dociera. – Angelique i Livia Samdi może i nie mają rachunków bankowych, ale Tamara Levesque... No tak! No tak!

– Ten cholerny brak snu – mruczy Lotham. – Zajmę się tym, kiedy tylko cię podrzucę.

Ciężko wzdycham. Tyle rzeczy dzieje się już teraz. Tyle odpowiedzi będziemy mogli uzyskać już teraz.

– Nadal mamy problem – mówi Lotham, któremu wreszcie udaje się przyspieszyć w labiryncie małych bocznych uliczek. – Zakładając, że Livia i Angeliqne robiły to razem... dlaczego Angeliqne zniknęła pierwsza?

– Udawiała Livię. Próbowwała ją przed kimś chronić.

– I ten ktoś dopiero po trzech miesiącach zdał sobie sprawę, że ma nie tę dziewczynę? Niezbyt bystry ktoś. Poza tym, gdybyś była przestępcą, który chce przejąć ich nowy fałszerski biznes, czy nie porwałabyś ich obu?

Muszę się nad tym zastanowić.

– Jeśli Livia wnosi w całe przedsięwzięcie swoje zdolności projektowe – odzywam się w końcu – to jest cenniejsza niż Angeliqne. Może dlatego wydawała się taka przerażona. Może Angeliqne zaproponowała, że pójdzie na spotkanie zamiast niej. Kiedy przestępcy odkryli podstęp, uwięzili ją i grożąc, że zrobią jej coś złego, zmuszali Livię, żeby dla nich pracowała.

– To dlaczego trzy miesiące później uwięzili również Livię?

– Hm... bo szantaż przestał działać? A może operacja się tak rozrosła, że Livia musiała być stale dostępna? Może zamknęli ją gdzieś, żeby projektowała milion fałszywych dowodów tożsamości dziennie. Nie wiem. I teraz, przetrzymując Livię, szantażują Angeliqne. Dlatego mogli wypuścić ją na miasto, żeby wykonała dla nich jakieś drobniejsze zadania. Bo wiedzą, że dopóki mają Livię, Angeliqne zawsze do nich wróci.

– W tej teorii jest sporo hipotez – zauważa Lotham. – Chociaż szantażowanie jednej dziewczyny tym, że coś złego przytrafi się drugiej, jest sprawdzoną i skuteczną strategią. Używają jej handlarze żywym towarem na całym świecie. Właściwie często lepiej porwać dwie osoby zamiast jednej, bo wtedy porywacz ma nad obiema większą władzę.

– Biedne dziewczyny... – szepczę. – Na początku Angeliqne chodziło prawdopodobnie o pognębienie tego dupka, który skrzywdził jej najlepszą przyjaciółkę. Livia chciała pewnie zaimponować nowej znajomej i wejść głębiej w świat Angeliqne. I za te wszystkie trudy obie są teraz przetrzymywane i zmuszane do jakiegoś rodzaju działalności

przestępczej: fałszowania dokumentów czy czego tam jeszcze. Nie wiem, czy zniosłabym taki stres. Zwłaszcza przez jedenaście miesięcy.

Lotham kiwa głową i w końcu podjeżdża pod boczne drzwi Stoneya.

– Reasumując, mamy dwie ofiary: Angeliqe Badeau i Livię Samdi. Mamy możliwą działalność przestępczą: fałszowanie dokumentów tożsamości. Co nadal wydaje mi się marną fuchą. Kilka tysięcy miesięcznie w porównaniu z setkami tysięcy, które płyną z handlu narkotykami. Kto wchodziłby w coś takiego i miał dość tupetu, żeby porwać i prawie przez rok przetrzymywać dwie nastolatki?

– Może ten brat? Nie Johnson, ale drugi brat Livii, który pojawił się przy centrum rekreacyjnym.

– Wysoki, groźnie wyglądający facet? – Lotham wzrusza ramionami. – Popytam tu i ówdzie. W sekcji zajmującej się gangami mają być może jego nazwisko.

– Widziałam go.

– Słucham?

– Kiedy za pierwszym razem odwiedziłam Boston Academy. Chudy czarny facet z wycuciem mody sprzed jakichś dwudziestu lat. Zobaczyłam go po drugiej stronie ulicy, kiedy skończyłam rozmawiać z Kyrą i Marjolie. Obserwował mnie.

Lotham obraca się w fotelu kierowcy. W ograniczonej przestrzeni samochodu jego ramiona wydają się jeszcze potężniejsze.

– I kiedy miałaś zamiar o tym powiedzieć?

– A o czym tu mówić? Stałam obok publicznej szkoły w Roxbury, a czarny facet patrzył na mnie z drugiej strony ulicy. Naprawdę szokujące. W gruncie rzeczy to on miał więcej powodów, żeby donieść na dziwną białą kobietę, która zagaduje uczennice w spożywczym na rogu. Nie sądziłam, że jego obecność ma jakiegokolwiek znaczenie. A tym bardziej, że może być bratem Livii Samdi. O której istnieniu nie miałam wówczas pojęcia. Za to on zdecydowanie wiedział, że tam jestem. Możliwe, że widziałam go również po raz drugi – dodaję po krótkim wahaniu.

– Gdzie?

- Obok domu Samdich, kiedy do mnie strzelano.

- Robisz sobie ze mnie jaja?

- Nie zwracałam większej uwagi na scenerię. Pędziłam przed siebie, starając się ratować swój żaloszny tyłek. Ale przez chwilę wydawało mi się, że widzę go po drugiej stronie ulicy.

- Innymi słowy, tam, skąd padł strzał.

Lotham wydaje się maksymalnie wkurzony. Nie wiem dlaczego, skoro to ja byłam celem.

- Całkiem możliwe – rzucam.

- Wyślę tam techników. A mundurowi przeprowadzą na nowo rozpytanie.

- Nikt nie piśnie ani słowa. Zwłaszcza jeśli to jest czyjś tajemniczy starszy brat.

Lotham kręci głową i zaciska usta w wąską kreskę.

- Pracujesz dzisiaj? – pyta, wskazując bar.

- Do północy.

- Nie chcę, żebyś sama stąd wychodziła. Jeśli będziesz chciała iść na spotkanie AA, zadzwoń do mnie. Gdybym nie mógł przyjechać, przyślę radiowóz.

- Żeby odwieźli mnie na spotkanie AA? Rany, to ci dopiero.

- Frankie... – zaczyna.

Ale ja mam już tego dość. Nie potrafię długo znosić tego rodzaju męskiej troski. Od dłuższego czasu polegam tylko na sobie. I nie jestem idiotką.

- Idę teraz do roboty – informuję go. – A potem, biorąc pod uwagę, jaki mamy dzień, wycofam się prawdopodobnie do mojego pokoiku z niebywale agresywną sublokatorką. Zapomnij o psie obronnym. Żaden złoczyńca nie da sobie rady z Piper. Ta kocica najpierw gryzie, a potem zadaje pytania.

- Zadzwoń do mnie, kiedy skończysz pracę – mówi rozkazująco Lotham.

– To ty do mnie zadzwoń. – Teraz to ja wrednie się zachowuję, ale mam to w nosie.

– Jeśli wolisz.

– A co ty będziesz robił dziś wieczorem?

– Sprawdzę rejestry bankowe Tamary Levesque i drzewo genealogiczne rodziny Samdich.

– Nie jest ci potrzebny kot obronny?

– Jestem policyjnym detektywem, na litość boską...

– A mnie zdarzyło się mieszkać w gorszych dzielnicach niż te, które ty kiedykolwiek odwiedziłeś. Każde z nas ma swoje talenty.

– Frankie...

– Lotham.

– Chciałbym cię zrozumieć.

– Detektywi lubią zagadki. A to znaczy, że kiedy mnie rozgryziesz...

– Nie jestem taki powierzchowny, jak ci się wydaje.

– A ja nie jestem taka skomplikowana. Przyjechałam tu, żeby odnaleźć zaginioną nastolatkę, z czego zrobiły się dwie zaginione nastolatki. Tym się zajmuję. Jestem doświadczona i radziłam sobie już wcześniej w takich sytuacjach. W tego rodzaju sprawach... – wzruszam ramionami – zawsze mamy do czynienia z tajemnicami i z co najmniej jedną osobą, która nie chce, żeby wyszły na jaw.

– Nosisz przy sobie broń?

– Noszę gwizdek. Bardzo głośny. Poza tym Stoney ma pod kontuarem kij bejsbolowy.

– Zabierz go ze sobą dzisiaj na górę.

– Dobrze. – Spoglądam na zegarek. Jest wpół do czwartej. – Muszę już iść. – Otwieram drzwi i wysiadam.

– Uważaj na siebie, Frankie! – woła do mnie Lotham. – Po prostu uważaj.

– Ty też.

Zatrzasnę drzwi samochodu i idę do pracy.

Rozdział 28

STONEY NIE JEST ZADOWOLONY z mojego spóźnienia.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – mruczę.

Rzuca mi spojrzenie. Takie, jakiego każdy wolałby uniknąć.

Nie usprawiedliwiam się ani nie tłumaczę. Wiem już, że to nie ma sensu. Zamiast tego staram się, jak tylko potrafię, ograniczyć straty. Zabieram się do pracy i pracuję szybko. Kiedy pół godziny później otwierają się frontowe drzwi, sypię pikantne orzeszki do miseczek i nalewam piwo. Tego dnia część klientów wita mnie skinieniem głowy. Na razie bez słów: prosta akceptacja faktu, że wciąż tu jestem. Mnie to wystarcza.

Robi się coraz tłoczniej. Co wcale mi nie przeszkadza. Nie chcę i nie potrzebuję bezustannego natłoku myśli w głowie.

O dziewiątej mam pierwszą wolną chwilę. Wymykam się do kuchni i proszę Viv, żeby zrobiła mi sałatę. Mierzy mnie uważnym spojrzeniem.

– Nie przespałaś się z nim – stwierdza.

– Przepraszam.

– Na co ty czekasz? Nie znajdziesz większego przystojniaka.

– Nie mów tego swojemu mężowi.

Viv chichocze.

– Sałata zaraz będzie. Ale powinnaś też trochę pożyć. Życie jest cholernie krótkie, nie słyszałaś?

Kolejne dania do stolików, kolejne dzbanki z ponczem na rumie. Potem mam piętnaście minut na sałatę. Wciągam w nozdrza jej zapach.

– Jest boska – informuję Viv. – Mówiłam, że ukradłam ci jajka i frytki?

– Nie moje jajka i nie moje frytki.

– Więc ukradłam je Stoneyowi.

– W takim razie zabieraj się lepiej do roboty. Facet jest humorzasty.

Biorę to sobie do serca i zmieniam się w wirującego derwisza gościnności. Obsługuję stoliki, nalewam drinki, rozdaję uśmiechy. Jestem Wonder Woman strawy i napitków. O jedenastej, kiedy robi się luźniej i w barze zostają tylko stali bywalcy, Stoney zerka na mnie.

– Spokojnie – mówi. – Zaczynasz mnie przerażać.

– Naprawdę bardzo przepraszam.

– Kiepska z ciebie pracownica.

– Nie jestem za to taka zła, jeśli chodzi o odnajdywanie zaginionych osób.

– Angeliq̃ue Badeau wraca do domu?

– Mądrała. Może jutro.

Stoney spogląda na mnie.

– Może – powtarzam z naciskiem. – Pracując tutaj, musiałeś widzieć sporo fałszywych dowodów tożsamości – zagajam po chwili.

– Zdarzało się.

– I co myślisz?

– O czym?

– O rynku, jakości i tak dalej.

Stoney wzrusza ramionami i zbiera brudne szklanki.

– Nie mam wyrobionej opinii. Jeśli zobaczę u kogoś podróbkę, zatrzymuję ją, zgodnie z prawem. Poza tym nie interesuje mnie podawanie alkoholu dzieciakom. Choć nasza klientela nie składa się raczej ze studentów. Generalnie nie widzę problemu. Jeśli można zginąć dla kraju w wieku osiemnastu lat, dlaczego nie można napić się piwa?

– Przystępstwo o niewielkiej szkodliwości?

– Jest wiele ważniejszych rzeczy, którymi warto się przejmować.

– A jeśli chodzi nie tylko o picie w lokalu? Fałszywy dowód tożsamości daje dostęp do najróżniejszych rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Na przykład do własnego telefonu komórkowego, chociaż nie masz osiemnastu lat.

– Możesz też kupić „telefon po godzinach” – mówi.

– Słyszałeś o nich?

– Wszyscy o nich słyszeli.

Krzywię się.

– W takim razie zostaje nam... – Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Kończąc osiemnasty lub dwudziesty pierwszy rok życia, uzyskujesz prawo głosu, możliwość wstąpienia do wojska... oraz dostęp do bostońskiego życia nocnego. – Ilu dzieciaków marzy twoim zdaniem o fałszywym dowodzie? – pytam, zmieniając temat.

– Sporo. Boston jest miastem uniwersyteckim. Większość studentów pierwszego roku chce pić i imprezować. A właściciele barów, tacy jak ja, traktują legitymowanie bardzo serio, bo w razie wpadki grozi im utrata licencji. Wiesz, ile kosztuje licencja na alkohol?

– Małą fortunę?

– Dużą fortunę. Wystarczająco dużą, żeby większość lokali przestrzegała przepisów.

– Czyli zapotrzebowanie na fałszywe dowody jest całkiem spore. Można na tym zarobić.

Stoney po raz kolejny wzrusza ramionami.

– Skoro ktoś zajmuje się fałszerstwami, dlaczego nie drukować po prostu pieniędzy?

– Okazuje się, że to naprawdę trudne.

– Nie mów. Więc może zacząć fałszować akcje, obligacje albo asygnaty na pewien konkretny tutejszy stary bar?

Rozumiem, do czego zmierza.

– Pewnie to możliwe. Nie wiem.

– Zielone karty – odzywa się ktoś w drugim końcu baru. Michael Duarde. Obsługiwałam go już kilka razy, ale to jest nasza pierwsza rozmowa. Ma akcent zdecydowanie nie stąd, ale trudno byłoby mi wskazać kraj. Sprawy nie ułatwia fakt, że lekko przeciąga sylaby. – Chcicie coś podrobić, podróbcie jebane zielone karty. Albo wizy pracownicze. To coś, czego wszyscy chcą.

Michael podnosi szklanę i pociąga długi łyk piwa. Stoney i ja obserwujemy go.

– Ma pan status osoby tymczasowo chronionej? – pytam.

Po trzęsieniu ziemi przyznano go większości haitańskich imigrantów, takich jak Angelique i jej brat.

– Ja nie. Ale wielu innych.

– Można podrobić wizę? – pytam Stoneya, autentycznie zaciekawiona, bo ten podpity facet poruszył ważną kwestię.

– Można podrobić paszport? – odpowiada pytaniem Stoney.

– Trzeba mieć specjalistyczną wiedzę.

– No właśnie.

– To trudniejsze niż podrobienie studolarówki?

– Nie na moją głowę.

Ma rację. Myślę o tym, co powiedział Lotham, podwożąc mnie do baru. Nawet jeśli Angelique i Livia zarabiałły tysiące dolców na fałszowaniu dowodów tożsamości, to i tak jest to marna fucha w porównaniu z dochodami z narkotyków. Po co porywać dwie dziewczyny dla marnej fuchy?

Tymczasem fałszowanie zielonych kart albo wiz pracowniczych to już inna liga. I całkiem spora kasa. Tyle że jeśli ktoś nie potrafi umieścić hologramu na prawie jazdy ze stanu Massachusetts, to jak, u diabła, może sfałszować dokument o takich zabezpieczeniach, jakie ma amerykański paszport? Podrabianie wiz to szaleństwo w stylu komórek terrorystycznych. Albo wyższa szkoła jazdy w stylu drukowanych w Rosji banknotów.

Mam wrażenie, że wszystko sprowadza się do jednego kluczowego pytania: Angelique i Livia były zamieszane w coś nielegalnego, ale jak bardzo nielegalnego? Jaki rodzaj działalności przestępczej doprowadziły do porwania i przetrzymywania przez blisko rok dwóch nastolatków?

Rozważając różne możliwości, przygotowuję wszystko do zamknięcia baru. Zakręcam krany, sprzątam, odnoszę do kuchni ostatnie brudne talerze.

- Gdzie twój przystojniak? - pyta Viv, wychodząc w końcu z kuchni i wkładając płaszcz.

Moja komórka nie zadzwoniła. Nie chcę się przyznać, ile razy ją sprawdzałam.

- Pracuje - odpowiadam.

- Aha.

- To był długi dzień.

- Aha.

- Popatrz, czeka już na ciebie mąż.

- Aha.

- Przestań!

Na jej twarzy pojawia się w końcu uśmiech.

- Dziewczyno, powinnaś ustalić swoje priorytety. Nikt z nas nie żyje wiecznie. Wiesz chyba, o czym mówię?

- O moich jajeczkach, które usychają w jajnikach?

- Tym akurat się nie przejmuj. Mówię o zabawie. Słyszysz?

Viv ma sporo racji. Ale w niczym mi to nie pomaga, kiedy otwieram przed nią frontowe drzwi i potem je zamykam. Patrzę, jak mąż bierze ją pod rękę. Wyglądają uroczonie. Papużki nierozłączki. Viv po raz ostatni macha mi na pożegnanie, a ja robię, co mogę, żeby nie zwymiotować na ich widok.

Stoney zamyka kasę i przynosi mi moje napiwki. Powstrzymuję go dłonią.

- Codziennie podjadam w kuchni. Bardzo mi przykro.

- Nie tylko się spóźniasz, ale też podjadasz moje jedzenie?

- Braki w dyscyplinie nadrabiam wdziękiem osobistym - mówię.

Piorunuje mnie wzrokiem.

- Słuchaj, sama się przyznałam. I nie chcę napiwków. Jak na typowego pracownika to całkiem nieźle.

Stoney przyjmuje to chyba do wiadomości.

- Poza tym sprzątam po twojej zabójczej kocicy - dodaję.

- Piper jest wzorową pracownicą. Nie narzeka tyle co ty.

– Ja nie odgryzłam ostatnio nikomu palca u nogi.

Wzrusza ramionami. Najwyraźniej dla niego to żaden wyczyn.

– Sprowadzisz tę dziewczynę do domu? – pyta nagle.

– Do diabła, sprowadzę do domu obie: Angelique Badeau i Livię Samdi – odpowiadam z brawurą.

Stoney wręcza mi pięćdziesiąt dolarów napiwków, pieniądze, których boleśnie potrzebuję.

– Jeśli ci się uda, jesteśmy kwita.

– Kochasz tę społeczność, prawda?

– To mój dom.

– Ja nie mam domu, ale i tak wiem, o co ci chodzi.

Oboje kończymy pracę w milczeniu. Następnie Stoney schodzi ze sceny, a ja udaję się do mojego pokoju. Nie żartowałam, mówiąc Lothamowi, że to był długi dzień. Lepiej wcześniej położyć się spać.

Mimo to znowu sprawdzam telefon. Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych wiadomości. Jestem podminowana, nie dają mi spokoju niezakończone sprawy. Czego dowiedział się Lotham o drugim bracie Livii Samdi? Czy trafił na ślad rachunków bankowych Tamary Levesque? Nie cierpię nie wiedzieć, co jest grane.

Przemierzając tam i z powrotem moją kwaterę, czuję, jak rośnie we mnie niepokój, po skórze chodzą mi ciarki, swędzi mnie skóra głowy. Może powinnam jednak pójść na spotkanie AA. W takie noce jak ta najbardziej tego potrzebuję.

Niepotrzebna mi policyjna eskorta. Groziły mi gorsze rzeczy, odwiedzałam gorsze okolice. Mówiąc o tym wcześniej Lothamowi, wcale go nie okłamywałam. Dam sobie radę.

Odsuwam zasłonę i wyglądam na ulicę.

I wtedy go dostrzegam.

Stoi w świetle latarni, w miejscu, gdzie nie mogę go nie zauważyć. Bardzo wysoki, tyczkowaty, w czerwonym dresie, obwieszony złotymi łańcuchami. Włosy ma ściągnięte do tyłu i dobrze widać szczupłą twarz, która jest bezduszna i okrutna.

Wpatruje się prosto we mnie. Ja widzę jego. On widzi mnie.

Zasuвам zasłonę i opadam na łóżko.

Gdzie jest Piper? – myślę rozpaczliwie. Gdzie moja kocica obronna?

Ale kiedy zaglądam pod łóżko, Piper tam nie ma.

Staram się nie wpadać w panikę. Powtarzam sobie, że jestem silna i sprawna i bywałam już w gorszych tarapatach. A potem nerwowo odciągam zasuwkę, uchylam drzwi i biegnę na dół po kij bejsbolowy Stoneya. A skoro już tam jestem, sprawdzam frontowe drzwi – zamknięte. Potem boczne – to samo. Boczne są nieoznakowane, metalowe i solidne. Nikt ich nie sforsuje. Ale frontowe... Są z przyciemnionego szkła. Można je rozbić. Uruchomi się wtedy pewnie alarm, lecz nikt tutaj nie przejmie się hałasem. Zdeterminowany drapieżca wejdzie, wykona swoją robotę i wyjdzie.

Sprawdzam jeszcze raz zamki i wracam na górę, trzymając kij w sztywno wyprostowanych rękach.

Zaciągam z powrotem zasuwę, podchodzę ostrożnie do zasłony i odchylam ją. Facet retro nadal stoi na chodniku i nadal się na mnie gapi.

Powinłam zadzwonić do Lothama. I co mu powiem? Że zły brat Livii mnie obserwuje? Swoją drogą, dlaczego nie mam żadnych wiadomości od najlepszego bostońskiego detektywa? Na pewno czegoś się już dowiedział. Więc skąd ta radiowa cisza?

Mija pierwsza w nocy. Potem druga. Siedzę na łóżku twarzą do drzwi, trzymając kij na kolanach i komórkę tuż pod ręką.

W końcu zapadam w drzemkę. Śni mi się krew, Paul i krzyki tak pierwotne, że ciarki chodzą po grzbiecie. Długim tunelem ścigam Angélique Badeau i nie jestem w stanie jej dogonić. I nagle skręcam w kolejny korytarz i widzę faceta w dresie, który celuje do nas z pistoletu.

„Nie mogłem tego tak zostawić”, mówi i pociąga za spust.

Angélique krzyczy i pada na ziemię z krwawą dziurą w brzuchu. Facet pociąga za spust ponownie i teraz ja padam na ziemię z krwawą dziurą w brzuchu. Słyszę trzeci strzał i tuż obok pada Paul, krzycząc najgłośniej i krwawiąc najobficiej.

„Przepraszam”, jęcę.

„Ale to ty nas zabiłaś!” Teraz oboje są wściekli. Wszystko to moja wina, tyle rzeczy mogłam zrobić inaczej, mogłam zrobić lepiej. Spadam coraz niżej i niżej. W otchłań torturowanych dusz, wyciągniętych rąk i nieczystych sumień, głównie mojego własnego.

Cicho mrucząc, pojawia się kocica. Skacze w sam środek pobojuwiska i drapie pazurami. Czuję ból, zaskakująco ostry i otrzeźwiająco przenikliwy, i prostuję się na łóżku, przyciskając rękę do piersi. Dzwoni moja komórka.

Widzę siedzącą na kołdrze Piper, która pręży ogon i liże przednią prawą łapę. Na moim przedramieniu dostrzegam świeże zadrapania.

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Jest trzecia w nocy. Telefon nadal dzwoni. Odbieram.

Po długim oczekiwaniu słyszę głos Lothama.

– Mamy ciało – mówi.

I tak oto znowu nawaliłam.

Rozdział 29

LOTHAM SIADA W BOKSIE z tyłu sali. Ubrany we wczorajszy odlotowy strój, ma rozluźniony krawat i pogniecioną elegancką koszulę. Robi wrażenie rozbitego.

Nalewam mu gorącej kawy. Kiedy wpatruje się w nią martwym wzrokiem, idę za bar, biorę butelkę rumu i dolewam mu trochę do kubka. To, że jestem alkoholiczką, wcale nie znaczy, że inni ludzie nie mogą się napić.

Odstawiam butelkę i siadam naprzeciwko niego. Nadal mam na sobie o kilka numerów za duży T-shirt i męskie bokserki. Należały kiedyś do Paula, ale nie będziemy teraz o tym dyskutować.

– Mów – proszę.

– Co ci się stało w rękę?

Zerkam na zadrapania.

– To Piper.

– Próbowiałaś z nią spać na łyżeczkę czy coś w tym rodzaju?

– Coś w tym rodzaju. Mów.

Lotham pociąga łyk wzmocnionej rumem kawy. Trzęsie mu się ręka. Nie wiem, czy to zauważa, do momentu, gdy próbuje odstawić kubek i rozlewa trochę kawy.

– Przepraszam.

Czekam.

– Nie miałem nawet pojęcia o jej istnieniu – mamrocze w końcu. – Piętnastoletnia dziewczyna. Dopiero kilka dni temu zorientowaliśmy się, że zaginęła.

W ten sposób dowiaduję się, że mówimy o Livii Samdi, a nie o Angelique Badeau.

– Gdzie znaleźliście ciało?

– W parku Franklina. Leżało za drzewem.

Przygryzam wargę.

– Ostro.

– Była całkowicie ubrana – mówi.

Rozumiem. Czasami jest inaczej.

– Przyczyna śmierci?

– Zasinienia na szyi. Wybroczyny w gałkach ocznych.

– Uduszenie.

– Park jest miejscem, gdzie podrzucano zwłoki. Kryminolodzy będą musieli odprawić trochę swoich czarów, żeby sprawdzić, czy możemy określić, gdzie dokładnie zginęła. Jakiś bezdomny zatrzymał radiowóz. Biedak szukał miejsca, żeby się przespać, i wtedy znalazł ciało.

Kiwam głową.

– Na podstawie wstępnych oględzin – kontynuuje Lotham – wiemy, że Livia nie mieszkała na ulicy. Była na to zbyt czysta. Ubrana zwyczajnie: w dżinsy, koszulkę Patriots, sportowe buty. Żaden z ciuchów nie był fabrycznie nowy, ale też i niezbyt znoszony. Była uderzająco chuda, paznokcie u rąk obgryzione do żywego mięsa, tylne trzonowce starte wskutek ciągłego zgrzytania. Według lekarza sądowego ewidentne oznaki stresu, choć nie mamy raczej śladów molestowania. Żadnych sińców, świeżych skaleczeń, gojących się złamań, tego rodzaju rzeczy. Biorąc pod uwagę całą sytuację, wyglądała nie najgorzej. To znaczy z wyjątkiem szyi. – Wypuszcza z płuc powietrze i upija łyk kawy.

– Coś wiadomo o Angelique? – pytam.

– Bezdomny nikogo nie widział. Nadal sprawdzamy zapisy z monitoringu, ale ta część parku leży z dala od utartych szlaków. Powiedziałbym, że ten, kto wyrzucił tam ciało, znał się na rzeczy.

To takie smutne określenie. Wyrzucił ciało. Jakby chodziło o jakies odpady, zbędne przedmioty, a nie o kilkunastoletnią dziewczynę.

– Rodzina Livii? – pytam.

– Osobiście do nich pojechałem. Matka w ogóle nie była zaskoczona. Totalny spokój... rodzic, który od początku spodziewa się najgorszego i teraz może wreszcie przestać się martwić.

– Wiem, jak to jest.

– Był tam J.J.

– Johnson – mówię, sama nie wiem dlaczego.

– Z nich dwojga to on okazywał więcej emocji. Pierwsza reakcja: zaskoczenie. Potem gniew i walenie pięściami w ścianę.

– Nie podejrzewał, że siostra może nie żyć? – pytam po chwili.

– Nie. Wpadł w szal. Cokolwiek działo się w tej rodzinie, jestem gotów się założyć, że Johnson nie chciał, żeby siostrze stała się krzywda. Jeśli w ogóle wiedział, co się z nią dzieje.

– Zapytałeś o starszego brata?

– Znam się na swojej robocie – odpowiada ostro Lotham.

Miał ciężką noc, więc puszczam to mimo uszu. Wypija kolejny łyk kawy.

– Kurwa – rzuca w końcu.

Zgadzam się z nim w całej rozciągłości, więc nic nie mówię.

– Zanim zapytałem o starszego brata, J.J. gdzieś się zmył. Myślałem, że jeśli zostanę sam na sam z matką, ta bardziej się przede mną otworzy, ale tak się nie stało. Gdyby nie zaciągała się szaleńczo każdym papierosem, nie uwierzyłbym nawet, że tam ze mną siedzi. Odwiedzę ją jeszcze później, ale zważywszy, jak bardzo kocha policję...

Lotham nie prosi, żebym wzięła udział w śledztwie. Będąc rasowym policjantem, nigdy nie poprosi cywila, żeby się w nie zaangażował, a tym bardziej, żeby wrócił tam, gdzie do niego niedawno strzelano. Mimo to czuję, że to na mnie spadnie. Pani Samdi nie gada z glinami. To oznacza, że jeśli chcemy się czegoś dowiedzieć o tajemniczym drugim bracie Livii...

– A czerwona bejsbolówka? – pytam.

– Nie było jej przy zwłokach.

Innymi słowy, nadal nosi ją Angelique.

– Coś się zmieniło – mruczę.

– Nie mów.

– Serio. Angeliqne zniknęła przed jedenastoma miesiącami. Livia trzy miesiące później. Ale dopiero kilka tygodni temu Angeliqne ponownie pokazała się na mieście. Żeby wysłać zaszyfrowaną wiadomość bratu. Upuścić na ulicy swój fałszywy dowód tożsamości. Dziewczyny były najwyraźniej utrzymywane przy życiu z jakiegoś powodu. Na przykład żeby produkować całkiem przyzwoite podróbki praw jazdy – mówię, choć właściwie, słuchając sama siebie, dochodzę do wniosku, że to dość wątpliwy scenariusz.

Jakiego rodzaju organizacja przestępcza porywa dwie dziewczyny i przetrzymuje je wbrew ich woli, żeby produkowały średniej jakości fałszywe dokumenty? Nie rozumiem tego.

– Tak czy inaczej, sytuacja najwyraźniej zmieniła się na gorsze – kontynuuję. – Oznaki silnego stresu u Livii. Rozpaczliwe próby Angeliqne. No a teraz zabójstwo Livii. Moim zdaniem, bez względu na to, jakiemu celowi służyło przetrzymywanie tych dziewczyn... przestały być użyteczne. I obie zdawały sobie z tego sprawę – kończę drżącym głosem.

Czy Angeliqne nadal żyje? Czy też znalezienie jej ciała jest tylko kwestią czasu? A jeśli nadal żyje, to przez co, dobry Boże, musi przechodzić? Po tym wszystkim, co zrobiła, by pomóc przyjacielce.

Gdzie te dziewczyny były przetrzymywane? Co się z nimi, do diabła, działo w minionym roku?

I dlaczego, kurwa, nie zdołaliśmy odnaleźć Livii na czas?

Lotham wypija pół kubka wzmocnionej rumem kawy. Jego ponura mina odzwierciedla moje mroczne myśli.

– Udało ci się namierzyć alter ego Angeliqne, Tamarę Levesque? – pytam, próbując zachować jakieś pozory profesjonalizmu. – Czy jest właścicielką rachunku bankowego?

– Tak, udało mi się ją namierzyć. Nie, nie jest właścicielką rachunku, na którym gromadzone są zyski z działalności przestępczej. Odkryłem za to, że jest studentką. A konkretnie, studiuje w Gleeson College.

– Serio?

– Czy ja wyglądam na faceta z poczuciem humoru?

Jestem bliska tego, by przynieść więcej rumu, tym razem dla nas obojga. Zamiast tego masuję wściekle skronie.

– Czyli Angelique użyła swojej fałszywej tożsamości, żeby zapisać się na studia? Kiedy ta cała historia nabierze jakiegoś cholernego sensu? – mruczę, jakby sama do siebie. – Czy to szkoła medyczna?

– Nie. Jakaś mała uczelnia humanistyczna w zachodniej części stanu. Postaram się o niej dowiedzieć czegoś więcej. Wiesz, ile mamy szkół wyższych w Massachusetts?

– Dużo?

– Setki.

Kiwam głową, jakby to wszystko miało jakiś sens.

– Pytałam dziś wieczorem Stoneya o fałszywe dowody tożsamości. Zapewnił mnie, że są sprzedawane na czarnym rynku. Ale nie sądzi, żeby zyski z tej działalności dało się porównać z tymi, które osiąga się z handlu narkotykami.

– Ma chyba rację.

– Mimo to mamy dowody, że dwie dziewczyny mogły być zamieszane w fałszowanie dokumentów i co najmniej jedna z nich została w związku z tym zamordowana. Dlaczego takie fałszerstwa są czymś, za co warto zabić? Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że podróbki nie były najwyższej jakości.

– Nie mam pojęcia.

– Wiesz, co jest bezcenne i za co warto byłoby zabić? Zielone karty. Albo wizy pracownicze. Zasugerował to facet siedzący przy barze. Mamy tu tysiące imigrantów, których tymczasowy status wkrótce wygaśnie. Wszyscy zapuścili tutaj korzenie i żaden nie chce wrócić do kraju. To sprawia, że za sfalszowaną wizę są gotowi zapłacić małą fortunę.

– To niewykonalne – odpowiada Lotham. – Z całą pewnością nie przez dwie nastolatki. Równie dobrze moglibyśmy wrócić do scenariusza z fałszowaniem pieniędzy. Skala trudności jest mniej więcej podobna.

– Nie ma czegoś pomiędzy? Bardziej lukratywnego od fałszywych praw jazdy? Mniej skomplikowanego od wiz?

– Tak prosto z głowy... – Lotham zamyka oczy i przez chwilę siedzi bez ruchu, zastanawiając się, regenerując siły, cokolwiek. – Fałszywe karty kredytowe – mówi w końcu. – Ale tu mamy do czynienia z kradzieżą tożsamości, co jest zupełnie inną bajką. I nie bardzo widzę, po co ktoś miałby porywać w tym celu dwie dziewczyny. W Bostonie jest kilka rosyjskich gangów, które z tego słyną. Mają rekrutów, którzy krążą po ulicach i kafejkach internetowych ze specjalnymi czytnikami, by ściągać dane finansowe prosto z czyjegós portfela. Później te dane wpisuje się do sklonowanej karty. Ale przy tego rodzaju operacjach porywanie kogoś przysparza więcej kłopotów, niż przynosi korzyści.

Rozumiem, o co mu chodzi. Niestety, nie rozjaśnia to w niczym całej sytuacji.

– Angelique i Livia zostały porwane z jakiegoś powodu – zaczynam od początku. – Najpierw Angelique, którą najprawdopodobniej uwięziono, żeby zmusić Livię, która była ich pierwotnym celem, do robienia tego, czego od niej chcieli. Ma to chyba coś wspólnego z projektowaniem komputerowym, drukiem trójwymiarowym, produkcją części... no nie wiem. Jednak po jakimś czasie Livia również znika. Załóżmy roboczo, że doszło do tego, ponieważ cała operacja bardzo się rozrosła i potrzebowali ich obu na miejscu albo chcieli w większym stopniu kontrolować Livię. I teraz obie dziewczyny są uwięzione, ale żywe. Mają dach nad głową, jedzenie i ubranie. Angelique boi się uciec albo skontaktować z rodziną, bo wtedy porywacze skrzywdzą Livię. I vice versa. Obie dziewczyny pracują. Robią coś ważnego, bo w przeciwnym razie po co by je w ogóle trzymać? Może to się zaczęło od fałszowania praw jazdy, przy którym ujawniły się umiejętności Livii. Ale musiało się zmienić w coś, co daje większe profity, inaczej nie trzymaliby dwóch porwanych dziewczyn prawie przez rok. Nie mówiąc o tym, że potrzebne jest do tego miejsce, dla nich i dla paru facetów w roli strażników... Niekoniecznie wielki magazyn, ale jednak jakaś przestrzeń.

Lotham kiwa głową.

– Dziewczyny pracowały przy tym czymś przez jedenaście miesięcy. Sytuacja stała się niesamowicie trudna i stresująca. Livia zaczęła się łamać, a Angelique była do tego stopnia zdesperowana, że postanowiła nawiązać kontakt, zostawiając tropy. Tyle że to nie wystarczyło. Spełniły się jej najgorsze obawy. Livię zabito... – Milknę na chwilę. – To oznacza – dodaję – że niezależnie od tego, na czym polegał cały projekt, dobiega on końca. Porywacze nie potrzebowali już Livii. I nie potrzebują Angelique.

Lotham nie kwestionuje mojego scenariusza.

– Tyle że to są nadal pytania, a my potrzebujemy odpowiedzi – mówi. – Prawie rok później wciąż nie wiemy, kto, co i gdzie. Jedyne trop prowadzą nas do mitycznego, budzącego przerażenie starszego brata Livii.

– Widziałam go znów dziś w nocy.

– Kogo?

– Naszego tajemniczego brata. Stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko baru. Kiedy odsunęłam zasłony w pokoju, gapił się prosto na mnie.

– Niech to szlag! – Lotham wali kubkiem w blat stołu. – Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

Wzruszam ramionami.

– I co miałam powiedzieć? Że tam stoi? Tyle że... skoro stał przed barem, to chyba nie on zabił Livię. Prawda?

– Nie wyciągałbym pochopnych wniosków. Nie wiemy dokładnie, kiedy zginęła. To oznacza, że mógł zabić Livię, a potem przyjść tutaj, żeby monitorować twoje działania. Szlag! Wszystko w tej sprawie jest pojebane. Szlag! Szlag! Szlag!

– Musisz się trochę przespać. Oboje musimy się trochę przespać.

– Bo jutro rano wszystko będzie wyglądało lepiej? Już jest rano i ta biedna dziewczyna nie żyje!

Nic nie mówię, tylko biorę go za rękę. Czuję jego gniew, jego frustrację. Sama też je przeżywałam. Czternaście razy. I nigdy nie jest łatwiej.

– Angelique nadal żyje – zauważam.

– Być może.

– Potrzebuję nas. Cokolwiek się teraz dzieje... dzieje się szybko. Musimy to rozwikłać. I rozwikłaliśmy. Ale nie w ten sposób. Kiedy ostatnio spałeś?

Lotham nie odpowiada. Z moich obliczeń wynika, że dobre kilka dni temu. I zmęczenie najwyraźniej go wykańcza.

– Chodź. Zabieram cię na górę. Zdrzemniesz się godzinę albo dwie. A potem znów się nad tym zastanowimy. Kiedy oboje będziemy trochę mniej skołowani.

Lotham patrzy na mnie spode łba, ale nie protestuje, gdy biorę go za rękę i prowadzę na górę. W głowie mam mętlik. Straszliwy żal z powodu śmierci dziewczyny, której nigdy nie poznałam i której nie udało mi się uratować. Coraz większa desperacja, bo wciąż jest mnóstwo pytań, a my nie mamy prawie żadnych odpowiedzi. Coraz większa obawa, bo zegar tyka, teraz nieubłaganie, i jeśli tego nie rozwikłamy...

Pomóżcie nam, napisała Angelique.

A my im nie pomogliśmy.

Prowadzę Lothama do łóżka, a on siada na skraju materaca, wyjmując broń z kabury i kładzie ją na szafce nocnej, razem ze swoją złotą odznaką. Kiedy go rozbieram, zostawiając tylko T-shirt i bokserki, porusza się na autopilocie; opadają mu powieki i leje się przez ręce. Ma szeroką, umięśnioną klatkę piersiową. Nie dotykam palcami jego obojczyka. Nie wodzę wargami po zagłębieniu szyi.

Zamiast tego podnoszę jego nogi i kładę je na łóżku.

– Dobranoc, detektywie.

– Kim jest Paul?

– Nie powiedziałam „Paul”.

– Owszem, powiedziałaś.

– Dobranoc, detektywie.

Kładę go do łóżka i obejmuję wargę przy oknie, uchylając zasłonę na tyle, bym mogła zza niej zerknąć. Nie gapi się jednak na mnie żaden obwieszony złotymi łańcuchami gangster.

– Poznam twoje sekrety – mruczy mój gość.

– Óóó...

Czekam, aż zaśnie, a potem opieram czoło o zimną szybę okna i myślę o Livii Samdi, o Angelique Badeau i o tym, jak to jest być nastolatką. O błędach, jakie wszyscy popełniamy. A także o chwilach, których nie da się cofnąć.

I teraz wymawiam jego imię.

– Paul.

Czuję zapach krwi i ból, któremu się poddaję – to cena za wszystkie moje grzechy.

– Przepraszam – szepczę.

Ale nie mówię już do Paula. Zwracam się do Livii Samdi i wszystkich dziewczyn takich jak ona.

A potem modlę się, tak żarliwie jak nigdy, za Angelique Badeau. Za to, żeby wciąż jeszcze gdzieś była, cała i żywa.

Żeby, błagam, błagam, błagam, wróciła do domu.

Rozdział 30

NIE ŚPIĘ. MYŚLI ZA BARDZO WIRUJĄ mi w głowie. Piąta rano. Lotham niespokojnie rzuca się na łóżku, więc poddaję się i na palcach wychodzę z pokoju. Stoney ma w kantorku przedpotopowy stacjonarny komputer. Odpalam go, mając nadzieję, że czegoś się dowiem.

Czekając, aż się włączy, robię sobie dzbanek kawy. A potem siadam i zabieram się do pracy.

Najpierw wpisuję w Google'a imię i nazwisko *Tamara Levesque*. To musi chyba coś znaczyć. Ale skąd te studia na zachodzie Massachusetts? Emmanuel mówił, że jego siostra nie snuje marzeń, tylko wypełnia swoją misję, według planu. Co próbowała nam przekazać? Co powinniśmy wiedzieć?

Mam cztery trafienia. Trzy dotyczą kobiet, które nazywają się Tamara Levesque, ale mieszkają w innych stanach. Czwarte to link do profilu na Instagramie.

Znam się dość niezłe na mediach społecznościowych: w dzisiejszych czasach nie da się szukać zaginionych osób, nie śledząc ich cyfrowych śladów. Loguję się, szukam Tamary Levesque i natychmiast wyskakuje strona Gleeson College. Odkrywam kilkadziesiąt zdjęć kampusu ze starymi ceglanyymi budynkami i pasmem zielonych wzgórz w tle. Studenci siedzą roześmiani na błoniach albo uśmiechają się w salach zajęć. Nie od razu spostrzegam wśród nich Tamarę. Stoi w laboratorium, z twarzą częściowo zasłoniętą goglami, i podgrzewa kolbę na palniku Bunsena. Czarne włosy ma ściągnięte ciasno do tyłu, jak Tamara Levesque na fotografii z prawa jazdy – a nie rozpuszczone, jak Angeliqne na zdjęciu z plakatu. Ale to ta sama dziewczyna.

Co wprawia mnie w jeszcze większą konsternację. Angeliqne posłużyła się fałszywą tożsamością, żeby zapisać się na studia? To w ogóle nie ma

sensu. Co ona chce, żebym tu zobaczyła? Co próbuje nam przekazać?

Gleeson College określa się jako mała uczelnia humanistyczna. Znajduje się u stóp wzgórz Berkshires, w mieście, o którym nigdy nie słyszałam. Proponuje kursy online, a także tradycyjną edukację na miejscu. Przeglądam zdjęcia roześmianych studentów, jedno po drugim, a potem czytam list od rektora – poważnie wyglądającego białego faceta w okularach z grubą oprawką, w szarym trzyczęściowym garniturze. Nie wiedziałam, że ludzie noszą jeszcze trzyczęściowe garnitury.

Sprawdzam dokładnie każdą fotografię, po czym wracam do całej kolekcji. Generalnie Gleeson College robi wrażenie typowej uczelni w Nowej Anglii, choć kampus mają wyjątkowo piękny.

Dopiero przeglądając fotografie po raz piąty lub szósty, dostrzegam Livię Samdi. Stoi ledwie widoczna, daleko w głębi sali. Ale to Livia, jestem tego pewna.

Ona i Angélique uciekły, żeby wstąpić na uniwersytet? Niemożliwe. Nie wierzę w to ani przez moment. Więc co tu się, do diabła, dzieje?

Odchylam się do tyłu, jeszcze bardziej zdezorientowana niż wcześniej.

Po kolejnej minucie rozszerzam swoje poszukiwania w Google'u o Gleeson College, ale na ich stronie widzę te same zdjęcia co na Instagramie. Znajduję zakładkę, gdzie mogę poprosić o dodatkowe informacje, i wpisuję tam swój adres mailowy, mając nadzieję, że szybko odpowiedzą.

A potem wstaję i kilka razy przemierzam tam i z powrotem cały bar.

Ostatecznie przychodzi mi do głowy tylko jedno, co powinnam zrobić. Muszę porozmawiać z mamą Livii, Roseline Samdi. Najlepiej bez narażania się na wrogi ostrzał, co łatwiej powiedzieć, niż wykonać.

Chodzę dalej tam i z powrotem, aż w końcu wpadam na jakiś pomysł. Biegnę na górę i zabieram kurtkę i telefon. Lotham cicho pochrapuje i ten dźwięk w dziwny sposób klóci się z grymasem głębokiego niezadowolenia na jego twarzy. Nie sądzę, by miał miłe sny. To kolejna rzecz, która nas łączy.

Wracam na dół, sprawdzam kieszenie kurtki i po chwili znajduję to, czego szukam: listę telefonów z pierwszego spotkania AA. Jest na niej

również numer Charliego. Szósta rano to zdecydowanie wczesna pora dla większości nocnych marków, ale Charlie odbiera prawie natychmiast.

– Kto mówi?

– Frankie Elkin.

– Wszystko u ciebie w porządku, Frankie?

– Nie mam zamiaru się napić, jeśli o to się martwisz. Ale mógłbyś mi pomóc w inny sposób.

Mówię mu o odnalezieniu ciała Livii Samdi i o tym, że podobno miała starszego brata.

– Nie znam wystarczająco dobrze tej rodziny, żeby wiedzieć coś na ten temat – odpowiada Charlie.

– Rozumiem. Chciałabym się spotkać z Roseline. Niestety, kiedy ostatnio u niej byłam... Powiedzmy, że nie chcę, żeby nafaszerowali mi głowę ołowiem.

– I czego ode mnie oczekujesz?

– Może ty mógłbyś się z nią skontaktować? Jak anonimowy alkoholik z anonimową alkoholiczką? Umówić się z nią gdzieś poza jej domem. Na przykład w tej małej knajpce, do której mnie zabrałeś. Muszę się z nią spotkać na neutralnym terenie.

– Nie wiem, czy się zgodzi.

– Ale możesz spróbować. Powiedz jej, że masz pewne informacje. Na temat jej córki. Przeznaczone tylko dla jej uszu. To zresztą prawda. Mam informacje przeznaczone tylko dla niej.

Charlie przez długi czas milczy.

– Postaram się – mówi w końcu. – Ale nic nie obiecuję.

– Dziękuję, Charlie. Chodzi o to... Muszę z nią porozmawiać jak najszybciej. Stawką jest życie Angelique Badeau.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem? Większość ludzi nie lubi kłopotów. Zwłaszcza jeśli przybierają formę białej kobiety wtryniającej się tam, gdzie nikt jej nie chce i nie jest mile widziana.

– To historia mojego życia, wielkoludzie. Chcę sprowadzić Angelique do domu – dodaję ciszej. – Chcę to załatwić tak jak trzeba. Muszę to

załatwić tak jak trzeba.

– Boże, daj mi pogodę ducha, abym godził się z tym, czego zmienić nie mogę... – intonuje Charlie.

– Wiem.

– Zobaczą, co da się zrobić. Ale obawiam się, że ta rodzina nie wstaje przed południem, więc musisz poczekać parę godzin.

– Dziękuję, Charlie.

Rozłączam się. Skoro sprawa rozstrzygnie się dopiero po południu, mam całych sześć godzin, żeby czymś się zająć. Czas na kolejną logiczną analizę faktów? Zastanawiam się nad tym, wchodząc na górę. Otwieram drzwi i staję jak wryta.

Lotham ma otwarte oczy i jest w pełnym pogotowiu, ale w ogóle się nie porusza. Może dlatego, że Piper też nie śpi i siedząc na łóżku, wbija w niego mordercze spojrzenie.

– Ratuj! – rzuca Lotham, kiedy wchodzi do środka.

– Wielki zły bokser boi się małej kiciuni?

– Ratuj! – powtarza.

Ale ja nie podchodzę bliżej. Nadal mam krew na ramieniu po ostatniej potyczce.

– Sprawdziłam stronę Gleeson College – mówię. – Na jednej z ich fotografii widać w tle Livię Samdi. Nie mam wątpliwości.

– Co takiego?

Lotham jest tak zaskoczony, że obraca się w moją stronę. Piper wydaje groźny pomruk. Detektyw z powrotem zastyga w bezruchu. Podoba mi się nawet ta zabawa. I widok jest całkiem przedni. Lotham w obcisłym podkoszulku jest cholernie przystojny.

– Zaczekaj. Znajdę coś, żeby odwrócić jej uwagę. Zaraz wracam.

– Zostawiasz mnie z nią samego?

– Masz pistolet.

– Nie będę strzelał do kotki!

– To dobrze. Bo jestem pewna, że wywinęłaby numer ze *Smętarza dla zwierzaków* i wróciła w jeszcze straszniejszej postaci.

Pędzę na dół i znajduję w lodówce Viv mały pojemnik z napisem *Piper*. Kładę na talerzyk kilka kawałków czegoś, co mocno śmierdzi, i niosę na górę. Piper nadal pilnuje Lothama, a on nadal boi się poruszyć.

Stawiam talerzyk na podłodze. Mija kilka minut. W końcu Piper, po raz ostatni przęając ogon, zeskakuje z gracją z łóżka i podchodzi do mojej gałazki oliwnej. Zerka na mnie z ukosa, po czym w jednej chwili połyka kawałki wątróbki drobiowej i wycofuje się pod łóżko.

– Możesz teraz bezpiecznie przemieścić się w stronę kabiny prysznicowej – informuję Lothama. – Nie stawiaj tylko stóp zbyt blisko materaca. Ona lubi poharatać pięty.

– Cudownie. – Lotham siada na łóżku lekko zdezorientowany, nie wiadomo, czy z powodu zbyt długich godzin pracy, zbyt krótkiego snu, czy brutalnej pobudki. – Muszę wracać do komisariatu – oznajmia.

To logiczne. Podchodzę do skraju łóżka i wskakuję na nie, nim dosięgną mnie zabójcze pazury. Siadam po turecku i przyglądam się swojej wieczornej zdobyczy. Lubię detektywa. On chyba też mnie lubi. Jednak nadal nie wiem, czy powinnam mu powiedzieć o moich planach dotyczących Roseline Samdi. Doświadczenie mówi mi, że faceci, zwłaszcza stróże prawa, bywają nadopiekuńczy. A ja robię się wtedy przekorna, jeśli nie wprost zbuntowana.

Powinnam się uczyć na własnych błędach, ale to następna z tych rzeczy, które łatwiej powiedzieć, niż wykonać.

– Kim jest Paul? – pyta Lotham.

– Nie musisz się zająć śledztwem w sprawie zabójstwa?

– Mam kilka wolnych minut.

– To za mało. Ta historia zajęłaby nam co najmniej pół godziny.

– Były kochanek, chłopak, mąż?

– Nigdy nie wyszłam za mąż.

Lotham kiwa głową; to już jakiś konkret.

– Jak długo byliście ze sobą?

– Dziewięć miesięcy. A może rok. Zależy, jak liczyć.

- Chodzi o słynne: „Nie możemy nawet uzgodnić, kiedy mieliśmy pierwszą randkę”?

- Coś w tym rodzaju. Poznaliśmy się przed dwunastu laty. Pomógł mi zachować trzeźwość za pierwszym razem. Uwierzył we mnie, kiedy potrzebowałam kogoś, kto miałby więcej wiary i wytrwałości ode mnie.

- A teraz?

- Okazało się, że „normalne” życie jest nie dla mnie. Nie mówiąc już o tym, że nie akceptował mojego nowego hobby. Uważał, że jestem obsesyjna i autodestrukcyjna i zastępuję jedno uzależnienie drugim. To się zdarza.

- Był alkoholikiem?

- Nie. Po prostu facetem z kompleksem zbawcy.

- Pomógł ci wytrzeźwieć...

- To ja sama wytrzeźwiałam, dziękuję bardzo.

- Masz rację. Ale poznaliście się bliżej. Najpierw ci pomagał, a potem to się rozwinęło. Aż do chwili, gdy postanowiłaś zabawić się w detektywa.

- Chcesz zginąć dziś rano?

- Miałem ciężką noc.

- Ja też, chłopie. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, zadawaj uczciwe pytania.

Lotham przez chwilę milczy. Zaczyna szybciej oddychać. Ja też.

- Gdzie jest teraz Paul?

- Rozstaliśmy się dziesięć lat temu.

- Nadal jesteście w kontakcie?

- Wybieram czasami jego numer.

- A on odbiera telefon?

- Nie. Robi to wdowa po nim.

Lotham milczy. Ja też.

- Przepraszam – mówi w końcu.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Ale...

– Jak już powiedziałam, masz na głowie śledztwo w sprawie zabójstwa. A ja też mam coś do załatwienia.

– Pracujesz tu dzisiaj?

– Zaczynam zmianę o trzeciej.

– A do tego czasu?

– Nie martw się. Postaram się, żeby nikt mnie nie postrzelił. I żeby nie dopadł mnie żaden gangster.

– Zginęła dziewczyna. Sytuacja robi się poważna.

– Wiem.

– Jesteś cywilem.

– Zejdź z mojego łóżka, detektywie. Pysznic jest tuż obok, jeśli jesteś zainteresowany. Zjeść możesz coś na ulicy. Co do mnie, nie potrzebuję niańki. Muszę się zająć własnym życiem.

– Czy to dlatego, że Paul nie żyje? – pyta trochę ciszej Lotham, autentycznie zadowolony. – I teraz nie możesz już nikomu zaufać?

Pochyliam się lekko do przodu.

– A może Paul zginął, bo nie mogę już nikomu zaufać.

Wstaję z łóżka, odwracam się plecami do detektywa i zdejmuję ubranie. Jeśli chce patrzeć, to jego problem. Ja mam robotę do wykonania.

Wkładam dzinsy i znajduję świeży T-shirt. A ponieważ wszechświat ma specyficzne poczucie humoru, jest to spłowieły czerwony podkoszulek z obrazkiem szczęśliwego obozowicza, stojącego przy starym volkswagenie „ogórku” na tle odległych gór. *Życie jest piękne*, głosi napis. Paul dał mi ten T-shirt, by uczcić trzy miesiące mojej trzeźwości, kiedy oficjalnie zainaugurowaliśmy nasz związek, jadąc na kemping. Wysłużona bawełna delikatnie pieści moją skórę.

Nie patrząc na Lothama, wkładam buty i ruszam w stronę drzwi. Nie prosi, żebym została. I to mnie cieszy, kiedy zbiegam po schodach i wychodzę w jasne światło dnia.

Słońce nadal świeci. Świat się kręci.

A Angélique Badeau nadal jest zaginiona.

Zabieram się do pracy.

Rozdział 31

IDĘ DO PARKU FRANKLINA. Szybciej byłoby pojechać autobusem, ale po nocnych przygodach potrzebuję trochę wysiłku fizycznego, żeby uspokoić wzburzony umysł. Park jest na mapie, którą narysowała mi przed kilkoma dniami Charadee z Dunkin' Donuts – wielka zielona plama tuż za centrum rekreacyjnym. Centrum też jest moim celem, lecz wątpię, by Frédéric pojawił się tam tak wcześnie. I może jestem po prostu w takim nastroju, a może to kolejna oznaka mojej obsesji, ale chcę zobaczyć miejsce, w którym odnaleziono ciało Livii.

Zgadzam się z tym, co powiedział w nocy Lotham. Jaka to straszna rzecz stracić dziecko, o którym prawie nikt na świecie nie wie, że zaginęło. Czy właśnie dlatego to robię? Bo nie mogę znieść myśli, że czyjeś życie nie ma znaczenia? Że jakieś dziecko zostało zapomniane? Ktoś utonął, nie zmąciwszy nawet wody na powierzchni?

Nie wiem. Bezbronność Livii Samdi i Angeliqve Badeau mocno mnie porusza. W końcu moje własne więzi z tym światem są w najlepszym razie nietrwałe. Gdyby któraś z tych spraw przybrała zły obrót, gdyby dosięgła mnie kula... nie wiem nawet, czy wyprawiono by mi pogrzeb. Może po prostu bym zniknęła. Co jest jednocześnie przerażające i krzepiące.

Idę dłużej, niż się spodziewałam. Solidna godzina drogi szeroką aleją. Ale pogoda jest przyjemna, wysiłek fizyczny mnie odświeża i rozjaśnia umysł. Cieszę się, że wybrałam się tam pieszo.

Najpierw dochodzę do zoo. Małego, ale uroczonego, klasycznego miejskiego zwierzyńca. O tej wczesnej porze jest jeszcze zamknięty, ale dostrzegam kilka kobiet z dziećmi, spacerujących wzdłuż ogrodzenia. Na pewno wstały z samego rana i rozpaczliwie pragną jakiejś rozrywki.

Wybieram pierwszą lepszą ścieżkę i ruszam nią, choć biorąc pod uwagę pokaźne rozmiary parku, krążenie po nim bez celu nie jest chyba

najlepszą strategią. Postanawiam trzymać się blisko głównej drogi, która wije się przez cały teren. Bawiłam się w to już wcześniej; smutna prawda jest taka, że ludzkich zwłok nie da się ciągnąć zbyt daleko. Dlatego odnajdywane są najczęściej w pobliżu jakiejś drogi.

I rzeczywiście, piętnaście minut później natrafiam na pierwszy zaparkowany przy drodze radiowóz, który ma zniechęcić gapiów. Dalej, przy kępie drzew, widzę między liśćmi odgradzającą miejsce zbrodni żółtą taśmę. To tutaj.

Skręcam w lewo i wchodzę na niewielkie wzniesienie. Mam stąd dobry widok na ogrodzony teren. Mundurowy chodzi tam i z powrotem wzdłuż taśmy. Biedak spędził tu zapewne większą część nocy i teraz robi wszystko, żeby nie zasnąć.

Nie widzę zbyt wiele. Kilka drzew, gęste zielone krzaki. Powinam zadać Lothamowi więcej pytań. Czy ciało było ułożone porządnie? Z rękami skrzyżowanymi na piersiach? Czy ciśnięte byle jak? Nie jestem ekspertką od zabójstw, ale brałam udział w wystarczającej liczbie dochodzeń, by wiedzieć, że różnie to bywa. Są zabójstwa bardziej osobiste, zabarwione żalem, obarczone wyrzutami sumienia. Kiedy na przykład członek rodziny jest zmuszony podjąć drastyczne działania przeciwko komuś trzeciemu, kto stracił już cierpliwość do przerażonej nastolatki.

Livia obgryzła paznokcie do żywego mięsa, mówił Lotham. Oczywiście oznaka stresu.

Kontynuuję inspekcję i po kilku minutach wiem już, co chciałam wiedzieć. W tym mieście jest sporo innych miejsc, gdzie można podrzucić zwłoki. Kontenery na śmieci, boczne alejki, opuszczone budynki. Ale to miejsce jest piękne, spokojne, intymne.

Ten, kto położył tutaj ciało Livii, musiał być z nią w jakiś sposób związany.

Czy to jej tajemniczy starszy brat? A może drugi brat, handlujący narkotykami J.J.? I jaki miała w tym udział Angelique? Czy zmuszono ją do udziału w tym potwornym akcie? To należy do abecadła terroru. Wzbudzić

w danej osobie lęk i ją upokorzyć, zadając śmierć tym, na których jej najbardziej zależy.

Przez umysł przelatują mi elementy tej sprawy. Dwie dziewczyny z obiecującą przyszłością. Co najmniej jeden przekręt związany z fałszowaniem dowodów tożsamości. I drugi, związany z położoną w malowniczej scenerii uczelnią w zachodnim Massachusetts. Ale na czym miałyby to polegać? Obie, i Livie, i Angelique, widać na zdjęciach z tej szkoły, a jednak ani przez minutę nie wierzę, że uciekły z domu, by studiować tam pod fałszywymi nazwiskami.

Przystaję na ścieżce. Słyszę świergot ptaków, czuję na twarzy powiew wiatru. Jest tak spokojnie. Tak pięknie.

Spoglądam ponownie tam, gdzie zeszłej nocy porzucono ciało dziewczyny. Livia Samdi zasługiwała na coś lepszego. Zasługiwała, by ją odnaleźć żywą. By mogła dorosnąć i odkrywać swoje niepowtarzalne ja. By żyć.

W tym momencie, bardziej niż kiedykolwiek, czuję brzemię klęski.

Tyle spraw. I jak dotąd nikogo nie sprowadziłam do domu żywego.

– Przepraszam – szepczę do Livii Samdi.

A potem przez jakiś czas stoję w bezruchu. Mierząc się z ogromem winy. Przyrzekając sobie, że postaram się lepiej, bo tyle tylko każdy z nas może zrobić.

W końcu, piętnaście, dwadzieścia minut później, obchodząc szerokim łukiem radiowozy, wracam do wejścia do parku. Jest dziesiąta rano. Wiem, dokąd powinnam się udać w następnej kolejności. Mam nadzieję, że Frédéric jest już w pracy w centrum rekreacyjnym. Pozostaje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

MUSZĘ PONOWNIE OBEJŚĆ DOKOŁA cały budynek. Wszędzie jest bardzo cicho. Centrum, ze swoimi boiskami i kortami, przypomina mi spokojne alejki parku Franklina. Czy to może o czymś świadczyć? Na twarzy czuję ciepłe promienie słońca, ale nie mogę przestać myśleć o martwych

dziewczynach, moich osobistych porażkach i innych rzeczach, których wspomnianie wcale mi nie pomaga.

Muszę się skupić. Okrażam wielką metalową konstrukcję, znajduję niezamknięte na klucz tylne drzwi i wchodzę do środka. Po raz kolejny witają mnie cisza i spokój. Idę pogrążonym w półmroku długim korytarzem z ciemnymi zarysami drzwi prowadzących do sal lekcyjnych i gimnastycznych. To taki wielki budynek. Pełen kryjówek i zakamarków, do których mogła zakradać się Marjolie ze swoim chłopakiem Dommym. Nie mówiąc o innych mrocznych zakątkach, w których można handlować dragami, fałszywymi prawami jazdy i...

Znów przesywa mnie dreszcz. Nie wiem, co jest ze mną nie tak. Czy chodzi o to, że zaczęłam dzień z przystojniakiem, który zadaje za dużo osobistych pytań? Że odwiedziłam miejsce przestępstwa? Jestem kłębkim nerwów. Nie podoba mi się już ten budynek. Pod pewnymi względami on również jest miejscem przestępstwa. To tutaj Angelique z pomocą nowej przyjaciółki stawiała czoło lokalnemu łobuzowi. To tutaj Livii Samdi wydawało się, że jej życie weszło w końcu na właściwe tory. To tutaj odbywały się wakacyjne zajęcia, które nie miały nic wspólnego z prawdziwym dramatem, jaki rozegrał się wśród nastolatek. Gdyby te ściany mogły mówić...

Bez trudu odnajduję drogę do gabinetu Frédéric'a. Podenerwowana, idę jak najciszej, jakbym nie chciała, by dopadły mnie duchy przeszłości tych dziewczyn. W rezultacie, gdy pukam lekko w uchylone drzwi, zaskoczony Frédéric zrzuca z biurka stos papierów i przewraca monitor komputera.

– Przepraszam. – Nie jest to zbyt fortunny początek rozmowy.

– Jak pani tu weszła? – pyta ostro.

– Tylne drzwi były otwarte.

– Aha... – Frédéric powoli się opanowuje. – Staram się je zamykać, kiedy jestem sam w budynku.

A więc nie tylko ja czuję się nieswojo w tej pustej, opresyjnej przestrzeni.

– Po prostu mam jeszcze kilka pytań – oznajmiam.

Frédéric kiwa głową i schyla się, by podnieść papiery z podłogi.

– Szuka pani Angélique Badeau – mówi ze swoim pięknym francuskim akcentem. – Pamiętam. Dowiedziała się pani o niej czegoś?

– Nie. Jednak po rozmowie z panem udało nam się odkryć jej powiązania z Livią Samdi. Były przyjaciółkami.

Szczupły, wysoki Frédéric prostuje się, ale ta informacja nie robi chyba na nim większego wrażenia.

– Livia Samdi również zaginęła – kontynuuję. – Osiem miesięcy temu. A dziś rano policja znalazła jej zwłoki w parku Franklina.

Tym razem Frédéric głośno przełyka ślinę. Trudno odczytać coś z jego twarzy. Pracując z trudną młodzieżą, nieraz już pewnie odbywał takie rozmowy. Czy to sprawia, że jest mu łatwiej?

– Bardzo mi przykro – mówi w końcu. – Przedawkowała? – pyta z wahaniem.

– Została zamordowana – oznajmiam bez ogródek i widzę wreszcie ślad jakichś emocji na jego gładkiej ciemnej twarzy.

Po chwili znów przybiera postawę stoickiej akceptacji.

– Sądzi pani, że istnieje jakiś związek między śmiercią Livii a zaginięciem Angélique? – pyta.

– Tak.

– Dlaczego?

– Poznały się tutaj. Zaprzyjaźniły się. Na wakacyjnych zajęciach.

Frédéric wzrusza ramionami.

– Jest pani pewna, że tutaj się poznały? Wiele z naszych dzieciaków znało się już wcześniej. Ta dzielnica nie jest taka duża.

– Poznały się tutaj. Co może mi pan powiedzieć o Dommym J.?

Nagła zmiana tematu po raz drugi go zaskakuje. Jego twarz staje się nieprzenikniona. Podświadomy mechanizm obronny. Jakby wiedział całkiem sporo o Dommym J. i zastanawiał się, co powinien, a czego nie powinien ujawniać. Ciekawe tylko, czy robi to, żeby chronić własny tyłek, czy dlatego, że boi się Dommy'ego.

– Co pani chce wiedzieć? – pyta w końcu.

Znakomita strategia. Kiedy nie wiesz, jak zareagować, odpowiadaj pytaniem na pytanie.

– Słyszałam, że sprzedaje fałszywe prawa jazdy.

– Doszło to do naszej wiadomości – przyznaje Frédéric, składając palce w piramidkę. – Pod koniec letnich zajęć mieliśmy tu pewien incydent. Brała w nim udział Angélique. Była wściekła na Dommy'ego, że sprzedał fałszywe prawo jazdy jej przyjaciółce. Chodziło nie o to, że wplątał ją w coś nielegalnego, ale o to, że podróbka była tak licha, że powinien się wstydzić. Twierdziła, że powinien oddać pieniądze. Dommy był oczywiście innego zdania. Pojawiłem się tam w samą porę, by zapobiec eskalacji konfliktu, i wezwałem całą trójkę do mojego gabinetu. W trakcie rozmowy wszyscy troje zaprzeczyli jednak, by mieli jakiś problem. Wie pani, jak to jest. Mój personel i ja mieliśmy na nich oko, ale nie doszło już do żadnych scysji. A potem zajęcia się skończyły i dzieciaki wróciły do domu.

– Wielu pana podopiecznych kupuje fałszywe dowody tożsamości?

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę? Pracuje pan z nastolatkami. Na pewno musi pan wiedzieć, jakie jest zapotrzebowanie.

– Niekoniecznie. Te dzieciaki mogą na każdym rogu ulicy nabyć wiele nielegalnych towarów i usług, od narkotyków po broń i komórki. Cała ta okolica to jeden czarny rynek. Nie trzeba dowodu tożsamości, żeby zawierać tego rodzaju transakcje.

Frédéric ma wiele racji. Marjolie potrzebowała fałszywego dowodu tożsamości, żeby pójść ze swoim chłopakiem do klubu. Istniały zatem rzeczy, których lokalni dilerzy nie mogli załatwić. Nie było ich jednak zbyt wiele.

– Co by się stało, gdyby złapał pan Dommy'ego na sprzedaży fałszywych dowodów tożsamości?

– Wyrzucilibyśmy go z ośrodka. Zero tolerancji, pamięta pani?

– Tak jak zrobiliście ze starszym bratem Livii Samdi?

– Z J.J. Samdim? Owszem, mieliśmy z nim problemy. Został relegowany z ośrodka po tym, jak jeden z wolontariuszy złapał go na sprzedaży narkotyków. Poinformowaliśmy policję, ale nie wiem, jaki był dalszy ciąg tej sprawy. Tak czy owak, za grzechy brata nie może w żadnym wypadku odpowiadać siostra. Livia Samdi była u nas nadal mile widziana.

– To bardzo wielkodusznie z waszej strony – rzucam z przekąsem.

Frédéric nie reaguje, czeka po prostu na kolejne pytanie.

– Miał pan kiedykolwiek bezpośrednio do czynienia z J.J.?

– Tak. W ramach zajęć pozalekcyjnych. Udostępniamy nasze boiska do koszykówki i innych dyscyplin, proponując jednocześnie zajęcia motywacyjne, kontakt z instruktorami oraz specjalne kursy kręcenia wideo, programowania komputerowego i sztuki. Nasza misja polega na trzymaniu tych dzieciaków z dala od ulicy. Pomagamy im podejmować właściwe decyzje w sytuacji, gdy stale stykają się z niewłaściwymi.

– Mam znajomego, który pomaga przy zajęciach motywacyjnych. To Charlie.

– A tak, Charlie. Dzieciaki, zwłaszcza chłopcy, bardzo go lubią. Jest jednym z nich. Ocaleńcem. Kiedy do nich mówi, słuchają go nawet nasi najwięksi twardziele. Czasami to wystarczy, żeby kogoś uratować.

– J.J. nie dało się uratować.

– Niestety.

– A czy dałoby się uratować Livię?

– Nie znałem jej zbyt dobrze. Jak już mówiłem, była utalentowaną dziewczyną. Ale bardzo nieśmiałą. Brała udział w zajęciach pozalekcyjnych. Pracowała z naszym nauczycielem na jednym z kursów zawodowych.

Określenie „kursy zawodowe” przykuwa moją uwagę.

– Nauczyciele ze szkoły też przychodzą wam pomagać? – pytam.

– Oczywiście.

– Prowadzą kursy projektowania komputerowego? Na przykład pan Riddenscail?

– Oczywiście. Jest bardzo dobry. To jeden z naszych nielicznych białych nauczycieli. Dzieciaki dają mu w kość, ale on jest twardszy, niż się wydaje. Od wielu lat bierze udział w programie zajęć pozalekcyjnych.

– Livia chodziła na jego zajęcia? – pytam.

– Chyba tak.

– I macie tam w pracowni komputery?

– Kilkanaście. Dostaliśmy je ze specjalnego grantu.

– Razem z drukarką trójwymiarową?

– Tak. – Frédéric przygląda mi się z zaciekawieniem. – Z tego samego grantu.

– Wystąpił o nią pan Riddenscail?

Frédéric prostuje się na krześle.

– Właściwie... Chwileczkę, nie bardzo panią rozumiem.

Ale ja zmierzam już w stronę drzwi. Muszę skontaktować się z Lothamem. Zażądać, żeby załatwił nakaz przeszukania i natychmiast się tutaj zjawił.

– Jeszcze tu wrócę – informuję Frédérica.

– Chwileczkę – powtarza, lecz ja go już nie słucham.

Górze bierze poczucie, że muszę się sprężyć. Muszę coś zrobić. Livia nie żyje, Angeliqne może być następna. Centrum rekreacyjne, komputery, drukarki trójwymiarowe, fałszerstwa. Wszystko to się ze sobą wiąże. Mam wrażenie, że za chwilę kawałki łamigłówek ułożą się w całość. Jeśli nie jest już za późno.

Prawie biegnę długim, mrocznym korytarzem. Otwieram drzwi, wychodzę na oślepiające słońce i wyjmuję komórkę, żeby zadzwonić do Lothama.

I wpadam prosto na J.J. Samdiego.

– Zaraz cię, kurwa, zabiję, paniusiu – oświadcza.

Rozdział 32

NIE MAM W KIESZENI gwizdka i nie mam we włosach moich taktycznych spinek. Wysłałam z domu za bardzo rozkojarzona. Zerkam na komórkę i przesuвам kciuk w stronę przycisku awaryjnego, ale J.J. jest ode mnie szybszy i wytrąca mi ją z ręki.

– Ani drgnij.

Odchyła połą niezapiętej koszuli, żebym zobaczyła czarną rękojeść pistoletu, który wetknął za pasek spodni. Widok może budzić grozę, ale posunięcie jest głupie. Będzie miał szczęście, jeśli nie odstrzelił sobie jąder.

Stoimy sześć metrów od drzwi centrum rekreacyjnego, ale miejsce jest niewidoczne z ulicy. Biorąc pod uwagę, jak daleko od wejścia jest gabinet Frédérica, całe lata świetlne dzielą mnie od najbliższej istoty ludzkiej. To sprawia, że w starciu z żywiącym mordercze zamiary dilerem mogę liczyć jedynie na swój urok osobisty.

Mówię sobie, że bywałam w gorszych opałach.

Chyba się okłamuję.

– Pistolet jest odbezpieczony czy zabezpieczony? – pytam.

To zbija go nieco z tropu. Jeden zero dla mnie.

– Ja bym go zabezpieczyła. Bo chyba masz na linii strzału ważne części ciała. Pośladek? Udo? I penisa, jeśli będziesz chciał wyszarpnąć pistolet zza paska.

Lubię wypowiadać słowo „penis” przy chłopcach. Zawsze się czerwienią.

– Przestań gadać!

– Nie twierdzą, że przypadki odstrzelenia sobie penisa są częste – kontynuuję. – Ale kiedy człowiek raz to zobaczy, nie zapomni tego do

końca życia. Więc naprawdę chodzi mi o twoje dobro. Nie sądzisz – dodaję ciszej – że twoja matka poniosła dziś wystarczająco wielką stratę?

Te cicho wypowiedziane słowa uderzają go mocniej niż moje drwiące komentarze. Cofa się i kiedy widzę wyraz jego twarzy...

Jest nie tylko bratem, który żywi mordercze zamiary. Jest bratem, który oplakuje siostrę.

– Trzymaj się z daleka od mojej rodziny – cedzi. – Moja matka nie chce mieć nic wspólnego z tobą i twoim jebanym gorylem.

Domyślam się, że Charlie nic nie wskórał. Nie winię go za to. Z Roseline Samdi, tkwiącą w mrocznym dole, zanim jeszcze dowiedziała się, że zamordowano jej córkę, sprawa była niepewna od samego początku.

– To ty strzelałeś do mnie przedwczoraj, Johnson?

– J.J.!

– To ty ścigałeś mnie, kiedy od was wybiegłam?

Patrzy na mnie wojowniczo, ale milczy, co każe mi przypuszczać, że to nie on. Widzę żyłą pulsującą na jego spoconym czole i przysięgłabym, że oplatające jego ramiona i kark tatuaże wibrują z podniecenia. Coś wziął. Ciemne źrenice ma za bardzo rozszerzone, palce za bardzo mu się trzęsą. Jest naćpany, wściekły i bardzo cierpi. Niezwykle niebezpieczne połączenie.

Wiem o tym. Sama też tak miałam.

– Kim jest twój starszy brat? – pytam.

– Nie mam żadnego starszego brata.

– Livia miała. Tak w każdym razie mówiła ludziom. Wysoki, chudy facet z upodobaniem do złotych łańcuchów i dresów. W stylu wczesnych lat dwutysięcznych. Widziałam go na własne oczy.

– Skurwysyn.

– Więc go znasz?

– Nie jest naszym bratem. To znaczy jest bratem przyrodnim. Synem mojej mamy i jakiegoś dupka, z którym była dawno temu. Debil trafił do pierdła i z tego, co wiem, odwalił tam kitę.

– Masz przyrodniego brata, który siedział w więzieniu?

– Deke'a przytknęli za napad z bronią w rękę. Jest ode mnie dziesięć lat starszy. Jebany nieudacznik.

J.J. wypływa z siebie te słowa, teraz o wiele bardziej wściekły na przyrodniego brata niż na mnie. Nadal jest jednak zbyt rozdygotany, żebym mogła się odprężyć. I wciąż wsuwa palce pod niebieską kraciastą koszulę, tak jakby dotykając pistoletu, czerpał z niego siłę. Jest gotów do walki. Uzbrojony ćpun szukający wroga.

Przyrodni brat, który odsiedział długi wyrok. To tłumaczyłoby zdezaktualizowane wyczucie stylu.

– Dlaczego Deke jest jebanym nieudacznikiem?

– Złamał mamie serce. Liczyła, że sukinsyn nam pomoże. Że będziemy mieli dzięki niemu co jeść, że jakoś przetrwamy. Byłem wtedy małym gnojkiem, ale nawet ja to rozumiałem. A on zwyczajnie się wyniół. A potem znów o nim usłyszeliśmy, jak przytknęli go za napad na stację benzynową. I bardzo dobrze, myślę sobie. Ale mama codziennie płakała. Nie był jej potrzebny taki syf.

– W przeciwieństwie do twojego syfu? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– Robię to, co muszę robić – odpowiada natychmiast. – Dzięki temu mamy dach nad głową.

– A Livia?

– Niby co z Livią? Nie brała udziału w tym gównie. Chodziła do szkoły. Była dobra, do jasnej cholery! Była dobra!

J.J. wyciąga zza paska pistolet. Policzki ma mokre, jego ból jest okrutną bestią, która ściska go za gardło. Sama też tak kiedyś cierpiałam. Wiem dokładnie, co czuje. Dlatego robię jeden, a potem drugi krok w jego stronę i w końcu stoimy tuż naprzeciwko siebie.

Jest ode mnie o wiele większy. Widzę przed sobą same mięśnie i ścięgna, gniew i rozpacz. Trzyma pistolet przy nodze, ale w każdej chwili może go podnieść. Strzelić do mnie. Sam się zastrzelić. Po raz ostatni olać świat, który źle go potraktował.

Nie poruszam się. Nic nie mówię. Patrzę mu prosto w oczy, pragnąc, by choć w małej części udzielił mi się mój spokój.

– Angeliqne i twoja siostra były przyjaciółkami – mówię. – Bardzo bliskimi. Wiedziałaś o tym?

– Bzdura! – warczy w odpowiedzi.

– Bynajmniej. Poznały się tutaj, na wakacyjnych zajęciach. Coś się tutaj wydarzyło. Livia była przerażona i Angeliqne postanowiła jej pomóc. Tamtego dnia, kiedy zniknęła, przebrała się w jej ciuchy. Udawała Livię.

J.J. kręci głową. W jego oczach nadal płonie szaleństwo. Widzę, jak pulsuje mu żyła na szyi.

– Moja siostra nie miała żadnych przyjaciół. Była nieśmiała. Trzymała się na uboczu.

– Angeliqne przebrała się za nią – powtarzam.

– Dlaczego moja siostra miałyby trzymać taką rzecz w tajemnicy?

– Nie mam pojęcia, J.J. No właśnie, dlaczego?

Odpowiedź widać na jego zdesperowanej twarzy. Bo byłyby to kolejna rzecz, którą mogła utracić w domu z naćpanym bratem i pijaną matką. W domu, w którym już przed laty nauczyła się stąpać ukradkiem i nigdy nie zwracać na siebie uwagi.

– Kurwa! – wybuchą J.J., wymachując pistoletem i cały się trzęsąc.

Zaraz zrobi coś złego sobie lub mnie. Albo nam obojgu. Później być może będzie tego żałował, ale teraz, ogarnięty szalonym gniewem i bezbrzeżną rozpaczą...

Zamiast udawać, że mnie nie ma, wbijam wzrok w jego upstrzoną kropelkami piany twarz.

– Twoja siostra nie żyje! – wrzeszczę. – I ktoś musi za to zapłacić, prawda? Tak to funkcjonuje. Jest martwa. Zrobił to jakiś skurwysyn i trzeba go ukarać! Musi poczuć ten ból. Musi cierpieć, krzyczeć z przerażenia, kulić się ze strachu. Długo, bardzo długo. Aż poczuje się tak strasznie i podle jak ty teraz. Rozumiem, J.J., że ty też tego pragniesz.

Teraz przykułam jego uwagę. Nie było to wcale takie trudne. Musiałam tylko powiedzieć mu to, co przed dziesięciu laty sama chciałam usłyszeć.

– Pomóż mnie i pomóż jej – mówię, łapiąc go za lewe ramię. – Możesz to zrobić, J.J.? Możesz wziąć się w garść, żeby pomścić siostrę?

– To Deke? Wyszedł z pierdła? On to zrobił?

Odwraca się, żeby odejść. Chwytam go za koszulę i mocno przytrzymuję.

– Falszywe prawa jazdy. Co twoja siostra wiedziała o falszywych prawach jazdy? – pytam.

– Co, do cholery...

– Skup się, J.J. Skup się. Popatrz na mnie. Słuchaj. Dwa lata temu był tu taki chłopak, który sprzedawał naprawdę gówniane podróbki praw jazdy. Cholernie beznadziejnej jakości. A twoja siostra i Angelique narobiły mu wstydu.

– Dommy J.

– No właśnie. Widywałeś go w pobliżu? Twoja siostra coś o nim mówiła?

– Nie. Ale wspomniało o tym paru facetów. Mówili, że nieźle mu przygadała. I owszem, te podróbki były gówniane. Nie wiem, do czego mogłyby się przydać.

– Twoja siostra wiedziała dokładnie, co jest z nimi nie tak. W szczegółach. Skąd znała się tak dobrze na podrabianiu praw jazdy?

– Nie wiem. Po prostu była sprytna. Zawsze coś kopiowała i robiła różne rzeczy na szkolnym komputerze. Ma zamiar dać stąd dyla. Pierwsza w rodzinie, której się uda... – J.J. nagle przerywa.

Użył czasu teraźniejszego. Opowieść o marzeniu, które należy już do przeszłości.

Znowu zaczyna się trząść. Kładę mu rękę na ramieniu i lekko masuję, chcąc go uspokoić.

– Czy Dommy J. mógł skrzywdzić twoją siostrę za to, że narobiła mu wstydu?

– Dommy to zwykły pozer. Jak myślisz, dlaczego jego podróbki są takie gówniane? Nie ma jaj, żeby być kimś więcej niż oszustem.

– No dobrze. Więc Dommy J. nie jest takim kozakiem, za jakiego chce uchodzić. A Deke? Widziano go, jak kręcił się w tamte wakacje przy centrum rekreacyjnym i obserwował Livię. Może z nią rozmawiał?

– Nigdy o tym nie wspomniała...

– Dommy J. bardzo się go bał. Podobnie jak Livia. Dlaczego tak się go bali?

J.J. opuszcza głowę i wydaje długie drżące westchnienie. Napięcie stopniowo z niego schodzi. Mniej adrenaliny, więcej logicznego myślenia.

– Jeśli Deke wyszedł na wolność... Ma poważne koneksje. Z czasów, kiedy tu działał, no i z odsiadki. W tej okolicy to coś, co się szanuje. Gdyby do nas przyszedł, musiałbym go wpuścić. Nie chciałbym, ale bym musiał.

– Ale nie przyszedł? Nie kontaktował się z twoją matką? Przynajmniej z tego, co wiesz?

– Nie sądzę, żeby chciała mieć z nim coś wspólnego. Zwłaszcza kiedy w domu była Livia. To kawał sukinsyna. Wszyscy to wiedzą.

– Twoja matka powiedziała, że w waszym domu dziewczyny nie są bezpieczne. Miała na myśli Deke'a?

J.J. nie odpowiada, ale widzę to w jego oczach. Roseline Samdi nie mówiła o jego przyrodnim bracie, lecz o nim i o jego kumplach. J.J. dobrze o tym wie.

– Czy Deke znał się na fałszerstwach? Praw jazdy, pieniędzy, zielonych kart, czegokolwiek?

Zmuszam J.J., by znów na mnie spojrzął. Potrzebuję od niego jak najwięcej informacji. Potrzebuje tego Angeliqeu Badeau.

– Słyszałem plotki – odzywa się w końcu. – Że dzięki kontaktom swojego tatuśka Deke próbował wejść do poważnego gangu. Obaj chcieli awansować. Rzucić te gówniane dragi. Chcieli być prawdziwymi mafiosami czy kimś w tym rodzaju. Duże interesy, duże wypłaty. Mówiło się, że rozmawiają z innym gangiem. Musieli się jakoś wkupić. Stąd te włamania. Żeby pokazać, ile są warci.

– Ten drugi gang specjalizował się w fałszerstwach?

– Nie wiem. Ale kilka lat po tym, jak Deke’a przymknęli, znalazłem w domu forszę. W pudełku na buty, w głębi szafy. Pliki setek. Uznałem, że to mój szczęśliwy dzień. Zacząłem szastać kasą na lewo i na prawo. Ciuchy, jedzenie, czynsz, co tylko chcesz.

Narkotyki.

– I zanim się zorientowałem, jakiś facet wydarł się na mnie, że zapłaciłem mu podrobionymi banknotami. Nie miałem pojęcia, o czym nawija. Jakoś się z tego wykaraskałem, ale po tej historii schowałem resztę kasy. Nie chciałem pakować się w jeszcze większe kłopoty.

– Twoja matka zawsze mieszkała w tym domu? Nawet z twoim przyrodnim bratem?

– Nigdzie się nie przenieśliśmy.

– To znaczy, że fałszywe banknoty mogły należeć do Deke’a? Mieć jakiś związek z jego działalnością przestępczą?

– Możliwe. Byłem wtedy dzieciakiem.

Fałszywe setki musiały należeć do jego przyrodniego brata. Tylko tak można to sobie logicznie wytłumaczyć. Stanowiły część większej operacji, którą rozpoczął i przez którą trafił za kratki. Najwyraźniej nikomu o tym nie powiedział, o banknotach zapomniano i natknął się na nie dopiero J.J. A kilka lat później Livia.

I od razu zorientowała się, że są fałszywe. Tak czy inaczej, wiedziała, że nie powinna o nich mówić bratu. Wyniosła je z domu i dała na przechowanie swojej nowej przyjaciółce, Angeli.

Czy to ją zainspirowało? Fałszywe setki, fałszywe prawa jazdy. Może uznała, że ze swoim talentem do projektowania i nową zaawansowaną technologią komputerową da sobie radę. Mówiąc szczerze, nie do końca rozumiem tę część historii. Jaka jest rola Deke’a w tym scenariuszu? Bo najwyraźniej po wyjściu na wolność śledził młodszą siostrę. Czy to ona skontaktowała się z nim? Czy on z nią?

– Czy Livia była kiedykolwiek blisko z przyrodnim bratem? – pytam.

J.J. kręci głową.

– Miała trzy lata, kiedy go zgarnęli.

- Czy był do niej przywiązany? Opiekował się nią czy coś w tym rodzaju?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. To było dawno temu.

Zaczynam z innej beczki.

- A jeśli chodzi o jej szkołę... Czy twoja siostra mówiła coś o jednym z nauczycieli, panu Riddenscailu?

- Nie.

- Pan Riddenscail pracował również w centrum rekreacyjnym. Prowadził zajęcia pozaszkolne?

- Ile razy mam powtarzać, że nie wiem!

- W porządku, J.J., rozumiem. Ty miałeś swoje życie, twoja siostra swoje. Ale częścią twojego życia było wyrwanie jej stąd. Częścią twojego życia było sprawienie, żeby jej się udało.

J.J. nie odpowiada, ale jego milczenie jest dostatecznie wymowne.

- Twoja siostra skontaktowała się tutaj ze swoim nauczycielem, panem Riddenscailiem - mówię, wskazując budynek za naszymi plecami. - I skontaktowała się tu również z twoim przyrodnim bratem, Dekiem. Dlaczego, J.J.? Muszę wiedzieć dlaczego.

Ale J.J. nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Widzę to po jego oczach. Kochał siostrę, lecz nie spędzał z nią zbyt wiele czasu. Nie znał jej wystarczająco dobrze, by móc mi udzielić jakichś użytecznych informacji.

Czy znał ją tak ktokolwiek?

- Nienawidzę cię, kurwa - szepcze J.J.

- Rozumiem - odpowiadam cicho. - Czasami ja też siebie nienawidzę. Ale mam zamiar odkryć, kto zabił twoją siostrę, i ty mi w tym pomożesz. Bo zasługiwała na coś lepszego, prawda? Bo... była Livią Samdi. Inteligentną, sprytną i żywą. I cały świat powinien ją opłakiwać. Wszyscy powinniśmy podzielać twój ból. Była tego warta.

J.J. żałośnie kiwa głową.

- Chcę, żebyś powiedział mi, gdzie mogę znaleźć Deke'a.

- Sam go znajdę.

– Nie, nie, nie! Potrzebujemy go żywego. Mam pytania, na które tylko on potrafi odpowiedzieć. Ze względu na twoją siostrę nie możesz go zabić. Obiecuj mi to, J.J.

– Livia nie żyje – mówi.

Widzę po jego minie, że po raz pierwszy wypowiedział te słowa na głos. Ich nieodwracalność jest niczym nóż, który przecina jego twarz. Nawet ja muszę odwrócić wzrok.

Jeszcze raz gładzę go po ramieniu i cofam dłoń. Przykro mi z powodu jego straty. I po tylu latach przykro mi z powodu tego, co sama straciłam.

– Twoja siostra kochała Angelique Badeau – odzywam się. – Cokolwiek zdarzyło się w minionym roku, siedziały w tym razem. Wiem o tym. Kiedy znajdziemy Angelique, dowiemy się, kto zabił twoją siostrę. Postąpimy właściwie wobec jednej i drugiej. Rozumiesz? Więc powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Deke'a.

J.J. przez chwilę milczy. W końcu bierze głęboki oddech, prostuje się i wsuwa pistolet z powrotem za pasek spodni.

Podnosi mój telefon z ziemi, otwiera klapkę i jego palce dotykają małych przycisków. A potem zamyka klapkę i oddaje mi go.

– Nie martw się – mówi. – Znajdę cię, kiedy nadejdzie pora.

Rozdział 33

DZWONIĄC DO LOTHAMA, MAM wrażenie, że mój oddech wrócił do normy, ale jestem chyba w błędzie.

– Co się stało? – pyta mnie już po kilku sekundach. – Gdzie jesteś? To ten facet w dresie?

– Facet w dresie ma na imię Deke. Jest starszym przyrodnim bratem Livii i Johnsona Samdich.

– Co takiego?

– Wpadłam na J.J.

– Co takiego?!

– Pójdzie nam szybciej, jeśli nie będziesz mi przerywał.

– Wszystko z tobą w porządku? Powiedz chociaż tyle.

– Nic mi nie jest. Odwiedziłam centrum rekreacyjne. A teraz wracam do domu, poczyniwszy pewne postępy. – Tak naprawdę nie wracam do domu, ale nie mam ochoty informować o tym Lothama. – Od początku?

– Chryste – mruczy Lotham. Robi wrażenie skonanego. – Od początku.

– Roseline Samdi ma z innym mężczyzną starszego syna o imieniu Deke. Odsiedział wyrok za napad z bronią w rękę, ale już wyszedł i to on obserwował Livię w centrum rekreacyjnym.

– W jakim celu?

– Nie wiem. Według J.J. własna matka nie chce mieć z Dekiem nic wspólnego, taki z niego kawał sukinsyna. Ale jest coś jeszcze. Krótco po tym, jak Deke trafił do więzienia, mały J.J. znalazł w szafie pudełko po butach pełne podrabianych setek. Pracował ciężko, żeby je wszystkie wydać, aż w końcu ktoś przyłapał go na tym, że płaci fałszywymi pieniędzmi. Ukrył więc resztę w miejscu, w którym, jak się domyślałam, odnalazła je po kilku latach Livia.

– Ich starszy brat Deke miał pudełko fałszywych setek?

– Najwyraźniej był kryminalistą aspirującym do wyższej ligi. Dokonując napadu z bronią w ręku, chciał się wkupić do jakiejś większej organizacji, która oferowała lepsze możliwości awansu.

Lotham milczy. Musi przyswoić sobie sporo informacji, więc spokojnie czekam.

– Myślisz, że Deke wiedział, że jego przyrodnie rodzeństwo dobrało się do tych fałszywych banknotów? – pyta w końcu.

– Nie wiem. Wyszedł na wolność i doszło do jakiejś interakcji między nim i Livią. Livia musiała dać te fałszywe pieniądze Angelique na przechowanie. Co to może oznaczać? Przyrodni brat i siostra rozmawiają na temat fałszerstw, dużych organizacji przestępczych, tego, jak w nich awansować? Niech mnie diabli, jeśli wiem. Ale Marjolie uważa, że Livia była w jakiś sposób związana z Dekiem, a według J.J. wszystko, co się z nim wiąże, to syf i malaria.

– Masz jego nazwisko? – pyta Lotham.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać – przyznaję.

– Nie będzie trudno go namierzyć. Zwolniony warunkowo włamywacz o imieniu Deke. Może go mieć w swojej kartotece wydział do spraw przestępczości zorganizowanej.

– Zaczekaj, mam jeszcze więcej wiadomości.

W telefonie znów zapada cisza. Tym razem wyczuwam napięcie. Jakby Lotham był na mnie zły. Co zaczyna mnie wkurzać, bo jakim prawem się na mnie wścieka? To ja odwałam tutaj całą robotę.

– Mów – odzywa się w końcu i słyszę w jego głosie wyraźny chłód.

Przemądrzałego bostońskiego gliniarza frustruje to, że cywil dokonuje wszystkich ważnych odkryć? Walić go, myślę. Ale czuję się dotknięta.

– Poszłam do centrum rekreacyjnego, żeby jeszcze raz pogadać z dyrektorem. Okazało się, że poza programem wakacyjnym ośrodek oferuje zajęcia pozalekcyjne. W tym kurs projektowania komputerowego, prowadzony nie przez kogo innego, jak pana Riddenscaila. Który złożył

podanie o grant na dwanaście komputerów i jedną drukarkę trójwymiarową.

Lothamowi udaje się tym razem nie wykrzyknąć: „Co takiego?!”, ale wyczuwam, że robi to w myślach.

– Livia Samdi uczęszczała na ten kurs – mówi.

– Owszem.

– A Angelique?

– Nie zapytałam o to. Ale fakt, że uczęszczała tam Livia, jest chyba wystarczającym powodem, by wydać nakaz przeszukania? Dziewczyna najpierw zaginęła, a teraz okazało się, że została zamordowana. Jakiś sędzia na pewno zapewni wam dostęp do komputerów centrum rekreacyjnego.

– Chyba zdołam to załatwić.

– Tylko nie zrób nikomu krzywdy. – Teraz to ja jestem poirytowana.

– Sprawdziłem Paula – oznajmia nagle Lotham. – Odnalazłem tę sprawę, Frankie. Wiem, co się wydarzyło.

Nie odzywam się. To nie jest pytanie i nie zasługuje na odpowiedź. To sprawa między mną a Paulem, nikim innym. A jednak po tylu latach czuję, jak ściska mnie w gardle i zaczynają piec oczy.

Myślę o J.J. i jego dzikiej rozpaczce. Wiem dokładnie, co czuje.

– Co ty robisz? – pyta cicho Lotham. – Tak między nami, Frankie. Co ty tu robisz?

– Próbuję odnaleźć Angelique Badeau.

– To niczego nie zmieni.

– Nie jestem idiotką.

– A jeśli w trakcie tego wszystkiego cię zastrzelą? Tego właśnie chcesz? Nie masz odwagi zrobić tego sama, więc trwasz w tym obłądnie, czekając, aż ktoś zrobi to za ciebie?

– Pierdol się – rzucam, ale w moim głosie nie ma emocji. Lotham nie mówi niczego, nad czym sama bym się nie zastanawiała. – Nie musisz zająć się śledztwem w sprawie zabójstwa?

– Powiedziałaś mi chyba raz, że jestem wielozadaniowy.

- W takim razie pochwal się, czego dokonałeś dziś rano, bo ja przekazałam ci przed chwilą masę informacji.

- Mam torby z dowodami rzeczowymi i całą stertę nagrań z monitoringu. Mogę ci powiedzieć, że zaraz po północy do parku Franklina wjechała biała furgonetka. Tablice rejestracyjne miała zamazane błotem, żeby nie można było odczytać numerów. Mogę ci powiedzieć, że twarz kierowcy trudno rozpoznać, ale sądząc po wzroście i budowie ciała, był to wysoki, chudy czarny mężczyzna. Mogę ci również powiedzieć, że w furgonetce był pasażer. W czapce bejsbolowej.

- Deke i Angelique - szepczę i nagle uświadamiam sobie, że to niemożliwe. - Tyle że to nie mógł być Deke, bo dziś w nocy stał pod moim oknem - mówię.

- Sądząc po znaczniku czasu na nagraniu... Masz prawdopodobnie rację, to nie Deke.

To sprawia, że tak jak Lotham jestem w kropce. Najwyraźniej zaangażowani są tu inni gracze, ludzie, którzy porwali Angelique i Livię i którzy pewnie na zmianę ich pilnowali. Znowu pojawia się pytanie: kto i dlaczego? W co takiego, do diabła, wpłatały się te dziewczyny, że prawie na rok zaginął po nich wszelki ślad? Nie wspominając już o uczelni na zachodzie Massachusetts?

- Muszę kończyć - mówię.

- Chcę wiedzieć, że będziesz ostrożna, Frankie. Nie uganiaj się za tym Dekiem. Wystarczająco ryzykowne było spotkanie z J.J.

- Nie uganiaj się za Dekiem - odpowiadam.

Nie ma takiej potrzeby, myślę. Zajmie się tym J.J.

- Czy mogłabyś ze mną porozmawiać?

- Nie. To moje życie, moje wybory. Zajmij się swoim.

Rozłączam się. Naprawdę nie mam ochoty tego słuchać. Znam dobrze swoje mocne strony i znam swoje słabości. I wybrałam sobie styl życia, który pasuje do jednych i do drugich.

W tym momencie ten styl życia nakazuje mi odnaleźć Angelique Badeau.

Nie mam wehikułu czasu. Nie mogę zmienić tego, co wydarzyło się przed dziesięciu laty. Choćbym nie wiem jak długo myła ręce, nie zmyję z nich krwi, żadna pokuta nie zniesie poczucia winy. Schrzaniłam wszystko. Paul zginął. To takie proste i takie dołujące.

A teraz? Teraz moje życie polega na tym, żeby pomagać innym, służyć ofiarom.

Zawiodłam już Livię Samdi. A to znaczy, że teraz, bardziej niż kiedykolwiek, muszę to załatwić we właściwy sposób.

Angelique Badeau, idę po ciebie.

DO SZKOŁY LIVII JADĘ TAKSÓWKĄ. Nie mam czasu ani ochoty odkrywać, jakimi autobusami można tam dojechać. Kiedy udaje mi się pokonać opór ochrony i docieram do pracowni pana Riddenscaila, trwają zajęcia. Wchodzę do środka i stoję z tyłu. Riddenscail nie prowadzi wykładu, tylko przechodzi od jednego stanowiska pracy do drugiego, przygląda się uczniowskim projektom i czasami je komentuje. Natychmiast mnie zauważa i przestaje patrzeć w monitor jednego ze swoich podopiecznych. Czyżby miał nieczyste sumienie? Czy wie już, dlaczego tu jestem, i czy zdaje sobie sprawę, że to, co tu robi, nie ujdzie mu na sucho?

Nie jestem policjantką i nie muszę nią być. Chcę, żeby odpowiedział mi na kilka pytań. Potem może się nim zająć Lotham.

Czekam. Riddenscail nadal prowadzi zajęcia. Komputerów jest dwanaście, tyle samo co w centrum rekreacyjnym. Tam się to zaczęło, myślę. To, co ściągnęło na Livię i Angelique o wiele większe kłopoty. Pomysł, żeby podrobić własny dowód tożsamości? Jeśli potrafi to zrobić taki dupek jak Dommy J., dlaczego nie miałyby im się udać? Livia zajmie się projektowaniem, Angelique marketingiem. Obie były inteligentne, potrafiły myśleć perspektywicznie. Livia produkowałaby prawie idealne podróbki. Angelique by je sprzedawała. Biorąc pod uwagę, ilu jest w Bostonie niepełnoletnich studentów, pragnących pójść w ślady Marjolie... To na pewno tłumaczy ilość gotówki schowanej w lampie Angelique. Fałszywe studolarówki Livia donosiłaby ze swojego domu.

Czy myślały, że kiedy zmieszają fałszywe pieniądze z prawdziwymi, łatwiej będzie im je wydać?

I w tym momencie znów zaczynam się gubić. Czemu miały służyć te zdjęcia z uczelni? Nie ma mowy, żeby dwie nastolatki zapisały się na studia pod fałszywymi nazwiskami. A poza tym dlaczego Angelique przebrała się za Livię i dlaczego Livia była taka przerażona?

Potem spotkała się ze swoim nieobecny od dawna przyrodnim bratem. A dziś rano jej ciało znaleziono w spokojnej parkowej okolicy...

Jest coraz mniej czasu. Livia zginęła, Angelique może wkrótce spotkać to samo. Co się wydarzyło, co się wydarzyło?

Mam tyle pytań do pana Riddenscaila. I nie zamierzam wysłuchiwać kolejnych kłamstw.

W końcu rozlega się dzwonek. Uczniowie wstają z ławek i zbierają swoje rzeczy. Kilku przygląda mi się z zainteresowaniem. Pan Riddenscail i ja jesteśmy jedynymi białymi ludźmi w tej sali. Może myślą, że jestem jego dziewczyną albo znajomą i przyszłam z wizytą. Nikt się do mnie nie odzywa. Powłócząc nogami, dzieciaki, niektóre już pogrążone w rozmowie, wychodzą na korytarz i zacierają do następnej klasy.

Żadni nowi uczniowie nie zajmują ich miejsca. Pan Riddenscail ma chyba okienko.

Podszedł już do swojego biurka i stuka w klawiaturę. Lotham powinien załatwić nakaz sprawdzenia jego komputera. Prawdopodobnie to zrobi. W tych sprawach jest dokładny. To, że odkopał sprawę Paula...

Powtarzam sobie, że muszę się skupić.

– Rozumiem, że ma pani kolejne pytania dotyczące Livii – odzywa się w końcu Riddenscail. – A może chciałaby pani dowiedzieć się czegoś więcej o drukarkach trójwymiarowych, programie AutoCAD i podstawach projektowania?

– Przychodzę z centrum rekreacyjnego – mówię, obserwując uważnie jego reakcję.

Riddenscail jeszcze przez chwilę stuka w klawisze i wreszcie podnosi wzrok. Przygląda mi się, jakby czekał, że powiem coś więcej.

– Wiem o grantcie. O komputerach i drukarce trójwymiarowej, które załatwił pan na zajęcia pozaszkolne. Zajęcia, które pan tam prowadził i na które uczęszczała Livia Samdi.

Nadal patrzy na mnie wyczekująco.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym wcześniej?

– Szczerze? Nie przyszło mi to do głowy. Pytała pani o Livię w tej klasie, więc na tym się skupiłem.

– Mówił pan tak, jakby nie za dobrze ją pan znał. A przecież miał pan z nią styczność na różnych zajęciach w różnych miejscach. Nie wygląda mi to na luźną znajomość.

– Wspomniałem, że namawiałem ją, by przystąpiła do wiosennego konkursu. Tym właśnie zajmowała się w centrum rekreacyjnym. Przygotowywała się do konkursu. Miejsce było dla niej bardziej odpowiednie, bo mieszkała w pobliżu. Poza tym potrzebowała mojej pomocy, żeby poznać kilka nowych sztuczek związanych z oprogramowaniem. Więc kiedy prowadziłem zajęcia w centrum, wygodniej było jej tam przychodzić. Mówiłem już, że była utalentowana i że próbowałem sprawić, aby wynurzyła się ze swojej skorupy. Przepraszam, jeśli pominąłem kilka szczegółów.

– Livia Samdi nie żyje.

Teraz jego reakcja jest wyraźna. Riddenscail blednie i siada ciężko za biurkiem.

– Kiedy to się stało? – pyta cicho.

– Znaleźli jej ciało dziś rano – oznajmiam.

Przyglądam mu się uważnie, ale nie widzę śladów poczucia winy. Wyłącznie szok, może nawet rozpacz.

Przełyka z trudem ślinę.

– Co się stało?

– Ktoś ją udusił, a potem porzucił jej ciało w parku Franklina.

– O mój Boże. Biedna dziewczyna. – Riddenscail lekko drży i ociera oczy.

– Co ona tu robiła? W co się wplątała? Pora zacząć mówić, panie Riddenscail. Zanim postawią panu zarzut zabójstwa. Co, do diabła, kazał pan jej robić?

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. I z całą pewnością nikogo nie zabiłem. Tyle mogła w życiu zdziałać. Byłem pewien, że da sobie radę, pójdzie na studia. Miałem nadzieję, że...

Znowu zaczyna drżeć i zakrywa oczy dłonią. Gdybym nie wiedziała lepiej, pomyślałabym, że ten mężczyzna płacze.

A może wcale nie wiem lepiej. Ruszam w końcu spod drzwi i podchodzę do niego bliżej.

– Proszę na mnie spojrzeć.

Riddenscail opuszcza rękę. Policzki ma mokre od łez. Wygląda na zdruzgotanego.

– Czy nie zachowuje się pan zbyt emocjonalnie z powodu uczennicy, którą, jak pan sam twierdzi, ledwie znał? – pytam.

– Poznałem ją w wystarczającym stopniu. I dosyć się napatrzyłem. Myśli pani, że wykonuję ten zawód, bo tak dobrze mi płacą? – Gestem dłoni pokazuje klasę ze sfatygowanym linoleum i poplamionym podwieszanym sufitem. – Przychodzę tu codziennie dla dzieciaków takich jak Livia. Które siadają przed tymi komputerami i po raz pierwszy w życiu widzą przed sobą przyszłość. Mają dryg do software'u, projektowanie w trzech wymiarach nie ma przed nimi tajemnic. I okazuje się, że są na tyle zdolni, by iść na studia, dostać dobrą pracę i przestawić swoje życie na zupełnie nowe tory. Te dzieciaki sprawiają, że wszystko inne nabiera wartości. To przede wszystkim ze względu na nie tacy ludzie jak ja zostają nauczycielami.

Nadal podejrzliwie mu się przyglądam, ale znajduję coraz mniej powodów, by to robić. Ta rozmowa zmierza w zupełnie innym kierunku, niż się spodziewałam.

– Czy Livia potrafiłaby sfalszować prawo jazdy? – pytam. – Czy znała się tak dobrze na projektowaniu i komputerach?

Riddenscail wbija we mnie wzrok i nagle sięga do kieszeni. Sztywnieję z przerażenia, ale on wyjmuje tylko mały kluczyk, wsadza go w zamek

szuflady biurka, otwiera ją i wyciąga portfel, z którego wysuwa prawo jazdy. Żeby mu się przyjrzeć. Bo przecież niewielu z nas zwraca uwagę na takie rzeczy.

– Pytaliście wcześniej o fałszerstwa i stemple. Czy Livia mogła coś podrobić. Myślałem, że chodzi wam o pieniądze.

– Teraz uważamy, że mogło chodzić o fałszywe dowody tożsamości.

Riddenscail powoli kiwa głową i obraca w ręce własne prawo jazdy.

– Tło jest z pewnością łatwe. Założę się, że w internecie można znaleźć matrycę. Hologram to specjalistyczna technologia i tusze. Nie sądzę, żeby sobie z tym poradziła. Ja na pewno nie wiem, jak to zrobić.

– Użyła jaskrawego tuszu. Efekt nie był idealny, ale to wystarczyło, żeby na przykład zamówić alkohol w barze.

– Skoro tak, to owszem, Livia mogła zaprojektować i wydrukować prawo jazdy. Zwłaszcza jeśli standard nie musiał być zbyt wysoki. Ale nigdy nie widziałem, żeby czymś takim się zajmowała. I nie byłby jej do tego potrzebny AutoCAD. To o wiele prostsze od projektowania w trzech wymiarach. Potrzebowałyby za to komputera i wysokiej jakości drukarki ze względu na specjalistyczne tusze.

– Macie tu taką drukarkę?

– Tak. Ale nie mam do niej pojemników z droższymi tuszami. Wystarczająco drogie są te podstawowe.

– Wkrótce dojedzie tu detektyw Lotham z nakazem przeszukania. I biorąc pod uwagę, że drukarki przechowują informacje w swojej pamięci podręcznej, może mi pan powiedzieć wszystko już teraz.

Riddenscail kręci głową.

– Nie mam nic do powiedzenia. Jeśli Livia podrabiała prawa jazdy, działało się to bez mojej wiedzy i nie tutaj. Nie widziałem jej od stycznia. Możecie szukać, ile chcecie. Poza tym ta szkoła ma kamery monitoringu. Też możecie je sprawdzić. Livii tu nie było. Gdyby się pojawiła... Namawiałbym ją, żeby wróciła do szkoły. Próbowałbym nawiązać z nią kontakt, dowiedzieć się, dlaczego uciekła. Próbowałbym...

Łamie mu się głos. Znowu zaczyna trzeć oczy.

Chciałabym wykorzystać swoją przewagę i coś powiedzieć, ale nie mam żadnych argumentów. Nagle robi mi się głupio, że stoję tu i doprowadzam do płaczu dorosłego mężczyznę.

– Widział pan kiedykolwiek Livię z wysokim, chudym facetem hołdującym modzie sprzed kilkunastu lat? – pytam.

Riddenscail patrzy prosto na mnie.

– Ze starszym facetem? Tak, owszem. W centrum rekreacyjnym. Przyszedł po nią kilka razy, kiedy kończyła zajęcia. Myślałem, że to jej ojciec i że zabiera ją do domu. Wydało mi się to miłe.

– To nie był jej ojciec – informuję go. – To był jej przyrodni brat, którego zwolnili warunkowo z więzienia. Gdyby go pan znów zobaczył, proszę natychmiast zawiadomić policję.

– Oczywiście. – Riddenscailowi znów zaczyna się łamać głos i najwyraźniej jest tym wszystkim przytłoczony.

– Słyszał pan kiedykolwiek o Gleeson College? – pytam, rozpaczliwie starając się wydobyć z niego jakieś strzępy informacji. – Mieści się na zachodzie Massachusetts.

– Nie. Ale nie wymienię pani wszystkich uczelni nawet w Bostonie.

– Mogę panu coś pokazać? Na pańskim komputerze. To zajmie tylko chwilę.

Riddenscail kiwa głową i odsuwa się od biurka, a ja przejmuję klawiaturę. Ładuję stronę Gleeson College, odnajduję zdjęcie, na którym widać w tle Livię, i proszę Riddenscaila, żeby mu się przyjrzał.

– To z pewnością Livia. Na stronie uczelni? Hm... – Nauczyciel marszczy czoło, bierze myszkę i zaczyna przewijać stronę, żeby obejrzeć więcej fotografii. Następnie wybiera różne inne opcje z menu i surfuje po stronie. Wszędzie widać roześmiane, szczęśliwe dzieciaki, siedzące na tle zielonych wzgórz. – Chyba będę dla pani coś miał... Przysiাগłbym, że już to kiedyś widziałem.

Kolejne wyszukiwanie. Riddenscail śmiga po internecie, najwyraźniej obeznany z technologią. Otwiera i szybko zamyka szereg stron, jedną po drugiej. Nie mam nawet czasu zapamiętać nazw kolejnych szkół.

– Mam to – mówi w końcu, robiąc krok do tyłu i dając znak, żebym podeszła bliżej.

Przyglądam się ekranowi i zerkam na Riddenscaila.

– Otworzył pan tę stronę w dwóch różnych oknach.

– Proszę spojrzeć na pasek tytułu.

Czytam nagłówki. *Gleeson College*, widnieje na jednym. *Lannister University* – na drugim. Fotografie są takie same. Uśmiechnięte dzieciaki w klasach. Śmiejące się dzieciaki na tle zielonych wzgórz. Nie są podobne, są identyczne.

– Jeszcze chwilę. – Riddenscail znowu stuka w klawisze. Wchodzi na stronę Gleeson i klika na linki na dole. Znowu robi to zbyt szybko, żebym coś pojęła. – Będziecie potrzebowali techników komputerowych, żeby się upewnić, ale ta strona Gleeson College ma zaledwie kilka miesięcy. To znaczy cała uczelnia powstała w magiczny sposób latem tego roku. Większość zdjęć jest ściągniętych z internetowych stron innych szkół. Przynajmniej te, które przedstawiają budynki i studentów w plenerze.

– Nie rozumiem.

– Ujmę to w ten sposób. Nie wiem, czy Livia fałszowała prawa jazdy, ale sądząc po tej stronie, na pewno powołała do życia fikcyjną uczelnię. Choć po co wymyślać cały uniwersytet... – Riddenscail kręci głową. – W tej kwestii jestem tak samo mądry jak pani.

Rozdział 34

WYCHODZĘ ZE SZKOŁY LIVII zdezorientowana i przytłoczona. Muszę wracać do Stoneya na popołudniową zmianę. Muszę zadzwonić do Lothama i opowiedzieć mu o Gleeson College. Muszę... poznać magiczne odpowiedzi, tajemnice wszechświata, znak X oznaczający miejsce ukrycia skarbu. Masując czoło i mrużąc oczy przed jaskrawym słońcem, wyciągam z kieszeni telefon.

Który dzwoni, zanim zdążę otworzyć klapkę. Zdziwiona odbieram.

– Halo?

– Tu Emmanuel. Mówią, że policja znalazła ciało dziewczyny. W parku Franklina. Czy to...

– Och, skarbie. Nie, to nie Angelique. Tak mi przykro, Emmanuelu. Nie musisz się martwić. Gdyby to była Angelique, najpierw zawiadomiliby twoją rodzinę, a dopiero potem mówili o tym w wiadomościach.

Chłopak milczy. Słyszę jego oddech, głośny i urywany. Musi być przerażony. Dlaczego, do diabła, ani Lotham, ani funkcjonariusz O'Shaughnessy nie skontaktowali się z Guerline i jej siostrzeńcem?

– Ta inna dziewczyna... – szepcze Emmanuel. – To jest ta tajemnicza przyjaciółka LiLi?

Odruchowo się krzywię. Miałam nadzieję, że na to nie wpadnie. Nie wiem, ile mogę mu powiedzieć i czy przy tej rozmowie nie powinna być obecna jego ciotka. Ale moją generalną zasadą jest szczerłość.

– Została zidentyfikowana jako Livia Samdi – mówię.

Emmanuel głośno przetyka ślinę.

– Jak ją zabili?

– Policja wciąż prowadzi śledztwo.

– A LiLi? Czy gdzieś ją znów widziano? Teraz, kiedy jej przyjaciółka nie żyje... – Słyszę w jego głosie panikę.

– Nikt jej nigdzie nie widział. I to dobrze, Emmanuel. To znaczy, że Angelique żyje. Znajdziemy ją.

Długa pauza.

– Boję się – słyszę w końcu cichy szept.

– Ja też się boję.

– Mówiła pani, że odnajduje ludzi. Dlaczego nie może pani jej odnaleźć? Dlaczego nikt nie może odnaleźć LiLi?

Daję mu chwilę, żeby zapanował nad rozpaczą. To oczywiste, że jest przerażony i sfrustrowany. Ja jestem profesjonalistką, a czuję się podobnie. Dlatego traktuję tego chłopca tak, jak sama chciałabym być traktowana. Zlecam mu zadanie.

– Słyszałaś kiedyś o Gleeson College?

– Nie. – Drżące westchnienie świadczy, że moje pytanie pomaga mu się opanować, a o to właśnie mi chodziło.

– Wygląda na to, że Livia albo twoja siostra utworzyły stronę fikcyjnej uczelni. Domyślasz się po co? Strona jest nowa, z tego lata. Sądzę, że uda ci się to sprawdzić. Większość zawartości jest ściągnięta ze stron różnych istniejących uniwersytetów.

– Nie... nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby to robić. Gleeson College? Poszukam.

Idealne i całkowicie legalne zajęcie dla internetowego nerda. Zakładaliśmy, że Angelique i Livię zachowano przy życiu ze względu na ich talenty. Stworzenie fikcyjnej uczelni nigdy nie przyszło nam do głowy. I nadal tego nie rozumiem. Ale nieważne. Riddenscail odkrył, że Gleeson College w rzeczywistości nie istnieje. Stronę utworzono latem tego roku. Kilka miesięcy później Livia została zamordowana. Bo takie było jej zadanie i zostało wykonane? Chociaż co może być takiego szczególnego w stronie wyższej uczelni?

– Mówi ci coś imię Deke? – pytam, zmieniając na chwilę temat. – Widziałeś może kręcącego się koło waszego domu wysokiego, chudego

faceta w dresie, obwieszzonego złotymi łańcuchami?

– Nie, nie. Nie znam żadnego Deke'a. To kolejny przyjaciel mojej siostry?

– Policja interesuje się nim w związku z toczącym się śledztwem. – Przemawiam jak typowy glina i zastanawiam się, czy Lotham czymś mnie nie zaraził.

– Podejrzany? – W głosie Emmanuela słyszę podniecenie.

– Niekoniecznie. Ale to możliwe. Czyny my postępy. Przysięgam. W tym momencie nie ma dla mnie nic ważniejszego od życia twojej siostry. Ja, detektyw Lotham oraz funkcjonariusz O'Shaughnessy, wszyscy się tym zajmujemy. Na sto procent, przez cały czas, obsesyjnie. Nie powinieneś być teraz w szkole?

– Byłem, ale dotarła do mnie ta wiadomość. I nie mogłem... po prostu nie mogłem. Jestem teraz na dworze. W klasach nie wolno mieć przy sobie komórki. Coś odkryłem – dodaje po chwili.

– W fałszywym prawie jazdy? Rozszyfrowałeś jego numer? – Teraz to mnie ogarnia podniecenie.

– Nie, nie udało mi się. Coś w nim jest, ale nie wiem co. Mam znajomego z programem komputerowym do algorytmów. Pójdę z tym do niego. Chodzi mi o te inne rzeczy, datę urodzenia naszej mamy i rok uzyskania niepodległości przez Haiti. To świadczy, że LiLi tęskni za mamą.

Kiwam głową. Już o tym wspominał.

– Więc... zdjęłem ze ściany zdjęcie mamy. I wyjąłem je z ramki.

Nie mam odwagi powiedzieć mu, że zrobiłam to samo wcześniej.

– Z tyłu była kartka. Z napisem od LiLi i moim rysunkiem. To nasza laurka dla *manman*. Ale tym razem, kiedy ją rozłożyłem, ze środka wypadł inny karteluszek.

Nadstawiam ucha. Ja zwróciłam uwagę wyłącznie na treść słodkiej laurki, nie zdając sobie sprawy, że była narysowana na złożonej kartce. Szukałam dowodów bardziej oczywistych wykroczeń.

- To był paragon ze sklepu z elektroniką. Na samej górze jest numer. Numer telefonu, odręcznie zapisany przez LiLi.

- Masz przy sobie ten paragon?

- Tak.

- Przyjrzyj mu się. Co kupiła?

- Już sprawdziłem. Komórkę Tracfone.

Na krótką chwilę wpadam w euforię.

- To wspaniale, Emmanuel! Wiemy, że twoja siostra używała telefonu na kartę, tak?

- Tak.

- Ale policja nie mogła niczego ustalić, nie mając jego numeru. Nie dało się go zlokalizować, namierzyć i tak dalej.

- A można namierzyć tracfone'a?

- Owszem, jeśli ma GPS. A w dzisiejszych czasach większość telefonów ma. No i musi być włączony, kiedy próbuje się go namierzyć.

Do Emmanuela zaczyna to docierać.

- Policja może to zrobić? Zlokalizować moją siostrę? Tak po prostu?

- Zakładając, że Angelique ma przy sobie włączony telefon. - Zaczynam widzieć podstawowy mankament mojego planu. - Co wcale... wcale nie jest takie oczywiste. Rozumiem, że kupiła tę komórkę jesienią zeszłego roku?

- Trzydziestego pierwszego sierpnia.

- Domyślam się, że używała jej do kontaktowania się z Livią. Nie wiem, czy po tym, jak zniknęła, nadal miała do niej dostęp. - Innymi słowy, czy pozwolono by jej używać telefonu, skoro była przetrzymywana wbrew swojej woli.

- No tak... - rzuca ciszej Emmanuel.

Bystry dzieciak. Zrozumiał to, czego nie powiedziałam. Jaki porywacz pozwala swojej ofierze zachować komórkę?

- Ale są inne informacje, do których policja powinna uzyskać dostęp - dodaje, starając się podtrzymać go na duchu. - Lista połączeń, esemesy, nagrana poczta głosowa. Nie wiadomo, ilu rzeczy możemy się dzięki temu

dowiedzieć. W tym również tego, co właściwie zamierzały zrobić Angelique i Livia.

– Livia nie żyje – mówi Emmanuel. Ma zdecydowanie zmieniony głos. Apatyczny, niemal posępny. Jak głos trzydziestoletniego mężczyzny, nie nastolatka. – Jeśli ją zabili...

– Odnajdziemy twoją siostrę, Emmanuel. Znalazłeś ten paragon, to wielka sprawa. Twoja siostra mówi, ale tylko ty ją słyszysz. Ty dostajesz od niej wiadomości. – Czuję, jak rośnie mi gula w gardle. – Robisz dla niej bardzo wiele – dodają i milkną.

Nie potrafię mu powiedzieć, jak silna jest łącząca ich więź. Mam nadzieję, że to rozumie. Cokolwiek się teraz zdarzy, to nie on będzie winien. To będzie moja wina. I wina detektywa Lothama. A żadne z nas nie chce mieć Angelique na sumieniu.

Przed oczami staje mi brat Livii, J.J. Ogarnięty tak strasznym gniewem i tak straszną rozpaczą, że tatuaże wręcz pełzły po jego skórze. Chciałabym powiedzieć, że my będziemy mieli więcej szczęścia, ale po czternastu trupach nie jestem tego pewna. I to mnie dręczy. Każda sprawa, każde odkrycie. Zwłoki Lani Whitehorse na dnie jeziora... to wszystko mnie dręczy.

Zmuszam się, by mówić dalej:

– Chcę, żebyś skontaktował się z funkcjonariuszem O’Shaughnessym. Powiedz mu o tym paragonie. Policja powinna go natychmiast dostać.

– Trzymam go w plastikowej torebce – oznajmia Emmanuel.

Uśmiecham się lekko. Ma własną torebkę na dowody rzeczowe. Chłopak szybko się uczy.

– Gleeson College – przypominam mu, zerkając na zegarek; muszę już kończyć.

– Sprawdzę to – obiecuje.

– Jedno ze zdjęć na tej stronie przedstawia twoją siostrę. Jest tam również fotografia Livii. Mówię, żebyś wiedział.

– Znam się na stronach internetowych. Powinienem dowiedzieć się czegoś więcej, zwłaszcza jeśli jest nowa, a zawartość skopiowana z innych

stron.

– Dziękuję, Emmanuel. Miej po prostu oczy szeroko otwarte. Dobrze? Wypatruj siostry i wszystkiego, co odbiega od normy.

– Po południu idę do tego znajomego.

– Świetnie. Zawsze to jakiś plan.

Emmanuel się rozłącza, a ja wciąż stoję na rogu, trzymając w dłoni komórkę. Zdaję sobie sprawę, że jestem skonana. I przybita, ale również nadmiernie pobudzona. Czujna. Dlatego czuję to. Swędzenie między łopatkami. Ktoś mnie obserwuje. Obracam się na pięcie, nie dbając o to, że się zdradzę. Chcę wiedzieć. Chcę go zobaczyć.

Ale widzę tylko idących ulicą przypadkowych przechodniów. W jednym miejscu dwie kobiety, w innym jakiś mężczyzna. To spokojna pora dnia. Trochę za późno na lunch, trochę za wcześniej na powrót do domu.

Oglądam się jeszcze raz i ruszam w stronę większej ulicy. Zamierzam złapać taksówkę, wydać kolejne drogocenne dolary. Mam mało czasu.

Angelique też ma mało czasu.

Wybieram numer Lothama i szykuję się na następne kazanie.

STAWIAM SIĘ W PRACY punktualnie o trzeciej, zdążywszy wcześniej pobiec na górę, umyć ręce i twarz i spiąć włosy. Idealnie przygotowana. Bez najmniejszego spóźnienia. Ściągam krzesła ze stolików i stawiam je na podłodze. Psikam i wycieram, psikam i wycieram. Potem idę za bar, by ustawić czyste szklanki. I do kuchni, skąd biorę cytryny, limonki i deskę do krojenia. Kroję i obieram, kroję i obieram. Wrzucam plasterki do pojemników. Sypię orzeszki do misek, odkręcam butelki z keczupem. Kontuar lśni. Kegle z piwem są pod właściwym ciśnieniem.

Mając jeszcze dziesięć minut do otwarcia, atakuję butelki z alkoholem: wysuwam każdą, wściekle całą wycieram, a potem ustawiam wszystkie w idealnym porządku. Szoruję brzegi półek, pucuję lustrzaną ściankę.

Kiedy się odwracam, widzę Stoneya, który stoi i mi się przygląda.

– Ciężki dzień? – pyta.

– Boli mnie głowa.

– Słyszałem, że znaleźli ciało dziewczyny.

– Livii Samdi. Tej drugiej zaginionej. – Opieram ręce o kontuar. – Zamordowano ją.

Stoney milczy.

– Tak bardzo starałam się odnaleźć brakujące fragmenty, odtworzyć ścieżkę, która zaprowadziłaby nas zarówno do Livii, jak i do Angelique. Niestety, nie zdążyłam na czas. Po raz kolejny się spóźniłam.

Wściekam się, słysząc w swoim głosie płaczliwy ton, ale to jest silniejsze ode mnie. Nie powinnam traktować tych spraw tak osobiście, lecz traktuję. To coś, na co nie mogę nic poradzić, coś, czego nie rozumiał Paul.

Stoney milczy.

– Chcę... chcę po prostu załatwić to tak jak trzeba – wyznaję pospiesznie. – Chcę być tą, która sprowadzi do domu zaginioną osobę. Chcę tam być, kiedy będzie witana i ściskana. Po czternastu razach muszę załatwić to we właściwy sposób.

– Angelique Badeau wciąż żyje – mówi Stoney.

– Z tego, co wiemy.

– W takim razie ciągle masz robotę do zrobienia. – Podaje mi kółko z kluczami.

Rozumiem, co ma na myśli. Livia odeszła, lecz Angelique nadal mnie potrzebuje. Charlie pochwaliliby tę strategię. Skup się na tych, których wciąż możesz uratować.

Nie na szczątkach, które za sobą zostawiłeś.

Otwieram kluczem frontowe drzwi. Happy hour zaczyna się zbyt wolno jak na moje stargane nerwy. Dosypuję orzeszków do misek, kiedy tylko zabraknie w nich jednego. Dolewam wody do szklanek już po pierwszym łyku. Zważywszy, ilu moich klientów w ogóle prosi o wodę, czuję na sobie wiele zdziwionych spojrzeń. Ale nie mogę przestać się krzątać, bo wtedy znów opadną mnie złe myśli. O fałszywych dowodach

tożsamości, fałszywych uczelniach, martwej dziewczynie. O kochającym bracie, rozpaczliwie pragnącym zobaczyć starszą siostrę.

Lotham nie był w radosnym nastroju, kiedy do niego zadzwoniłam. Tak samo jak mnie, zaskoczyła go wiadomość, że Gleeson College nie jest prawdziwą uczelnią. Zaintrygowały go możliwości, jakie dawał nam znaleziony przez Emmanuela numer telefonu i paragon zakupu tracfone'a. I zdecydowanie nie chciał puścić pary z gęby w kwestii nazwiska Deke'a, który, jak już zgadłam, na pewno nie nazywał się Samdi.

Przyznał ponuro, że nie udało mu się załatwić nakazu przeszukania komputerów w centrum rekreacyjnym. Biorąc pod uwagę, że zwłoki zostały znalezione dziewięć miesięcy po ostatniej bytności tam Livii, uznano, że nie ma wystarczających dowodów, by powiązać komputery z zabójstwem. Powinien za to uzyskać nakaz na należącego do Angelique tracfone'a i oczywiście będą próbowali go namierzyć, nie mówiąc już o odzyskaniu esemesów, listy połączeń i tak dalej. W tym momencie można to uznać za szczęśliwy traf.

Skończyłam rozmawiać z Lothamem tak samo poirytowana jak wcześniej. Być może zabójstwo Livii odcisnęło piętno na nas obojgu. Może oboje odciskamy na sobie swoje piętno.

Krótko po szóstej w drzwiach pojawia się znajoma postać. Oddycham z wielką ulgą. Charlie podchodzi powoli do baru i siada na stołku. Już wcześniej postawiłam dla niego na kontuarze szklanke z wodą.

– Kawa, coś do jedzenia, piwo bezalkoholowe?

– Viv jest w kuchni?

– Tak.

– W takim razie wezmę burgera. Powiedz jej, że to dla mnie.

Widzę błysk w jego oku, gdy o niej mówi. I założę się, że zobaczę taki sam błysk w oku Viv, kiedy złożę to zamówienie. Muszę przyznać, że nasza kucharka ma dobry gust, jeśli chodzi o męzczyzn.

Idę do kuchni i Viv oczywiście cała się rozpromienia.

– Powiedz Charliemu, że o niego zadbam.

– Nie masz męża?

– Który jest najlepszym facetem pod słońcem, naprawdę, kochana. Ale nigdy nie zaszkodzi popatrzeć. YOLO*, skarbie.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Żyje się tylko raz. A skoro już o tym mowa, gdzie jest dziś wieczorem twój przystojniak?

– Siedzi pewnie nadąsany przy swoim biurku. Najwyraźniej lubi silne, niezależne kobiety, pod warunkiem że nie są zbyt silne i niezależne. Trudno. – Wzruszam ramionami.

– Przyjdzie tutaj, dupeńko. Ci dobrzy zawsze przychodzą.

– No tak, ale będąc silna i niezależna, nie siedzę na tyłku, czekając, aż zadzwoni telefon.

– Co jeszcze bardziej cię wzmacnia. Uściskaj ode mnie Charliego. Ten facet ma niesamowite ramiona.

Nie chcę wiedzieć, skąd o tym wie. Wracam do baru z filiżanką kawy dla Charliego, a potem zajmuję się innymi klientami. Przy następnej przerwie siadam naprzeciwko niego i zamieniam się w słuch.

– Przykro mi z powodu pani Samdi – mówi. – Zajrzałem do niej, ale syn nie zniósł tego najlepiej.

– W porządku. W dziwny sposób obróciło się to na naszą korzyść. J.J. dorwał mnie i opowiedział ciekawe rzeczy o swoim starszym przyrodnim bracie, niejakiem Deke’u, który najwyraźniej miał powiązania ze światem fałszerzy i skłonność do napadów z bronią w rękę.

– O Deke’u Alarie? Mówisz serio?

– Tak brzmi jego nazwisko? Oczywiście, że mówię serio. Zeznawaj. Co powinnam wiedzieć?

– Słowo „Alarie” pochodzi z francuskiego, oznacza „pełnię władzy”, i powiem ci, że facet zasłużył na to nazwisko. Kawał sukinsyna. Jeśli uznał, że chce czegoś, co do ciebie należy, albo że możesz mu odebrać coś, co należy do niego... – Charlie kręci głową. – Ten facet sprzedałby własną matkę, żeby dopiąć swego, to pewne. Może nawet to zrobił.

– Wyobrażam sobie, że miał równie bezwzględnych współników?

– Zadawał się z prawdziwymi bandziorami. Ludźmi, którymi powinien się zainteresować twój przyjaciel detektyw. Nie ty, mała. Nie ty. – Niski głos Charliego jest tak sugestywny, że mam ochotę go słuchać. – Z tego, co wiem, Deke Alarie założył jakiś nowy biznes, ale potem skazali go za napad z bronią w rękę i na tym się skończyło.

– Słyszałeś o nim coś w kontekście fałszywych banknotów?

– Nie. Ale jeśli był jakiś gangster zainteresowany wejściem w tak skomplikowany interes... Tak, to mógł być Deke Alarie. To całkiem prawdopodobne.

– Więc może jego nowi biznesowi partnerzy go w to wciągnęli?

– Nawet gangsterzy mają swoje marzenia.

Przewracam oczami.

Charlie uśmiecha się, ale zaraz potem poważnieje.

– Jakies nowe wiadomości o Angelique Badeau? – pyta.

– Na razie nic. Po zamordowaniu Livii... nie wiem. Coś najwyraźniej się zmieniło i nie wróży to dobrze Angelique. – Nachyliłam się do niego. – Jesteśmy całkiem pewni, że Livia i Angelique sprzedawały fałszywe dowody tożsamości. Tyle że nie bardzo rozumiem, jak mogło to doprowadzić do ich porwania. Mówiliśmy o tym już wcześniej: jasne, na fałszerstwach można zarobić, ale to nie jest najwyższej klasy robota.

– Bardziej w stylu „zrób to sam”.

– Właśnie. Ale jak to się ma do ich uwięzienia? Przetrzymania dwóch nastolatków wbrew ich woli... To ryzykowne przedsięwzięcie, wymaga skomplikowanej logistyki. I więcej niż kilku osób, które by ich pilnowały. Już nie w stylu „zrób to sam”.

– Wygląda raczej na gang.

– Tak. Przyszedł mi na myśl rodzony brat Livii, J.J., tyle że sądząc po jego reakcji na śmierć siostry, to niemożliwe. Czyli zostaje nam jej przyrodni brat, Deke, i jego wspólnicy.

Charlie kiwa głową.

– To całkiem logiczne.

– Ale co oni robią, Charlie? Podrabianie dowodów tożsamości, dzięki którym możesz się napić w barze, to nie mogą być duże pieniądze. Sam mówiłeś: fałszywe paszporty, kradzież tożsamości, wizy pracownicze. To jest coś, o co warto się bić. Ale jak przejść od marnej podróbki do tego stopnia specjalizacji?

Charlie marszczy czoło, stuka palcem w swoją filiżankę i znów marszczy czoło. Viv dzwoni z kuchni. Idę po burgera dla Charliego, a potem wystawiam rachunki i podaję nowe drinki.

Kiedy wracam za bar, Charlie ma nowy pomysł.

– Potrzebujesz eksperta.

– Jakiego eksperta?

– Falszerza. Kogoś, kto zapoznałby cię z całą logistyką. Tak się chyba łapie przestępców? Czego potrzebują? Jakie mają problemy? Tego rodzaju rzeczy. Trzeba myśleć jak falszerz.

– Rozmawiałam z nauczycielem, który uczył Livię obsługi AutoCAD-a. Powiedział, że sfalszowanie prawa jazdy wymagałoby komputera, specjalistycznej drukarki oraz drogich tuszów. Nie wydaje się to zbyt skomplikowane i nie wymaga chyba dużej przestrzeni. – Przez chwilę się zastanawiam. – Ale musiałyby się jednak gdzieś odbywać. Może w tym samym miejscu, gdzie są przetrzymywane dziewczyny? Skoro Angelique spacerowała po Mattapanie, to musi być gdzieś w pobliżu... I jest coś jeszcze. Dziewczyny stworzyły stronę uczelni, która nie istnieje. Zadbaly o wszystkie szczegóły. Zdjęcia kampusu, oferta zajęć, list od rektora. Wszystko co trzeba.

Charlie gryzie burgera i żuje w zadumie.

– Po co im fałszywa uczelnia?

– W tym sęk. Od fałszywego prawa jazdy do fałszywej szkoły? Nie mam pojęcia.

Charlie żuje i przełyka. Widzę, że jeden z klientów próbuje przyciągnąć moją uwagę. Muszę trochę popracować. Kiedy wracam do Charliego, właśnie kończy jeść. Nalewam mu wody.

- Była taka historia - mówi. - Pięć, sześć lat temu. Facet założył firmę. Wydawała wizy pracownicze.

- Chcesz powiedzieć, że podrabiali wizy pracownicze?

- Nie. Jego firma wydawała fałszywe papiery, na podstawie których ludzie mogli sobie wyrobić prawdziwe wizy. Ale facet zrobił się chciwy. Władze dowiedziały się wkrótce o małej firmie, która potrzebuje setek inżynierów. Było to tym ciekawsze, że żaden ze starających się o tę robotę imigrantów nie miał dyplomu inżyniera. Fajnie było, ale się skończyło.

- Czyli chodzi nie o fałszowanie wiz, co jest prawie niemożliwe, ale o wystawianie dokumentów przez nieistniejącą firmę, żeby na ich podstawie złożyć podanie o prawdziwą wizę. - Przypominam sobie, co mówił Emmanuel o swojej siostrze, o jej planach, by zapisać się na dodatkowe kursy online, ukończyć wcześniej liceum i jak najszybciej dostać się na studia. Co dałoby jej wizę studencką i zapewniło dalszy pobyt w tym kraju. - A co powiesz na wizy studenckie, Charlie? Fikcyjna uczelnia, na którą się zapisujesz, i dostajesz taką wizę?

- To możliwe.

- I nikt by tego nie zauważył? Nie ma jakichś procedur, które kontrolują, czy nie dochodzi do nadużyć?

Charlie wzrusza ramionami.

- Tamtą firmę w końcu zamknięto, ale wcześniej ludzie zarobili miliony. Szczelność systemu zależy od tego, ile czasu i energii mają nadzorujący go biurokraci. Jeśli pobieżna kontrola wykazuje, że dana firma czy uczelnia istnieje, kto ma tak naprawdę czas i ochotę drażnić dalej? Nie mówię już o dzieciakach wjeżdżających do Stanów z autentycznymi wizami J-jeden, pochodzącymi z autentycznych szkół wyższych. Kiedy już tu są, mało kto zwraca uwagę, dokąd jadą i co robią.

- Jednak ich wizy po jakimś czasie wygasają.

- To staje się problemem, jeśli stąd wyjadą i chcą wjechać z powrotem. Ale mogą też wcale się stąd nie ruszać... i legitymować się nowym prawem jazdy.

W tym momencie dostają gęsiej skórki. Co przyniosłoby większy zysk niż fałszywe dowody tożsamości? Co uzasadniałoby porwanie dwóch

przedsiębiorczych nastolatek i długotrwałe ich przetrzymywanie? Być może stworzenie systemu, który generowałby autentyczne wizy studenckie? Widzę nawet, jak bardzo taki projekt mógł osobiście zainteresować Angelique ze względu na status imigranta, jaki mieli ona i Emmanuel. Może dlatego wydało jej się to takim świetnym pomysłem... do chwili, gdy okazało się, że jest wprost przeciwnie.

Czy Livia pierwsza skontaktowała się z Dekiem, czy też on ją w to wplątał? Nie wiem, czy to ma znaczenie. Deke, ze swoimi wspólnikami, musiał przejąć całą operację i ją poprowadzić. Zmuszając przyrodną siostrę i Angelique, żeby dla nich pracowały. Zważywszy na talenty dziewczyn w programowaniu i projektowaniu komputerowym, to małe przedsięwzięcie mogło trwać i trwać, rozwijając się i rozrastając. Od fikcyjnej uczelni, generującej wizy studenckie, po firmę, generującą wizy pracownicze, jak opisał to Charlie. Zyski mogłyby być naprawdę niebotyczne. Na pewno opłacałoby się dla nich przetrzymywać dwie dziewczyny.

Tyle że Livia już nie żyje.

Czy po wyprodukowaniu matryc przestała być potrzebna? Może jej stres sprawił, że nie można już było na niej polegać? I co oznaczała jej śmierć dla Angelique? Biednej, nastawionej na rozwiązywanie problemów Angelique, która rozpaczliwie pozostawiała kolejne tropy, robiła wszystko, co w jej mocy, by nas do nich doprowadzić.

A wczoraj w nocy wsiadła do furgonetki, żeby pomóc im pozbyć się ciała przyjaciółki.

I uświadomiła sobie, że żaden z jej planów nie wypalił.

I że ona będzie następna.

– Dziękuję, Charlie – mówię i zerkam na zegarek.

Jest ósma. O wiele za wcześnie, żeby zrywać się z roboty. Ale nie mam wyboru. Nie mogę tu zostać i dalej podawać drinków. Nie wtedy, kiedy stawka jest tak wysoka. Muszę stąd iść. Muszę coś zrobić. Mam nadzieję, że Stoney zrozumie.

Rozwiązuję pasek fartucha. Charlie wstaje ze stołka.

– Dokąd się wybierasz? – pyta.

– Nie wiem. – Może do komisariatu bostońskiej policji, żeby pogadać z Lothamem. A może... – Do centrum rekreacyjnego – mówię.

– O tej porze?

– Tam wszystko się zaczęło. I wszystkie drogi prowadzą tam z powrotem. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tam właśnie powinnam pójść.

– To idę razem z tobą.

Nie protestuję. Potężny ochroniarz nie jest wcale złym pomysłem. Muszę tylko załatwić jeszcze jedną sprawę. Zaglądam do kantorka, w którym Stoney stuka w klawisze antycznego komputera.

– Do widzenia – rzuca, nie podnosząc wzroku.

– Mam pewien trop.

– Do widzenia.

– Jeszcze tu wrócę. Bardzo przepraszam.

Stoney w końcu na mnie spogląda.

– Idź – mówi.

No to idę, wraz z kroczącym za mną Charliem. Udaje nam się przejść zaledwie kilka kroków, gdy dzwoni moja komórka. To Emmanuel. W jego głosie słyszę histerię.

* Skrót od ang. *You Only Live Once* – Żyje się tylko raz.

Rozdział 35

- LILI - ZAWODZI Emmanuel. - Właśnie zadzwoniła. Słyszałem krzyki. „Nie, nie, nie!”, krzyczała. A potem: „Wybacz mi, wybacz, wybacz!”. Ale nie do mnie. To brzmiało, jakby mówiła do kogoś innego. Schowała chyba telefon w miejscu, gdzie go nie widzieli. A potem usłyszałem wielkie BUM. Nic z tego nie rozumiałem. Zacząłem wykrzykiwać jej imię. I wtedy wróciła i odezwała się wprost do mnie: „Kocham cię”. I połączenie się urwało. Co się dzieje? Co się dzieje, Frankie?

- Próbowałeś oddzwonić?

- Nie mogę. Numer jest zablokowany.

- A ten numer, który znalazłeś na paragonie?

- Nie odpowiada. Nie sędzę, żeby tamta komórka była włączona.

- Dobrze, idziemy prosto do ciebie. Daj mi dziesięć minut.

- Gdzie jest moja siostra?!

- Pracuję nad tym. Przysięgam, że...

- Kłamiesz! Ty nic nie wiesz. Kłamiesz!

- Emmanuel! Posłuchaj mnie! Twoja siostra cię potrzebuje. Co z zaszyfowanym numerem prawa jazdy? Pomyśl. Udało ci się coś odkryć?

- Uzyskałem tylko kolejny ciąg cyfr. Może to szyfr w szyfrze. Nadal nad tym pracuję.

- Daj mi to, co masz, już teraz.

Emmanuel zaczyna podawać cyfry. Powtarzam je na głos. Charlie sięga do kieszeni swojej wielkiej kurtki, wyciąga długopis i zapisuje je na dłoni, jakbyśmy współpracowali ze sobą od wielu lat.

- Zostań tam, gdzie jesteś - instruuję Emmanuela. - Nie wyłączaj komórki. Jeśli Angélique znów zadzwoni, rób, co możesz, żeby połączenie

nie zostało zerwane, dobrze? Może policji uda się ją namierzyć. Dzwonię natychmiast do detektywa Lothama.

Rozłączam się i wybieram numer Lothama. Charlie słowem się nie odzywa, tylko kroczy za mną, kiedy maszeruję do mieszkania Guerline.

Lotham odbiera dopiero po czwartym dzwonku.

– Nie teraz...

– Właśnie dzwonił do mnie Emmanuel. Pięć minut temu telefonowała do niego Angelique. Wołała o pomoc, połączenie zostało zerwane, numer jest zablokowany. Nie może do niej oddzwonić.

– Cholera.

– Charlie i ja właśnie tam idziemy.

– Nie! Wysyłam mundurowych. Wracaj do domu. Naprawdę, Frankie, ja nie żartuję.

– Nie chcę być dziecinna, ale nie jesteś moim szefem.

– Niech cię wszyscy diabli! – Głęboki oddech. Najwyraźniej próbuje się opanować, ale mam go w dupie. To moja sprawa i nie zamierzam się wycofać. – Jestem przed domem Samdich, Frankie. On nie żyje.

Na chwilę gubię krok i zerkam na Charliego.

– Kto nie żyje?

– J.J. Samdi. Zastrzelony. Mniej więcej pół godziny temu.

– To ta strona internetowa – szepczę.

– O czym, kurwa, mówisz, Frankie?

– To był ich ostatni projekt. Ostatni fragment układanki. Potrzebowali dziewczyn do stworzenia wirtualnej uczelni. Żeby móc przejść od fałszowania dowodów tożsamości do fałszowania zaświadczeń, na podstawie których wydawane są prawdziwe wizy studenckie. Teraz, kiedy wszystko jest już wykonane i działa jak trzeba, zacierają za sobą ślady. Deke Alarie zaciera za sobą ślady.

– Wracaj do domu.

– Rodzina Angelique też może być w niebezpieczeństwie.

– Dlatego posyłam tam mundurowych.

– To świetnie, spotkamy się z nimi na miejscu.

Rozłączam się i zerkam na Charliego, który najwyraźniej słyszał całą rozmowę.

– Co powiesz, żebyśmy się trochę pospieszyli? – pytam.

– Moje kolana będą się buntować, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

Oboje puszczaamy się biegiem.

KIEDY DOCIERAMY DO PRZECZNICY, gdzie mieszka Emmanuel ze swoją ciotką, rejestruję dwie rzeczy jednocześnie. Odgłos wyjących w oddali syren i płacz kobiety.

– Porwali go! – krzyczy Guerline na mój widok. – Porwali Emmanuela!

– Kto, gdzie?

– Jacyś mężczyźni. Zeszłam po niego na dół i nagle pośrodku ulicy zatrzymała się biała furgonetka i wyskoczył z niej mężczyzna. Miał broń. Wycelował z niej w Emmanuela i kazał mu wsiadać, zanim komuś stanie się krzywda. Złapałam siostrzeńca za rękę, próbowałam go odciągnąć. Jednak ten facet... wbiegł po schodkach i uderzył go pistoletem w głowę. Emmanuel... upadł. Z głowy trysnęła mu krew, tyle krwi. Zaczęłam krzyczeć, ale ten facet tylko na mnie spojrział. A potem przerzucił sobie Emmanuela przez ramię i zabrał go do furgonetki. Kiedy odjeżdżali... – Guerline łamie się głos – usłyszałam strzał. I zobaczyłam jasny błysk przez boczną szybę. Zabili Emmanuela. Zabili moją dziecinę. O Boże, co oni zrobili?

Łapię ją za ramię, bo widzę, że zaraz upadnie.

– Czy ten facet coś powiedział? – pytam, usiłując nie stracić równowagi.

– Nie.

– Jak wyglądał?

– Wysoki. Chudy. Włosy miał zaplecione w warkoczyki. I miał na sobie złote łańcuchy.

– Deke Alarie – szepczę.

– W którą stronę odjechała ta furgonetka, proszę pani? – pyta Charlie.

Guerline wskazuje kierunek. Słyszę policyjne syreny, które w końcu się zbliżają.

– Czy Emmanuel miał przy sobie komórkę?

– Upuścił ją, kiedy ten facet go uderzył.

– Niech to diabli. – Dzięki telefonowi moglibyśmy go namierzyć. Z czego oczywiście zdawał sobie sprawę Deke. – Czy mogę zajrzeć do pani mieszkania, pani Violette? Emmanuel starał się rozwiązać zaszyfowaną wiadomość, którą, jak sądzimy, zostawiła nam Angeliq. Chcę zobaczyć jego notatki.

Guerline jest chyba zbyt wstrząśnięta, żeby mi odpowiedzieć. Zostawiam ją z Charliem, a sama pędzę na górę i wbiegam do mieszkania. Na kuchennym stole widzę otwartego laptopa, a wokół niego luźne kartki. Nie tracę czasu na ich oglądanie. Łapię laptopa i papiery i dostrzegam oparty o ścianę ciemnoniebieski plecak. Należy pewnie do Emmanuela. Wpycham tam wszystko i zarzucam sobie plecak na ramię.

Na dworze rozlega się pisk opon, pod dom zajeżdżają dwa radiowozy. Guerline, pocieszana przez Charliego, znów wybucha płaczem. Słyszę charakterystyczny głos funkcjonariusza O'Shaughnessy'ego, który chce wiedzieć, co się wydarzyło.

Wychodzę z mieszkania na podest drugiego piętra. Jeśli teraz tam zejdę, O'Shaughnessy będzie niewątpliwie chciał poznać moją wersję wypadków. Może również zauważyć plecak Emmanuela, a wtedy każe mi go oddać.

Czas ucieka. Czuję to. Słyszę dźwięk werbla, który ściga mnie od samego rana. Już teraz, już teraz, już teraz. Wszystko dzieje się już teraz.

Co się stanie, jeśli pójdę na dół i dam się przesłuchiwać jak grzeczna dziewczynka? Nie będzie żadnego „już teraz”. Będzie dużo gadania i wyjaśniania, a potem złość i ostra wymiana zdań. A później zlitujcie się nade mną niebios, jeśli pojawi się Lotham i będę musiała wyjaśniać wszystko od początku.

Ostatecznie nie muszę właściwie podejmować decyzji. Chodzi o Angeliq. Jestem tu, żeby ją znaleźć. Żeby ją uratować.

Odpokutować za grzech, którego już nie cofnę.

Być może poszukać kuli, która nie trafiła mnie dziesięć lat temu.

Skręcam w lewo i ruszam korytarzem w stronę schodów przeciwpożarowych. Chwilę później znikam w mroku.

ZESKAKUJĘ ZE SCHODÓW NA ZIEMIĘ i wychodzę przez rozchybotaną furtkę na tyły dwupiętrowego domu, modląc się w duchu, by nie zastrzelił mnie jakiś paranoiczny sąsiad. Za domami biegnie wąska alejka. Potrzebuję jakiegoś bezpiecznego i oświetlonego miejsca, gdzie mogłabym przejrzeć notatki Emmanuela. Pierwsze pytanie: w lewo czy w prawo?

Skręcam w prawo i nagle słyszę za sobą jakiś hałas. Odwracam się natychmiast, podnosząc wysoko gardę. O samoobronie wiem tyle, ile nauczyłam się w YMCA. Ale nie zamierzam być łatwym celem. Jeśli bandziory chcą mnie dorwać, muszą zadać sobie trochę trudu.

W mroku nie materializuje się żadna postać. Znów tylko słyszę hałas. Cichy jęk i westchnienie. Ktoś próbuje przejść kilka kroków, lecz nie za bardzo mu się to udaje.

Daję nurka w mrok, tuż przy skraju alei, kierując się w stronę dźwięku. To, co widzę, kompletnie mnie zaskakuje.

Deke Alarie przyciska rękę do boku i opiera się ciężko o opuszczone schody przeciwpożarowe. Nie muszę mu się z bliska przyglądać, by wiedzieć, że jest ciężko ranny. Ma zakrwawioną koszulę. A więc to jego postrzelili w furgonetce. Nie Emmanuela, ale Deke'a.

Robi w moją stronę chwiejny krok i przewraca się.

– Spokojnie, spokojnie, zczekaj.

Może nie postępuję zbyt mądrze, ale podbiegam do niego. Ma płytki oddech. W odbitym świetle latarni dostrzegam krople potu na jego czole.

Ten widok przenosi mnie w przeszłość, w inne miejsce, do innego mężczyzny wykrwawiającego się na ziemi.

Deke łapie mnie za ramię i ściska je z całej siły, boleśnie. Krzywię się, kiedy próbuje się o mnie oprzeć. Niestety, on jest na to za duży, a ja za mała. Oboje przewracamy się na ziemię. Deke jęczy z bólu. Ja gramolę się na nogi i przechodzę do ataku.

– Pistolet! – wołam. – Gdzie jest pistolet?

– Nie... mam...

Napompowana adrenaliną, pochylam się nad nim.

– Kto, do diabła, strzelał do Emmanuela?! Gdzie jest Angeliqne?! – wykrzykuję do niego.

– Przepraszam – szepcze.

Ma zamknięte oczy i poszarzałą twarz.

Inny czas i inne miejsce. Kucam, kołysząc się na piętach. „Nie, nie, nie. Zostań ze mną, Paul. Proszę, zostań ze mną, zostań ze mną. Jesteś mi potrzebny”.

– Wiesz, że twoje rodzeństwo nie żyje, prawda? Twój przyrodni brat, twoja przyrodnia siostra. Oboje zamordowani.

Deke kręci głową i po raz kolejny łapie chrapliwy oddech.

– Nikomu... nie miało... stać się... nic złego...

– Co za brednie! Gdzie jest Angeliqne?

Próbuję się cofnąć, ale on łapie mnie za kostkę. Oglądam się za siebie. Poza nami w alejce nie ma nikogo. Tylko ja i on. Ja i umierający mężczyzna.

Paul leży na ziemi, z głową na moich kolanach, i trzyma się obiema rękami za brzuch, żeby nie wypadły mu wnętrzności. „Cóż, nie wszystko poszło zgodnie z planem”.

Ja krzyczę. Nie przestaję krzyczeć.

Paul: „Cicho. Wszystko będzie dobrze. Kocham cię”.

Ja dalej krzyczę. Nie przestaję krzyczeć.

– Nie chciałem, żeby stała im się krzywda – rzezi Deke. – To nie było potrzebne. To miał być... towar wysokiej jakości. Chciałem po prostu znów widywać się z rodziną. Mama... nie odbierała moich telefonów. Johnson mnie... nienawidził. Odnalazłem Livię. Małą Livię. Przywitała się ze mną. Zaczęliśmy gadać.

Zamykam oczy.

– Ty biedny głupi sukinsynu.

– Masz rację.

Chyba się uśmiecha. Trudno powiedzieć, bo wciąż kaszle i pluje krwią. Widzę, że nie przeżyje. Tak dobrze znam te wszystkie oznaki. Deke Alarie, mój czołowy kandydat do roli szwarccharakteru, zaraz umrze.

Siadam obok niego i odgarniam mu włosy z czoła. Jest jednocześnie spocone i zimne. To nie potrwa długo. Oboje to wiemy.

Paul: „Obiecuj, że nie będziesz się za to winiła. Obiecuj, że to nie stanie się dla ciebie powodem, żeby pić. Słyszysz, Frankie?! Obiecuj mi!”

– Lubilem Livię – szepcze Deke. – Taka kurewsko sprytna. Czy ja byłem kiedykolwiek taki sprytny? – Na jego ustach widzę krwawy uśmiech. – Dostała szału na widok tych podrabianych praw jazdy. To był marny towar. Powiedziałem jej, że powinna sama to robić. Że potrafi zrobić to lepiej. Mogę jej dostarczyć cały sprzęt. Załatwić wszystko co trzeba.

– I kazałeś jej produkować fałszywe dowody tożsamości.

– To był trudny start... te nowe stanowe prawa jazdy. Wcale nie takie łatwe do podrobienia, jak się wydaje.

Kiwam głową, gładząc jego mokry policzek. Ma zamknięte oczy. Oddycha z coraz większym trudem.

Paul: „Cieszę się, że dziś do mnie zadzwoniłaś, Frankie”

Ja histerycznie płaczę.

„Cieszę się, że tak bardzo mi zaufałaś”

– Livia wprowadziła swoją przyjaciółkę. Pracowały nad tym razem. Po szkole. Doszły do punktu... kiedy produkt był całkiem niezły. Zaniósłem podróbki moim kontrahentom... weszliśmy w ten interes. Ale wkrótce okazało się, że to za mało. Ci ludzie... eksperci od fałszerstw... chcieli czegoś na poziomie Real ID... Czegoś lepszego, większego...

Deke zanoszą się mokrym kaszlem. Coraz więcej krwi sączy się z kącików jego ust.

Paul: „Chce mi się pić. Tak bardzo chce mi się pić. Masz może wodę, Frankie? Możesz mi dać trochę wody?”

– Co się wydarzyło, Deke? – pytam, gładząc po policzku brata Livii.

– Zażądali spotkania... z moim wykonawcą. Ale Livia za bardzo się bała. Zamiast niej na spotkanie poszła Angelique. Miała... miała nowy

plan. Nie Real ID. Tego nie dało się zrobić. Wizy. Wizy studenckie.

– Angeliqne doszła do wniosku – dopowiadam za niego – że sfałszowanie wizy będzie tak samo trudne jak Real ID. Mogła jednak stworzyć cały fikcyjny uniwersytet, który wydawałby dokumenty wymagane do uzyskania prawdziwej wizy.

Kiwnięcie głową.

– Dlaczego wizy studenckie, a nie zielone karty?

– Przy wizach studenckich... mniej sprawdzania. I jest tyle uczelni. Łatwiej zacząć od tego. To był pomysł Angeliqne. Ona tego chciała. Dla siebie i dla brata.

– Czyli to była wstępna oferta. Gdyby się udało, można byłoby zarobić duże pieniądze już teraz i o wiele większe w przyszłości. Tyle że twoi kontrahenci nie pozwolili Angeliqne wrócić do domu po tym wstępnym spotkaniu. Tak? – Tyle mniej więcej wydedukowaliśmy Lotham i ja. – Genialny pomysł Angeliqne podwyższył stawkę. Dlatego twoi źli kontrahenci postanowili chronić swoją inwestycję i uwięzili dziewczynę. Co dało im również możliwość wpływania na Livię.

Deke słabo kiwa głową. Oddycha z coraz większym trudem. Słyszę, jak rzeźzi.

Paul: „Potrzymasz mnie za rękę, Frankie? Proszę. Potrzymaj mnie za rękę”.

Ja: „Tak mi przykro, tak mi przykro, tak mi przykro”.

Paul: „Wiem. I tak cię kocham. Zawsze i tak cię kochałem”.

– Ale postępy nie były zbyt szybkie? – pytam. – Więc porwali również Livię? Zmusili ją i Angeliqne do pracy w dzień i w nocy?

– Livia nie znosiła... nie znosiła tego zbyt dobrze... Cała ta presja... Zaczęli się denerwować. Bali się, że sypnie. Zgarnęli również ją. Zamknęli obie w opuszczonym budynku. Gdyby jedna uciekła... druga miała za to odpokutować... Kilku facetów pełniło straż. Staralem się... kiedy tylko mogłem... dać im trochę oddechu. Wypuszczałem Angeliqne... ale musiała wrócić. Zawsze wracała.

– Ze względu na Livię – wtrącam.

– Ona... ona kocha Livię.

Czyli o tym też wiedział. Jak bardzo Livia i Angelique były sobie bliskie.

– I co się stało? – pytam, gładząc go po policzku.

Nie zostało nam dużo czasu.

– Myślałem, że je ochronię. Myślałem...

– Kontrolowałeś sytuację?

– Nie mogłem... Wszystko się skomplikowało. Faceci wpadli w panikę.

Dziewczyny świrowały. Z miesiąca... z miesiąca na miesiąc... było coraz gorzej. To trwało tak długo. Livia... biedna Livia. A potem pojawiłaś się ty. Rozkołysałaś łódź. No i próbowałem... próbowałem cię nastraszyć. Żebyś przestała zadawać pytania.

– Strzelałeś do mnie przy domu Samdich.

– Myślałem, że będzie lepiej... jeśli się stąd wyniesiesz.

– Ale się nie wyniosłam – mruczę. – I nie było lepiej.

– Angelique myślała... że jeśli będą współpracować, wszystko... wszystko będzie w porządku. Założyła stronę uczelni... zarejestrowała ją. Przetestowaliśmy to.

– I wszystko się udało, tak? – dopowiadam. – Niech Bóg ma was w swojej opiece. Genialny pomysł Angelique się sprawdził, co oznaczało, że już was nie potrzebują. Nie potrzebują Livii, Angelique, nawet ciebie?

– Próbowałem ostrzec Livię... chciałem ją stamtąd wyciągnąć. Ale... złapali nas. On ją zabił. Na moich oczach. Żeby pokazać, co cię czeka, jeśli spróbujesz uciekać.

– I przyszedłeś pod bar Stoneya. Widziałam cię przez okno.

– Chciałem z tobą porozmawiać... Ale potem... pojawił się ten gliniarz. Nie wiedziałem, komu mogę zaufać.

– Gdzie jest Angelique, Deke? Powiedz mi. Uratuję ją za ciebie. Uratuję ją i będzie wiedziała, że to dzięki tobie.

Deke zaczyna coraz głośniej rzezić. Nagle dostaje konwulsji. Krzywi się, łapie za brzuch i obraca na bok, żeby zwymiotować krwią.

„Proszę cię, Paul, nie odchodź. Zaraz nadejdzie pomoc. Paul. Na litość boską, Paul!”

– Teraz po wszystkim sprzątają – szepcze Deke. – Żadnych śladów. Dałem Angelique mój telefon. Kazałem jej ostrzec brata. Oni wiedzieli... wiedzieli, że przesyłała mu wiadomości. Ale zadzwoniła do niego... w złym momencie. Porwali go... wrzucili do furgonetki. Sięgnąłem po broń. Nie mogłem już tego... znieść.

Słyszę coraz cichsze rżenie, które znam tak dobrze.

Ściskam dłoń Paula. I płaczę, płaczę, płaczę.

Gdzieś w tle słychać syreny, nadal zbyt odległe. Nie zdołają go uratować. Nikt go nie uratuje.

Paul, unosząc powieki: „Jesteś taka piękna. Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem... wiedziałem, że to ty. Próbowałem uzdrowić tak wielu. Ale ty... Ty uzdrowiłaś mnie. Kocham cię, Amy. Zawsze i na wieki. Kocham cię za to, że mnie pokochałaś”.

Ja płaczę i płaczę.

I wciąż słyszę jej imię. Amy, Amy, Amy. Kobiety, którą naprawdę kochał. I która kochała jego.

Kobiety, którą nigdy się nie stanę.

Nie słyszę już syren. Ani miłosnych wyznań. Wyłącznie długie drżące westchnienie.

– Livia... – szepcze Deke Alarie.

I nagle widzę, jak wycieka z niego życie. Czuję, jak jego dłoń wiotczeje w mojej.

Pochyłam się, zamykam mu powieki i całuję lekko w czoło. Dziękuję, że próbował ocalić Emmanuela i Angelique. I że miał odwagę powiedzieć mi to, co powinnam wiedzieć.

Dokąd powinnam teraz pójść.

Kiedy w końcu wstaję, jestem zakrwawiona i zapłakana. I znów wracam do tamtego wieczoru, tak dawno temu.

„Kocham cię, Amy...”

Przyjmuję ból jako coś, co mi się należy.

A potem łapię plecak Emmanuela i puszczam się biegiem. Nie zostało dużo czasu. Ale teraz już wiem, gdzie znajdę Angelique i jej brata.

Wiem, jak to we właściwy sposób załatwić.

Rozdział 36

BIEGNAĆ W STRONĘ SZEROKIEGO bulwaru i skręcając na północ, dzwonię pod 911. Zgłaszam śmiertelny postrzał w bocznej alejce i mówię zdezorientowanej dyspozytorce, że to Deke Alarie i że powinna zawiadomić o tym funkcjonariusza O'Shaughnessy'ego, który jest w pobliżu. A poza tym, PS, proszę powiedzieć niejakiemu Charliemu, że jest mi przykro. Rozłączam się, zanim kobieta zdaży mnie o cokolwiek zapytać.

Następnie dzwonię do Lothama. Tym razem odbiera od razu, w stanie pełnej gotowości.

– Gdzie jesteś?

– Mają Angelique i Emmanuela. Deke chciał ich powstrzymać. Nie żyje. – Mówię mu, dokąd zmierzam, i ostrzegam: – Żadnych syren ani świateł. Jeśli zorientują się, że mają na karku policję...

Lotham nie potrzebuje dalszych wyjaśnień. Myślę o jego szerokiej twarzy i sponiewieranym uchu. Myślę, że jest dobrym człowiekiem, znakomitym detektywem, i jeśli ktoś w ogóle sobie z tym poradzi... Myślę, że jeśli mnie postrzelą, to jego chciałabym potrzymać za rękę.

Milczy. Słyszę tylko jego myśli. Ciche desperackie pragnienie, żebym wróciła do domu i się nie narażała. Niewzruszoną wolę uratowania Angelique i ochrony mnie.

A może mam po prostu do niego słabość i przesadzam, bo on w ogóle się nie odzywa. Nie mówi, żebym zrobiła coś, czego – oboje to wiemy – nie zrobię. Rozłączam się i biegnę dalej.

Tam, gdzie to wszystko przed rokiem się zaczęło. I gdzie wszystko się dzisiaj skończy.

Do centrum rekreacyjnego.

I do jego przemilego dyrektora, Frédéric Lagudu.

NAJPIERW TRAFIAM NA FURGONETKĘ. Stoi zaparkowana przed budynkiem centrum, jej tylne drzwi są otwarte, wewnątrz puste. Wolę nie zapalać kieszonkowej latarki, by mu się bliżej przyjrzeć. Wciągam tylko powietrze w nozdrza i czuję charakterystyczny zapach krwi. Krwi Deke'a, zanim wyrzucili go na jezdnię? Czy może znów przybyłam tu za późno?

Nie przyjmuję do wiadomości, że Emmanuel nie żyje. Po prostu bym tego nie zniosła. We wszystkich moich wcześniejszych dochodzeniach szukałam zaginionej osoby z dystansu, nigdy wcześniej nie mając z nią do czynienia. Z Emmanuelem rozmawiałam, pocieszałam go. To jeszcze chłopiec. Na pewno sobie na to nie zasłużył.

Obchodzę dokoła wielki metalowy hangar. Nie widzę żadnych świateł, żadnego śladu aktywności. Ale wiem, jaki jest olbrzymi. Mnóstwo sal lekcyjnych i różnych, niewidocznych z zewnątrz, zakamarków. Jak to ujął pan Riddenscaill? Do całej operacji potrzebny byłby jeden komputer i jedna drukarka. Jedno małe pomieszczenie.

Czy to znaczy, że Frédéric, który zasiada co rano świeży i pachnący w swoim gabinecie, nie jest niestrudzonym wybawicielem trudnej młodzieży, za jakiego go miałam? A Livia i Angélique były gdzieś tutaj za każdym razem, gdy składałam mu wizytę?

Ten wysoki, chudy czarny mężczyzna, który porzucił w parku ciało Livii, mógł być równie dobrze Frédérikiem, co Dekiem. Nie połączyłam po prostu wcześniej tych kropek. Można do tego dodać komentarz Deke'a, że „oni” widzieli, jak rozmawiam z J.J. – rozmowa odbyła się tuż przy drzwiach centrum rekreacyjnego. I znów wszystkie drogi prowadzą do tego wielkiego hangaru. Gdzie Livia i Angélique po raz pierwszy się spotkały. Gdzie ktoś w rodzaju Frédérica miał mnóstwo możliwości, by poznać się na ich talentach. Zapewne rekrutował lokalne dzieciaki do różnych przedsięwzięć już od wielu lat. Od przeszło dekady, jeśli Deke znał go z czasów, zanim trafił za kratki. Tyle jest rzeczy, które składają się teraz w sensowną całość. Szkoda, że wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi.

Próbuję sobie przypomnieć imię niższego muskularnego mężczyzny, który był w budynku, gdy przyszłam tu po raz pierwszy. Dutch? Coś w tym

rodzaju. Według Deke'a było wielu graczy. Dutch z pewnością świetnie nadawał się na goryla. Ale mogą tu być również inni współnicy, których wcześniej nigdy nie spotkałam. Jeden, dwóch, sześciu?

Nadal wielu rzeczy nie wiem.

Nie powstrzymuje mnie to jednak przed zakradnięciem się do tylnego wejścia, gdzie ostrożnie uchylam ciężkie oszklone drzwi.

Przez chwilę czujnie nasłuchuję. Nie włącza się żaden alarm, po drugiej stronie nie pojawiają się żadne postacie. Wślizguję się do środka i przystaję, żeby się rozejrzeć.

Widzę światło przy końcu długiego korytarza, w pobliżu gabinetu Frédérica. To stanowi pierwszą przeszkodę. Jeśli zobaczą mnie na tym korytarzu, będę łatwym celem. A ci faceci mają prawdziwą broń, której nie zawahają się użyć. W przeciwieństwie do mnie, dumnej właścicielki czerwonego gwizdka gwałtu.

Uspokajam oddech i robię to, co potrafię najlepiej. Wcielam się w kogoś z marginesu. W siedemnastoletnią wersję siebie samej, rozpaczliwie pragnącej się napić i wiedzącej, że po butelkę wody musi się zakraść długim mrocznym korytarzem. Jak bym to rozegrała?

I nagle wiem już, co robić.

Skრęcам w bok, w stronę biurka, przy którym wypożycza się sprzęt sportowy. Macając palcami w ciemności, odnajduję za nim pozamykane na klucz szafy. Wyciągam z włosów taktyczną spinkę. Czas ją przetestować.

Wymaga to kilku prób – dodatkowym utrudnieniem jest fakt, że robię to po ciemku – ale w końcu zamek ustępuje i otwierają się szerokie drzwi. Wsuwam spinkę z powrotem we włosy. Najlepiej wydane w moim życiu cztery dolce.

Znów macam palcami i wkrótce rozpoznaję piłki do koszykówki i do futbolu, a potem kije, rękawice i piłki bejsbolowe.

Zaczynam od piłki bejsbolowej. Stając za biurkiem, biorę zamach i ciskam ją z całej siły w oszklone drzwi. Nie rozbija szyby, ale słychać głośny łomot, kiedy odbija się od metalowej ramy i toczy po podłodze.

Czekam, czujna i gotowa. Nic się nie dzieje, więc robię to samo z piłką do koszykówki, a potem do futbolu. Kolejne łomoty i brzęki.

– Kto tam? – słyszę w końcu z głębi korytarza.

W odpowiedzi ciskam w tamtą stronę piłkę do koszykówki.

– Co jest, do jasnej cholery?

Rzucam tam kolejną piłkę, a potem trzecią, czwartą i piątą. I zanim zdążę pomyśleć, zanim tamta osoba zdąży pomyśleć, biegnę korytarzem w ślad za piłkami, mając nadzieję, że ich łomot zagłuszy moje kroki.

To Dutch. Podnosi wzrok, widzi moją wyłaniającą się z mroku postać i poniewczasie sięga po broń. W tym samym momencie kij bejsbolowy trafia go prosto w czoło.

Kiedy zgina się wpool, walę go w tył głowy. Z całej siły. Facet pada na podłogę i widzę krew. Dużo krwi. Może go zabiłam. Naładowana adrenaliną, nie dbam o to.

Biorę kilka oddechów i pochylam się nad ciałem. Odkrywam krótkofalówkę przypiętą do paska i pistolet z tyłu dzinsów. Zabieram i jedno, i drugie. Następnie ściągam mu sweter do połowy głowy i zawiązuję z tyłu, unieruchamiając ręce. Na wypadek, gdyby jednak żył.

Sprawdzam pistolet i go zabezpieczam. Nie jestem zbyt dobra w posługiwaniu się bronią palną. Pistolety są głośnie i straszne. Przenoszą mnie w miejsca, do których nie chcę wracać, odświeżają wspomnienia, których nie chcę odświeżać. Ale nie pora teraz się roztkliwiać.

Sprawdzam krótkofalówkę. Najpierw ją przyciszam, potem włączam. Powoli zwiększając siłę głosu, słyszę Frédérica.

– Słyszysz mnie, Dutch? Odbiór.

Po chwili namysłu zaczynam klikać sygnał SOS. Przekonajmy się, co Frédéric z tego zrozumie.

Tymczasem wciągam niewiarygodnie ciężkie ciało Dutcha do otwartej klasy, zostawiając na korytarzu tylko jego stopy. A potem odnajduję ciemną niszę dokładnie naprzeciwko i wtapiam się w mrok.

Mija cała minuta. Wiem o tym, bo liczę sekundy, próbując uspokoić oddech.

Pojawia się jakaś postać. Z tej odległości nie bardzo wiem, kto to może być. Kiedy podchodzi bliżej, widzę, że nie jest tak wysoki jak Frédéric. Pomagier numer dwa. Nie wydaje mi się, żebym miała z nim wcześniej styczność, lecz nie ma to większego znaczenia.

Trzymam w ręce kij bejsbolowy, dam sobie radę!

– Dutch? – szepcze postać.

Nadal liczę w myślach sekundy. Jeszcze nie, jeszcze nie...

– Dutch! Co jest, do diabła?

Pomagier numer dwa zobaczył stopy i biegnie do swojego leżącego towarzysza.

Jeszcze nie...

Kiedy facet mija moją niszę, wyskakuję z niej, biorę zamach i uderzam go od tyłu w kolana. Pomagier numer dwa pada na podłogę.

Po czym zaskakująco szybko przewraca się na bok. Wydaje mi się, że podnosi pistolet. Słyszę huk wystrzału. Czuję gorąco i piekący ostry ból. Biorę kolejny zamach kijem i pistolet wypada facetowi z ręki. Walę go raz po raz, celując w ręce, ramiona i klatkę piersiową. Oddycham z trudem, ogarnięta furią i strachem.

W końcu się opanowuję. Pomagier numer dwa już się nie rusza, tylko cicho jęczy i bulgocze. Połamałam mu żebra, to pewne. Na chwilę ogarnia mnie poczucie winy. A potem przypominam sobie zwłoki Livii i konającego Deke'a i już nie czuję wyrzutów.

Macając podłogę, odnajduję pistolet i ciskam go do drugiej sali lekcyjnej. Do paska mężczyzny przypięta jest kolejna krótkofalówka. Zabieram ją i ruszam dalej na łowy.

KIEDY SKRADAM SIĘ POGRAŻONYM w mroku korytarzem, jest zupełnie cicho. Trzęsę się od stóp do głów. Czy mam przeciwko sobie więcej bandziorów? Ilu? Kilkunastu? Trudno przewidzieć. Staram się przeanalizować to, co usłyszałam od Deke'a. Fałszowanie dokumentów pozwalających uzyskać wizy studenckie. Potrzebny jest do tego mózg przedsięwzięcia oraz jego

pomocnicy, którzy porwali i zmusili do pracy dwie nastolatki. Nie powinno ich być zbyt wielu. Tak sędzę. Taką mam nadzieję.

W każdej działalności przestępczej raczej ogranicza się liczbę zaangażowanych w nią osób. Mniej ludzi do dzielenia zysków. Tak sędzę. Taką mam nadzieję.

Jeżeli Deke był jednym z pomagierów, jest ich teraz o trzech mniej. Czyli nie są chyba zbyt liczni.

Tak sędzę. Taką mam nadzieję.

Dostrzegam przed sobą światło. Słyszę czyjś głos. Nie mężczyzny, lecz dziewczyny.

– No już! – mówi niecierpliwie. – Obudź się, Emmanuel. Proszę!

I nagle w środku oświetlonej klasy widzę Angelique Badeau. Ubrana w dzinsy i sweter, ma ściągnięte do tyłu włosy – jak na fotografii Tamary Levesque – i jest cała umazana krwią. Pobrudziła się nią chyba w furgonetce, którą porywacze przywieźli jej brata.

W tym momencie mój wzrok pada na Emmanuela, który leży związany na podłodze i w ogóle się nie porusza.

Spóźniłam się.

– Proszę! – syczy ponownie Angelique, po czym klęka przy boku brata i mocno nim potrząsa.

Drżąc, omiatam wzrokiem klasę. Zauważam kilka komputerów i potężnie wyglądającą drukarkę. To chyba centrum operacji, myślę, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać.

Angelique jest najwyraźniej w stanie najwyższej gotowości. Z powodu zamieszania, jakiego narobiłam, czy dlatego, że zdaje sobie sprawę, że oboje z bratem nadal nie są bezpieczni?

Chcę ją zawołać. Chcę wejść do sali i oświadczyć: „Jestem Frankie Elkin i przyszłam cię uratować”.

Wiem jednak, że brakuje kluczowego bohatera dramatu. Dyrektora centrum, Frédérica Lagudu, którego głos usłyszałam przed chwilą w krótkofalówce. Gdzie on się, do diabła, podziewa?

Angelique szarpie węzły na nadgarstkach brata i nagle kilka rzeczy dzieje się równocześnie.

Podnosi wzrok i mnie dostrzega.

Ja kładę palec na ustach, dając znak, żeby była cicho, po czym podnoszę kij.

Ona z przerażeniem kręci głową.

I ktoś łapie mnie od tyłu, wytrącając mi kij z ręki.

– Ty głupia dziwko!

Nie mam nawet czasu wyciągnąć przed siebie ręk, żeby zamortyzować upadek. Frédéric przewraca mnie, przygważdża do podłogi, a potem wbija mi palce we włosy i ciągnie w górę moją głowę.

Wierzgam bezradnie, nie mogąc go z siebie zrzucić. Jest zbyt ciężki, a ja, mając uwięzione pod sobą ręce, nie mogę sięgnąć ani po pistolet za paskiem, ani po toczący się kij. Frédéric wali moją twarzą w podłogę.

Słyszę trzask pękającej kości. Mój nos zmienia się w krwawą miazgę, czoło przeszywa dotkliwy ból. Frédéric znów szarpie do góry moją głowę, szykując się do drugiego uderzenia. Z oczu płyną mi łzy, usta wypełnia krew. Zaraz mnie zabije. Umieram.

A zatem nie zginę od kuli. Ciekawe.

– Nie, nie, nie! – słyszę głos Angelique i wyczuwam, że do nas podbiega.

„Ratuj się!”, chcę wrzasnąć, ale nie jestem w stanie wymówić słowa.

Dziewczyna rzuca się na Frédérica i ten zsuwa się z moich pleców.

Uwolniona od jego ciężaru, obracam się na bok i z trudem wstaję. Gdzie jest kij? Gdzie jest pistolet? Musiał mi wypaść zza paska, bo nie mogę go znaleźć.

– Nienawidzę cię! – Angelique okłada Frédérica.

Jest od niej większy i silniejszy, ale ona wpadła w furię i bije go po głowie i twarzy. Starsza siostra desperacko broniąca brata. Dziewczyna mszcząca się za śmierć partnerki.

To nie wystarcza. Frédéric łapie ją za ramię i jednym ruchem ściąga z siebie.

– Niech cię cholera!

– Angeliq! – krzyczę.

Frédéric uderza ją pięścią w twarz, a potem wali w nerki. Dziewczyna zgina się wpół z bólu, a ja gorączkowo przeszukuję podłogę. Kij. Pistolet. Kij. Pistolet. Dzwoni mi w głowie, oczy zachodzą mgłą.

Nowy dźwięk. To Emmanuel. Ocknął się i ze związanymi nogami i rękami rozpaczliwie usiłuje dopełznąć do siostry.

– LiLi! – krzyczy.

Frédéric nie przestaje jej okładać.

– Nie! – wołam bezradnie, nadal zataczając się w miejscu.

Nagle widzę przed sobą Frédérica. Teraz to on ma w ręce broń. Celuje z niej najpierw we mnie, potem w płaczącą Angeliq, potem w związanego Emmanuela.

To już koniec. Widzę to po jego twarzy. Waha się tylko, kogo zastrzelić najpierw.

– Zabij mnie – słyszę własny głos. – Te dzieciaki nie są dla ciebie zagrożeniem.

– Ty dziwko. Nie powinnaś była tu wracać.

– Policja jest już w drodze. Uciekaj, dopóki masz szansę. Okłamię ich. Nie rób nic złego Angeliq i Emmanuelowi, a ja skieruję policję w przeciwną stronę. Obiecuję.

– To nie ma znaczenia.

– Ma. Deke o wszystkim nam opowiedział. O fałszywej stronie uczelni, o wizach studenckich, o zabiciu Livii. To już koniec. Zabieraj to, co zarobiłeś, i wyhoń się.

– Nadal mam swój łup. – Frédéric łapie Angeliq za ramię i zmusza ją, by wstała.

Dziewczyna jęczy z bólu. Ma zakrwawioną twarz, ale w jej oczach płonie determinacja, a może po prostu czysta nienawiść do tego człowieka. To nieistotne, godzę się na jedno i drugie, dostrzegając w końcu kij. Leży pół metra za nią, po lewej stronie. Za daleko dla mnie,

ale może dość blisko dla niej. Gdyby tylko udało mi się odciągnąć uwagę Frédérica, dać jej trochę czasu.

Spoglądałam na kij, na nią i znowu na kij. Angélique otwiera szerzej oczy; myślę, że rozumie. I jest mi bardzo przykro, że nigdy nie poznam tej wspaniałej młodej kobiety, bo tylko w jeden sposób mogę skierować na siebie uwagę Frédérica, i wiem, że to się dla mnie dobrze nie skończy.

Emmanuel płaczący na podłodze. Angélique czekająca na odpowiednią chwilę.

Frédéric, który unosi pistolet.

I ja...

Jestem ponownie w tym sklepie z alkoholami, dziesięć lat wcześniej. Młody chłopak, cały spocony, trzęsący się z narkotykowego głodu, wymachuje na wszystkie strony pistoletem.

„Dawaj pieniądze! Wszystko, co masz, już!”

Tyle że ja nie mam żadnych pieniędzy. Wydałam właśnie ostatnie dolce na butelkę wódki, a potem załamalam się, zadzwoniłam do Paula i po tylu miesiącach błagałam, żeby przyjechał i uratował mnie przede mną samą. Sprzedawca za ladą jest ciężko przerażony.

Spokojny jest tylko Paul, który robi krok do przodu i podnosi ręce w pojednawczym geście.

„W porządku. Nikomu nie musi stać się krzywda”.

Czy chłopak umyślnie pociągnął za spust? Czy może stało się to przypadkiem? Po wszystkich tych latach nadal nie wiem. Pamiętam tylko huk wystrzału. Przerazenie na twarzy chłopaka. I zdziwienie na twarzy Paula, który powoli osuwa się na podłogę.

Chłopak ucieka ze sklepu.

A Paul...

Paul.

Teraz mam oczy szeroko otwarte. Chcę to widzieć. Chcę widzieć, jak w końcu śmierć wychodzi mi na spotkanie.

Patrząc Frédéricowi prosto w oczy, rzucam się na niego. Ułamek sekundy, gdy widzę szok na jego twarzy. Nie spodziewał się tego. Pociąga

wściekle za spust i puszcza Angelique, by móc mnie odepchnąć.

Dziewczyna obraca się na bok. Złap ten kij, błagam ją w myślach, rejestrując jednocześnie ból, kurewsko mocny ból. Padam na podłogę i toczę się po niej, nie przestaję się toczyć.

Bach, bach, bach!

Krzyk Angelique, mój i Emmanuela.

I nagle grzmiący głos:

– Stój! Policja! Rzuć broń!

Do sali wpada Lotham, celując z pistoletu.

Zaskoczony Frédéric obraca się na pięcie. Tuż za nim pojawia się Angelique z podniesionym wysoko kijem.

– LiLi! – woła Emmanuel.

– Policja! – krzyczy ponownie Lotham.

Paul leży w kałuży krwi.

Nie, teraz to ja leżę i krwawię.

Angelique opuszcza kij, który trafia Frédérica w bok głowy. Niestety, nie dość mocno. Mężczyzna odwraca się, nadal trzymając w ręce broń.

I Lotham strzela do niego. Bach, bach, bach!

Angelique odrzuca kij.

– Emmanuel! Proszę, pomóżcie mojemu bratu.

– LiLi? Nic ci nie jest? LiLi?

Kolejne głośnie kroki. Gliniarze wbiegają do sali, wypełniają korytarz. Powinam coś powiedzieć, powinam się ruszyć, ale wygląda na to, że nie mogę się podnieść z podłogi. Wygląda na to, że straciłam głos. Czuję potworny ucisk w klatce piersiowej.

Lotham klęka przy mnie.

– Trzymaj się, Frankie. Po prostu się trzymaj. Mam cię.

– Angelique – szepczę. – Emmanuel.

– Udało ci się, Frankie. Znalazłaś ich. Uratowałaś ich oboje. Są bezpieczni.

– Paul – szepczę.

– Byłby z ciebie bardzo dumny.

W tym momencie zaczynam płakać. Krew i łzy. Przeszłość i teraźniejszość. Stare blizny i świeże rany.

- Mam cię, Frankie. Mam cię - zapewnia mnie Lotham.

A ja mu wierzę.

Rozdział 37

LĄDUJĘ W SZPITALU. NIEWIELE z tego pamiętam. Jaskrawa plama bólu i awantury z lekarzami, którzy chcą mi podać morfinę, a ja krzyczę do nich, że jestem uzależniona. Być może jest tam również Lotham. A może to Charlie, Viv albo Stoney. W którymś momencie wydaje mi się nawet, że odwiedziła mnie Piper.

Nie mam ubezpieczenia, dlatego zaraz po wyjęciu kuli z lewego barku i opatrzeniu draśnięcia na prawej ręce wypisują mnie ze szpitala. Tym razem to na pewno Lotham zabiera mnie stamtąd, wiezie do Stoneya i prowadzi na górę.

Śpię. Śnią mi się Paul i Angelique. Deke konający w moich ramionach. Livia ścigająca mnie po parku i pytająca: „A co ze mną? Co ze mną?”.

Budzę się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, i znów zasypiam.

W jednej z jaśniejszych chwil dowiaduję się, że Frédéric, Dutch i facet o imieniu Holden zostali wszyscy aresztowani. Dutch przeżył spotkanie ze mną. Holden jest nadal w szpitalu, ze złamanymi żebrami i szczęką oraz pękniętą śledzioną. Powiedzieli mi, że przeżyje. Chyba odczuwam ulgę, ale nie jestem tego do końca pewna.

Wszystko wskazuje na to, że Frédéric wszedł w narkotykowy biznes już przed dwudziestu laty. Korzystał ze swojego stanowiska, żeby rekrutować dilerów niskiego szczebla, a potem sięgnął po więcej, nabywając setki tysięcy fałszywych dolarów.

Pomysł Deke'a, żeby wejść na rynek fałszywych praw jazdy, początkowo go rozbawił, ale kiedy zdał sobie sprawę z możliwości Livii i Angelique, szybko się w to włączył. A potem Angelique wpadła na brzemienny w skutkach pomysł stworzenia fikcyjnej uczelni, żeby wyrabiać autentyczne studenckie wizy... Tak jak podejrzewałam,

ewentualne zyski były zbyt wysokie, żeby nimi wzgardzić. Nawet jeśli wymagało to porwania obu dziewczyn.

Umieścił je w opuszczonym domu niedaleko centrum rekreacyjnego. Deke, Holden i Dutch zmieniali się jako strażnicy. Livia i Angelique miały w nocy pracować, a w dzień spać, żeby nikt ich nie widział.

Dziewczyny były przeważnie trzymane pod kluczem w opuszczonym domu i korzystały z kilku komputerów, które dostarczył tam Frédéric. Co jakiś czas jeździły po zmroku do centrum rekreacyjnego, żeby drukować nowe, ulepszone, wersje praw jazdy. Deke zajmował się lokalną sprzedażą, Dutch marketingiem online. Biznes z prawami jazdy przynosił niezłe zyski, ale ze względu na niską jakość podróbek nie był złotodajną żyłą. Zapewniał po prostu płynność finansową, podczas gdy dziewczyny pracowały przy bardziej obiecującym projekcie stworzenia fikcyjnej uczelni.

Niestety, stan psychiczny żyjącej w permanentnym stresie Livii powoli się pogarszał. Bardzo mocno przeżywała uwięzienie Angelique. Kiedy Deke porwał i ją – na rozkaz Frédérica i w nadziei, że będzie mógł lepiej kontrolować sytuację – Livia stała się kłębkim nerwów. Angelique robiła, co mogła, by łagodzić problemy i zyskać na czasie. Zwłaszcza kiedy zdała sobie sprawę, że Deke ma słabość do siostry.

Jednak Frédéric nie bawił się w sentymenty. Kiedy projekt Gleeson College został ukończony i wydano odpowiednie papiery dla pierwszej partii wiz studenckich, uznał, że dziewczyny będą dla niego tylko obciążeniem. Najpierw zajął się Livią. Ale nie miała być ostatnią ofiarą, co Angelique i Deke szybko zrozumieli. Frédéric kazał Holdenowi zabić J.J., porwać Emmanuela i zastrzelić Deke'a, gdyby ten próbował się stawiać...

Tak to miało się toczyć, aż nie zostałby żaden ślad.

Szóstego albo siódmego dnia udaje mi się zwlec z łóżka, żeby wziąć prysznic i zjeść trochę zupy. Przeglądam się w lustrze. Widzę zapadnięte policzki i mocno zabandażowany bark. Wyglądam fatalnie. A jak się czuję?

Sama nie wiem. Odnalazłam Angelique Badeau. Sprowadziłam do domu zaginioną dziewczynę. Nie chodzi o to, że chciałam być uważana za

wielką bohaterkę; miałam po prostu nadzieję poczuć się kimś lepszym.

Tymczasem czuję się tak samo jak zawsze.

Wracam do łóżka. Kiedy znów się budzę, w pokoju stoi Stoney.

– Naprawdę marna z ciebie pracownica.

– Tak jest.

Piper wyłazi spod łóżka i ociera się o nogi Stoneya. Zdradziecka dziwka.

– Ale nieźle ci idzie odnajdywanie zaginionych – mówi Stoney, a ja podnoszę oba kciuki. – Masz gości – dodaje.

A potem znika i widzę stojącą w moim aneksie kuchennym Guerline, z Angelique po jednej stronie i Emmanuelem po drugiej. Kiedy próbuję usiąść, czuję ból w ramieniu i zapiera mi dech, ale się nie krzywię. Nie chcę ich wystraszyć.

Emmanuel ma z prawej strony twarzy ciemne sińce, pamiątkę po porwaniu. Ma również podkrążone oczy, pamiątkę po niedawnych koszmarach. W porównaniu z nim Angelique wydaje się w miarę zdrowa i cała, widać tylko kilka strupów na policzku. Ale stoi zupełnie bez ruchu. Dziewczyna po przeżytej traumie, starająca się zapanować nad emocjami. Ocalona, sama pośród ludzi.

Ciekawi mnie, co jest dla niej gorsze: bolesne wspomnienia czy uporczywe poczucie winy. Chciałabym jej powiedzieć, że dokładnie wiem, jak się czuje, ale wątpię, by mi uwierzyła. Rany nie zaczęły się jeszcze goić. Jest po prostu nastolatką, która zaginęła, a ja kobietą, która ją w końcu odnalazła.

Nie wiem, jak ułożą się odtąd nasze relacje. Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło.

Uśmiecham się nieśmiało.

– Dziękuję – mówi Guerline.

– To Emmanuel i Angelique zasługują na uznanie – odpowiadam. – Bez jej sygnałów i bez jego determinacji na pewno by się nam nie udało.

– Przykro mi, że panią postrzelili – odzywa się Angelique.

– Z pewnością było warto.

– Czy... czy mogłabym... – zaczyna Angelique.

Chyba nie bardzo wie, co chce powiedzieć, ale ja ją rozumiem.

– Możecie zostawić nas na moment same? – proszę Guerline i Emmanuela.

Oboje się wahają. Odzyskawszy Angelique, najwyraźniej nie chcą jej już nawet na chwilę tracić z oczu. Po kilku sekundach Guerline kiwa jednak głową i wychodzi, a Emmanuel rusza w ślad za nią.

Kiedy zostajemy same, Angelique wydaje się jeszcze bardziej spięta.

Klepię dłonią materac.

– Siadaj. Nie krępuj się.

Robi to, lecz nadal jest sztywno wyprostowana.

– Będzie lepiej – mówię. – Nie dzisiaj i nie jutro, ale w końcu będzie lepiej.

– To wszystko moja wina.

– Nieprawda. Ale rozumiem, dlaczego tak to odczuwasz. Ja też straciłam kogoś, kogo kochałam. Minęło dziesięć lat i nadal się za to winię.

Angelique z powagą mi się przygląda.

– Kochałam Livię – mówi. – Kiedy przyszła do mnie z pomysłem fałszywych dowodów tożsamości, powiedziałam, że to zbyt ryzykowne. Lecz ona chciała mi sprawić przyjemność. I zaczęła się spotykać ze swoim starszym bratem, Dekiem. Moim zdaniem miał na nią zły wpływ. No ale był jej bratem, a rodzina to rodzina.

Angelique wzrusza ramionami. Sama pozostaje w bardzo bliskich relacjach z Emmanuelem i widzę, że nie chciała pozbawiać Livii takiej możliwości.

– Niestety, kumple Deke'a... Stale chcieli od nas czegoś więcej. Musiałyśmy pracować coraz ciężiej. A im ciągle było mało. Deke przekonywał, że wszystko będzie dobrze. Zróbcie to, zróbcie tamto, nic złego wam się nie stanie. Ale ja wiedziałam. Podejrzywałam... Kiedy powiedział, że jego znajomy chce się spotkać twarzą w twarz z Livią, obie bardzo się zdenerwowałyśmy. Livia wątpiła, czy da radę.

Zaproponowałam, że pójdę zamiast niej. Myślałam, że zdołam ją ochronić. Miałam nawet plan: znalazłam w necie artykuł o ludziach, którzy założyli fikcyjne uczelnie, żeby dostawać wizy studenckie. Zarobili grube miliony. Wydawało mi się, że to uspokoi Frédérica. Że pozwoli nam pracować nad jakąś tajemniczą stroną internetową. Że będziemy mogły zapomnieć o fałszowaniu praw jazdy, co okazało się o wiele trudniejsze, niż myślałyśmy. Że Livia przestanie się stresować. Sądziłam, że to dobry pomysł. Tymczasem pogorszyłam tylko sytuację.

Rozumiem. Perspektywa takich zarobków skłoniła Frédérica do docięnięcia śruby, a ostatecznie do porwania obu dziewczyn.

- Nie cofniesz już tego, co się wydarzyło - tłumaczę jej - więc zastanów się nad czymś takim: skoro nie możesz uratować osób, które straciłaś, może uratujesz kogoś innego. Zostań lekarką. Zbuduj własne życie. Livia i Deke na pewno by tego chcieli.

Angelique wbija wzrok w swoje dłonie.

- Byłam z Dekiem, kiedy umierał - kontynuuję. - Chciał dobrze dla ciebie i dla Livii. Kochał siostrę i autentycznie żałował tego, co się stało. Ostatecznie to była bardziej jego wina niż którejkolwiek z was.

- Deke próbował pomóc - mówi Angelique, nadal wpatrując się w swoje dłonie. - Tamtej nocy, kiedy Frédéric zadusił Livię... chciał zabić i mnie, ale Deke go powstrzymał. Twierdził, że nadal się do czegoś przydam. Wizy studenckie to był przecież mój pomysł, tak? Przekonał również Frédérica, żeby nie porzucał ciała w pobliżu centrum rekreacyjnego, tylko zawiózł je do parku Franklina. Mówił, że to skieruje policję na fałszywy trop, że tak będzie bezpieczniej. Tak naprawdę nie mógł się pogodzić z myślą, że jej zwłoki zostaną porzucone w jakiejś ciemnej uliczce. Ja też.

- Przykro mi.

- Holden strzelił do niego w furgonetce. Emmanuel to widział. Deke... nie był dobrym człowiekiem, popełnił wiele błędów, zwłaszcza wobec swojej siostry, ale przykro mi, że nie żyje.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Zaczynam być zmęczona, ból w barku jest coraz silniejszy.

– Ocalałaś, Angeliqne – mówię w końcu. – Jesteś silna i odporna. Nie zapominaj o tym. Gdybyś nie zaryzykowała i nie wysłała mailem tej pracy, nie upuściła prawa jazdy i nie pojawiła się publicznie, pewnie nigdy byśmy cię nie znaleźli. Nie zdołalibyśmy ocalić ciebie i twojego brata.

W jej oczach nie widzę jednak wdzięczności, wyłącznie poczucie winy. Nie próbowała ocalić siebie. Próbowała ocalić Livię. Śmierć przyjaciółki to brzemię, które będzie odtąd musiała nosić.

– Będzie lepiej – powtarzam, choć najwyraźniej mi nie wierzy. Nie jest jeszcze gotowa sobie wybaczyć. Może nigdy jej się to nie uda. To również rozumiem.

Angeliqne wstaje, kiwa mi głową na pożegnanie i wychodzi. Z trudem wypijam trochę wody i zjadam więcej zupy, którą Viv, jak sądzę, zrobiła dla mnie w domu. Myję zęby, czeszę się i zakładam na nowo bandaż. Draśnięcie po kuli na prawej ręce prawie się zagoiło. Gorzej jest z zaszytą raną na barku. Na pewno zostanie tam blizna. Wyobrażam sobie, że wodzę po niej w nocy palcami, przypominając sobie, że raz w życiu odniosłam sukces. Raz w życiu postąpiłam tak jak trzeba.

Czy czuję się w związku z tym kimś innym?

Czekam na to, ale bezskutecznie. Nadal jestem Frankie Elkin. Alkoholiką. Byłą kochanką. Zagubioną duszą.

Wracam do łóżka, biorąc ze sobą skórzaną torbę kurierską. Wyjmuję z niej dwie brązowe koperty i przeglądam ich zawartość, aż wreszcie opadają mi powieki. Kiedy się budzę, w pokoju jest ciemno. Przy łóżku majaczy jakiś cień.

– Ćśśś – szepcze Lotham, kładąc się obok mnie. – Po prostu odpoczywaj.

Po chwili bierze mnie w objęcia i czuję żar jego ciała. Odpływam, ukołyszana rytmem jego oddechu. Później, gdy budzę się z płaczem, ociera mi łzy palcami, a potem wargami, a ja obracam się do niego twarzą. Poruszam się niecierpliwie i chciwie, aż w końcu ulega mi i się poddaje. Potem leżymy skóra przy skórze, dotykając się łagodnie i mocno, miękko i zaborczo, i to jest lepsze od wszystkich kieliszków wódki.

Później zasypiam jak kamień, a kiedy się budzę i go nie ma, to też jest w porządku. Łatwiej będzie mi zrobić to, co muszę zrobić.

Biorę do ręki telefon i wybieram numer. Po raz pierwszy dzwonię do niej w biały dzień. Nie wiem nawet, czy odbierze.

– Frankie, proszę cię... – słyszę.

– Znalazłam zaginioną dziewczynę. Nazywa się Angelique Badeau. Ma szesnaście lat. Sprowadziłam ją żywą do domu.

Chwila ciszy.

– To... to dobrze. Paul by się ucieszył. Ale nie musisz mi o tym mówić, Frankie. Czy po tych wszystkich latach mogłabyś, proszę, przestać dzwonić? To boli.

– Umierając, powiedział, że cię kocha. Powiedział... Tak wiele osób próbował uzdrowić. Ale to ty uzdrowiłaś jego. Byłaś wielką miłością jego życia.

Cisza trwa teraz o wiele dłużej. Może Amy płacze. Bo ja tak. Nigdy wcześniej jej tego nie mówiłam. A powinnam. Po prostu nie mogłam. Samolubnie chciałam mieć Paula tylko dla siebie. Tak strasznie chciałam, by jego ostatnie chwile należały do mnie.

– Dziękuję – mówi w końcu Amy i słyszę jej drżący oddech.

– Przestanę dzwonić. Przepraszam. Nie wiem, dlaczego...

Ale oczywiście wiem i ona też to wie. Bo jest wszystkim, co mi po nim zostało. Podobnie jak ja jestem jej jedynym łącznikiem z pamięcią o nim.

– Cóż, może kiedyś się jeszcze usłyszymy – rzuca.

– Jesteś szczęśliwa? – pytam, z autentycznej ciekawości.

– Mam męża i małą córeczkę. Życie toczy się dalej, Frankie. Ale dzięki, że zadzwoniłaś. Dzięki, że mi o tym powiedziałaś.

– Do widzenia, Amy.

– Do widzenia, Frankie.

Odkładam komórkę, biorę głęboki oddech i czuję, że jestem gotowa. Nie nowa i nie doskonalsza, ale może ten stary model jest lepszy, niż sądziłam. Ostatni prysznic, świeże ubranie i idę na dół. Stoney siedzi w swoim kantorku.

Domyśla się wszystkiego bez słowa.

– A zatem to koniec, tak? Z powrotem w drogę?

Kiwam głową.

– Możesz zostać w mieszkaniu do końca miesiąca. Albo dłużej, jeśli chcesz wrócić do pracy.

Kiwam głową.

– Na pewno mamy tutaj więcej podobnych przypadków. Może kiedy wieść się rozniesie, ludzie zaczną do ciebie przychodzić.

Przygląda mi się. Uwielbiam rysy jego twarzy, rysy mężczyzny, który wie, czym jest ból serca, ale również czym jest nadzieja.

– Dziękuję – mówię i to wystarcza nam obojgu.

Wracam na piętro i pakuję się. Kilka koszulek, trzy pary spodni, ta sama znoszona bielizna, której nie miałam czasu zastąpić nową.

Zostaję jeszcze przez chwilę, żeby napisać list. Lotham będzie wściekły, ale nie zaskoczony.

Jest tym, kim jest. I ja jestem tym, kim jestem.

Nazywam się Frankie Elkin i zajmuję się odnajdywaniem zaginionych osób. Kiedy policja daje za wygraną, kiedy ludzie powoli zapominają, kiedy media tracą zainteresowanie, zaczynam szukać.

Teraz biorę do ręki walizkę. Schodzę po schodach.

A potem znikam.

Podziękowania i nota od autorki

Cała powieść zaczęła się od zamieszczonego online artykułu BBC opowiadającego o Lissie Yellowbird-Chase, zwyczajnej osobie, która szuka zaginionych osób. Idąc śladem tej relacji, odkryłam cały świat amatorów, którzy próbują coś zmienić, zajmując się sprawami, na których dawno już położono krzyżyk. Oto czego się dowiedziałam: kolosalne znaczenie ma właściwa osoba, która zadaje właściwe pytania, zwłaszcza w przypadkach, gdzie zawiodła technologia. To, że te kompletnie obce osoby tak bardzo obchodzi los zaginionych, wydało mi się budujące – ale też bardzo mnie poruszyło. Dlatego dedykuję tę książkę wszystkim ofiarnym ludziom, którzy poświęcają swój czas dla innych rodzin – bez względu na to, czy są to detektywi amatorzy, zawodowi piloci, treserzy psów, czy kto tam jeszcze.

Jeśli chodzi o sprawy praktyczne, ogromnie pomogło mi kilka osób. Przede wszystkim Mary Nèe-Loftus, która przybliżyła mi świat Mattapanu, nie mówiąc już o systemie szkolnym Bostonu.

Dziękuję również Betsy Eliot, za to, że poznała mnie z Mary.

A także mojej drogiej przyjaciółce, Margie Aitkenhead. Kiedy mówię: „Hej, chciałabym się przespacerować po zakazanych dzielnicach Bostonu” – nigdy mi nie odmawia. Poza tym zawsze podchodzą do nas miejscowi, żeby pomóc, a jedzenie jest wprost nie do opisania. Wspominam w tej powieści o kilku wspaniałych lokalach na Mattapanie, od Le Foyer po Simco; powinniście odwiedzić oba. Haitańskie krokietki z mięsem są moim ulubionym daniem i nie mogę się doczekać, żeby ich znów spróbować.

Jestem również zobowiązana emerytowanemu nadinspektorowi Danowi Linskeyowi, który pokazał mi wszystkie narzędzia, jakimi dysponuje bostońska policja. Powiedzmy tylko, że w epoce kamer

drogowych i systemu LPR porwanie kogokolwiek jest wyjątkowo skomplikowane. I jestem pod wielkim wrażeniem tego wszystkiego, czym może się posłużyć policja w wielkim mieście.

Dziękuję także mojej córce, która podsłuchawszy, jak rozmawiam z Linskeyem, oświadczyła, że zadawałam mu wyłącznie niewłaściwe pytania, a następnie przedstawiła wszystkie narzędzia, z jakich może skorzystać średnio inteligentny nastolatek, żeby ukryć swoje kontakty przed wścibskimi rodzicami. Jako matka nie wiedziałam, czy mam być przerażona, czy zafascynowana. Wybrałam to drugie, bo dzięki temu w nocy nie dręczą mnie koszmary. Chyba.

Co pozwala mi płynnie przejść do osoby emerytowanego porucznika Petera T. Eakleya z policji w Millburn, w stanie New Jersey – który zapoznał mnie ze wszystkim, co trzeba wiedzieć o fałszywych dowodach tożsamości i podrabianych wizach. W tej powieści pozwoliłam sobie poprzekręcać pewne fakty, ponieważ istnieje cienka granica pomiędzy zabawianiem czytelników i instruowaniem potencjalnych fałszerzy.

Pamiętajcie również, proszę, że to fikcyjna historia i za wszelkie błędy tylko ja ponoszę odpowiedzialność. Realny świat jest całkiem porąbany, więc całe szczęście, że możemy się przed nim schronić w fikcji.

A teraz zwracam się do osób, które pragną umrzeć. Wiecie, o kogo mi chodzi. Gratulacje dla zwycięzców aukcji Okalecz Kumpla, Zabij Przyjaciela, a także jej międzynarodowej edycji Okalecz Zioma, Zabij Przyjaciela. Przede wszystkim dla Lupe Giron – uzyskała prawo uśmiercenia swojej przyjaciółki, Peggy Struzeski, którą opisuje jako „trochę szurniętą, kochającą książki blondynkę”. Bardzo cenię wszystkich trochę szurniętych, kochających książki ludzi, ale zasady aukcji są nieubłagane: Peggy musi umrzeć. Mam nadzieję, że wam się to spodoba! Gratuluję również Gwynne Andal, jak sama się przedstawia, dumnej Filipince, najstarszej z trojga rodzeństwa, która uzyskała prawo zabicia samej siebie. Jestem pewna, że nie odbyło się to w tak makabrycznych okolicznościach, jak chciała, lecz mimo to okazało się całkiem zabawne. Wszystkich innych amatorów fikcyjnych zgonów informuję, że na www.LisaGardner.com wciąż trwa nasza aukcja. Nigdy nie jest za późno,

by wziąć w niej udział, i zachęcajcie znajomych oraz rodzinę, żeby was nominowali. Śmierć w powieści staje się, o dziwo, przedmiotem coraz większego pożądania.

Powinnam też wspomnieć o prawdziwej Piper, niezwyklej kotce ratowniczej, która mieszka teraz u moich wspaniałych sąsiadek, Pam i Glendy, i prycha na mnie za każdym razem, gdy wchodzę do pokoju. Próbowалаm już wobec niej kocich przysmaków i kocimiętki. Jedyne, co mi pozostało, to ofiarować jej literacką nieśmiertelność. Szkoda, że koty nie umieją czytać.

Jak zawsze, przekazuję wyrazy miłości rodzinie, przyjaciołom i kolegom autorom, dzięki którym nie zwariowałaм, pisząc tę powieść. Zważywszy, że wszystko działa się podczas pandemii, trudno było mi się skoncentrować i tym bardziej jestem wdzięczna za wszelką pomoc. Ci, którzy śledzą mnie w mediach społecznościowych, wiedzą, że moim ratunkiem (i preferowanym sposobem rozwiązywania problemów) są piesze wędrówki, dziękuję więc, Michelle Capozzoli i Larisso Taylor, że nie dałyście mi zejść ze szlaku i porzucić zabójczych myśli.

Do moich wszystkich czytelników kieruję wyrazy miłości, wdzięczności i najlepsze życzenia zdrowia i szczęścia. Dzięki, że mnie wspieracie. Przez całe życie fascynowała mnie moc opowieści. Dziękuję, że wybraliście się razem ze mną w tę podróż.